

Z E S Z Y T   S I Ó D M Y

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965

P. M. 8074

P. 12056

**ZESZYTY HISTORYCZNE**

**VII**

BIBLIOTEKA "KULTURY"  
Tom CVIII

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTYTUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi  
par MAISONS-LAFITTE (S.-et-O.)

Z E S Z Y T   S I Ó D M Y

ZESZYTY  
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1965



## BIAŁORUSINI, LITWINI I POLACY W POWSTANIU STYCZNIOWYM NA LITWIE HISTORYCZNEJ

Stulecie powstania 1863-64 wznowiło i rozszerzyło nigdy zresztą nie wygasłe zainteresowanie tym tragicznym rozdziałem naszej historii. Oprócz artykułów okolicznościowych w prasie i czasopismach polskich i obcych, ukazało się w ostatnich kilku latach sporo nowych opracowań, pamiętników i przyczynków, niekiedy bardzo wartościowych ze względu na nowe dotąd niedostępne lub nie wyzyskane źródła.

### *Nowe źródła.*

Materiały dotyczące Powstania na ziemiach byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego znajdowały się przeważnie w archiwach rosyjskich, oraz w Muzeum Murawiewowskim w Wilnie, które Rosjanie, rejterując z Wilna w roku 1915, zdołali przeważnie zabrać ze sobą, wraz z pomnikiem „Wieszatiela”. Obecnie znajdują się one w archiwach centralnych w Moskwie i Leningradzie, oraz w archiwach poszczególnych republik sowieckich — białoruskiej w Mińsku, litewskiej w Wilnie i ukraińskiej — w Kijowie. To wielkie bogactwo źródeł, w ogromnej większości oficjalnych dochodzeń, procesów zeznań i zapisków, zostało skrzętnie wyzyskane przez historyków rosyjskich. Dzięki temu, ilość poważnych i szczegółowych opracowań okresu lat sześćdziesiątych XIX wieku na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej, wydanych w Związku Sowieckim, jest imponująca, a bibliografia publikacji o Powstaniu zajmuje często kilkanaście stron. W języku rosyjskim prace W. Dżakowa o Sierakowskim są wręcz

rewelacyjne, równie jak książki A. Smirnowa i W. Rewunienkowa o historii wojskowej, politycznej i dyplomatycznej Powstania. Spośród polskich książek, wydanych w PRL., ze źródeł tych obficie korzystali m.in. W. Kordowicz („Konstanty Kalinowski” 1955), Z. Cwiek („Przywódca Powstania Styczniowego”, II wydanie, 1964), Łossowski i Młynarski („Rosjanie, Białorusini i Ukraińcy w powstaniu styczniowym”, 1959).

W publikacjach, które ukazały się w Związku Sowieckim i w Polskiej Republice Ludowej znaleźć można bardzo dużo cennego materiału faktycznego, pochodzącego z owych niedostępnych dotąd źródeł, jak również moc szczegółów co do przebiegu powstania i sylwetek jego przywódców. Jednocześnie jednak prace te z reguły, jak na komendę, usiłują poddać rewizji — w tym samym zawsze kierunku — ustalone dotąd poglądy na genezę, charakter i cele powstania, zwłaszcza na ziemiach Litwy Historycznej.

Na ogół biorąc, przenika te prace tendencja jak najściślejszego związania Powstania z ruchem rewolucyjnym w Rosji w połowie XIX wieku, po przegranej wojnie krymskiej, oraz z walką z caratem, jako ustrojem tyrańskim, hamującym rozwój polityczny, społeczny i gospodarczy *w całym Imperium*. Udział Białorusinów i Litwinów w powstaniu na Litwie jest oświetlany w podobny sposób. Miały więc to być akty solidarności klasowej w walce przeciwko „panom”, czyli dworskiej szlachcie, oraz przeciwko władzy carskiej, na tej szlachcie opierającej swoje rządy. Podkreślając silnie motywy rewolucyjno-społeczne ruchu powstańczego, przemilczają te prace lub bagatelizują *motywy solidarności politycznej i religijnej*, z tradycji historycznej wyrosłej. A przecież, jak to stwierdzają liczne wspomnienia i pamiątki z okresu Powstania 1863 na Litwie, te właśnie motywy gromadziły w jednym szeregu bogatego szlachcica polskiego z zagrodowym, studenta ze dworu z chłopem litewskim lub białoruskim, drobnego urzędnika z członkiem tzw. wolnych zawodów, drobnych mieszczan z inteligentami wszystkich trzech narodowości. Taki przekrój społeczny łatwo stwierdzić w każdym oddziale w pierwszym okresie powstania. Na terytorium Imperium poza granicami dawnej Rzeczypospolitej chłopci rosyjscy i ukraińscy nie dali się porwać do walki inteligentom-rewolucjonistom, posługującym się atrakcyjnym hasłem „Ziemia i Wola”.

Prawda dziejowa o ówczesnym stosunku mieszkańców Litwy Historycznej różnej narodowości do Powstania Styczniowego, zawarta w niezliczonych materiałach pamiątkarskich i opracowaniach naukowych, nie powinna być utopiona w powodzi no-



wych prac, wydanych po „tamtej stronie” i w ogromnej większości służących podbudowie obowiązującej tam politycznej doktryny. Szkic poniższy, napisany nie przez uczonego naukowca, lecz przez publicystę, ma na celu przypomnienie niektórych przed 100 laty jeszcze na tych ziemiach czynnych pobudek współdziałania, a nawet walki orężnej Białorusinów, Litwinów i Polaków o tę samą dla wszystkich wolność. Wydaje się to tym bardziej potrzebne, że prace wydane na emigracji o Powstaniu, np. tom XII „Tek Historycznych”, nie uwzględniają ostatniej literatury historycznej rosyjskiej, białoruskiej i polskiej-krajowej, z wyjątkiem książki Łossowskiego-Młynarskiego.

Symbolem wspólnej walki orężnej polsko-litewsko-białoruskiej w roku 1863-64 o zrzucenie z siebie obcej władzy rosyjskiej, są trzej naczelnicy przywódcy Powstania: Polak — Sierakowski, Litwin — ks. Mackiewicz i Białorusin — Kalinowski. Wszyscy ponieśli śmierć na szubienicy. Dwóch z nich powieszonych w Wilnie, Sierakowskiego i Kalinowskiego, legenda umieściła na szczycie Góry Zamkowej, grób trzeciego, ks. Mackiewicza jest wspólnym grobem skazańców w Kownie.

### *Sierakowski*

Najwcześniej, bo już 28 czerwca (15 starego stylu) 1863 roku, stracony został na placu Łukiskim w Wilnie pierwszy, i ostatni naczelnny wódz powstania na Litwie, Zygmunt Sierakowski, pseudonim Dołęga. Ten niezwykle uzdolniony człowiek, syn drobnego dzierżawcy na Ukrainie i powstańca z 1831 roku, urodzony w okolicach Łucka na Wołyniu w roku 1826, oficer rosyjskiego sztabu głównego o zawrotnej karierze od zesłańca „w żołdacy” do karnego korpusu Orenburskiego na wschodnim wybrzeżu Morza Kaspijskiego do świetnego oficera sztabowego, o którym mówił w swoim odczycie w roku 1924 w Wilnie Józef Piłsudski, że w latach 1859-1861 „nic się nie działo w armii rosyjskiej bez woli lub wpływu Zygmunta Sierakowskiego... W jakimś dzikim podskoku leciał w górę ten człowiek...”; który już jako dziewiętnastoletni student zakładał i stawał na czele organizacji młodzieży niepodległościowej w Petersburgu, a po powrocie z „zsyłki” już jako oficer Sztabu Generalnego, zakładał „Koło” oficerów i cywilnych polskich, przygotowujących się do powstania; który w roku 1860 został delegowany, jako reprezentant armii rosyjskiej na IV międzynarodowy Kongres Statystyczny w Londynie, gdzie zwrócił na siebie uwagę największych osobistości politycznych i woj-

skowych Anglii, Francji i innych państw i wygłosił pasjonujący, jak pisze W. Ćwiek, referat o konieczności zniesienia kar cielnych w armii, pozyskując dla swojej tezy uczestniczących w obradach i obserwujących je Rosjan z ambasadorem w Brukseli ks. Orłowym na czele; który jednocześnie zawierał przyjacielskie kontakty z licznym gronem najwybitniejszych radykałów i rewolucjonistów rosyjskich, z Hercenem, Niekrasowym, Ogariowym, Czernyszewskim, Dobrolubowym i innymi i był fetowany w stolicach europejskich jako wybitny i wpływowy reformator armii rosyjskiej; człowiek o wielkiej wiedzy, znający sześć języków europejskich; „promienna zapalem, poezją tryskająca postać” — pisał o nim kolega uniwersytecki z lat 1845-46, późniejszy prezes Wydziału Rządu Narodowego Na Litwie, Jakób Gieysztor, — ten 37-letni człowiek o otwartej przed nim drodze do najwyższych zaszczytów imperium carskiego, ogarniętego w owych latach falą liberalizmu i reform, — ten rozrywany w najwyższych sferach stolicy sztabowiec, — na wezwanie Rządu Narodowego, porzuca wszystko bez wahania i staje na czele powstania na Litwie.

Sprawował tę funkcję tylko przez 20 dni. W połowie kwietnia, przejąwszy w Szatach dowództwo od Dłuskiego-Jabłonowskiego, dotychczasowego dowódcy powstania, zjawił się w miejscu nakazanej oddziałom koncentracji około Kiejdan i... nie zastał tam nikogo. Po kilku dniach miał już 150 ludzi, a wkrótce zaczęły ściągać tam oddziały powstańcze — „partie”, jak je powszechnie zwano: Kołyszki, ks. Mackiewicza, Maleckiego, Ludkiewicza, Wiwulskiego i innych.

Plan strategiczny Sierakowskiego polegał, jak wiadomo, na oparciu powstania o teren Żmudzi, gdzie masowo przyłączyli się do niego chłopcy litewscy, i do opanowania następnie kilku punktów na granicy z Litwą Pruską i na wybrzeżu morskim, kędy spodziewano się przybycia z zachodu ochotników, broni i amunicji. Zamierzał też Sierakowski zdobyć, przy udziale spiskowców w garnizonie, twierdzę Dyneburską (Dźwińsk) umocnić się tam dopóki powstanie nie rozszerzy się dalej po kraju, po czym przejść z głównymi siłami na Wileńszczyznę i Polesie na tyły wojsk rosyjskich działających w Kongresówce.

Nie łatwo przyjąć tezę, że zawodowy wojskowy, a zarazem człowiek o wybitnej inteligencji i wiedzy politycznej, mógł sądzić, że istnieją warunki do wykonania tego planu. A jednak tak było. O zapale i wierze w zwycięstwo Sierakowskiego mówią wyraźnie przekazy piśmienne współczesnych mu, od Gieyszтора poczynając. Oddziałom partyzanckim chciał nadać formy wojska regularnego, i tu, zdaje się, popełnił błąd. Szedł w szy-

ku przez wieś i miasteczka, szerząc hasła powstania i ogłaszając manifest o uwłaszczeniu chłopów.

Powoli ale nieuchronnie otaczał oddział Sierakowskiego pierścień wojsk rosyjskich, które otrzymały rozkaz niedopuszczenia go do Kurlandii, gdzie szerzył się ferment wśród chłopów łotewskich. Po trzech pomyślnych bitwach, w trzydniowej bitwie pod Birzami, niedaleko granicy z Kurlandią, Sierakowski został ciężko ranny. Musiano go ukryć w pobliskiej leśniczówce. Brak popularnego dowódcy wywołał popłoch, oddziały poszły w rozsypkę i wódz powstania na Litwie dostał się do niewoli. Po krótkim procesie, w którym dopiero został zidentyfikowany jako urlopowany kapitan sztabu generalnego, Sierakowski zawisł na szubienicy przy licznych protestach w całej Europie, gdzie jego udział i rola w Powstaniu stały się powszechnie znane.

Uderzający jest tragiczny dysonans pomiędzy świetnie rozpoczętą karierą wybitnego oficera sztabowego, humanisty, polityka i reformatora, a tym krótkim, bo tylko trzytygodniowym, zakończeniem tej kariery. Siła idei społeczno-politycznej i napięcie uczuć patriotycznych musiały być w tym człowieku niepospolite, skoro mógł on bez chwili wahania odrzucić takie nęcące perspektywy dla walki o wolność ojczyzny. W polskiej literaturze historycznej Sierakowski jest na ogół postacią niedocenioną. W pełnym świetle swego talentu występuje ona dopiero w nowych opracowaniach — rosyjskich — W. Dżakowa. Że był postacią niezwykłą, że miał właściwy przywódca autorytet i dar przyciągania ku sobie mas ludzkich — był szczególnie lubiany przez kosynierów litewskich — mówi o tym najwymowniej urosła w tym kraju, gdzie działał zaledwie trzy tygodnie, jego legenda. W okresie dzieciństwa autora tego szkicu, na przełomie XIX i XX wieku, a więc w 40 lat po powstaniu, legenda Dołęgi była jeszcze powszechnie żywa na Litwie i Żmudzi.

### *Ksiądz Mackiewicz*

Niezmordowany dowódca partyzantki na Żmudzi, złożonej przeważnie z chłopów-Litwinów, ks. Antoni Mackiewicz był o dwa lata młodszy od Sierakowskiego. Urodzony w Cytowianach na Żmudzi w rodzinie drobnej szlachty zagrodowej, niegdyś prawdopodobnie przybyłej na Litwę z Mazowsza, uczył się ks. Mackiewicz (lub, jak z mazowiecka piszą go w Polsce, Maćkiewicz) w gimnazjum w Wilnie i na uniwersytecie w Kijowie. Brak środków zmusił go do powrotu w strony rodzinne, gdzie

ukończył seminarium duchowne w Worniach, po czym sprawował swe obowiązki duchowne w otoczeniu prawie wyłącznie litewskim. Historia jego niemal całorocznej partyzantki na czele „partii”, złożonej głównie z Litwinów, z komendą, organizacją i metodą działania przez siebie stworzoną, jest najsłabiej opracowana w literaturze historycznej. Głównym źródłem tego co o nim wiadomo są listy, zapiski uczestników powstania i nie ogłoszone dotąd akta jego sprawy przed sądem wojskowym w Kownie.

Gorący demokrata, radykał społeczny, płomienny mówca, cieszący się ogromnym autorytetem i zaufaniem chłopów litewskich, posiadał wszystkie cechy trybuna ludowego. Na wieść o wybuchu powstania w Królestwie, nie czekając na organizację i wezwanie władz powstańczych, pierwszy, obok Kleta Korewy i Ludwika Narbutta na Wileńszczyźnie, podniósł sztandar powstania na Żmudzi, porywając za sobą liczną tam szlachtę zagrodową i włościan litewskich, mianując spośród nich dowódców i wprowadzając język litewski do komendy wojskowej. Wielokrotnie rozpraszany jego oddział, zbierał się zaraz znowu jeszcze w większej sile. W krótkim czasie stał się postacią niemal legendarną w zachodniej Litwie. Ale ten znakomity partyzant nie znał zupełnie zasad dyscypliny wojskowej i rozkazodawstwa. A Sierakowski, oficer sztabowy, ułożył plan działania według zasad wojny regularnej. Nie doceniając zapewne ścisłości wykonania marszu w czasie, ks. Mackiewicz spóźnił się znacznie z wejściem do bitwy pod Birzami, co obok ciężkiej rany Sierakowskiego, rozstrzygnęło o ujemnym jej wyniku. Być może, powstanie styczniowe w ogóle powinno być prowadzone metodą ks. Mackiewicza, a nie Sierakowskiego. Po klęsce birżańskiej ks. Mackiewicz znowu wrócił na teren Żmudzi i toczył tam partyzantkę aż do grudnia 1863. Ostatnią potyczkę stoczył na czele ośmiu ludzi. Przemykając się do Królestwa, został poznany, ujęty i osadzony w więzieniu w Poniewieżu. Po dziesięciu dniach zawisł na szubienicy w Kownie ostatni szef powstania na Żmudzi, Litwin pochodzenia polskiego, mianowany na to stanowisko przez Białorusina (również pochodzenia polskiego) Kalinowskiego, faktycznego dyktatora ostatniej fazy powstania na Litwie Historycznej.

### *Kalinowski*

Po zaarrestowaniu Gieysztor, prezesa „Wydziału Zarządzającego Prowincjami Litwy” w końcu lipca 1863, dominującą postacią w tym centralnym organie kierowniczym powstania stał

się 26-letni Konstanty Kalinowski. Urodzony w Mostowlanach na Grodzieńszczyźnie, uczył się w słynnej swego czasu szkole w Swisłoczy, po czym zdał egzamin na Wydział Prawny Uniwersytetu Petersburskiego i, wszedłszy tam do „Koła” Sierakowskiego, stał się jego uczniem, współpracownikiem w spiskach i przyjacielem. Ale w poglądach społecznych był znacznie radykalniejszy od swego mistrza. Po uzyskaniu dyplomu na wydziale prawa, Kalinowski wysłany został przez polskich demokratów na Grodzieńszczyznę dla podjęcia tam akcji rewolucyjnej wśród chłopów. Wykazał w tej robocie wielkie zdolności. W połowie 1862 roku Kalinowski przybył do Wilna i wszedł do istniejącego tam już „Komitetu Ruchu”, odpowiednika warszawskiego „Komitetu Czerwonych”. Zajął tam stanowisko federalistyczne w stosunku do Centralnego Komitetu Narodowego w Warszawie wskutek czego był pomawiany przez „Białych” o separatyzm. Ta mylna opinia o Kalinowskim utrzymała się następnie w znacznej części historiografii polskiej o powstaniu. Kalinowski był zwolennikiem historycznych federacyjnych związków Litwy Historycznej z Polską i prekursorem narodowego odrodzenia białoruskiego.

Od sierpnia 1863 do dnia swego aresztowania 10 lutego 1864 skupiał on w swoich rękach polityczną wolę kontynuowania powstania i kierownictwo nim, wykazując wyjątkową energię, charakter, dojrzałość sądu i wielki talent polityczny. Spełniał w Wilnie analogiczną rolę jak Traugutt w Warszawie.

Po aresztowaniu Kalinowskiego przestało faktycznie istnieć polityczne kierownictwo powstania. Pozostali przy życiu działacze bądź zbiegli za granicę lub do Królestwa, bądź kryli się, oczekując chwili sposobnej. Po całym kraju rozlał się terror represji wielkorządcy rosyjskiego, Murawiewa-Wiesziela. Najlepsze świadectwo o atmosferze politycznej Wilna wówczas wystawia fakt, że drugi z kolei delegat Rządu Narodowego, Głowacki, po krótkim pobycie w Wilnie wyjechał z powodu nabytej tam choroby nerwowej. A jednak po lasach wciąż jeszcze rozlegały się strzały, odbywały się drobne utarczki i sporadyczne napady na odosobnione placówki rosyjskie. Były to już działania ludzi nie mających nic do stracenia, przez nikogo nie kierowanych, nie mogących się wychylić na powierzchnię życia. Ostatnia potyczka powstańcza odbyła się 12 października 1964 niedaleko Poniewieża. Głucha żałobna cisza, przerywana represjami, aresztowaniami, deportacjami, egzekucjami i konfiskatami zaległa cały kraj — później niż w Królestwie.

Postać Kalinowskiego została przez historiografię polską i białoruską skrzywiona w zależności od kierujących autorami

tendencji. Z jednej strony zrobiono z niego nieomal prekursora komunizmu, z drugiej skrajnego nacjonalistę białoruskiego. Ani tym ani tamtym Kalinowski w rzeczywistości nie był. Historiografia polska nie zajęła się, niestety, źródłowymi badaniami nad tą wybitną postacią Powstania Styczniowego, a niewolna historiografia lat powojennych w Polsce nie mogła, oczywiście, zadania tego wykonać, choć monografia Wiktora Kordowicza, wydana w Warszawie w roku 1955, nie przesadza w dostosowaniu się do „linii generalnej”, obowiązującej historyków w Polsce, i zawiera wiele rzeczowego materiału.

Najbardziej autentycznym szkicem sylwetki Kalinowskiego są prawdopodobnie słowa liberalnego szlachcica ze stronnictwa „Białych” w Wilnie, pierwszego prezesa Wydziału Rządu Narodowego na Litwie, Jakóba Gieysztorą w jego pamiętnikach:

„Od pierwszego sierpnia 1863 roku do zaaresztowania w styczniu (st.st.) 1864 roku Kalinowski był ożywym duchem dogorywającej krwawej litewskiej demonstracji. On mógł uciekać z Wilna, a nigdy tego nie przypuszczał, bo uważał za swój obowiązek, jak był pierwszym spiskowcem na Litwie, tak zostać ostatnią ofiarą terroryzmu Murawiewa... Wytrzymałości był niezrównanej, jak i osobistego poświęcenia, był najpiękniejszym, najczystszy przedstawicielem niezrównanego spiskowca: Ten jeden człowiek wystarczał za setki, bo umiał pracować, poświęcać się i ukrywać”.

Testamentem politycznym Kalinowskiego jest jego „List spod szubienicy”, pisany przed egzekucją do chłopów białoruskich. Autor porównuje w „Liście” carat rosyjski z powstańczym rządem polskim:

„Rząd polski oddaje nam teraz na wieczność — pisze — ziemię naszą i naszą pracę. Moskal pisze i ustanawia jakieś czynsze, którym nigdy nie będzie końca... Gdy rząd polski daje nam prawdziwą wolność, Moskal, nie powiem, całymi wioskami, ale całymi gromadami pędził ludzi zabrawszy im całkowicie wolność, na pustynie syberyjskie... Rząd polski wszystkim bratnim narodom daje samorząd. Moskal nie tylko tak nie robi, ale jeszcze tam gdzie żyją Polacy, Litwini i Białorusini, zaprowadza moskiewskie szkoły, a w tych szkołach uczy po moskiewsku, gdzie nigdy nie usłyszysz po polsku, po litewsku i po białorusku, jak tego chce lud...”

Kalinowski kończy swój list następującym apelem do narodu białoruskiego:

„Dlatego, narodzie, gdy tylko usłyszysz, że Twoi bracia spod Warszawy walczą za prawdę i wolność, wtedy i Ty nie pozostawaj w tyle, ale pochwywszy za co możesz, za kosę, za siekiere, całą gromadą idź walczyć za swoje ludzkie i narodowe prawa, za swoją wiare, za swoją ziemię rodzinną. Bo ja mówię do ciebie spod szubienicy, narodzie, że wtedy tylko będziesz żył szczęśliwie, gdy nad Tobą już Moskala nie będzie”.

Stosując obecne słownictwo polityczne, Kalinowskiego można określić społecznie jako radykalnego ludowca, politycznie — jako zwolennika związku trzech „bratnich”, jak się wyrażał, narodów dawnej Rzeczypospolitej, czyli, znów używając słownictwa dzisiejszego, federacji narodów białoruskiego, litewskiego i polskiego. Od tego programu do komunizmu lub skrajnego nacjonalizmu droga bardzo daleka.

### *Solidarność ludności Litwy Historycznej*

Przebieg powstania styczniowego na ziemiach W. Ks. Litewskiego jest ogólnie znany, nie istnieje jednak dotąd w języku polskim pełne i wiernie odtwarzające wypadki owych trzech lat opracowanie naukowe. Być może, z tego powodu, ale przede wszystkim z przyczyn emocjonalnych, ze szczególnego, niejako mistycznego stosunku wielkiej części uczestników i społeczeństwa do powstania, w świadomości po-powstaniowych pokoleń polskich na tych ziemiach powstanie styczniowe przybrało postać jakiejś religijno-patriotycznej ofiary. Z perspektywy pół wieku już wydawało się, że idący „do lasu” w roku 1863, nie widząc szans na zwycięstwo, na wpół świadomie chcieli stworzyć legendę, którą karmić się będą następne pokolenia. Symbolem powstania obok kosy stał się krzyż, — krzyż nie w blasku zwycięstwa, lecz owity kirem żałoby.

Popularne historie powstania styczniowego grzeszą przeważnie przystosowaniem rzeczywistości do tej patriotyczno-mistycznej legendy. Tło społeczno-narodowościowe, oraz ścieranie się i współpraca tych elementów nie zostały dotąd naukowo, obiektywnie, zbadane i opracowane.

Przy bliższym wejrzeniu okaże się jednak, że ruch lat 1863-64, obok swego mistycznego charakteru, był od początku równie zróżniczkowany, jak to bywa z każdym ruchem rewolucyjnym, jak też to było z tym, który w Królestwie był jego wzorem i poniekąd przewodnikiem. Ale to zróżniczkowanie nie szło po linii narodowościowej, a przy tym nie przybrało w Wilnie tak ostrych form walki frakcji jak w Warszawie. Wileńscy Biali i Czerwoni potrafili o wiele zgodniej ze sobą współpracować, niż ich odpowiedniki w Królestwie. Polak litewski, umiarkowany członek stronnictwa „Białych” Gieysztor, pierwszy szef polityczny powstania, człowiek prawy, mężny i liberalny, miał taki sam posłuch w organizacji powstańczej, jak jego następca po aresztowaniu, rewolucyjny radykał ze stronnictwa „Ruchu” (czyli litewskich „Czerwonych”), prekursor odrodze-

niowego ruchu białoruskiego Kalinowski. „U nas na Litwie — pisał Gieysztor — nie było właściwie dwóch krańcowych partii”. Ale Bronisław Szwarce i jemu podobni radykałowie w tym właśnie widzieli słabość powstania... „Gdy przychodziłem do niego (około roku 1900) — pisze Józef Piłsudski — z teoriami o „treuga Dei”, ze łzawą legendą, machnął na mnie niecierpliwie ręką i z ust jego sypały się wyrazy złości, wyrazy pogardy, wyrazy żaru, trawiącego serce”.

W Królestwie nie było zróżniczkowania językowo-narodowego, które na ziemiach W. Ks. Litewskiego, narodowościowo mieszanym, mogło, zdawałoby się, jeszcze bardziej osłabiać spistość wewnętrzną kierownictwa powstania i jego wojskowego dowództwa.

W rzeczywistości to zróżniczkowanie nie wpłynęło na solidarność postawy różnonarodowej ludności ziem W. Ks. Litewskiego. Obojętność ludności chłopskiej, a nieraz i wrogość w stosunku do powstania, które zaznaczyło się wyraźnie w różnych częściach Królestwa, tu na terenach językowo litewskich było nieznaną, a na terenach językowo białoruskich wystąpiło w rozmiarach bardzo nieznacznych, przy tym prawie wyłącznie wśród ludności wyznania prawosławnego.

Ludność litewska, nie znająca języka polskiego, masowo wzięła udział w powstaniu, zwłaszcza na Żmudzi, o czym świadczą najlepiej najwyższa spośród 6-ciu gubernii tzw. „Siewiero-Zapadnawo Kraja” liczba potyczek stoczona w gubernii Kowieńskiej — 91. Tam też powstanie trwało najdłużej i walczone najuporczywiej. Ale i druga z kolei liczba 64 potyczek dotyczy gubernii Grodzieńskiej z większością ludności białoruskiej: Współdziałanie z powstaniem ludności wiejskiej, nie tylko dworów i zaścianków lecz i wsi znajdującej się właśnie w toku wielkiej reformy — uwłaszczenia włościan — wsi z ludnością w ogromnej większości białoruską i litewską, stwierdza jednogłośnie literatura pamiątkarska i historyczna: Jankowski, Czaplicki, Biłgorajski (przeciwnik powstania), Aramowicz, Gieysztor, J. Staniewicz, Szczotka, Złotorzycka i inni. Tylko dzięki miejscowej ludności wiejskiej mógł Laskowski z największą podówczas partią przetrwać 1863/64 pod Datnowem niedaleko Kiejdan. Rannego Sierakowskiego wydał nie jakiś włościanin miejscowy Litwin, lecz właścicielka pobliskiego folwarku — Polka.

„Już na pewien czas przed powstaniem — mówił literat i działacz litewski F. Neveravicius w odczycie w Londynie — wzrastała liczba szlachty wiejskiej na Litwie, będącej pod wpływem zachodnio-europejskich idei o równości społecznej. Byli oni świadomi błędów przeszłości, chcieli stworzyć społeczeństwo bezklasowe i wynagrodzić krzywdy w przeszłości wyrządzone chło-



pom. Z drugiej strony chłopci litewscy zdawali sobie sprawę, że wielka część szlachty sprzyja reformie agrarnej, i dlatego usiłowania rosyjskie by zaprezentować rządy rosyjskie jako ich dobrodzieja zawodziły. Z tych powodów udział w powstaniu chłopów był większy na Litwie niż w Polsce”.

Masowy udział chłopów białoruskich, zwłaszcza w Grodzieńszczyźnie, był skutkiem innego nieco rodzaju przyczyn. Na tych terenach, z reguły biedniejszych od czysto litewskich, wielki wpływ miała radykalna akcja wśród chłopów, skierowana również przeciwko tzw. obszarnikom, prowadzona przez tegoż Kalinowskiego, oraz grupy polskich radykałów — Bronisława Szwarcego, Walerego Wróblewskiego, Feliksa Różańskiego, ks. Gintowta i innych. Na tym też terenie ukazywało się czas jakiś redagowane przez Kalinowskiego piśmisko w języku białoruskim pt. „Mużyćkaja prauda”.

Represje Murawiewa dotknęły nie tylko szlachtę, dwory i mieszczaństwo, przeważnie polskie, lecz i licznych chłopów. Według B. Limanowskiego, Murawiew skonfiskował posiadłości 1794 osób, w tym było aż 279 chłopskich. W gubernii wileńskiej już w ciągu pierwszych dwóch miesięcy po objęciu rządów przez Murawiewa, konfiskacie uległo 398 posiadłości, w tym 33 chłopskie. Ten sam autor cytuje przykładowo nazwiska 10 chłopów straconych za udział w powstaniu na przestrzeni od Brześcia po Sokółkę w Białostockim a Szawle i Jeziorosy na Żmudzi.

Bezspornie, najobficiej połała się na tych ziemiach krew polska nie tylko miejscowych Polaków litewskich, ale i wielu przybyłych z Królestwa i z Rosji. Bezspornie, te warstwy ludności poniosły największe ofiary osobiste — przez śmierć i deportacje — i materialne przez konfiskaty majątku nieruchomego i kontrybucje pieniężne sięgające 14 milionów rubli złotem.

Było to rzeczą naturalną, skoro zważymy, że ludność polska na tych ziemiach była warstwą społecznie i materialnie górną, że miała pełną świadomość swego politycznego przodownictwa i kulturalnej spójni z Królestwem i innymi ziemiami dawnej Rzeczypospolitej. A jednak, wbrew pańszczyznianej tradycji, wbrew różnicy językowej, wbrew nakazanej przez Murawiewa akcji podburzania przeciwko „panom” ludność wiejska, a również w znacznej części i miałomiasteczkowa, nie wyłączając Żydów, wzięła dobrowolnie masowy udział w Powstaniu, wysyłając młodzież do partii, pielęgnowując skrycie rannych, przechodząc rozbitków, dostarczając żywność, amunicję i broń, pomagając w rozpoznawaniu terenu i w przechodzeniu przez gąszcze i mokradła. Powstaniec 1863 roku na ziemiach litewskich i

katolicko-białoruskich mógł nie bać się zdrady ze strony miejscowej ludności. Przeciwnie, mógł spodziewać się wszelkiej pomocy, graniczącej zawsze z wielkim ryzykiem życia i mienia.

### *Odblask Rzeczypospolitej*

Dziś, w sto lat po tym dziwnym dramacie dziejowym, w epoce antagonizmów i walk narodowościowych, nie tylko w krajach cywilizacyjnie zapóźnionych, ale i w Belgii, Irlandii, Tyrolu, warto to zjawisko przeanalizować i wytłumaczyć.

Nie jest to zadaniem ani zamiarem autora tego szkicu. Celem jego jest tylko zwrócenie uwagi naszych wolnych historyków i czytelników na potrzebę zbadania i opracowania tego szczególnego fragmentu naszej historii na ziemiach Litwy Historycznej, którego stulecie dopiero co obchodziliśmy, a który na ziemiach ukraińskich Rzeczypospolitej miał już przebieg zupełnie inny. Tu, na Litwie było współdziałanie i wspólna walka orężna, tam — była obojętność a często i wrogość. Fakt ten stwierdzają niezbitce prace prof. Wielhorskiego i Józefa Olechnowicza w „Pamiętniku Kijowskim”, zeszyt I i II, oraz Jakóba Hoffmana w tomie XII „Tek historycznych”. Najlepszą ilustracją stosunku ludności ukraińskiej do powstania jest tragiczny los grupy powstańczej Antoniego Jurjewicza z jej „Złotą Hramotą” w Sołowijówce na Kijowszczyźnie. Powstanie Styczniowe na Ukrainie było polskim powstaniem, a na Litwie — powstaniem wszystkich trzech narodowości miejscowych. Przyczyna tego kontrastu mieści się w odrębnym rozwoju historycznym tych obu terytoriów.

Powstanie Styczniowe karmiło się ideologicznie z dwóch źródeł: z ogólnych prądów narodowo i społecznie wyzwoleniczych, przewalających się przez Europę, oraz z rewolucyjnego ruchu rosyjskiego, zmierzającego do całkowitego przekształcenia ustroju politycznego i społecznego Rosji carskiej. Wpływ tego ostatniego ruchu na radykalnych przywódców polskich niewątpliwie był znaczny, stwarzając jakąś wspólną homogeniczną postawę rosyjskich i polskich rewolucjonistów. Ale gdy się w ciągu powstania okazało, że dąży ono do oderwania się od Rosji i przywrócenia stanu przedrozbiorowego, stosunek całej lewicy rosyjskiej, z wyjątkiem Hercena i jego przyjaciół, zmienił się zasadniczo i stopniowo stał się nawet wrogi.

Łossowski i Młynarski w cytowanej na wstępie książce rozmijają się z prawdą w sposób rażący twierdząc, że „spośród tych trzech grup narodowościowych (Rosjan, Białorusinów i Ukraińców) udział Rosjan był najważniejszy i najliczniejszy (str. 226).

Piszący wcześniej od nich Józef Kowalski w pracy „Rewolucyjna demokracja rosyjska a powstanie styczniowe (Warszawa 1955, wyd. 2-gie) dochodzi do wniosku, że w całej Polsce około 100 rosyjskich żołnierzy i oficerów przeszło na stronę powstania”. Na blisko 200 tysięcy wojska, które wzięło udział w zwalczaniu powstania, liczba stu nie jest imponująca, a przy tym nie u wszystkich motywy były zapewne idealistyczne... A według oficjalnych danych rosyjskich ilość walczących powstańców na Litwie Historycznej wynosiła 80 tysięcy, z czego znaczna część składała się z Litwinów i Białorusinów. O Litwinach autorzy w ogóle nie wspominają, mimo że na Żmudzi stanowili oni większość w partiach powstańczych, a litewska etnicznie Żmudź stanowiła właściwą bazę powstania na Litwie.

Ten dziwny ostracyzm w stosunku do Litwinów ma widocznie na celu podkreślenie oficjalnej tezy o „słowiańskim braterstwie” Polaków, Białorusinów, Ukraińców i Rosjan, mimo, że udział tych dwóch ostatnich narodów w powstaniu był znikomy, co jest, zresztą, rzeczą zrozumiałą. W tym zakresie wydane „po tamtej stronie” prace o Powstaniu Styczniowym służą innym niż naukowym celom.

Z czego zrodziło się współdziałanie w powstaniu różnych politycznie grup polskich i aktywny udział elementów litewskich i białoruskich na tych ziemiach? Złożyło się na to wiele różnych przyczyn, z których trzeba wymienić kilka, mających swe źródło w przebiegu historii tego kraju.

Pierwszą przyczyną był brak podówczas ruchów narodowych w dzisiejszej ich postaci, a przeto i *brak antagonizmów i konfliktów na tle różnic językowych i kulturalnych*. Jako motor aktywności politycznej służyła wówczas niechęć do Rosji i do systemu jej rządów, oraz w niemałym stopniu pamięć o dawnej Rzeczypospolitej, nie istniejącej wprawdzie formalnie przeszło od pół wieku, ale żywej w pojęciach, tradycji, a również i w wielu sercach nie tylko warstwy szlacheckiej i inteligencji, lecz i wśród mas wolnej ludności wiejskiej i małomiasteczkowej.

Historyk niemiecki prof. dr Rhode pisze: („The Soviet Empire in Eastern Europe”, Chicago, 1963):

„Nie wiele było w Europie krajów, które by w XVI i I-szej połowie XVII wieku praktykowały taką tolerancję w sprawach religijnych i etniczno-narodowych, jak to czyniła Unia Polsko-Litewska. Uznawała ona 6 języków jako urzędowe, a 4 wyznania dawały przykład idealnej niemal „koegzystencji” z judaizmem i islamem dopóki kontr-reformacja nie rozpoczęła walki z protestantyzmem i prawosławiem. Pamięć o tym pokojowym współżyciu była wciąż żywa w okresie opresji rosyjskiej w XIX wieku”.

Chłopi litewscy i białoruscy podczas Powstania Styczniowego wierzyli, że zwycięstwo nad caratem przyniesie im zwolnienie religijne i społeczne, co było wówczas pierwszym i podstawowym ich dążeniem. Nawet patriotyzm białoruski Kalinowskiego, wyrażony tuż przed śmiercią w jego „Liście spod szubienicy”, zrodził się z przesłanek przede wszystkim społecznych, rewolucyjnych, a popularność ks. Mackiewicza wśród włościan litewskich urosła z jego gorącej religijności połączonej z płomiennym demokratyzmem.

Drugą przyczyną była *wspólność religijna*. Powstanie na obszarach katolickich znajdowało przychyłność i poparcie wsi, a na obszarach prawosławnych spotykało się z niechęcią, nieufnością i często nawet wrogością. Prof. Bóbr-Tylingo słusznie, zdaje się, twierdzi, (w „Tekach Historycznych”, tom XII), że u białoruskich i litewskich włościan „pierwiastek religijny był silniejszy od wszystkich innych pobudek” w ich udziale w powstaniu.

Trzecią, wreszcie, przyczyną był *stosunkowy liberalizm znacznej części szlachty* trzech gubernii zachodnich tzw. „Siewierozapadnawo kraja”, czyli zachodnich prowincji dawnego W. Ks. Litewskiego. Dała ta szlachta już w roku 1857 inicjatywę do umiarkowanej reformy włościańskiej, która w następnych latach stała się centralnym zagadnieniem życia tego kraju. Pomimo wielu wypadków czynnego oporu włościan przeciwko nakładanym na nich powinnościom z tytułu rządowych przepisów o wykonaniu reformy, pomimo nadużyć, instancje szlacheckie na ogół dość uczciwie swoje zadania spełniały. To postępowanie znacznej części szlachty stępiało w pewnym stopniu antagonizmy klasowe i ułatwiało polskim elementom demokratycznym i inteligentnym dostęp do wsi i posłuch dla głoszonych haseł radykalnych i wolnościowych.

### *Problem przyszłości*

Na horyzoncie Powstania Styczniowego na ziemiach b. W. Ks. Litewskiego pojawiło się czterech ludzi, z których każdy w warunkach normalnego życia politycznego w każdym wolnym kraju mógł być, z tytułu swoich zdolności i postawy moralnej, wysunąć się na czoło życia publicznego, — w szczególności dwaj petersburscy przyjaciele z roboty konspiracyjnej, Kalinowski i Sierakowski. Ks. Mackiewicz i Gieysztor reprezentowali również wybitne wartości politycznego działacza, ale talentem nie dorastali tamtym. W tych czterech ludziach sprzęgły się ze sobą

dążenia do wolności Białorusinów, Litwinów i Polaków. W nierównej i raczej przez wypadki przedwcześnie im narzuconej walce o wolność wspólnej ojczyzny trzech z nich ponieśli śmierć, a jeden, Gieysztor, po powrocie z zesłania, spełnił obowiązek kronikarza powstania na Litwie Historycznej. Zginęli z ręki tych, których następcy, mimo zmiany sztandaru na czerwony, tak samo jak ich poprzednicy, odmawiają tym narodom prawa do wyboru własnej drogi. Wszyscy czterej symbolizowali jeszcze wówczas, przed stu laty, niewygasłą żywotność idei dawnej Rzeczypospolitej na tych ziemiach.

Pamięć o wspólnych — choć nie dla wszystkich jednakowo miłych — dziejach Białorusinów, Litwinów i Polaków na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego nie jest kapitałem politycznym, który może procentować dziś lub jutro. Obraz 500 lat współzycia nie jednakowo rysuje się w oczach każdego z tych narodów. W historii nic nie wraca do punktu wyjścia. Ale słuszne idee i trafne rozwiązania zagadnień życia zbiorowego odradzają się nieraz po upływie wieków w nowej, *współczesnej postaci*. Epoka odrodzenia zasad prawa rzymskiego może być tego przykładem.

Obiektywną ocenę wartości tych idei współzycia dadzą zapewne dopiero najbliższe *przyszłe pokolenia*, nie obciążone reminiscencjami, ani urazami ani iluzjami z przeszłości. Ale na to aby odpowiedź była pozytywna, musi współczesne pokolenie torować drogi do przyszłej zgody i współpracy. Pierwszym krokiem na tej drodze jest odbudowa *wzajemnego zaufania*, mocno zachwianego w ciągu ostatniego stulecia po Powstaniu Styczniowym.

Marzec 1964.

Kazimierz OKULICZ

## LOTNICZA LEGENDA W ŚWIETLE HISTORII

Legendy, jak wiadomo, nie są historią. W zasadzie dotyczą one wydarzeń i osób z odległych czasów w których nie pisano kronik ani historii; niekiedy dotyczą postaci historycznych, o których ustne podania przekazywały z pokolenia na pokolenie romantyczne lub zgoła fantastyczne opowiadania, powtórzone później przez kronikarzy.

Nowoczesne legendy, powstałe w czasach prac historycznych opartych na dokumentach i różnych materiałach archiwalnych, fałszują historię i dlatego są szkodliwe.

Legenda snuta od wielu lat wokoło gen. Rayskiego przez naiwnych, nie znających historii wielbicieli i członków „świty” byłego szefa lotnictwa, fałszuje ustalone fakty historyczne i zniekształca najnowszą historię lotnictwa polskiego, krzywdząc zarazem wielu zasłużonych ludzi. Dlatego uważam za swój obowiązek skonfrontować legendę z historią.

Przeciwnicy moi mogą mi zarzucić, że nie będąc historykiem, nie mając za sobą studiów uniwersyteckich i prac naukowych, nie mam kwalifikacji do zabierania głosu w sprawach historii, ponadto, że mówienie o „obowiązku” jest z mojej strony zarozumiałością. Odpowiadam więc z góry na te zarzuty: nie roszczę sobie pretensji do miana historyka, uważam jednak moje prywatne studia i prace służbowe za wystarczające kwalifikacje do występowania w obronie najnowszej historii; studiowałem historię wojen i wojskowości, ze szczególnym uwzględnieniem historii lotnictwa, w ciągu ostatnich trzydziestu paru lat; w czasie wojny wykładałem historię lotnictwa w W.S.Lotn.; po wojnie „Samopomoc Lotnicza” wydała moją książeczkę pt. „35 lat lot-

nictwa polskiego”<sup>1</sup>; byłem członkiem komisji historycznej dowództwa P.S.P. i Sztabu Głównego; dysponuję źródłami do historii lotnictwa. Wydaje mi się, że mam nie tylko prawo, ale obowiązek do zabierania głosu.

W ciągu ubiegłych piętnastu lat próbowałem przeciwstawić się tworzeniu legendy: w 1948 r. wydałem broszurę pt. „Słowa prawdy gen. Rayskiego”, w następnych latach wysłałem szereg listów protestacyjnych do Rady Stowarzyszenia Lotników Polskich i do pisma S.L.P. „Skrzydła”, oczywiście bez skutku, oraz listy do londyńskiego „Dziennika Polskiego”.

W lipcu 1964 r. wysłałem list do redaktora „Dziennika Polskiego”, w którym stwierdziłem, że „pomimo wielu zasług w dziedzinie lotnictwa wojskowego i przemysłu lotniczego gen. Rayski nie był ani „pionierem” ani „twórcą lotnictwa polskiego”, jak to napisał sekretarz S.L.P. dr Z. Matraś, w artykule zamieszczonym w „Dzienniku”. Otrzymałem po kilku dniach poniższą odpowiedź:

23.VII.1964.

„Wielce Szanowny Panie Pułkowniku,

Z największą uwagą przeczytałem list Pana Pułkownika, podający ocenę zasług historycznych pionierów naszego lotnictwa.

Sprawa ta ma duże znaczenie dla właściwego zestawienia prawdziwych zasług wszystkich tych, którzy kładli podwaliny pod tę najmłodszą, ale chyba najważniejszą, broń Polskich Sił Zbrojnych niepodległej Rzeczypospolitej.

Zgadając się całkowicie z Panem Pułkownikiem że: „Historia nie nadała miana twórcy lotnictwa żadnemu ze starszych od por. Rayskiego lotników”, — jestem jednak zdania, że właśnie dlatego całkowicie nowe przewartościowanie znanych dotąd szerszej opinii polskiej nazwisk w tej dziedzinie — wymagać będzie źródłowych studiów zbiorowych naszych historyków, zajmujących się specjalnie tymi sprawami. Pod tym kątem widzenia ogłoszenie już teraz listu Pana pułkownika byłoby nie wskazane.

Łączę wyrazy szacunku

(—) W. WOHNOUT”

Nielogiczność i naiwność argumentacji listu jest zabawna. Zatem w „Dzienniku” można już teraz wypisywać panegiryki na cześć gen. Rayskiego, ale na sprostowanie jest za wcześnie, „ogłoszenie listu już teraz jest nie wskazane; widocznie redaktor „Dziennika” odkłada mój list do czasu ukazania się pracy

---

1. Dodam tu bez urazy, że nie dostałem ani złamanego szeląga honorarium autorskiego. Podobno prawie połowa nakładu pozostała w piwnicach S.L.P., bo nikt się nie zajął kolportażem.

historycznej która wyjdzie w... 2015 roku czy później? Konia z rzędem temu kto wymieni choć jednego historyka w kraju lub zagranicą zajmującego się *specjalnie tymi sprawami* (jak pisze p. Wahnout), a cóż dopiero mówić o studiach zbiorowych naszych historyków? A jakie to przewartościowanie ma nastąpić? Widocznie redaktor „Dziennika” nie wie o istnieniu „Zarysu dziejów lotnictwa polskiego”, jedynym źródle historii lotnictwa polskiego, wydany w Warszawie w 1933 r., z którego czerpałem wszystkie dane podane w moim liście. Dzieło wspomniane, bez żadnych wątpliwości i bez reszty, ustaliło nazwiska pionierów lotnictwa w Polsce i historię tworzenia i rozwoju lotnictwa wojskowego i cywilnego do 1933 r. włącznie. Ponieważ ówczesny płk. Rayski jako szef departamentu lotnictwa M.S. Wojsk. znał projekt dzieła, dawał swoje uwagi, poprawki i dane dotyczące własnej jego osoby, nie może dziś ani on sam, ani nikt inny twierdzić, że dane zawarte w tym dziele — zwłaszcza dotyczące samego szefa lotnictwa — nie odpowiada prawdzie.

### *Geneza i treść legendy*

Początki legendy datują się z okresu francuskiego, tj. z ostatnich miesięcy 1939 roku. W Polsce legendy nie było; przeciwnie „szef lotnictwa zajmujący swoje stanowisko niejako „permanentnie”, bo od 1926 do wiosny 1939 r., nie miał „dobrej prasy”, a w samym lotnictwie wojskowym (nie mówiąc już o cywilnym i sportowym i małym, prywatnym przemyśle lotniczym) nie był szczególnym przedmiotem sympatii i adoracji. W szczególności w ostatnich latach przed wojną okazywano w pułkach jawnie niezadowolenie z powodu braków sprzętowych i personalnych, przestarzałych samolotów, polityki personalnej i tp.

Naturalną częścią nastrojów pokłeszkowych panujących po kampanii wrześniowej w kraju i poza jego granicami było generalne „psiocenie” na rząd, prezydenta, ministrów, generałów i dowódców bodaj wszystkich szczebli. Nieuniknione też było, że jedną z ofiar był długoletni szef lotnictwa, faktem jednak jest, że ze strony czynników urzędowych, a więc nowych władz państwowych i wojskowych, nigdy nigdzie nie wysunięto zarzutów czy oskarżeń. Z drugiej strony równie naturalną rzeczą było, że nowy premier i wódz naczelny w jednej osobie, gen. Sikorski, odsunął szereg generałów i starszych oficerów z okresu przedwrześniowego od pracy nad odbudową sił zbrojnych, nie tylko ze względów wewnętrzno-politycznych, ale bez wątplenia rów-



niez dlatego, że generałów i pułkowników było nieproporcjonalnie dużo w stosunku do ogółu żołnierzy na emigracji. Wśród odsuniętych znalazł się również gen. Rayski, któremu ponadto gen. Sikorski nie pozwolił na latanie w jednostce bojowej, o co gen. Rayski prosił. Ten właśnie fakt w połączeniu z plotkami kawiarnianymi rozgoryczył gen. Rayskiego do tego stopnia, że napisał i rozpowszechnił sporą ilość egzemplarzy memoriału, tzw. „Listu do kolegów”. W liście tym, broniąc się przed zasłyszczanymi zarzutami, sam oskarżył swoich przełożonych i swoich następców w dowodzeniu lotnictwem (a więc generałów Kalkusa, Zająca i Ujejskiego) o szereg zbrodniczych zaniedbań. Głównym twierdzeniem b. szefa lotnictwa było, że jego następcy zmarnowali w ciągu pięciu miesięcy cały dorobek jego trzydziestoletniej pracy oraz że w kampanii wrześniowej lotnictwo nie było odpowiednio użyte ani w pełni wykorzystane („nam strzelać nie kazano”, określił autor wspaniały udział naszego lotnictwa w kampanii) i nie było dowodzone.

List miał przykre następstwa dla autora, zrobił jednak duże wrażenie w pewnych kołach lotniczych, w szczególności wśród młodszych. Utrzymany w tonie namiętnym i napastliwym, list był nową pożywką dla nastrojów pokłeskowych. Uwierzono w zarzuty i oskarżenia, w barwnie przedstawione męki szefa lotnictwa w ciągu trzynastu lat urzędowania, a że w dodatku niepopularny gen. Zając (człowiek dobrej woli, ale nie lotnik) był nadal dowódcą lotnictwa, więc na tle powszechnego niezadowolenia wzbudziło się współczucie dla pokrzywdzonego gen. Rayskiego i zaczęto przypominać sobie jego zasługi dla lotnictwa. W zapomnieniu poszły narzekania przedwojenne na stare graty (R XIII, P-7, P-11), na fatalny stan lotnictwa w „wyprawach” litewskiej i czeskiej — nagle wszystkiemu byli winni Rydz, Stachiewicz, Zając, Kalkus i Ujejski. Pobocznym owocem tej atmosfery były „bunty” przeciw gen. Zającowi i Ujejskiemu (później w Anglii). Natomiast nad głową gen. Rayskiego zaczęła się ukazywać aureola męczennika i bohatera lotnictwa; stał się po prostu ucieleśnionym symbolem poniewieranych polskich skrzydeł.

Pod koniec 1940 r. gen. Rayski wyjechał jako pilot w stopniu angielskiego majora do polskiego oddziału lotnictwa transportowego na Złotym Wybrzeżu (którego dowódcą był płk. dypl. M. Iżycki) w którym wykonywał trudne loty; później wykonał loty bojowe, a za nowego naczelnego wodza, gen. Sosnkowskiego, już jako delegat dowódcy P.S.P. (gen. Iżyckiego) w należnym sobie stopniu generalskim (*Air Commadore*) wykonał loty na zrzuty do Polski. Ta służba w linii, godna bez

wątpienia wysokiego uznania, dodała nowych blasków aureoli bohaterskiego lotnika z lat 1919/20. Dodać tu wypada, że gen. Rayski nie był jedynym starym lotnikiem latającym w II wojnie światowej; z tych co mieli „zielony wianek” z wojny polsko-bolszewickiej — a niewielu ich było na emigracji — latali: Makowski, Pawlikowski, Żarski, Halewski, Burzyński, Skorobohaty (z wyjątkiem Makowskiego wszyscy zginęli śmiercią lotnika); z innych, starszych wiekiem i stopniem, zginęło śmiercią lotnika 10 pułkowników i podpułkowników: Heller (dowódca grupy), Stachon (dowódca pułku), Skarzyński (zdobywca Atlantyku), Jankowski, Hirszbandt, Brzazgacz (inżynier), Łąguna, Poziomek, Suliński, Młynarski. Całe setki pilotów wyszkolił „dziadzio” Skibiński, nie tylko starszy wiekiem od gen. Rayskiego, ale w ogóle najstarszy wiekiem pilot w czynnej służbie w ramach R.A.F.

W 1948 r., nadal rozgoryczony i niezapominający uraz, gen. Rayski wydał swoją książkę „Słowa prawdy o lotnictwie polskim, 1918-1939”. Książka jest rozszerzeniem paryskiego memoriału; utrzymana w tym samym tonie i stylu zawiera szereg uzupełnień, między nimi ostrą napaść na śp. gen. Sikorskiego która spowodowała ustąpienie pani Sikorskiej ze Stowarzyszenia Lotników, którego prezesem gen. Rayski był przez szereg lat.

Właśnie w okresie przesuwania S.L.P. nastąpił rozwój legendy drogą licznych wypowiedzi działaczy S.L.P. na zebraniach Koła Londyn i Rady oraz w artykułach zamieszczanych w „Skrzydłach” i w „Dzienniku Polskim”.



Treść legendy stanowią uporczywie powtarzane twierdzenia że gen. Rayski:

- (i) był pionierem lotnictwa w Polsce,
- (ii) jest najstarszym polskim lotnikiem,
- (iii) jest twórcą lotnictwa polskiego,
- (iv) jest ojcem polskiego lotnictwa myśliwskiego,
- (v) jest twórcą polskiego przemysłu lotniczego.

Podstaw do tych twierdzeń dopatrzyli się usłudźni wielbiciele gen. Rayskiego w jego książce. Istotnie w kilku miejscach niezgrabna konstrukcja zdania, lekkie przekręcenie faktów, pomyłki w datach i tym podobne drobiazgi, które zapewne uszły uwadze autora przy korekcie, mogą nasuwać podobne wnioski, aczkolwiek autor nigdzie wyraźnie żadnego z tych twierdzeń nie

napiisał. Niestety, znany ze swej skromności i uprzejmości, nigdy też im nie zaprzeczył.

Tymczasem lata mijają, emigracja wykrusza się coraz szybciej, a widoki na ukazanie się historii lotnictwa polskiego za lata 1919-1939 są bardzo słabe. Ten głównie względ skłania mnie do rozwiania legendy, ku pożytkowi młodszych pokoleń i przyszłych historyków.

Zanim przejdę do skonfrontowania legendy z faktami historycznymi, muszę kilka słów poświęcić źródłu z którego fakty te czerpię.

Dzieło pt. „Ku czci poległych lotników” było zamówione przez Komitet Budowy Pomnika Lotnika w Warszawie w 1932 r. Naczelnym redaktorem był mjr. dypl. pil. Marian Romeyko który też jest autorem głównej części, zatytułowanej „Zarys dziejów lotnictwa polskiego”. Niezwykła szybkość wydania dzieła o tych rozmiarach i formacie, z licznymi fotografiami, planszami i td., była możliwa jedynie dzięki temu, że mjr. Romeyko pracował nad historią lotnictwa z pewnymi przerwami niemal dwaście lat. W 1921 r. był powołany do opracowania sprawozdania z działalności lotnictwa za okres 1918-1920 dla ministra Spraw Wojskowych, następnie pracował w Biurze Ścisłej Rady Wojennej nad zagadnieniami historyczno-operacyjnymi. Dzięki przychylności szefa Wojskowego Biura Historycznego (gen. Stachiewicza) i współpracy dowódców pułków lotniczych zebrał olbrzymią ilość dokumentów archiwalnych, toteż gdy otrzymał propozycję Komitetu Budowy Pomnika Lotnika miał w swej dyspozycji wszystkie potrzebne materiały.

*W treści niniejszego artykułu podaję w nawiasach odpowiednie strony „Zarysu dziejów lotnictwa polskiego”, natomiast cytaty z książki gen. Rayskiego opatruję uwagami w odnośnikach stopowych.*

### *Pionierzy lotnictwa w Polsce*

Pomijam okres balonów i przystępuję do maszyn cięższych od powietrza.

Pierwszym na miarę światową twórcą teorii lotu mechanicznego był młody uczoney polski, Stefan Drzewiecki. W pracach wydanych w Petersburgu w latach 1883 i 1887 („Aeroplany w przyrodzie” i „Ptaki jako latawce”) Drzewiecki ustalił teoretyczne zasady lotu i wprowadził rewolucyjne na owe czasy pojęcia (12,13). W latach późniejszych, prof. Drzewiecki przeniósł się

do Paryża i oddał się niepodzielnie pracom nad rozwiązaniem zagadnień aerodynamicznych, dając między innymi w dziele „Théorie générale de l'Helice”, nagrodzonym przez Akademię Francuską trwałą podstawę lotu mechanicznego.

W innym nieco kierunku niż prof. Drzewiecki rozpoczął swoje prace artysta-malarz Czesław Tański, który w 1893 r. zajął się praktycznym zbadaniem lotu szybowcowego, a w 1896 r. zbudował pierwszy polski szybowiec. Z tym polskim Lilienthałem współpracowali Łukawski i Kocent-Zieliński. W latach 1906-1908 Tański zajmował się nowym zagadnieniem, dotychczas nieznanym — helikopterem. W 1909 r. Warszawskie Stowarzyszenie Techników urządziło „Wystawę modeli maszyn latających Cz. Tańskiego” (14).

W latach 1909-1914 polska myśl lotnicza ożywiła się i wzmagąca. Omówię krótko poczynania lotnicze we wszystkich zaborach.

„Na terenie Kongresówki i Kresów Wschodnich myśl lotnicza przybrała kształty najbardziej może realne, szczególnie w dziedzinie nauki latania” (16).

Odczyty Zbierańskiego i Tańskiego pociągnęły zwłaszcza młodzież, która licznie wstępować zaczęła do Kółka Tańskiego. Główni członkowie Kółka, Jakób Wojciechowski, Jankowski, Osowski, Pruszyński (Promyk) i Władysław Umiński, utworzyli w 1909 r. przy Stowarzyszeniu Techników „Koło Awiatów”, którego prezesem został Piotr Strzeszewski. Po dwóch latach władze rosyjskie rozwiązały koło. Pod kierownictwem księcia Stanisława Lubomirskiego Koło Awiatów urządziło w lecie „Dni awiacyjne” o których dużo pisał „Kurier Warszawski”. Wśród zagranicznych lotników wzięli w popisach udział dwaj Polacy: Supniewski i Piotrowski.

Książę Stanisław Lubomirski rzucił w 1910 r. projekt założenia towarzystwa akcyjnego „Aviata”, którego też stał się założycielem i fundatorem. Myślą przewodnią Lubomirskiego było zorganizowanie w stolicy szkoły pilotów oraz warsztatów, które zamieniłyby się później na wytwórnię samolotów. Wystawiono na polu Mokotowskim budynki warsztatowe, hangary i inne, które przetrwały do ostatnich czasów, gdy na Mokotowie stały jednostki 1-go pułku lotniczego. Szkoła zaczęła funkcjonować w lecie 1911 r. i młodzież garnęła się do niej tłumnie. Pierwszym kierownikiem szkoły był warszawianin p. Segno, którego po wypadku lotniczym zastąpił słynny już pilot, Michał hr. Scipio-del-Campo (16-19). Wśród entuzjastów latania była znana artystka Maria Mrozińska — pierwsza polska pilotka.

W tym samym czasie trzech młodych zapaleńców zabralo

się do budowy samolotu. W starej szopie na Solcu, na terenie fabryki lamp żarowo-naftowych p. Krzemińskiego, Cywiński, Tański i Zbierański zbudowali w 1910 r. *pierwszy polski samolot*. W lecie 1911 r. wzniósł się ten pierwszy polski samolot nad polem mokotowskim, pilotowany ręką Michała hr. Scipio-del-Campo.

Bliskim współpracownikiem słynnego konstruktora rosyjskiego Sikorskiego (obecnie w Stanach Zjedn. istniejąca wytwórnia SIKORSKY była przez niego założona) był inż. Witold Jarowski, który odegrał poważną rolę przy budowie pierwszego na świecie wielosilnikowego bombowca „Ilja Muromiec” (20).

W lotnictwie rosyjskim znalazło się wielu Polaków. Szkolenie pilotów odbywało się we Francji i tam w 1910 r. otrzymali dwaj Polacy pierwsze dyplomy pilotów: por. Grzegorz Piotrowski i por. Bronisław Matyjewicz-Maciejewicz. Na usilne żądanie obu pilotów francuska szkoła wpisała na ich dyplomach narodowość: polska. W tym samym czasie — w 1910 r. — otrzymali dyplomy pilotów we Francji następujący Polacy: Scipio-del-Campo, Adam Haber-Włyński, Włodzimierz Mazurkiewicz, Segno, Antoni hr. Sobański, Supniewski i kilku innych (21).

Z nich Haber-Włyński stał się wszechświatowej sławy pilotem.

W latach 1911-1914 nowy zastęp Polaków uzyskał tytuł i dyplom pilota. Rotmistrz Gustaw Macewicz ukończył pilotaż w 1911 r. i objął dowództwo eskadry lotniczej w Ossowcu; w tym też roku został pilotem por. marynarki Jan Stachowski. Nieco później otrzymali tytuły pilota lotniczego względnie sterowcowego: kpt. Feliks Bołsunowski, rtm. Aleksander Serebnicki, kapitanowie — Hipolit Łossowski, Aleksander Wańkowicz, Jerzy Syrokomla-Syrokomski, porucznicy — Jan Malczewski, Zygmunt Studziński, Jerzy Borejsza, Robert Niżewski, Roman Szomański. Z chwilą powstania Polski Niepodległej wszyscy wstępują do szeregów polskiego lotnictwa, stając na jego czele (gen. Macewicz i ppłk. Łossowski) lub zajmując inne wybitne stanowiska (22).

Śpośród cywilnych pilotów należy wymienić Emanuela hr. Małyńskiego, magnata z Podola, który po ukończeniu pilotażu we Francji zakupił trzy samoloty i stał się pierwszym polskim pilotem sportowym.

W Łodzi czynni byli Wojciech Woyna, inż. Zygmunt Dekkler i bracia Chlebowscy. W 1911 r. Dekkler zaczął wydawać pierwsze w Polsce pismo fachowe: „Lotnik i automobilista”.

W 1909 pierwsze loty szybowców rozpoczęli Janusz de Beauvain (późniejszy generał lotnictwa) i Edmund John, w dwa lata

później uczniowie Zbigniew Babiński i Michał Zaleski. Największe sukcesy na tym polu odnieśli uczniowie gimnazjum Chrzanowskiego którzy już w 1909 r. założyli kółko lotnicze z Wacławem Jędrzejewiczem na czele; czynny udział brali Leonard Możdżeński, Wacław Niwiński i Lech Niemojewski. W tym samym czasie pod Odessą odnosił sukcesy młody Jerzy Rudlicki i współpracujący z nim Dobrowolski.



Ośrodkiem myśli lotniczej w Małopolsce był Lwów, gdzie już w 1905 r. inż. Libański wydał broszurę pt. „Podbój atmosfery”.

6 listopada 1909 r. odbyło się, z inicjatywy inż. Libańskiego, pierwsze posiedzenie nowoutworzonego „Związku Awiatycznego Studentów Politechniki Lwowskiej”. Założycielami byli: Dzwonkowski, Kisielnicki, Okołów-Podhorski, Orynowski, Toruń, Vorbrodt i Zielski. Patronowali związkowi profesorowie Huber i Sochacki. W następnym roku założono towarzystwo „Aviata” na czele z Libańskim i Maurycem Dzieduszyckim. W czerwcu 1910 r. powstało „Akcyjne Towarzystwo Budowy Aeroplanów”, które przystąpiło do budowy samolotu pomysłu asystenta politechniki inż. Webera. W jesieni tegoż roku odbyła się „I-sza wystawa awiatyczna we Lwowie”. Obok samolotu inż. Webera i prof. Sochackiego wystawił samolot swego pomysłu Willibold Gold, bracia Floriańscy z Krakowa modele samolotów Blériota, balonu i silnika rotacyjnego „Gnom”. Prócz wymienionych działali na terenie Małopolski w dziedzinie lotnictwa bracia Szindlerowie, inż. Rubczyński i Głowiński, a konstruktorami udanych samolotów byli inż. Rumbowicz i Tomasz Flieger.

Z politechniki lwowskiej wyszedł też szereg organizatorów lotnictwa polskiego i znanych później lotników, jak Bastyr, Stec, Toruń, de Beurain, Roland, Tieger i inni (25).



W Wielkopolsce na skutek ucisku narodowościowego działalność społeczna na polu lotnictwa i jej wyniki były nader skromne, raczej sporadyczne.

Młodzież szkolna w Inowrocławiu, z Bogdanem Kwiecińskim na czele, zajmowała się modelarstwem lotniczym. W 1911 r. Kwieciński zbudował pierwszy model samolotu według wzoru niemieckiego. W dalszych pracach skonstruował bardzo udany

model Farmana o rozpiętości 140 cm którego loty udały się doskonale; niemieckie pismo „Flugsport” zamieściło w 1913 r. fotografie lotu modeli Kwiecińskiego.

W dziedzinie szkolenia pilotów zanotowała historia tylko dwa nazwiska Polaków: Hosakowskiego z Torunia oraz inż. Kny-szyńskiego, który latał w różnych miastach niemieckich i w Berlinie od 1911 roku.



Poza krajem Polacy byli czynni na polu lotnictwa głównie we Francji. W latach 1911-1913 ukończyli paryską wyższą Szkołę Aeronautyki: Ziemiański, Tłuchowski, Morstin, Szaniawski i Król. W 1913 r. przybyli do Paryża na studia Kawecki i Filipowski z Leodium, Wasilewski z Zurychu, ze szkoły Wawelberga w Warszawie Płodowski, a z Sorbony przeniósł się Grzędziński.

Po powrocie do kraju absolwenci wyższej Szkoły Aeronautycznej zamierzali pracować nad uruchomieniem przemysłu lotniczego, ale wojna pokrzyżowała te zamiary. Płodowski i Grzędziński wstąpili do Legionów; inż. Szaniawski, którego wojna zastała we Francji, wstąpił do „Bajończyków”. W ten sposób rozproszył się pierwszy zastęp polskich inżynierów lotniczych.

2.3.1914. zginęli śmiercią lotnika bracia Gabriel i Piotr Wróblewscy, na samolocie własnej konstrukcji, na lotnisku Le Bron pod Lyonem.

Do zespołu pilotów dyplomowanych przed sierpniem 1914 r. — tzw. „Les vieilles tiges” — należą: Grzegorz Piotrowski, Bronisław Matyjewicz-Maciejewicz, Jan Baykowski, Stanisław Dorożyński, Ludwik Gałęzowski, Adam Gadulski, Włodzimierz Garliński, Jagiełło, Jankowski, Łempiński, Władysław Lewkowicz, Henryk Lipkowski, Emanuel Małyński, Mazurkiewicz, Miklaszewski, Rodziewicz, Michał Zaleski, Szymański, Skarżyński, Suszyński, Paweł Studnicki, Świdorski, Tomaszewski, Wojciechowski, Zagórski (28).



Oto w krótkim zarysie, ale z wszystkimi nazwiskami, okres pionierstwa i pierwszych poczynań w dziedzinie lotnictwa, cała lista pierwszych polskich pilotów.

Nie tylko więc wśród pionierów lotnictwa, ale również wśród pierwszych polskich pilotów nie ma nazwiska Ludomiła Rayskiego.

W okresie pionierstwa — 1893-1910, L. Rayski był dzieckiem względnie młodym chłopcem, w okresie 1911-1914 był gimnazystą i studentem politechniki, ale zainteresowań lotnictwem nie przejawiał.

Zatem zaliczanie gen. Rayskiego do pionierów lotnictwa jest legendą.

Legendą jest również nazywanie go najstarszym polskim pilotem. Sierżant armii tureckiej L. Rayski otrzymał przeszkolenie lotnicze (pilockie i obserwatorskie) w szkole niemieckiej w 1916 roku, a wtedy było ponad stu polskich pilotów w armiach zaborczych i około setki we Francji i w innych krajach, wojskowych i cywilnych pilotów.

### *Tworzenie polskiego lotnictwa w czasie wojny światowej 1914-1918*

Próba stworzenia załóżka polskiego lotnictwa w Legionach, podjęta przez ppor. Janusza de Beaurain przy współpracy Polaków służących w lotnictwie austriackim (Pareński, Siemieński, Tomicki, Gawęł, Menczak, Szczudłowski, Kubala, Pawłowski i Roland), nie dała wyników wobec ustosunkowania się władz austriackich. Jednak de Beaurain po wstąpieniu do 34-tej eskadry austriackiej miał pewne sukcesy w postaci skupienia oficerów i szeregowych Polaków oraz szkolenia Polaków w szkole pilotażu. Do swej akcji na przyszłość, przy nadarzającej się sposobności, zyskał on współpracę poruczników: Bastyra, Torunia, Steca, Sapiehy, Tiegera, Tebinki i Mokrzyckiego. Po zwolnieniu por. Beaurain'a wskutek kryzysu legionowego udał się on do Lwowa, wiosną 1918 r., gdzie też wspólnie z wymienionymi oficerami zorganizował w listopadzie 1918 r. zdobyte lotnisko w Lewandówce. 5 listopada pierwsza polska załoga: por.pil. Stefan Bastyr i por.obs. Janusz de Beaurain wykonała z polskiego lotniska pierwszy lot bojowy na samolocie z biało-czerwonym pasem.

W Przemyślu Polacy zajęli lotnisko Hureczko 31 października; byli to członkowie 17 eskadry austriackiej (zapasowej): por. Robotycki, por. Sulerzycki, ppor. Ropelewski, sierżant Stachura i trzech szeregowców. Już jednak z 2 na 3 listopada pod naporem Ukraińców Polacy musieli się wycofać, a 10 samolotów wyleciało w kierunku Krakowa; z nich tylko 6 dotarło do Krakowa, dwie załogi zabiły się po drodze, dwie wylądowały koło Bochni. 12 listopada, odsiecz przybyła z Krakowa odebrała lotnisko w Hureczku Ukraińcom.



W Lublinie lotnisko zostało zajęte 5 listopada przez ppor. Ryla, który ogłosił prowizoryczny werbunek; pierwszymi lotnikami byli: por. Lipczyński, podchorążowie Kostanecki i Miłkowski, mechanicy Eberhad, Konopacki i Korczak (60,61).

W końcu listopada przybył do Lublina por. Słowik, wyznaczony przez dowódcę „Okręgu Lotniczego Galicja”, kpt. Florera, na dowódcę zaimprovizowanej stacji lotniczej. Po miesiącu przybył mjr. Syrokomla-Syrokomski na dowódcę oddziału, przemianowanego wtedy na „2-gą eskadrę lotniczą”.

W Warszawie powstał w połowie października 1918 r. tajny związek lotników, którego głównym zadaniem było opanowanie lotniska Mokotowskiego. W związku tym byli: ppłk. Łossowski, płk. Studziński, kpt. Syrokomla-Syrokomski, por. Karpiński, podporucznicy Garbiński i Tłuchowski, chor. Gajewski, inżynierowie Filipowski i Malinowski. Prezesem został wybrany ppor. Tłuchowski. Organizatorami związku byli: porucznicy: Świętecki, Tokarczyk, Lipczyński i Pietraszek. 11 listopada członkowie związku, przy udziale studentów, objęli warty na lotnisku, a oddziały niemieckie opuściły ostatecznie lotnisko 15 listopada. „Kurier Warszawski” z 21 listopada pisał:

„Wczoraj po raz pierwszy szybował nad Warszawą samolot polski.

W godzinach popołudniowych oficer-lotnik Jakubowski ze studentem politechniki Ehrenpreisem jako podróżnym, dokonali pierwszego lotu po przejściu lotniska przez władze polskie”.

Tegoż dnia, 21 listopada 1918, wyszedł rozkaz Sztabu Generalnego L.23 podający organizację dwóch kadr lotniczych:

„1-sza w koszarach Mokotowskich w Warszawie pod dowództwem pułkownika Studzińskiego, 2-ga w Krakowie pod tymczasowym dowództwem kapitana Florera, formując się wedle wydanych rozkazów”.

Najwyższą władzą lotniczą była początkowo „Sekcja Żeglugi Napowietrznej M.S.Wojsk.”, na czele której był ppłk. Hipolit Łossowski.

Rozkazem Sztabu Generalnego z 20 grudnia 1918 ustalono formowanie sześciu eskadr i ich numerację: 1-sza w Warszawie, 2-ga w Lublinie, 5-ta w Krakowie, 6-ta w Przemyśle, 7-ma we Lwowie. Rozkaz okazał się jednak wkrótce nieaktualny, gdyż w innych punktach kraju powstawały samorzutnie dalsze eskadry. 22 grudnia utworzono Dowództwo Wojsk Lotniczych z ppłk. Łossowskim na czele, lotniczy batalion uzupełnień (mjr. Bołsunowski), wojskową szkołę lotniczą (kpt. Malczewski), 2-gą grupę lotniczą (kpt. Florer), Centralne Warsztaty Lotnicze (por.

Słowik), Centralne Składy Lotnicze (por. Prażmowski). Sekcję Żeglugi Napowietrznej objął ppłk. Wańkowicz (71).

Na lotnisku niemieckim w Ławicy pod Poznaniem byli polscy lotnicy: Pniewski, Gruszkiewicz, Skoczyński, Reichelt, Ciesielski i Jazy; z nimi porozumiał się przybyły 11 listopada do Poznania ppor. Stempniewicz. Do utworzonej w Poznaniu rady żołnierskiej wszedł sierż. Pniewski. Zakonspirowanych lotników przygotowywał do objęcia lotniska pilot Mańczak. Pomimo wybuchu powstania w Poznaniu 27 grudnia 1918 r., Niemcy w Ławicy nie chcieli się poddać. Wobec tego w nocy 5/6 stycznia 1919 odbył się szturm na Ławicę baonu piechoty pod Pineckim, wspieranego przez oddziały POW pod Kalinowskim, pluton strzelców konnych pod Ciążyńskim i 2 armaty Niezychowskiego. Dowódcą całości był por. Kopa, w jego sztabie ppor. Paluch, ppor. Stempniewicz, sierż. Pniewski i sierż. Gruszkiewicz. Po zdobyciu Ławicy komendantem stacji został Pniewski. Zajęcie Ławicy dało mocne podstawy dla przyszłego lotnictwa polskiego i balonów, dzięki pozostałemu po Niemcach sprzętowi (63). 7 stycznia 1919 ukazały się nad Poznaniem pierwsze samoloty z polskimi odznakami.

15 stycznia gen. Dowbór-Muśnicki mianował płk. Macewicz dowódcą Wielkopolskich Wojsk Lotniczych. Wkrótce powstały cztery eskadry: 12 lutego 1-sza Wielkopolska Eskadra (ppor. Pniewski), 14 lutego 2-ga (rtm. Grochowalski), 6 marca 3-cia (ppłk. Krzyczkowski) i w czerwcu 4-ta (ppor. Dziembowski). Po stworzeniu pierwszych trzech eskadr powstało Dowództwo I Wielkopolskiej Grupy Lotniczej, początkowo pod rtm. Grochowalskim, następnie ppłk. Krzyczkowskim.

Do tworzonej we Francji „błękitnej armii” zaczęli napływać lotnicy z całego świata, porucznicy Wojewódzki, Rudlicki, Jurgenson przez Mandżurię, Chiny, Indie i Kanał Suezki, por. Garliński przez Murmań, kapitanowie Abzołtowski i Kossowski przez Amerykę. Oni to, wraz z przebywającymi już we Francji porucznikami: Ciecierskim, Baranowskim i Makowskim, dali mocne podstawy lotnictwu młodej armii Hallera. Wkrótce dołączyli jeszcze porucznicy: Łapin, Zajfert, Rago, Iwanowski-Krawiec, Bielawin, Szczerski, Strwiąż-Smolnicki, Walicki. W końcu lipca 1918 r. pierwsza grupa znalazła się w szkole lotniczej w Dijon.

Wobec rozpoczęcia organizacji polskiego lotnictwa przybyli wkrótce z frontu Polacy piloci służący w lotnictwie francuskim: podchorążowie Pawlikowski, Turowski, Mickiewicz, porucznicy Sapieha i Mancewicz i pchor. Rydzewski, który oblatywał samoloty w fabryce Breguet'a. Z armii niemieckiej przybyli: ppor. Wroniecki, który pod przybranym nazwiskiem „Wróblewski”

przeleciał przez front, sierżant Walewski (prawdziwe nazwisko Wróblewski), oraz z marynarki austriackiej por.pil. Durski. W początkach 1919 r. dostali się z Murmanu do Francji lotnicy-porucznicy: Gliński, Sielicki, Burhardt, Dubrowski, Giedgowd, Kozłowski, Tworek, Zacharewicz. Przydzielony już do lotnictwa polskiego pchor. Jan Raszewski zginął w walce powietrznej w 96 eskadrze francuskiej 2 sierpnia 1918 r.

W maju 1919 r. przybyło do Polski lotnictwo armii Hallera w sile siedmiu eskadr, parku lotniczego i szkoły pilotów.



Zanim warunki w kraju pozwoliły na tworzenie lotnictwa, pierwsze oddziały lotnicze powstały na wschodzie.

23 października 1917 r. chorąży Stanisław Jakubowski wydzielił Polaków z parku rosyjskiego i szkoły pilotów w Odessie jako „Polski Oddział Awiacyjny”. Stanowili go: chorążowie Jakubowski, Skarżyński, Karpiński, Korenowski, Bylczyński, plut. pchor. Wiland, ppor. Mroczkowski i ppor. Kopyciński. Zamiar przedostania się eskadry, dowodzonej później przez rtm. Łupińskiego, do I Korpusu, nie mógł być z powodu złych warunków urzeczywistniony i 18 kwietnia 1918 r., na żądanie Austriaków, eskadra złożyła broń, przekazując samoloty i sprzęt miastu Odessa.

Na Kubaniu w ramach Dowództwa Oddziału Wojsk Polskich powstał „Polski Oddział Awiacyjny” pod dowództwem por. Narkiewicza, 15 października 1918 r., w stacji Paszkowskiej. 28.X.1918 eskadra została przemianowana na „1-szy Awiacyjny Oddział Wojsk Polskich” w związku z przemianowaniem Oddziału Wojsk Polskich na Kubaniu na 4-tą Dywizję Strzelców Polskich. Wraz z przejściem dywizji do Odessy 1 grudnia 1918 r. odpłynął również oddział awiacyjny.

W eskadrze tej byli prócz wymienionych: kpt. Zacharewicz-Święcicki, por. Boski, podporucznicy — Filipowicz, Herlen, Szomański, Kuźmiński, Kulikowski, Miłobędzki, Wąsikowski, Zardecki, chorąży Ostrowski i urzędnik wojskowy Dobrzański oraz kapral Jan Kulża z II Brygady Legionów. W Odessie wstąpili majorowie Stachowski i Łupiński, kpt. Bielawski, porucznicy Sokołowski, Filanowicz, Kopyciński, Pedachowski, Zawadzki, Konstanty Abakanowicz, Oświęcimski, ppor. Mroczkowski, chorążowie Wołłowicz, Błazewski, Sobański, Kostecki, lekarze płk. dr Żukowski i mjr. dr Zander, inżynierowie Rauba i Rumbowicz.

Do tej właśnie eskadry zameldował się 15 stycznia 1919

r. przybyły z Konstantynopola por.pil. Ludomił Rayski (48).  
Natomiast gen. Rayski w swej książce (2) pisze:

„W jesieni 1918 zameldowałem się w oddziałach polskich w Odessie u gen. Żeligowskiego...”

Drobna pomyłka o 3 lub 4 miesiące? Być może. Ale nasuwa ona czytelnikowi wniosek, że por. Rayski był przy narodzinach tej najstarszej polskiej eskadry, a więc i jej współtwórcą.

Eskadra do marca 1919 nie miała w ogóle samolotów. Dopiero w marcu uzyskała dwa zużyte „Ansale” i stary niemiecki „L.V.G.” na drewnianych kołach bez gum.

20 marca, z polecenia dowództwa francuskiego, odbył się pierwszy lot bojowy eskadry; wykonała go załoga: por.pil. Rayski, por. obs. Caillard (Francuz). Jak wiadomo z poprzednio przytoczonych danych, eskadry w kraju wykonywały loty bojowe od listopada 1918.

3 kwietnia, wskutek pogorszenia się sytuacji sprzymierzonych, eskadra dostała rozkaz wymarszu do Rumunii. Stan samolotów wykluczał lot, jednak w przeddzień odmarszu por. Rayski dostał od Francuzów „Breguet’a” z uszkodzonym skrzydłem skazanego na spalenie i po naprawieniu w nocy skrzydła przez mechaników wystartował rano z francuskim mechanikiem do Akermanu, a następnie do Brailly. Tam eskadra stała 6 tygodni i otrzymała nowe wyposażenie, hallerowskie.

W pierwszych dniach czerwca eskadra przyjechała koleją do Czerniowiec, gdzie dowództwo objął por. Rayski. Wkrótce nawiązał on łączność samolotem z armią gen. Iwaszkiewicza pod Lwowem. W drugiej połowie czerwca przewiózł samolotem gen. Żeligowskiego do Lwowa i z powrotem, następnie wykonał na tym samolocie 12 lotów bojowych. 2 lipca podczas atakowania piechoty ukraińskiej w okolicy Podhajec został ranny w nogę.

14 czerwca cała eskadra przeszła z Czerniowiec do Stanisławowa, a w końcu lipca do Brześcia nad Bugiem, gdzie została dopiero należycie zorganizowana i wyposażona. Dowództwo eskadry objął ppłk. pil. Kiezuń. Eskadra została przemianowana na 10-tą eskadrę wywiadowczą.

Stwierdźmy zatem fakty historyczne:

— por. Rayski przybył do Polski w czerwcu 1919 r.; lotnictwo polskie miało wtedy już 18 eskadr, szkoły i warsztaty lotnicze; od dawna było czynne dowództwo lotnictwa, a na różnych odpowiedzialnych stanowiskach było ponad 30 ofice-

---

(2) „Słowa prawdy o lotnictwie polskim”, str. 14.

rów sztabowych (pułkowników, podpułkowników i majorów);  
— por. Rayski dowodził przez 2 miesiące eskadrą mającą jeden samolot;

— por. Rayski był jednym z wielu młodszych oficerów lotnictwa i żadnej jednostki lotniczej nie stworzył ani nie organizował;

Stąd wniosek: nazywanie go „twórcą” czy choćby „jednym z twórców” lotnictwa polskiego — jest legendą.

### *Lotnictwo myśliwskie*

We wrześniu 1919 r. nastąpiło zjednoczenie do tego czasu odrębnych organizacji lotniczych (b. zaboru pruskiego i Armii Hallera). 25 września gen. Macewicz został inspektorem wojsk lotniczych. Ilość eskadr była pokaźna, bo dochodziła do 22 — 4 Wielkopolskie, 7 francuskich i 11 sformowanych w Kongresówce i Małopolsce. Stan tych eskadr był jednak żalosny z powodu braku personelu i sprzętu; jedynie trzy eskadry Wielkopolskie były bogato i jednolicie wyposażone. Toteż trzy eskadry trzeba było zlikwidować, wcielając personel ich do innych eskadr.

W chwili zakończenia wojny, w październiku 1920, lotnictwo polskie miało następujące eskadry:

— 15 wywiadowczych (numeracja: 1,2,3,4,5,6,8,9,10,11,12,14,16,17 i 18),

— 4 myśliwskie (13,15,19 i 7),

— 1 niszczycielską (21),

razem: 20 eskadr.

Nazwy eskadr były jednak teoretyczne, w rzeczywistości bowiem wszystkie eskadry wykonywały zadania rozpoznawczo-szturmowe. Było to wynikiem warunków wojny polsko-bolszewickiej, a częściowo skutkiem braku w sztabach wojska oficerów którzy znaliby się na użyciu lotnictwa (208).

Lotnictwo polskie miało w wojnie 1919/20 ułatwioną pracę z powodu braku przeciwnika w powietrzu. Lotnictwo ukraińskie i sowieckie było bardzo nieliczne, toteż spotkania w powietrzu były rzadkością, a walki powietrzne z tego czasu można policzyć na palcach jednej ręki. Nasze eskadry myśliwskie nie spełniały właściwego zadania myśliwców, którym jest zwalczanie nieprzyjaciela w powietrzu, a wykonywały obok rozpoznania przede wszystkim działania szturmowe, w szczególności skuteczne przeciw kawalerii sowieckiej. Niemniej jednak lotnictwo polskie ponosiło duże straty bojowe, gdyż sowiecka

obrona przeciwlotnicza była, zwłaszcza w 1920 roku, dobrze zorganizowana i skuteczna na małych wysokościach lotu, na których nasi bohaterscy lotnicy latali.

Poniżej w dużym skrócie historia eskadr myśliwskich.

13-ta eskadra (dawna 2-ga wielkopolska eskadra lotnicza) miała początkowo samoloty niemieckie „Halberstadt” i *jeden* samolot myśliwski (Albatros). Na froncie wielkopolskim wykonywała rozpoznania, nieprzyjaciela w powietrzu nie miała zupełnie. W lutym 1920 r. eskadra została przemianowana na myśliwską i otrzymała samoloty „Albatros”. Na odcinku frontu wschodniego (Bobrujsk) nie było przeciwnika powietrznego. Od sierpnia eskadra działała z lotniska Siekierki pod Warszawą i prowadziła tylko działania szturmowe. Później pod Białymstokiem i Grodnem opóźniała działaniami szturmowymi kawalerię Gaj-Ghana. Eskadra nie miała żadnych walk w powietrzu. Dowódcą eskadry był por. pil. Edmund Norwid-Kudło.

15-ta eskadra myśliwska, sformowana w Poznaniu (Ławica) w maju 1919 r. (por. pil. Dziembowski) miała początkowo samoloty niemieckie trzech typów (Fokker DVII, Fokker EV i Albatros DIII), a później dostała francuskie „Spad’y”. Była w odwodzie N.D. do wiosny 1920 r. po czym została przezbrowajona w samoloty „Fokker DVII”. W kwietniu 1920 wyszła na front, lotnisko pod Wapniarką (Podole). Wykonywała działania szturmowe, przy czym na szkolnym samolocie „Albatros BII” jedyny obserwator eskadry ppor. Bilażewski wykonywał bombardowania(!). Od 20 czerwca do 1 lipca eskadra była na lotniskach w Płoskirowie i Dereźni, następnie pod Tarnopolem; z tych lotnisk również wykonywała działania szturmowe. Od 21 lipca spod Lwowa eskadra zwalczała kawalerię Budiennego i była we Lwowie do 1 października. Z pilotów wyróżnili się szczególnie ppor. Hendricks, ppor. Lewandowski i sierż. Rozmiariek, cały jednak personel latający tej eskadry był doświadczony i bohaterski, czego dowodem jest, że otrzymał już na froncie dużą ilość Srebrnych Krzyży orderu *Virtuti Militari* V kl. i Krzyży Walecznych (Dziembowski, Hendricks, Lewandowski, Bilażewski, Mickiewicz, Bartkowiak, Rozmiariek — V.M.). Eskadra nie miała żadnych walk powietrznych.

19-ta eskadra myśliwska istniała już w czasie wojny światowej i walczyła w ramach lotnictwa francuskiego jako 162-ga eskadra Spadów. W maju 1919 r. przybyła do Polski, a we wrześniu dowództwo jej objął kpt. pil. Stefan Ciecierski. Eskadra stała na Mokotowie. W grudniu 1919 dowództwo objął por. Kazimierz Tomaszewicz.

25 kwietnia 1920 eskadra pod dowództwem por. pil. Antoniego Mroczkowskiego wyruszyła na front litewsko-białoruski. Prócz dowódcy było w eskadrze początkowo tylko dwóch pilotów: ppor. Stefan Pawlikowski i pchor. (później ppor.) Władysław Turowski. W maju tych trzech pilotów wykonało 52 loty bojowe.

6 maja por. Mroczkowski zestrzelił po walce samolot sowiecki nad Borysowem. W kilka dni później ppor. Pawlikowski zestrzelił balon obserwacyjny w okolicy Naczy. 20 maja ppor. Pawlikowski wspólnie z pchor. Turowskim zestrzelił drugi balon obserwacyjny. 29 maja ppor. Pawlikowski wykonał brawurowy atak na lotnisko Sławoje, na którym stało 30 samolotów sowieckich; po ostrzelaniu z lotu koszącego samolotów, hangarów i obsługi, ppor. Pawlikowski nabrawszy wysokości czekał na nieprzyjaciela. Wystartował tylko jeden samolot, z którym ppor. Pawlikowski rozpoczął walkę. W wyniku walki został przestrzelony zbiornik Spada i ppor. Pawlikowski, dociągnąwszy nad własny teren lądował przymusowo.

W okolicy Borysowa lotnictwo sowieckie przeszkadzało w pracy 14-tej eskadrze wywiadowczej, wobec czego 19-ta eskadra osłaniała kolegów. Dało to sposobność do nowych walk powietrznych, które przyniosły zwycięstwa powietrzne ppor. Pawlikowskiemu i podchorążemu Guttmejerowi (późniejszy ppor. Eugeniusz Guttmejer dołączył do eskadry na froncie). W innej walce zostały przestrzelone linki sterowe samolotu pchor. Turowskiego, który przy przymusowym lądowaniu odniósł ciężkie obrażenia.

W obronie stolicy eskadra wykonywała działania szturmowe.

19-ta eskadra była jedyną z czterech polskich eskadr myśliwskich której przypadł zaszczyt działania przez pewien czas w charakterze eskadry myśliwskiej i odniesienia zwycięstw w walkach powietrznych. W eskadrze tej pełnili służbę: kapitanowie Łapin i Ciecierski, porucznicy Mroczkowski, Tomaszewicz, Gołębiowski, Biskupski, podporucznicy Pawlikowski, Turowski, Guttmejer, Wiktor Ryl, Zbigniew Bieniawski, Konstanty Rydzewski i sierż. Walerjańczyk.



7 listopada 1919 r. zaczęła organizować się w Rakowicach pod Krakowem eskadra, której nadano nazwę „III Eskadra lotnicza bojowa”, dowództwo jej pełnił *de nomine* kpt. Stelmach, a *de facto* kpt. Camillo Perini. Eskadra zaczęła pracę bojową w grudniu 1918, mając 4 samoloty austriackie „Oeffag”. 21 gru-

dnia nadano eskadrze nową nazwę „7-ma eskadra lotnicza”. W styczniu dowództwo jej objął por. pil. Jerzy Borejsza. Eskadra weszła w skład III grupy kapitana Bastyra.

Eskadra wykonywała działania szturmowe i rozpoznania. W czasie jednego z nich artyleria ukraińska zestrzeliła samolot z załogą: sierż. Kominkowski — por. obs. Swoszowski. Doszło poza tym do walk powietrznych, w których celował por. Stec na jednopłacie „Fokker EV” (158). Wiosną 1919 r. dowództwo eskadry objął por. Stec. Wskutek jego inicjatywy właśnie eskadra została przebrojona i przemianowana na 7-mą eskadrę myśliwską po otrzymaniu samolotów francuskich „Spad VII”. Jednak już w sierpniu zakupiono dla eskadry w Austrii samoloty myśliwskie „Albatros D III”. Eskadra przeszła do odvodu Naczelnego Dowództwa, pozostając nadal na lotnisku Lewandówka pod Lwowem. W październiku 1919 dowództwo eskadry objął por. pil. Rayski.

Na tym zakończył się pierwszy okres istnienia 7-mej eskadry myśliwskiej. Prócz wymienionych już pełnili w niej służbę jeszcze podporucznicy Garsztko, Ludwik Idzikowski i Zygmunt Kostrzewski, sierżanci Cagasek, Stachura i Kominkowski, obserwatorzy: por. Karol Frizer, por. Biskupski, ppor. Mieczysław Motylewski i ppor. Aleksander Seńkowski (158).

W połowie października siedmiu pilotów amerykańskich, z majorem Cedric Faunt-le-Roy na czele, udało się z Warszawy do Lwowa aby objąć 7-mą eskadrę, która odtąd — a więc po przejściu jej od por. Rayskiego przez mjr. Faunt-le-Roy’a — nazywać się będzie:

„7-ma Eskadra Bojowa imienia Kościuszki”.

Jak wiadomo, Amerykanie zgłosili Naczelnemu Wodzowi chęć objęcia całej eskadry polskiej i pod nazwą „Kościuszkowskiej” miała ta eskadra spłacić dług wdzięczności narodu amerykańskiego za Kościuszkę, Pułaskiego i wielu innych Polaków, którzy ongiś walczyli o wolność gwiazdzistego sztandaru.

W ciągu następnych dni, w listopadzie 1919, stan pilotów amerykańskich wzrósł do 17, a jako uzupełnienia pozostali Polacy piloci: porucznicy Konopka i Weber, podporucznicy Idzikowski i Seńkowski.

Pomimo kilkakrotnych próśb mjr. Faunt-le-Roy’a eskadra nie odeszła na front i przezimowała we Lwowie, a dopiero w kwietniu 1920 roku przeszła na lotnisko Połonne skąd wzięła udział w wyprawie kijowskiej.

Natomiast por. pil. L. Rayski w listopadzie 1919 r. zo-



stał dowódcą wyższej szkoły pilotów w Ławicy i był nim do 30.4. 1920 r.



Stwierdźmy zatem raz jeszcze historyczne fakty:

— por. pil. L. Rayski dowodził 7-mą eskadrą myśliwską 2 lub 3 tygodnie w okresie gdy eskadra nie prowadziła żadnych działań bojowych,

— w służbie swojej w kraju nie miał ani jednej walki powietrznej.

Skąd zatem wzięła się legenda mówiąca że gen. Rayski jest „ojcem polskiego lotnictwa myśliwskiego”?

Źródłem jej stało się zapewne bez woli autora jedno małe zdanie w książce gen. Rayskiego (3):

„Latem 1919 dowodziłem 7-mą eskadrą, tzw. „Kościszowską”, pod Lwowem. Na jesieni przekazałem ją Amerykaninowi płk. Faunt le Roy”.

Październik — to nie lato, ale można się pomylić o parę miesięcy czy tygodni. Natomiast z nazwą to już trudniej. Gdy por. Rayski służył i potem dowodził eskadrą myśliwską — nazywała się ona urzędowo 7-mą eskadrą, a nie *tak zwaną* „Kościszowską”. Natomiast po zdaniu jej Amerykanom, oficjalną nazwą eskadry — a nie *tak zwaną* — była „7-ma eskadra bojowa imienia Kościuszki”. Wystarczy zajrzeć do dokumentów sztabowych z tego okresu, których odbitki znajdują się w „Zarysie historii lotnictwa polskiego”, by stwierdzić nazwę eskadry przed październikiem i po październiku 1919 r.

Ale dlaczego ta pomyłka wiąże się z „ojcostwem lotnictwa myśliwskiego” — może zapytać Czytelnik nie orientujący się w sprawach lotniczych. Otóż 7-ma Eskadra Kościszowska zyskała sobie swoimi działaniami szturmowymi wielką sławę; po wojnie, już po odejściu Amerykanów, weszła w skład 1-go pułku lotniczego i stała się 111-tą eskadrą myśliwską, a z tej właśnie eskadry (i dywizjonu w skład którego wchodziła) powstała w Anglii sławna na całym świecie jednostka myśliwska — mająca największe sukcesy w walkach powietrznych nad W. Brytanią — to jest: „303-ci Dywizjon Myśliwski Warszawski im. Kościuszki”.

Logicznie zatem, powiadają wielbiciel gen. Rayskiego, ten kto w 1920 roku dowodził Eskadrą Kościszowską, z której

---

(3) Str. 14.

wywodzi się swoimi tradycjami 303-ci Dywizjon Kościuszkowski — ten jest ojcem polskiego lotnictwa myśliwskiego.

Przytoczone powyżej fakty wykazują całkowity brak podstaw tej części legendy, nie dają jednak odpowiedzi na pytanie, kto właściwie był ojcem naszego lotnictwa myśliwskiego. Niejeden z wielbicieli gen. Rayskiego może sądzić, że w późniejszych latach np. jako dowódca dywizjonu myśliwskiego lub pułku, gen. Rayski mógł zasłużyć na miano „ojca lotnictwa myśliwskiego”.

Otóż gen. Rasyki nigdy nie dowodził ani pokojowym dywizjonem myśliwskim, ani żadnym pułkiem czy grupą lotniczą. Przeskoczył te szczeble dowodzenia i w niecałe 6 lat po wojnie został szefem lotnictwa. W 1921 r., w wyniku weryfikacji legionistów, został majorem (przeskakując stopień kapitana i wielu starszych lotników) i szefem wydziału zakupów w Departamencie Lotnictwa; jako podpułkownik był na rocznym kursie w wyższej szkole wojennej (1924/25, razem z ppłk. Beckiem, późniejszym ministrem Spraw Zagranicznych), a w kwietniu 1926 r. objął od gen. Zagórskiego obowiązki szefa departamentu i był na tym stanowisku — z kilkudniową przerwą w czasie wypadków majowych — do marca 1939 r.

Jeśli ktoś chciałby jednak znaleźć „ojca polskiego lotnictwa myśliwskiego” to może go łatwo odnaleźć w historii: można by to miano nadać tylko jednemu człowiekowi — pułkownikowi Jerzemu Kossowskiemu. Był myśliwcem z I wojny światowej, w 1920 r. był szefem lotnictwa 3 i 4 armij, w czasie pokoju dowódcą dywizjonu myśliwskiego, dowódcą 11-go pułku myśliwskiego, wreszcie inspektorem lotnictwa. Po rozwiązaniu 11-go pułku myśliwskiego oficerowie przez niego wyszkoleni rozeszli się po innych dywizjonach, dowodzili dyonami i eskadrami, szkoląc zastępy młodych myśliwców, wpajając w nich ducha zaczepnego i ucząc taktyki myśliwskiej wedle wskazań Kossowskiego (4).

Słuszniejsze jednak byłoby mówić w liczbie mnogiej, a więc o „ojcach lotnictwa myśliwskiego”. Zaliczyłbym do nich następujących dowódców obok płk. Kossowskiego: śp. płk. Stefan Pawlikowski, śp. płk. Bolesław Stachoń, śp. ppłk. Leopold Pamuła, śp. mjr. Stanisław Morawski, a z żyjących — płk. Jerzy Ba-

---

(4) Gen. Rayski pisze tak o Kossowskim (str. 27): „Wśród współpracowników gen. Lévéque odznaczają się wtedy... śp. mjr. Kossowski, doskonały lotnik myśliwski”. Czytelnik nie znający historii lotnictwa może oczywiście sądzić, że Kossowski zmarł jako major, a w rzeczywistości był on w 1925 r. pułkownikiem, gdy ppłk. Rayski był w W.S. Wojennej.

jan, ppłk. Józef Kępiński, mjr. Bolesław Orliński, ppłk. Mieczysław Mümler (5).



Nie pomyślano natomiast o nadaniu gen. Rayskiemu miana „ojca polskiego lotnictwa bombowego”, a do tego właśnie istnieją w historii pewne podstawy.

W planie budowy lotnictwa wielkopolskiego z 1919 r. było zorganizowanie również eskadry bombowej, z kolei piątej, wykorzystując pozostałe po Niemcach samoloty, w tym kilka dwusilnikowych. Realizacja tego planu nastąpiła jednak dopiero w 1920 r., gdy władze zaaprobowaly propozycję przedstawioną przez por. Rayskiego, dowódcę szkoły pilotów w Ławicy. W „Zarysie dziejów lotnictwa polskiego” (204-206) czytamy:

„Dnia 15 kwietnia projekt uzyskał aprobatę i por. Rayski przystąpił do formowania eskadry, mając możność dobrania sobie najlepszych pilotów z liczby tych, którzy kończyli wyższą szkołę. 30 kwietnia eskadra pod nazwą „21-szej niszczycielskiej” opuściła lotnisko w Ławicy, wyposażona w 7 samolotów, w tym 6 A.E.G.C IV i jeden Gotha o dwóch silnikach”.

Jedyna polska eskadra bombowa wykonała w blisko półrocznej działalności 117 lotów bojowych w czasie 270 godzin. Dowódca eskadry, por. Rayski, latał na samolocie Gotha z obserwatorem por. Czesławem Filipowiczem i ciężkimi bombami zwalczał różne cele. W lipcu eskadra nie miała już dwusilnikowych samolotów (doszedł jeszcze jeden Friedrichshafen) gdyż oba były całkowicie zużyte, wykonywała więc działania szturmowe. W sierpniu dowódcą eskadry został por. pil. Franciszek Wiedeń, a eskadra po krótkiej przerwie wyszła ponownie na front i wykonywała rozpoznania na korzyść zagonu jazdy płk. Rómmla i zwalczała kawalerię Budiennego.

W eskadrze 21-ej niszczycielskiej służyli obok już wymienionych: por. pil. Bolesław Ropelewski, podporucznicy piloci — Stanisław Skarżyński, Jerzy Wieniawa-Długoszewski, Zdzisław Jakubowski, pchor. Foerster, st. sierż. Kauba, plut. Ryba i kapral Malicki; obserwatorzy — por. Piotr Kurbatow, por. Łucjan Kulikowski, ppor. Olgierd Tuskiewicz, podchorążowie — Gogulski, Jałoszyński, Marian Dylski, sierżanci Sroka i Wiktor Czyż.

Byłbym jednak znowu skłonny mówić raczej w liczbie mno-

---

(5) Zapewne myśliwcy zechcieliby jedno czy dwa nazwiska z tej listy ująć, a inne dodać. Wyrażam tu oczywiście osobisty pogląd.

Już w czasie robienia korekty doszła mnie wiadomość o śmierci ppłk. Kępińskiego w Kraju.

giej i do „ojców polskiego lotnictwa bombowego” zaliczyłbym obok gen. Rayskiego przede wszystkim dwóch fanatyków lotnictwa bombowego — płk. obs. Stanisława Luzińskiego i płk. pil. Michała Bokalskiego, oraz zasłużonych w dziedzinie teorii i doświadczeń bombowych: śp. mjr. inż. Roberta Hirszbandta, śp. mjr. pil. Wacława Wolskiego, śp. mjr. pil. Antoniego Kładko i mjr. obs. Tadeusza Moszkowskiego.

### *Lotnictwo w latach 1921-1926*

W sierpniu 1921 r. stare bojowe formacje, już tylko w ilości trzynastu eskadr, stały się podwaliną trzech pułków lotniczych: 1-go w Warszawie (dowódca — ppłk. Perini), 2-gi w Krakowie (ppłk. Cieślowski, po nim ppłk. Jan Sendorek), 3-go w Ławicy (ppłk. Serednicki). 1-szy pułk miał 3 dywizjony, w tej liczbie jeden myśliwski (mjr. Kossowski), jednak IV dywizjon wywiadowczy był detaszowany z braku miejsca na Mokotowie, mając jedną eskadrę w Wilnie, drugą w Lidzie. W 1921 r. również zorganizowano dwie eskadry morskie, z których w 1924 r. powstał dywizjon lotnictwa morskiego w Pucku.

Szefem lotnictwa w 1921 r. był nadal gen. Macewicz (6), po nim w latach 1922/23 kolejno szefami departamentu byli: płk. pil. ster. Aleksander Wańkiewicz i płk. obs. inż. Janusz de Beaurain. W połowie 1923 r. minister Spraw Wojskowych gen. Sosnkowski sprowadził z Francji gen. Levèque'a na szefa polskiego lotnictwa. Gdy ministrem Spraw Wojskowych został gen. Sikorski, mianował szefem Departamentu Lotnictwa w czerwcu 1924 r. gen. bryg. pil. Włodzimierza Zagórskiego.

W latach 1924/25, a więc za gen. Zagórskiego, powstały trzy nowe pułki lotnicze: 4-ty w Toruniu, 6-ty we Lwowie i 11-ty myśliwski w Lidzie, jak również Oficerska Szkoła Lotnictwa (początkowo w Grudziądzu, w oczekiwaniu na wykończenie Dębłina, do którego przeszła na wiosnę 1927 r. (7).

---

(6) Gen. Rayski tak pisze o szefie swoim (str. 13): „Nad tym wszystkim — szef Departamentu Lotnictwa, gen. Macewicz. Rotmistrz kawalerii rosyjskiej, lat około 40, który przesłużywszy w eskadrach rosyjskich ze cztery lata, hołdował przekonaniu, że to wystarczy, aby się znać na lotnictwie”. Z równą kurtuazją i ścisłością historyczną mógłby ktoś napisać o 1926 r.: „Nad tym wszystkim szef departamentu, płk. Rayski. Sierżant armii tureckiej który przesłużywszy w eskadrach tureckich ze dwa lata hołdował przekonaniu, do dnia dzisiejszego rozpowszechnionemu, że wystarczy dobrze władać knyplem aby się znać na lotnictwie”.

(7) Gen. Rayski mylnie podaje (str. 28), że Dęblin otwarto w 1928 r.

Szkolnictwo było przede wszystkim potrzebne, gdyż, jak to była zawsze i wszędzie po wojnie, demobilizacja przerzedziła szeregi lotnictwa i trzeba było sięgnąć do młodzieży po świeży narybek oficerski.

Dowódcami nowych pułków zostali: płk. pil. Roman Florer (4-ty), płk. pil. Camillo Perini (6-ty, zdawszy 3-ci p. lot. płk. dypl. pil. Sergiuszowi Abzółtowskiemu), 11-ty myśliwski objął jak już wspominałem płk. Kossowski. Komendantem Oficerskiej Szkoły został płk. Florer, zdając 4-ty pułk ppłk. pil. Janowi Kieżuniowi.

### *Przemysł lotniczy*

Wielbiciele gen. Rayskiego często określają go jako „twórcę polskiego przemysłu lotniczego”. Należy to również do legendy. Bez wątpienia ma on duże zasługi w tej dziedzinie: dążył stale do rozwoju rodzimego przemysłu lotniczego jako zdrowej podstawy lotnictwa, doprowadził do upaństwowienia większości przemysłu, co w warunkach polskich było zdaje się słusznym rozwiązaniem, usprawnił przemysł, słowem — postawił go na nogi. Ale nie stworzył przemysłu, gdyż istniał on już wtedy gdy gen. Rayski był jeszcze porucznikiem, majorem i podpułkownikiem.

Zrozumiałe jest, że w latach 1919/21 nie mógł powstać w Polsce przemysł lotniczy — w kraju nie było żadnych wytwórni lotniczych po zaborcach, ilość inżynierów lotniczych była znikoma, a fachowych pracowników ze wszystkich dziedzin przemysłu lotniczego, niezwykle skomplikowanego, praktycznie biorąc nie było wcale.

W 1920 r. powstała pierwsza placówka przemysłu lotniczego — firma E. Plage i T. Laśkiewicz, w Lublinie. Pierwsze samoloty własnej produkcji wyszły w 1921 r.; początkowo były to typy samolotów włoskich, później francuskich.

Podlaska Wytwórnia Samolotów powstała w 1923 r. z inicjatywy prywatnej i w następnym roku przystąpiła do wytwarzania nowych samolotów, na razie na podstawie licencji francuskich. Jednocześnie trwały prace nad oryginalną konstrukcją samolotów wojskowych i cywilnych. Wynikiem były wojskowe P.W.S. 10 i 12, komunikacyjny P.W.S. 24.

Na Politechnice Warszawskiej istniała Sekcja Lotnicza Koła Mechaników Studentów od 1921 r. Przy pomocy Ligi Powietrznej (L.O.P.P.) zorganizowano w 1923 r. małe warsztaty lotnicze, z których wyszły pierwsze typy R.W.D. (litery po-

czątkowe nazwisk założycieli i konstruktorów: Rogalski, Wigura, Drzewiecki). Wspaniałe wyniki pierwszych samolotów R.W.D. zachęciły L.O.P.P. do wybudowania na Okęciu pomieszczeń dla fabryki, która później przyjęła nazwę „Doświadczalnych Warsztatów Lotniczych” (264-265).

W Ławicy pod Poznaniem, na terenie 3-go pułku lotniczego, istniała w latach 1921/23 mała fabryka samolotów szkolnych; z niej to (fabryka nazywała się „Samolot”) wyszły pierwsze polskie szkolne samoloty inż. Bartla — Bartel B.M.4. Fabryka ta przeniosła się w 1923 r. do Białej Podlaskiej (Podlaska Wytwórnia Samolotów).

Oczywiście, że był to przemysł początkujący, fabryczki małe, że nie było wielkich biur konstrukcyjnych i murowanych hangarów, wytwornych biur dyrektorskich, wysłanych dywanami, jakie były w 1939 r. na Okęciu w Polskich Zakładach Lotniczych, o których gen. Rayski ze słuszną zapewne dumą się rozpisuje. Ale przecież nie od razu Kraków zbudowano. Musiało minąć lat piętnaście i więcej aby powstały prywatne czy państwowe wytwórnie, zatrudniające kilka tysięcy robotników i setki techników, nad którymi mogli królować: rady nadzorcze, dyrektor naczelny, dyrektor administracyjny, dyrektor działu płatowców, dyrektor działu silników, dyrektor biura konstrukcji i td., którym obok miesięcznych gaż od 3 do 5 tysięcy złotych szef Administracji Wojska na wniosek szefa Lotnictwa przyznawał z resztek budżetowych remuneracje w wysokości od 20 do 40 tysięcy złotych na głowę, w uznaniu „wysoce obywatelskiego stosunku do przemysłu”. W pierwszych latach państwowości było, rzecz jasna, gorzej z budżetem aniżeli w latach 1928-1938, toteż i wyniki musiały być daleko skromniejsze. Jasne też jest, że na rodzime konstrukcje musieliśmy czekać szereg lat, bo przecież wydziały lotnicze na politechnikach też nie mogły od razu z niczego powstać, a studia również trwają 5 czy 6 lat, poza tym okres „ząbkowania” przechodzi każdy przemysł, były więc błędy, pomyłki, braki i niedociągnięcia tak w pierwszych latach, jak i w latach ostatnich, a więc za gen. Rayskiego.

Rozważania powyższe nie mają na celu oczywiście obniżania zasług gen Rayskiego w dziedzinie przemysłu lotniczego. Chodziło mi jedynie o wykazanie, że pomimo wielkich zasług — nazywanie gen. Rayskiego twórcą przemysłu lotniczego jest przesadą. Być może, że i w tej dziedzinie wielbiciele wysnuli niesłuszne wnioski z książki gen. Rayskiego. Należy sobie zdawać sprawę z tego, że gen. Rayski obok szeregu zdolności ma również pewne niedociągnięcia; podobnie jak nie posiada talentu krasomówczego, nie jest też obdarzony talentem pisarskim: stąd

język i styl jego książki pozostawiają wiele do życzenia. Oto na str. 31 pisze o sprawach przemysłu tak:

„V. Przemysł.

Oto co zastałem.

Poznań. Mała fabryczka płatowców szkolnych w hangarach wypożyczonych od pułku.

Lublin. Plage i Laskiewicz — fabryczka na 70 płatowców drewnianych liniowych rocznie. Robotników 500-700.

Biała Podlaska. Fabryczka na 70 płatowców drewnianych rocznie. Robotników — 500-700.

Francopol. Nic.

Avia w Warszawie. Mała fabryczka części pomocniczych”.

I dalej — wszystko krótko, wężłowato, „fabryczka”, drewniane samoloty — kropka.

A potem:

„Odchodząc zostawiłem:...”

I tu następuje już dłuższy opis wyglądu i wydajności wszystkich wytwórni. Otóż to zestawienie: „Zastałem” — „Zostawiłem” — nasunąć może czytelnikowi nieobeznanemu z zagadnieniem przemysłu i nieznającemu historii lotnictwa wniosek, że w 1926 roku nie było nic, a sam gen. Rayski zbudował to wszystko co było w 1939 roku, włączając L.W.D. (dawniej R. W.D.) wytwórnię prywatną, P.Z.L. wykupione przez państwo dopiero w 1935 r. i tak dalej.

Historia mówi, że Kazimierz Wielki zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną. Gen. Rayski podświadomie zapewne użył tego samego zwrotu, ale sędzę, że jeśli historia kiedyś stwierdzi, że gen. Rayski zastał mały przemysł i drewniany, a zostawił duży i murowany — będzie to bliższe prawdy od twierdzenia, że był on twórcą polskiego przemysłu lotniczego.

### *Lotnictwo w latach 1927-1938*

Przypomnijmy więc co zastał po gen. Zagórskim nowy szef lotnictwa, płk. Rayski: 6 pułków lotniczych, szkołę podchorążych, szkoły pułkowe, kursy pilotów w Bydgoszczy, obserwatorów w Toruniu, Dęblin w budowie, kilkaset nowych francuskich samolotów — za wiele na mały stan załóg i mały stan personelu technicznego.

„Zrobiłem plan rozbudowy, nawiązując do planu gen. Lévêque i do nowej spuścizny po Zagórskim. Budżet miałem podzarty na dobre trzy lata”.

Tak pisze gen. Rayski w swej książce (str. 28) na wstępie opisu rezultatów swej pracy.

Były one bez wątpienia duże, ale należy pamiętać, że są to wyniki osiągnięte w 13 lat i przy zwiększających się miarowo budżetach, natomiast gen. Zagórski urzędował od czerwca 1924 do kwietnia 1926 czyli niecałe 2 lata.

Osiągnięcia gen. Rayskiego — poza przemysłem, o którym już wspominałem — były głównie w budownictwie lotniczym, a więc hangary, budynki lotniskowe, nowe lotniska (łącznie z lotniskami operacyjnymi) i w zwiększeniu ilości eskadr oraz rozbudowie szkolnictwa.

Wprawdzie w 1939 r. było nadal 6 pułków lotniczych, ale miały one w sumie 48 eskadr z około 90% personelu latającego i 75% personelu ziemnego; szkoły były liczne i dobrze działające: Dęblin dla podchorążych i kursów oficerskich, Radom dla podchorążych rezerwy, Krosno dla podoficerów i małoletnich, w Warszawie szkoła dla podchorążych rezerwy grupy technicznej, W.S.L. przy W.S.Woj. (Sprostuję tylko jedną poważną nieścisłość: gen. Rayski pisze, że „Dęblin wypuszczał rocznie 300 oficerów, pilotów i obserwatorów”. Mogą to być dane odnoszące się tylko do lat 1937/39, gdyż poprzednia produkcja oficerów, poczynając od 1927 r., wynosiła rocznie 60 do 70).

Natomiast samoloty były w olbrzymiej większości przestarzałe, eskadry były słabo wyposażone w radio, samochody — co jednak jest zrozumiałe dlatego, że zakończenie planu rozbudowy było przewidziane na lata 1941/42.

Ogólna ilość eskadr i samolotów w linii, stan sprzętu i wyposażenia, ilość personelu i szereg innych czynników składających się na stan i wartość bojową lotnictwa (pomijając wykształcenie) są zależne wprost od budżetu. Gen. Rayski domagał się zwiększenia budżetu lotnictwa wiele razy w ciągu ostatnich lat przed wojną i nie otrzymał więcej funduszy od tych, jakie jego władze uważały za wskazane przydzielić. Wojna zastała lotnictwo nasze w pierwszej fazie rozbudowy i unowocześniania; Polska była spóźniona w przygotowaniu swej obrony, tak jak spóźniony był cały Zachód — wszystkie narody nie mające zamiarów zaborczych, zaczepnych. Stąd nie można winić za stan lotnictwa gen. Rayskiego, a tym bardziej oczywiście jego następców, którzy wbrew opinii gen. Rayskiego, nie mogli więcej zrobić z narzędziem przez niego przygotowanym, gdyż mieli tylko 5 miesięcy czasu. Zarzut zmarnowania w ciągu 5 miesięcy całego dorobku 13 lat pracy gen. Rayskiego jest niepoważny, pozbawiony podstaw.

Innym natomiast zagadnieniem jest taktyczny i techniczny



skład lotnictwa polskiego, który powinien był odpowiadać roli do jakiej lotnictwo powinno było być przewidziane. Tutaj, moim zdaniem, odpowiedzialność przed historią ponosi gen. Rayski wspólnie z naczelnymi władzami.

Polsce groziły zamiary zaborców z zachodu i ze wschodu; stan potencjału gospodarczego i wojennego narzucał tylko jedno rozwiązanie — obronę strategiczną i obronę operacyjną. Doceniając rolę lotnictwa w nowoczesnej wojnie, należało na lotnictwo położyć znacznie większy nacisk — a jednocześnie przygotować doktrynę użycia lotnictwa. Polska musiała się bronić, wobec tego potrzebowała przede wszystkim lotnictwa myśliwskiego. Rzeczą dowódcy lotnictwa było uczyć przełożonych, przedkładać im i domagać się aby lotnictwo polskie było *w znacznej większości lotnictwem obronnym czyli myśliwskim*. Mieliliśmy 400 samolotów w 1939 r., ale tylko 154 myśliwskich w 15 eskadrach, 86 bombowców w 9 eskadrach, natomiast 160 rozpoznawczych i towarzyszących. Większość lotnictwa — bo dokładnie 260 samolotów — była rozdzielona między 6 armij i jedną grupę operacyjną, po 30 do 40 samolotów na armię. Był to znowu 1920 rok — w powiększeniu, gloryfikowany, ale ten sam przestarzały system użycia lotnictwa. Gen. Rayski nigdy nie wystąpił z projektem radykalnej zmiany składu lotnictwa i z koncepcją użycia lotnictwa na wypadek wojny. Mówiąc trywialnie, siedział po same uszy w zagadnieniach przemysłowych i technicznych, a sprawę użycia lotnictwa i jego taktycznego składu zostawił bez reszty i bez protestów w rękach Sztabu Głównego i ministra Spraw Wojskowych. Bezsprzeczne tego dowodem jest książka gen. Rayskiego. Stwierdził w niej, że nasza koncepcja organizacyjna lotnictwa była słuszną, bo tak, jego zdaniem, zorganizowali lotnictwo również Brytyjczycy i Amerykanie w latach 1942/45, zatem wynika z tego, że koncepcja polska — tym samym koncepcja gen. Rayskiego — była nowoczesna. Jest to oczywiście zasadnicze nieporozumienie, a raczej — mówiąc szczerze — niezrozumienie. Brytyjskie i amerykańskie lotnictwa współdziałania składały się w 90% z lotnictwa myśliwskiego, a 10% bombowego i rozpoznawczego, tymczasem nasze lotnictwo miało tylko 35% myśliwców. To jest pierwsza zasadnicza różnica. Drugą jest ta, że brytyjskie czy amerykańskie lotnictwo współdziałania (T.A.F.) stanowiły jedną nierozdzieloną całość, natomiast polskie lotnictwo było rozdzielone i działało małymi paczkami, tak jak w 1920 roku. Nie dziwię się, że nie rozumieli tego generałowie i sztabowcy wojska, natomiast to, że nie rozumiał i nie rozumie tego dziś jeszcze gen. Rayski, najstarszy z punktu widzenia pragmatyki wojskowej lot-

nik (8), jest dowodem, że podobnie jak generałowie wojska i on żył cały czas pod wrażeniem doświadczeń 1920 roku — bezkarnych lotów rozpoznawczo-szturmowych na małych wysokościach, bez przeciwnika w powietrzu, eskaderek tu, eskaderek tam — i dlatego właśnie nie wypracował doktryny użycia lotnictwa odpowiedniej dla Polski na lata 1938-1942 (lata budowy lotnictwa). Gdyby gen. Rayski miał taką koncepcję, gdyby propagował i zbudował lotnictwo polskie *par excellence* myśliwskie, wtedy zasłużyłby sobie na miano „ojca polskiego lotnictwa myśliwskiego”, a co ważniejsze — mimo niekorzystnego stosunku sił — przebieg Kampanii Wrześniowej byłby zupełnie inny. Jak wykazują najnowsze opracowania niemieckie, nasze słabe lotnictwo myśliwskie, 154 samoloty o małej szybkości i uzbrojone w dwa karabiny maszynowe zaledwie — zadały Luftwaffe bardzo duże straty: blisko 500 samolotów zniszczonych i uszkodzonych. Wobec stosunku sił — 160 myśliwców polskich a 2000 samolotów niemieckich — są to wyniki odpowiadające zwycięstwom lotnictwa obronnego w *Battle of Britain* w 1940 r. Stąd nieuchronny wniosek: gdybyśmy w 1939 r. mieli 350 myśliwców — wynik kampanii, a w każdym razie czas jej trwania, byłby inny.

Franciszek KALINOWSKI

---

(8) Pragmatyka uznaje tylko starszeństwo w stopniu wojskowym. Gdy w latach 1927/29 przeniesiono w stan spoczynku wszystkich dowódców pułków lotniczych i komendanta podchorążówki: Abżółtowski, Borejsza, Buckiewicz, Kossowski, Malczewski, Menczak, Perini i Florer, pozostał tylko jeden starszy od płk. Rayskiego. Był nim płk. de Beaurain. Ale władze i temu zaradziły: płk. Rayski został generałem o rok wcześniej od de Beaurain'a i odtąd był rzeczywiście najstarszym starszeństwem lotnikiem w czynnej służbie, a oczywiście jest nim nadal.

## AKT PIERWSZY DRAMATU

*(Z dziejów emigracji)*

*Praca Tadeusza Katelbacha jest próbą rekonstrukcji pierwszego przesilenia rządowego na emigracji oraz okoliczności, które do niego doprowadziły. Autor zamierzał wydać ją w formie książki.*

*Na prośbę redakcji skrócił pracę i opuścił aneksy. Umożliwiło to ogłoszenie jej w „Zeszytach Historycznych”.*

### *Sikorski tworzy fakty dokonane*

W drugiej połowie września 1939 roku w gmachu paryskiej ambasady Rzeczypospolitej panowała atmosfera podniecenia i napięcia. Wypadki rozwijały się w zawrotnym tempie. Po wkroczeniu 17 września do Polski armii sowieckich, sprzymierzonych z wojskami Trzeciej Rzeszy, przysły ostatnie, kołaczące się jeszcze w głębi serc nadzieje. Prezydent Mościcki, Naczelny Wódz Smigły-Rydz oraz rząd opuścili Kraj zalewany przez dwie wrogie armie, chroniąc się w Rumunii.

Rumunia miała być tylko przejściowym etapem wędrówki mas uciekinierskich. Dążyły one do sprzymierzonej z Polską Francji. Tak samo zbiegłe do Rumunii naczelne władze państwowe. Ale wkrótce okazało się, że zanim zdołają dotrzeć do Francji przekazywanie ich decyzji politycznych odbywać się będzie za pośrednictwem ambasady RP w Bukareszcie. Najważniejsza z nich dotyczyła sukcesji po Prezydencie Mościckim. W ostatniej dekadzie września, w polskich kołach politycznych na uchodźstwie dominowało przekonanie, że Prezydent musi złożyć swój urząd w inne ręce. Od szybkiego załatwienia sprawy sukcesji zależało ura-

towanie ciągłości konstytucyjnych władz państwa, przebywających poza granicami okupowanego Kraju.

Ambasador RP w Paryżu, Juliusz Łukasiewicz, człowiek związany z przedwrześniową przeszłością, obdarzony pełnomocnictwami Prezydenta Mościckiego i rządu Składkowskiego znalazł się w trudnej sytuacji z chwilą, gdy okazało się, że Prezydenta internowano w Rumunii i że do Francji nie przybędzie. W dodatku z Rumunii zaczęły przenikać nad Sekwanę niepokojące wiadomości, jakoby internowanie i niedopuszczenie Prezydenta oraz rządu do Francji jest wspólnym dziełem zmywy na razie bliżej nieokreślonych kół polsko-francuskich i współdziałających z nimi kół rumuńskich. Potem zaczęło się wyjaśniać, że „koła polskie” składały się z przedstawicieli przedwrześniowej opozycji, przebywających w Bukareszcie, związanych politycznie z gen. Władysławem Sikorskim. Współdziałała z tymi kołami ambasada RP w Bukareszcie. Ambasador Roger Raczyński zachowywał pozory lojalności wobec Prezydenta Mościckiego, natomiast radca ambasady Poniński i attaché wojskowy płk Zakrzewski opowiadali się za Sikorskim.

Uchodźcy przyjeżdżający do Paryża przywozili coraz to nowe wiadomości o działalności, jaką Sikorski rozwija w rumuńskiej stolicy po opuszczeniu Polski. Zanim więc generał zjawił się 24 września nad Sekwaną, Łukasiewicz orientował się już do czego zmierza. Wiedział, że Sikorski utrzymywał stały kontakt z ambasadą francuską w Bukareszcie i że „koła francuskie” wysuwają go na wodza zreorganizowanej we Francji armii polskiej. Wiedział również, że wyrazicielem tych „kół” jest przeciwnik ministra Józefa Becka, ambasador przy rządzie RP — Noël. Nie miał wreszcie wątpliwości, że pomaga Sikorskiemu w jego akcji, przebywający w Bukareszcie prof. Stanisław Stroński. Stroński, który przybył do Paryża jeszcze przed Sikorskim, utwierdził Łukasiewicza w przekonaniu, że napływające do Paryża informacje bliskie są prawdy. Stroński przyjeżdżał do Paryża wprost z Riond Bosson w Morges, siedziby Ignacego Paderewskiego. Udał się tam z Bukaresztu w porozumieniu z Sikorskim. Poinformował Paderewskiego o planach Sikorskiego opanowania władzy na uchodźstwie przy pomocy Francji. Otrzymawszy błogosławieństwo Paderewskiego poruszał się po Paryżu z miną pewną, powołując się w rozmowach na autorytet sędziwego patrioty.

Wszystko to przekonało Łukasiewicza, że mogą również odpowiadać prawdzie pogłoski o zamiarze powołania na miejsce internowanych w Rumunii władz państwowych jakiegoś Kom-

tetu Narodowego<sup>1</sup>. Łukasiewicz, zwolennik utrzymania ciągłości konstytucyjnej władz polskich na uchodźstwie, był tej koncepcji przeciwny. Nie wierzył, by ją Sikorski popierał. Sam zresztą uważał, że w wytworzonej sytuacji Sikorski, powinien zostać bądź premierem zreorganizowanego rządu polskiego, bądź też naczelnym wodzem odradzających się na uchodźstwie sił zbrojnych. Ale był zdania, że niezależnie od tego jakie czynniki polskie i obce propagują koncepcję Komitetu Narodowego, trzeba jej zdecydowanie przeciwdziałać, organizując jak najszybciej naczelne władze państwowe na emigracji<sup>2</sup>.

Z ulgą dowiedział się, że Mościcki postanowił zrzec się urzędu Prezydenta i na miejsce internowanego w Rumunii marszałka Smigłego-Rydzka, którego 1 września wyznaczył swym następcą, wskazał innego. Gdy okazało się, że tym nowym następcą jest ambasador RP w Rzymie, Bolesław Wieniawa-Długoszowski, nie taił zdziwienia, choć politycznie Wieniawa był mu człowiekiem bliskim. Nie tylko on. Również większość ludzi związanych z przedwrześniową przeszłością, którzy go w ambasadzie odwiedzali. Uważali, że krok Prezydenta Mościckiego nie da się usprawiedliwić, gdyż Wieniawa Długoszowski nie nadaje się do piastowania najwyższego urzędu w państwie. Wyrażano obawy, że decyzja Mościckiego prowokuje organizującą się na emigracji opozycję przedwojenną i wkłada w jej ręce argument przemawiający za ewentualnym powołaniem Komitetu Narodowego. A powstanie takiego Komitetu stwarzałoby na emigracji dwa ośrodki działania politycznego, co byłoby zgubne dla losów sprawy polskiej.

Wieniawa, który przybył do Paryża 25 września razem z dyrektorem kancelarii cywilnej Prezydenta Mościckiego dr. Łepkowskim poddał się decyzji Prezydenta. Łukasiewicz mimo zastrzeżeń jakie ta decyzja budziła, śpieszył się teraz ze sformalizowaniem aktu nominującego Wieniawę. Akt taki, zgodnie z artykułem 24 Konstytucji Kwietniowej, wymagał ogłoszenia w dzienniku urzędowym, czyli w „Monitorze Polskim”. Łukasiewicz chcąc ubiec plany zwolenników „Komitetu Narodowego” postanowił jak najprędzej wydać w tajemnicy numer „Monitora”, zawierający dekret Prezydenta Mościckiego odwołujący Mar-

---

1. Według Adama Pragiera (*Wiadomości* 18,XII,63) zdecydowanym zwolennikiem utworzenia Komitetu Narodowego był m.in. przebywający w Paryżu, przedstawiciel P.P.S., b. więzień brzeski, dr Herman Lieberman.

2. Inne rozwiązanie proponował we Lwowie Zygmunt Nowakowski. Był zwolennikiem triumwiratu złożonego z generałów: Hallera, Sikorskiego i Sosnkowskiego.

szałka Rydza-Śmigłego i nominujący Wieniawę-Długoszewskiego. Ujawnienie nominacji miało nastąpić dopiero po złożeniu przez Łukasiewicza egzemplarza numeru „Monitora” na Quai d’Orsay.

Wydanie numeru „Monitora” wymagało pokonania wielu trudności. Gdy wreszcie kilka egzemplarzy z nominacją Wieniawy-Długoszewskiego było gotowych 26 września, okazało się, że nominacja jest już nieaktualna. Tegoż bowiem dnia w południe wezwał Łukasiewicza francuski wiceminister spraw zagranicznych, Champetier des Ribes, by mu oświadczyć w imieniu premiera Daladier, że wybór Wieniawy na następcę „nie jest szczęśliwy”. 28 września Daladier w formalnej nocy odmówił uznania nowego rządu polskiego, który Wieniawa powołała. Prezydent Mościcki mianował wówczas swym następcą Władysława Raczkiewicza. Łukasiewicz polecił natychmiast pierwszemu sekretarzowi ambasady, Janowi Librachowi, wydanie następnego numeru „Monitora” z nominacją Raczkiewicza. Gdy w nocy z 28 na 29 września zdołano go z trudem wydać Łukasiewicz złożył jeden z egzemplarzy francuskiemu podsekretarzowi stanu. Wymogom art. 24 konstytucji stało się zadość. Łukasiewicz odetchnął w przekonaniu, że myśl o powołaniu na emigracji „Komitetu Narodowego” została ostatecznie pogrzebana.

Wyznaczenie Władysława Raczkiewicza na Prezydenta Rzeczypospolitej i szybkie — dzięki zabiegom Łukasiewicza — sformalizowanie aktu nominacyjnego, nie odpowiadało planom Sikorskiego. Wprawdzie nie był zwolennikiem powstania „Komitetu Narodowego”, ale nie spodziewał się, że Prezydentem zostanie człowiek związany z przedmajową przeszłością. W osobie Raczkiewicza widział przeszkodę utrudniającą skupienie w swych rękach całej władzy na uchodźstwie. Toteż zabrał się natychmiast do ograniczenia roli i znaczenia tej przeszkody.

30 września rano, po męczących dwudniowych naradach, odbyło się w gmachu Ambasady RP w Paryżu zaprzysiężenie Władysława Raczkiewicza na Prezydenta Rzeczypospolitej. Protokół zaprzysiężenia podpisali: gen. W. Sikorski, profesor S. Stroński, minister A. Zaleski, płk. A. Koc, minister S. Łepkowski. Pierwszym aktem nowego Prezydenta było wydanie dekretów dymisjonujących gabinet gen. Składkowskiego i powołujących rząd gen. Sikorskiego.

Aktowi nie towarzyszyły żadne uroczystości. Dogorywała obrona Warszawy. Krwawiło się jeszcze w Kraju wojsko polskie, walczące z wojskami niemieckimi i sowieckimi. Nikt nie miał złudzeń, że rządy obu okupantów będą bezlitośnie brutalne.

Przebieg tego historycznego dnia 30 września 1939 r. opisał w bez mała rok potem ściśły gdy chodzi o chronologię, lecz

stronniczy komentator ówczesnych wydarzeń — prof. Stanisław Stroński, oddany całkowicie Sikorskiemu, bezkrytyczny jak on wielbiciel Francji.

Zaraz po objęciu urzędu Prezydent Raczkiewicz powierzył misję utworzenia rządu Augustowi Zaleskiemu. Przed południem odbyła się — jak się Stroński wyraża — „narada przedstawicieli stronnictw z udziałem p. Zaleskiego”<sup>3</sup>. Ustalono na niej, że byłoby niepodobiestwem, aby jeden minister pomajowy był Prezydentem Rzeczypospolitej, a drugi prezesem Rady Ministrów. Wobec tego postanowiono prosić Sikorskiego i Zaleskiego, by przedstawili Prezydentowi innego kandydata na stanowisko premiera, mianowicie — Strońskiego. Prezydent powiadomiony o tym wezwał profesora we wczesnych godzinach popołudniowych do siebie, powierzając mu misję tworzenia nowego rządu.

W czasie tej rozmowy Stroński przedstawił Prezydentowi swój pogląd na sprawowanie władzy Prezydenta. Miał przy tym oświadczyć, że dalsze sprawowanie władzy w trybie przewidzianym Konstytucją z 1935 r. nie daje przedstawicielom stronnictw w zamierzonym rządzie jedności narodowej „żadnych rękami trwałości”. Obowiązująca konstytucja upoważnia bowiem Prezydenta do samodzielnego rozstrzygnięcia o sprawach najważniejszych, a w szczególności do dowolnej zmiany prezesa Rady Ministrów, a tym samym rządu. Wobec tego Stroński zakomunikował Prezydentowi, że uważa za niezbędne, aby Prezydent zobowiązał się i obwieścił, że władzę swą sprawować będzie tylko na podstawie porozumienia z rządem. Ponadto — „celem zapewnienia przyszłości” — Stroński wysunął drugie żądanie, aby Prezydent wyznaczył Sikorskiego swym następcą. Na zakończenie zadeklarował, że może podjąć się tworzenia rządu jedności tylko wtedy, gdy Prezydent spełni oba postulaty.

Prezydent miał uznać żądania tych „rękami” za słuszne, wobec czego Stroński prosił Prezydenta, aby ostateczne wnioski w sprawie rządu mógł przedstawić tegoż dnia o 3-ej po południu<sup>4</sup>.

Ale zamiast zjawić się z wnioskami, Stroński przybył o wyznaczonej godzinie z nową propozycją. Zawiadamiał Prezydenta,

---

3. W naradach tych brało udział — jak pisze Pragier w cytowanym artykule *Wiadomości* — „kilku przygodnie zebranych w Paryżu przedstawicieli opozycji”. Wymienia jedynie Strońskiego, Liebermana, Sikorskiego i siebie.

4. Zdaniem E. Raczyńskiego Prezydent „pod presją moralną gen. Sikorskiego” i jego otoczenia zrzekł się prawa, przysługującego mu na zasadzie konstytucji z 1935 roku, udzielania dymisji rządowi bez kontrasygnaty ustępującego premiera.

że w międzyczasie gen. Sikorski zgodził się objąć stanowisko prezesa Rady Ministrów, oczywiście, na tych samych warunkach, jakie Stroński przedstawił Prezydentowi w przedpołudniowej rozmowie. W swej relacji Stroński nie wspomina, co wpłynęło na tę nagłą zmianę. Nie trudno się jednak domyśleć. Wszystko było ukartowane. Stroński miał przedstawić Prezydentowi warunki, a gdy je Raczkiewicz przyjmie, Sikorski zastąpi Strońskiego w roli przyszłego premiera. Gdy już w tym charakterze Sikorski przybył do Prezydenta, Raczkiewicz miał — wciąż według Strońskiego — potwierdzić ustalone podstawy tworzenia rządu jedności narodowej. Sikorski zgłosił wówczas Prezydentowi wnioski w sprawie składu rządu, który tegoż dnia został utworzony.

Stroński pisze dalej, że 1 października na pierwszym posiedzeniu rządu, po jego zaprzysiężeniu, Prezydent Raczkiewicz oświadczył na wstępie, że będzie sprawował władzę tylko w porozumieniu z rządem, co zostało zaprotokółowane. Następnie Prezydent Rzeczypospolitej miał podpisać „akt wyznaczający gen. Sikorskiego swym następcą”.

Tyle Stroński. Relacja jego pochodzi z pierwszej połowy lipca 1940. Ujął w formie notatki, której dał tytuł: „Stan prawny w sprawie porozumienia Prezydenta RP z rządem”. Jak wskazuje tytuł chodziło Strońskiemu o utrwalenie na piśmie takiej wykładni prawnej „porozumienia” z Prezydentem, jaka odpowiadała intencjom Sikorskiego i jego zwolenników. Uczynił to *ex post* świadom, że wykładni tej nigdy a więc również 30 września Raczkiewicz nie podzielał.

Nie uważał przede wszystkim, aby owo porozumienie zwane potem „umową paryską” mogło stwarzać jakiś „stan prawny”, gdyż było to niemożliwe. 30 września Prezydent Raczkiewicz zaprzysiągł Konstytucję, której zmiana nie leżała ani w jego mocy, ani w mocy rządu, a mogła być dokonana w przyszłości przez Sejm wolnego Kraju. „Porozumienie” było jedynie umownym stosunkiem politycznym opartym na wzajemnym zaufaniu. Nie mogło przekreślać praw i obowiązków głowy państwa, odnośnie zwalniania i mianowania szefa rządu. Wyrażając w rozmowie ze Strońskim, a potem z Sikorskim, zgodę na przedstawione mu postulaty, Raczkiewicz godził się jedynie — czemu dawał niejednokrotnie wyraz — na stosowanie w ramach obowiązującej Konstytucji pewnej określonej normy politycznej, wzorowanej na praktyce zachodnich państw demokratycznych. Chodziło o przepisy art. 13 Konstytucji, które uprawniały Prezydenta do samodzielnego działania w wielu doniosłych sprawach. W żadnym razie „porozumienie” nie mogło stwarzać — czego chciał dowieść Stroński — dożywotniego paktu personalnego pomiędzy



Prezydentem, a obu kandydatami na premierów: najpierw Strońskim, a potem Sikorskim.

W gorączkowej atmosferze 30 września i pierwszych dni października Raczkiewicz oczywiście nie przypuszczał, że „podstawy” sformułowane przez Strońskiego będą kiedyś interpretowane przez premiera i jego otoczenie jako swego rodzaju *pacta conventa*, które zaakceptował, by związać sobie ręce na cały okres wojny. Zresztą już nazajutrz po objęciu urzędu stanął wobec wielu naglących spraw. Nie było czasu ani na kodyfikowanie w formie pisemnej „porozumienia”, ani na precyzowanie jego wykładni prawnej.

Rozwiązywanie spraw piętrzących się z godziny na godzinę było niezwykle trudne. Internowanie w Rumunii dawnych władz Rzeczypospolitej uniemożliwiało przekazywanie urzędów ich legalnym następcom. Komunikacja z internowanymi była przerwana. Jak twierdził Raczkiewicz, wyznaczenie na szefa kancelarii cywilnej ministra Łepkowskiego, dawnego szefa kancelarii Prezydenta Mościckiego, podyktowała mu troska o utrzymanie choćby pewnej ciągłości urzędowania.

Sprawą najpilniejszą było odrodzenie polskich sił zbrojnych. Z każdym dniem rósł napływ oficerów i szeregowych do Francji. Tymczasem Naczelny Wódz Marszałek Śmigły-Rydz internowany był przez Rumunów. Fakt, że przekroczył granicę rumuńską w chwili, gdy wojska polskie walczyły jeszcze z wojskami niemieckimi i sowieckimi, przesądził o jego losie. Śmigły skończył się jako Naczelny Wódz w dniu, w którym dobrowolnie udał się do Rumunii.

Niemniej ważną i pilną sprawą było zorganizowanie władz państwowych na uchodźstwie. Nowi ludzie nie znali się na sprawach administracyjnych. Ci którzy mogli służyć radą lub wskazówkami byli także internowani w Rumunii lub na Węgrzech. Sikorski nie chciał zresztą z rad tych ludzi korzystać.

Trzeba było jak najszybciej uregulować sprawę funduszków państwowych. Prezydent dowiedziawszy się o szczęśliwym uratowaniu rezerw złota, nie chciał ich naruszać, chyba w ostateczności. Stanowisko to podzielał rząd. Chodziło więc o rozpoczęcie negocjacji z rządem francuskim o uruchomienie przyznanej rządowi Składkowskiemu, a niepodjętej pożyczki w kwocie jednego miliarda franków.

Prócz spraw ważnych i pilnych było także wiele spraw drugorzędnych, którymi trzeba było się zająć osobiście i osobiście wykonać ich dopilnować. Toteż w ciągu pierwszych kilku dni urzędowania w Paryżu, Raczkiewicz spędzał do późnej nocy czas

na konferencjach. Często w ogóle nie opuszczał gmachu ambasady polskiej przy rue St. Dominique, w którym zamieszkał.

Nie tylko nawał i różnorodność spraw utrudniał Prezydentowi pracę wymagającą jakiegoś takiego spokoju i skupienia. Była jeszcze jedna okoliczność znacznie poważniejszej natury.

Konstytucja kwietniowa — mimo zawartego „porozumienia” — dawała głowie państwa bardzo szerokie uprawnienia. Raczkiewicz nie był politykiem zachłannym, który korzystając z litery prawa, chciałby ją wykorzystać. Przeciwnie, pragnął lojalnie współpracować z rządem, widząc w tej współpracy zasadniczy warunek skutecznej obrony sprawy polskiej na terenie międzynarodowym. Tak się złożyło, że wszystkich członków gabinetu Sikorskiego znał osobiście, bądź z okresu służby w administracji państwowej, bądź z terenu parlamentarnego, względnie społecznego. Zdawało się, że okoliczność ta stwarza sprzyjające warunki współpracy pomiędzy głową państwa a rządem.

Niestety, tak nie było. Raczkiewicz robił wszystko, aby zdobyć zaufanie Sikorskiego, lecz bezskutecznie. Sikorski nie był w stanie pozbyć się porachunkowych kompleksów. Odnosił się wrogo do wszystkiego, co wiązało się z pomajową przeszłością. Kompleksy te grały również w stosunku do Raczkiewicza. Stwarzało to od pierwszych dni atmosferę nieufności. Lecz w końcu września i początkach października mogło się jeszcze wydawać, że Sikorski nie poddał się zupełnie wpływowi dopiero formującego się otoczenia i jego ośrodka mafijnego, zwanego „Frontem Morges”, z którym od lat był związany. Do swego pierwszego gabinetu powołał nawet płk. A. Koca, twórcę Ozonu! Tekę ministra spraw zagranicznych powierzył A. Zaleskiemu, związanemu z pomajową przeszłością. Na razie nie reflektował również na skupienie w swych rękach równocześnie dwóch stanowisk: premiera i naczelnego wodza. Przynajmniej pozornie podzielał opinię Raczkiewicza, że naczelny wódz nie może zajmować obu tych stanowisk, gdyż nie godzi się to z zasadą demokratycznego ustroju państwa. Sikorski myślał wtedy przede wszystkim o wojsku. Chciał być wodzem naczelnym. Marzyła mu się sława wojenna. W jej glorii pragnął wrócić do Polski.

Nie kolidowało to z planami Prezydenta, dotyczącymi generała Sosnkowskiego. Raczkiewicz zdecydował, że z chwilą przybycia Sosnkowskiego do Paryża postawi mu do dyspozycji aż trzy najwyższe urzędy w państwie: Prezydenta, premiera i naczelnego wodza. Obejmując urząd i powierzając premierostwo Sikorskiemu, Prezydent oświadczył, że gdy się Sosnkowski zjawi, zgłosi gotowość zrzeczenia się prezydentury na jego rzecz. Gdyby Sosnkowski odmówił proponuje mu premierostwo lub naczeln-

ne dowództwo. W każdym razie oba te stanowiska zostaną podzielone między Sosnkowskim i Sikorskim. Plany te były Sikorskiemu znane i akceptował je bez zastrzeżeń. Nie liczył się jednak z ich realizacją. Nie chciał do niej dopuścić otoczenie premiera.

Na razie jednak pierwsze tygodnie francuskiego okresu emigracyjnego dawały pewne podstawy do optymizmu. Ciągłość władz państwowych została uratowana. Panowała zgodność, że nowy rząd będzie rządem jedności narodowej, reprezentującym szeroką koalicję międzypartijną z uwzględnieniem nawet ludzi tak czy owak związanych z przedwrześniową przeszłością. Oznaczało to zerwanie z krótkowzroczną polityką Prezydenta Mościckiego i rządu Składkowskiego, który nawet w ostatniej fazie uciekinierskiej wędrówki nie chciał ustąpić na rzecz gabinetu szerokiej koalicji stronnictw<sup>5</sup>. Trzecim ważnym elementem było uznanie za podstawę działalności odrodzonych na uchodźstwie władz państwowych Konstytucji z 1935 roku.

Dopiero praktyka najbliższych miesięcy miała przekonać optymistów, że wszystkie te pozytywne decyzje, zapadłe w nerwowej atmosferze pierwszych tygodni emigracyjnych, nie były w stanie przeszkodzić wewnętrznym rozrywkom i intrygom oraz dowolnej interpretacji porozumienia zawartego między Prezydentem i rządem Sikorskiego.

2 października 1939 roku ogłoszono w „Monitorze Polskim” (Nr 218-219), krótką listę członków nowego rządu. Premierem i ministrem spraw wojskowych został gen. Władysław Sikorski, ministrem informacji i zastępcą premiera — prof. St. Stroński, ministrem spraw zagranicznych — A. Zaleski, podsekretarzem stanu w ministerstwie Skarbu — A. Koc. W dziale „nieurzędowym” tegoż „Monitora” znalazła się wzmianka następującej treści: „Mianowanie trzech innych członków Rządu z których jeden reprezentować będzie Polską Partię Socjalistyczną, jeden Stronnictwo Ludowe i jeden Stronnictwo Pracy — będzie ogłoszone później. Rząd generała Sikorskiego jest zatem Rządem Zjednoczenia i Obrony Narodowej”.

Autorom wzmianki chodziło o stwierdzenie, że w zasadzie wprowadzono już w życie najistotniejszą przesłankę porozumienia zawartego między Prezydentem a Sikorskim, to jest, że utworzony

---

5. 21 września autor wysłał z Bukaresztu do premiera Składkowskiego list w którym m.in. pisał, że „rząd Pana premiera w całości skończył swą rolę”. Sugerował najszybsze złożenie Prezydentowi Mościckiemu próśby o dymisję i powołanie w tej lub innej formie nowego rządu. Składkowski odczytał list na radzie ministrów. Rząd przeszedł nad jego treścią do porządku dziennego.

rząd ma charakter rządu jedności narodowej, choć przedstawiciele trzech stronnictw jeszcze w nim nie zasiadają. Charakter „rządu jedności” podkreślił także Raczkiewicz w swym pierwszym orędziu z 30 września 1939 roku, opublikowanym w następnym numerze „Monitora” z 3 października (Nr 220.). Zwycięstwo nad wrogiem — takie było hasło orędzia — winno być głównym zadaniem Polaków. Prezydent mówił:

„Dla tego zwycięstwa pracować będzie każdy Polak, gdziekolwiek by był pod kierownictwem Rządu Jedności i Obrony Narodowej, który z gen. Władysławem Sikorskim na czele dzisiaj powołałem. Dla tego zwycięstwa pracować będą ze wszystkich sił Polacy, których godzina dziejowa zastała poza granicami kraju, a których ofiarny patriotyzm jako prezes Związku Polaków Zagranicą, tak dobrze mogłem poznać i ocenić. Najdostojniejszym ich uosobieniem był, jest i będzie Ignacy Paderewski. Dla tego zwycięstwa każdy z nas poświęci wszystko, ażeby synowie nasi żyli i pracowali w świecie, w którym by, według słów Józefa Piłsudskiego, zbyt wiele nieprawości nie było”.

Umieszczenie w orędziu obok siebie nazwisk Paderewskiego i Piłsudskiego nie było dziełem przypadku. Raczkiewicz robił to świadomie. Pragnął w ten sposób dać wyraz przekonaniu że rząd winien czerpać ze wskazań, myśli i czynów wszystkich wybitnych Polaków, niezależnie od tego, co ich dzieliło.

Zgodnie z zapowiedzią z 2 października już w następnym numerze „Monitora” ukazały się dalsze trzy nominacje. Ministrem Opieki Społecznej został Jan Stańczyk (PPS) ministrami: gen. Józef Haller (Stronnictwo Pracy) i Aleksander Ładoś (Stronnictwo Ludowe). Udział w rządzie tych trzech ministrów miał przesądzać o jego charakterze rządu jedności narodowej. Tymczasem żaden z nowych ministrów nie mógł sobie rościć tytułu do reprezentowania swego stronnictwa. Nie mógł za najwłaściwszego reprezentanta PPS uchodzić J. Stańczyk. Nie miał na pewno takiego tytułu świeżej daty ludowiec A. Ładoś. Posiadał ten tytuł gen. J. Haller. Od jesieni 1937 był prezesem Rady Naczelnej utworzonego Stronnictwa Pracy. Był to jednak raczej tytuł symboliczny. Słowem — nie było innych, więc powołano do gabinetu takich, jacy byli pod ręką.

Prezydent Raczkiewicz przewodnicząc 2 października na drugim posiedzeniu Rady Ministrów nie miał złudzeń, że tytuł „rządu jedności narodowej” stanowi tylko piękną fasadę za którą na razie kryje się treść uboga. Jak zawsze był jednak dobrej myśli. Liczył, że w przyszłości garnitur przedstawicieli stronnictw w rządzie zmieni się i że rząd Sikorskiego stanie się rzeczywiście rządem prawdziwego zjednoczenia.

Zwierzał się z tych nadziei nie tylko nieodłącznemu przyjacielowi inż. A. Piotrowskiemu, lecz także Augustowi Zaleskiemu. Zaleski był mu w tym rządzie najbliższym człowiekiem. Darzył go zaufaniem. Cenił jego inteligencję i doświadczenie polityczne. Najchętniej widziałby go na stanowisku premiera. Poza Sosnkowskim — którego jeszcze w Paryżu nie było — najbardziej liczył na Zaleskiego. Wierzył, że wspólnie z tymi dwoma ludźmi zdoła pokonać przeciwności i że cel jednoczenia wszystkich Polaków w służbie dla Kraju, ostatecznie osiągnie. Natomiast dla Sikorskiego i otaczających go ludzi, skład rządu stanowił pierwszy etap na drodze do skupienia w swych rękach pełni władzy na uchodźstwie. Wkrótce miały przyjść nowe etapy.

3 października Prezydent Raczkiewicz czuł oznaki zbliżającej się choroby. 4 października był już chory. Mimo to starał się nie przerywać swych zajęć. Nawet w okresach, gdy gorączka dochodziła do czterdziestu stopni, urzędował w łóżku. Przyjmował premiera, ministrów, dyplomatów polskich przyjeżdżających z różnych placówek i znajomych działaczy społecznych. Orientował się we wszystkim, choć audiencje ograniczano do minimum.

Opiekę nad chorym Prezydentem objął lekarz polski z dawnej emigracji we Francji, kapitan armii francuskiej dr Zieliński. Z jednego z obozów wojskowych sprowadzono do chorego docenta uniwersytetu warszawskiego, służącego w wojsku w wysokiej szarży „szeregowego korpusu sanitarnego” — dr. Fiedlera. Ogólną pieczę nad chorym objął znakomity specjalista francuski prof. Besançon. Kryzys choroby przypadł na okres między 14 i 21 października. W ostatnich dniach października zaczęło się polepszenie. Potem przyszedł długi okres rekonwalescencji, który przeciągnął się aż do końca listopada. Choroba niezmiernie wycieńczyła Raczkiewicza.

Przez blisko dwa miesiące Prezydent fizycznie był unieruchomiony. Musiał stale słuchać lekarzy, obawiających się recydywy. A choć orientował się we wszystkim, nie był przecież w stanie wnikać w szczegóły i na wszystko baczyć. Fakt ten wyzyskało otoczenie Sikorskiego. Zaczęło tworzyć fakty dokonane, których nie dało się już później odrobić.

Gdy 4 października Raczkiewicz uprzytomnił sobie, że choroba może się przeciągnąć, denerwował się, iż nie ma w Paryżu Sosnkowskiego. Dnie biegły, gorączka rosła, lekarze nie ukrywali niepokoju. Raczkiewicz w poczuciu ciężącej na nim odpowiedzialności i w obawie, że może nie doczekać się przybycia Sosnkowskiego, podpisał akt wyznaczający na swego następcę gen.

Władysława Sikorskiego. Stało się to w pierwszej dekadzie października.

Akt ten miał być ogłoszony w wypadku gdyby Prezydent zmarł, a Sosnkowskiego nie było jeszcze w Paryżu. Sosnkowski jednak przybył wkrótce do Francji. Nie zaszła więc potrzeba formalnego ogłaszania nominacji Sikorskiego, wskutek czego nominacja nie nabrała mocy prawnej. Nie nabrała również treści politycznej, gdyż nigdy Sikorskiemu nie była doręczona. Raczkiewicz, choć złożony ciężką niemocą, nie uczynił tego. Do ostatka nie chciał komplikować sytuacji, do czego mogłoby dojść, gdyby w chwili zjawienia się Sosnkowskiego, Sikorski był formalnie następcą. Obawiał się już wtedy dyktatorskich zapędów Sikorskiego. Miał tego dowody. Sikorski wykorzystując chorobę Prezydenta i przedłużającą się nieobecność Sosnkowskiego naciskał na Raczkiewicza, by „na razie” ogłosił w „Monitorze” podpisaną nominację. Te naciski utwierdziły chorego Prezydenta w przekonaniu, że Sikorski — wbrew swym deklaracjom — zdąży do skupienia w swych rękach trzech kluczowych stanowisk i godności: premiera, naczelnego wodza i następcy Prezydenta. Do tego nie chciał dopuścić.

Z uczuciem prawdziwej ulgi dowiedział się o szczęśliwym dotarciu — po perypetiach węgierskich — generała Sosnkowskiego do Paryża. Niecierpliwiał się, gdy nie od razu do niego przybył. Sosnkowski przed wizytą u Prezydenta badał grunt i nastroje. Kiedy doszło wreszcie 11 października do spotkania, Raczkiewicz był przekonany, że nic teraz nie stoi na przeszkodzie wyznaczeniu następcą gen. Sosnkowskiego. Poinformowano go, że Sikorski powitał Sosnkowskiego z wylewną serdecznością.

Tymczasem na wiadomość o przybyciu do Paryża Sosnkowskiego w otoczeniu Sikorskiego zawrzało. Zwolennicy Sikorskiego mieli do ostatka nadzieję, że z nominacji Sosnkowskiego nic nie wyjdzie. Postanowili teraz do niej nie dopuścić, zwłaszcza, że znali przebieg pierwszego spotkania Prezydenta z Sosnkowskim. Nie było to trudne. Raczkiewicz sam o tym spotkaniu opowiadał. Najpierw wyraził Sosnkowskiemu gotowość ustąpienia na jego rzecz. Kiedy Sosnkowski odmówił, wyznaczył go swym następcą. Powiadomiony później przez Sosnkowskiego, że Sikorski, jako Premier, tę decyzję aprobuje, Prezydent dokonał prawomocnie aktu nominacji Sosnkowskiego „na wypadek opróżnienia się urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej przed zawarciem pokoju”. Nominację ogłoszono 16 października w „Monitorze Polskim” (nr 229-231). Tegoż dnia akt nominacyjny doręczył Sosnkowskiemu szef kancelarii Prezydenta Dr Łepkowski.

Ale zanim do tego doszło, 13 października Sikorski wysto-

sował do Raczkiewicza pismo zdradzające jego właściwe dążenia.

„W tej chwili, to jest w toku rozmów przyjaznych jakie nawiązałem z gen. Sosnkowskim — pisał Sikorski — dowiaduję się o powziętej nagle przez Pana Prezydenta decyzji mianowania p. gen. Sosnkowskiego swoim następcą. Stwierdzam, że stanowisko, na które byłem wyznaczony, powierza się komu innemu, bez uprzedniego porozumienia się ze mną. Nie przesądząc samej sprawy wstrzymałem na razie druk „Monitora”.

Za ewentualne rozbitcie porozumienia będącego w toku przez jednostronne przesądzenie najważniejszych zagadnień nie mógłbym przyjąć odpowiedzialności, podobnie jak i rząd.

Uważam za swój obowiązek zawiadomić o tym natychmiast Pana Prezydenta ze względu na poważne następstwa, jakie ten fakt musiałby pociągnąć za sobą. Zwracam się natomiast do Pana Prezydenta listownie, gdyż muszę wyjechać bezzwłocznie do Kwatery Głównej w związku z nagłą prośbą gen. Gamelin'a o natychmiastową konferencję”.

W kilka dni potem Prezydent zrobił na liście Sikorskiego własnoręcznie notatkę tej treści:

„Po wyjaśnieniu, że sprawa była już zasadniczo omówiona i uzgodniona, z zajętego stanowiska generał Sikorski wycofał się. R.”

Sikorski zreflektował się i wołał rzeczywiście wycofać się ze stanowiska, jakie zajął w aroganckim i pełnym nieściśłości liście.

Adam Romer w broszurce: „Z Sikorskim i Mikołajczykiem” tak przedstawia sprawę:

„Nominacja Sosnkowskiego następcą Prezydenta była już w rzeczywistości pierwszą niełojalnością Raczkiewicza w stosunku do Sikorskiego, który sam miał nominację na następcę Prezydenta przy obejmowaniu rządu, niestety nie ogłoszoną ani w „Monitorze”, ani w „Dzienniku Ustaw”. Dopilnował tego szef Kancelarii Cywilnej Łepkowski. Kiedy zaś przyjechał Sosnkowski z Węgier i ministrowie naradzali się z przedstawicielami stronnictw pod przewodnictwem Strońskiego jaki przedstawić wniosek premierowi co do jego użycia, doręczono stronnictwom świeży numer „Dziennika Ustaw” i „Monitora Polskiego” z już ogłoszoną nominacją Sosnkowskiego na następcę Prezydenta RP”.

Tendencyjny wywód o rzekomej „pierwszej niełojalności Raczkiewicza w stosunku do Sikorskiego”, zawiera tylko jeden interesujący szczegół. Romer mówi o naradzie (w sprawie następstwa) niewymienionych z nazwiska ministrów z przedstawicielami stronnictw pod przewodnictwem Strońskiego. Narada nie była niczym innym, jak jednym z wielu konwenktykli otoczenia Sikorskiego, planujących kontrakcję przeciwko nominacji Sosn-

kowskiego. Kontrakcję pokrzyżowało formalne ogłoszenie nominacji w „Monitorze Polskim”.

Na wycofanie przez Sikorskiego listu do Prezydenta wpłynęła jedna okoliczność. Na pewno nie względ na ciężko chorego Prezydenta. Kiedy Sosnkowski został już następcą Prezydenta Sikorski doszedł do wniosku, że może opłaci mu się pozyskać go dla siebie. Nie czuł przecież wokół (prócz oddanych mu, lecz bynajmniej nie wszystkich przedstawicieli stronnictw opozycyjnych) zbyt przyjaznej atmosfery. Zwłaszcza w wojsku. Wśród oficerów przeważał element wychowany w kulcie Piłsudskiego. Względ ten przemawiał za szukaniem porozumienia z Sosnkowskim, dawnym szefem I Brygady Legionów. Wśród uciekinierów cywilnych pełno było także piłsudczyków różnego autoremantu. Zbliżenie z Sosnkowskim mogło przyczynić się do rozładowania nastrojów w tym środowisku. Prócz piłsudczyków, odnosili się niechętnie do Sikorskiego członkowie i sympatycy Stronnictwa Narodowego oraz młodzi z przedwojennego ONR-u czy Falangi. W kołach tych Sosnkowski cieszył się dużą popularnością.

Walka o następstwo po Prezydencie, stanowiąca najznamienniejszy rys pierwszych szesnastu dni urzędowania Raczkiewicza, skończyła się przegraną Sikorskiego i jego otoczenia. Gdyby Raczkiewicz ustąpił, utorowałby Sikorskiemu drogę do objęcia prezydentury w chwili, którą uznałby dla siebie za odpowiednią. Ale w ciągu tych samych kilkunastu dni Sikorski nie marnował czasu. Montował radę ministrów złożoną z uległych mu osób, zbierającą się teraz pod jego przewodnictwem, a nie — jak na początku — pod przewodnictwem Prezydenta.

5 października wprowadził do rządu w charakterze podsekretarza stanu w Prezydium Rady Ministrów swego zaufanego dr. Henryka Strasburgera. Musiał być pewien jego lojalności, skoro powołał go na to stanowisko. Strasburger do żadnej partii nie należał. Gotów był służyć każdemu. Niedawno uchodził za piłsudczyka, teraz przekształcał się w najbardziej zapamiętałego sikorszczyka. 6 października powołał Sikorski na podsekretarza stanu w ministerstwie opieki Karola Popiela. Popiel ex-enpeero-wiec, przyjaciel gen. Roli-Zymierskiego, związany był od lat z Sikorskim walką z Piłsudskim. Sikorski zyskiwał w nim poważnego sprzymierzeńca. Tegoż dnia mianowano podsekretarzem stanu w Ministerstwie Skarbu jako siłę fachową Alfreda Faltera. Nieoczekiwanie 9 października Adam Koc awansował na Ministra Przemysłu i Handlu. Sikorski chciał pozyskać sobie przedstawiciela sanacyjnej piłsudczyzny. Robił to z myślą, że z czasem



uda mu się uczynić z Koca powolne narzędzie swych zleceń. Odpowiadałoby to ambicjom Sikorskiego.

Poszerzona w ten sposób Rada Ministrów nie zajmowała się jeszcze wieloma sprawami. Chcąc przyjąć z doraźną pomocą napływającym wciąż z Kraju uchodźcom zarządziła wymianę stosunkowo drobnych sum banknotów złotych na franki, ograniczając termin tej wymiany datą 1 grudnia 1939 roku. Z inicjatywy Sikorskiego zajęła się dwoma sprawami o wyraźnie politycznym charakterze. Na posiedzeniu 10 października uchwaliła projekt dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej o pełnej rehabilitacji i amnestii dla byłych więźniów brzeskich: Witosa, Bagińskiego, Barlickiego, Ciołkosza, Dubois, Kiernika, Liebermana, Mastka, Pragiera i Putka. Na tym samym posiedzeniu uchwalono powołanie do życia komisji rządowej, której zadaniem miało być rejestrowanie faktów i zbieranie dokumentów oraz danych dotyczących przebiegu wypadków z okresu ostatnich miesięcy przedwojennych w Polsce. W skład tej komisji, działającej pod przewodnictwem gen. broni Józefa Hallera, weszli ministrowie: Stroński i Ładoś.

Wiadomość o obu uchwałach przynosił „Monitor” z 12 października (nr 221-228). Ciężko chory Prezydent na pewno był zwolennikiem uchwały rehabilitującej więźniów brzeskich. Natomiast druga uchwała, zwłaszcza skład osobowy komisji przez nią powołanej, musiał budzić zastrzeżenia. Nie uważał ani Ładosia ani Strońskiego za właściwych sędziów przeszłości „ostatnich miesięcy” w Polsce. Gdyby nie choroba nie zgodziły się, aby obie uchwały ogłaszano równocześnie. Okoliczność ta musiała budzić wrażenie, że rząd z jednej strony rehabilituje skazanych przez rządy pomajowe działaczy politycznych, z drugiej jednym tchem powołuje własny organ po to, aby zyskać podstawę skazania w przyszłości członków rządów przedwrześniowych. Był w tej równoczesności posmak mściwości, czemu Raczkiewicz był z gruntu przeciwny. Lecz Raczkiewicz był zbyt wyczerpany gorączką, aby mógł podejmować dyskusję na tak drażliwe tematy.

Nie był w stanie dyskutować innych nominacji ministerialnych, które dokonane zostały już po przyjeździe Sosnkowskiego. Ogłoszono je w „Monitorze” 16 października tj. w tym samym dniu gdy podano do wiadomości akt nominujący Sosnkowskiego na następcę Raczkiewicza. Jedna z nich odpowiadała — rzecz prosta — intencjom Raczkiewicza. Sosnkowski wszedł do rządu jako minister. Równocześnie jednak Sikorski otrzymał nową tekę — Ministra Sprawiedliwości. W ten sposób prócz premiershipu i ministerstwa spraw wojskowych zagarnął w swe ręce jeszcze jeden resort państwowy.

Sikorski nie był formalnie Wodzem Naczelnym. 29 września „jako najstarszy rangą generał” obecny w Paryżu, otrzymał mandat do czuwania nad tworzącą się we Francji armią polską i dowodzenia nią. Nominację na to stanowisko ogłoszoną w „Monitorze” podpisał ambasador Łukasiewicz, działający wówczas w charakterze przedstawiciela Prezydenta I. Mościckiego i rządu gen. Składkowskiego. Znaczyło to, że Sikorski staje się faktycznym Wodzem Naczelnym. 16 października Sikorski był więc szefem rządu, ministrem spraw wojskowych, ministrem sprawiedliwości i naczelnym wodzem. Otoczenie Sikorskiego triumfowało.

16 października ukazał się również w „Monitorze” komunikat urzędowy o stanie zdrowia Prezydenta, podpisany przez prof. Ferdynanda Besançon, dr. Michała Zielińskiego i prof. dr. Antoniego Fiedlera. Biuletyn głosił, że „stan ogólny” Prezydenta „jest zadawalający”. Biuletyn brzmiał uspokajająco. Naprawdę stan chorego był jeszcze bardzo poważny.

Raczkiewicz nie mógł normalnie pracować. Przyjaciele odsuwali od niego sprawy denerwujące i przykre, choć czasem nie było to możliwe. 31 października podpisał dekret o amnestii dla byłych więźniów brzeskich, 2 listopada dekret o rozwiązaniu Sejmu i Senatu, 7 listopada — na wyraźne żądanie Sikorskiego — zwolnił J. Łukasiewicza ze stanowiska ambasadora R.P. w Paryżu. Sikorski wprowadził do gabinetu gen. Dr. Mariana Kukieła, swego osobistego i politycznego przyjaciela, w charakterze zastępcy ministra spraw wojskowych. Zwolnienie Łukasiewicza rozumiano jako zapowiedź czystki, którą zacznie Sikorski przeprowadzać na różnych stanowiskach cywilnych i wojskowych.

W czasie gdy Sikorski organizował rząd Prezydent załatwiał delikatną sprawę Marszałka Rydza-Śmigłego. Przypadło to na okres najgorszych tygodni choroby Raczkiewicza. W pierwszej połowie października przyjechał do Paryża wiceminister komunikacji w gabinecie Składkowskiego inż. Julian Piasecki, oddany przyjaciel Marszałka. Zjawił się w charakterze jego męża zaufania. Piasecki odbywał rozmowy z wielu ludźmi, badając nastroje. Przede wszystkim chciał się dostać do Prezydenta Raczkiewicza, któremu przywoził z Krajowej odłączne pismo Śmigłego.

„Panie Prezydencie — pisał w nim Śmigły — bardzo rad jestem, że właśnie na Pana spadł ten ciężki obowiązek. Ograniczam się do gorących życzeń, prosząc o przyjęcie oddawcy tego listu Piaseckiego, który opowie o sytuacji tutaj. Pamiętajcie o wojsku tutaj i na Węgrzech”.

Pismo Śmigłego doszło do rąk Raczkiewicza w chwili, gdy likwidacja „sprawy Śmigłego” była ostatecznie zdecydowana.

23 października wyjechał do Rumunii mjr. Zygmunt Jerzy Borkowski, zaufany Sikorskiego. Wiózł z sobą odpowiedź Raczkiewicza do Śmigłego. Prezydent tłumaczył Śmigłemu w słowach delikatnych dlaczego, będąc chorym, nie mógł jeszcze przyjąć Piaseckiego. Dawał Śmigłemu wyraźnie, choć bezboleśnie, do zrozumienia, że reakcja opinii publicznej w stosunku do niego „jest tego rodzaju, że ustąpienie Naczelnego Wodza... uważane jest powszechnie z rzecz konieczną”. Nalegał, by do końca października Śmigły nadesłał do Paryża swą rezygnację. Chciał, aby dopiero w powołaniu na nią zwolnić Śmigłego ze stanowiska Naczelnego Wodza.

Major Borkowski dotarł 27 października do Dragoslavele gdzie internowano Śmigłego. W oczekiwaniu na audiencję rozmawiał z otoczeniem Marszałka. Składało się ono z płk. Wendy, płk.-lekarza Cieńczy, Wędziagolskiego i mjr. Krzeczowskiego. Rozmowa ze Śmigłym rozpoczęła się o godz. 1-ej min. 30 po południu. Trwała trzy kwadransy. Śmigły interesował się zwłaszcza podziałem funkcji między członkami rządu polskiego. Wypytywał, jaką funkcję pełni w rządzie gen. Sosnkowski, czy gen. Sikorski występuje w roli dowódcy wojsk polskich, czy też ministra spraw wojskowych, czy robione są zmiany na placówkach dyplomatycznych, czy prawdą jest, że zwolniono ambasadora Łukasiewicza i jakie są tego przyczyny, wreszcie — czy attaché wojskowy w Rumunii, płk. Zakrzewski, w dalszym ciągu źle wypełnia swe obowiązki. Ostatnie pytanie odnosiło się do oficera, który przysięgłszy wierność Sikorskiemu, szykanował wielu swych kolegów.

Z rozmowy ze Śmigłym, Borkowski odniósł wrażenie, że Rumuni całkowicie izolują Marszałka.

Po godzinnym oczekiwaniu Borkowski znowu został wezwany do Śmigłego. Marszałek wręczył mu zapieczętowaną kopertę. 28 października nad ranem Borkowski wrócił do Bukaresztu, skąd udał się do Paryża.

W kopercie były dwa listy do Prezydenta, datowane 27 października. Jeden prywatny — pełen gorczy.

„Konstytucyjnie — pisał Śmigły — akt mianowania teraz Naczelnego Wodza nie jest konieczny, tym bardziej, że i armia jeszcze nieorganizowana. Więc chodzi o osądzenie mnie”...

Nie chcąc jednak utrudniać Prezydentowi sytuacji załącza swą rezygnację. Treść pisma rezygnującego brzmiała lakonicznie:

„Wobec tego że jestem internowany i pozbawiony wolności składam funkcję Naczelnego Wodza do dyspozycji Pana Prezydenta”.

Chory Prezydent z ulgą przyjął rezygnację Śmigłego. Stało się tak jak sobie życzył. Wobec opinii Śmigły sam stawiął do dyspozycji Prezydenta swój urząd, a Prezydent zrzeczenie to przyjmował do wiadomości. Drażliwa sprawa zamykała się stosunkowo szybko, bez rozgłosu i roznamiętnień. 7 listopada Sikorski został formalnie Naczelnym Wodzem. W tym dniu wydał swój pierwszy rozkaz dzienny do wojska.

7 listopada Prezydent Raczkiewicz wystosował znowu list do Śmigłego. Dawał w nim Marszałkowi do zrozumienia, że będąc internowanym nie orientuje się w nastrojach opinii. Równocześnie pragnął złagodzić Śmigłemu gorzyc jego doli. Pisał m.in.:

„List Pana z dnia 27. października rb. odczułem i zrozumiałem głęboko. Izolacja, w której Pan od tygodni przebywa sprawia, że — jak Pan to słusznie mówi — dyskutowanie obecnie reakcji publicznej, a zdaniem moim także i wielu innych aspektów sytuacji, byłoby niecelowe. Rozmowa z p. Piaseckim, którego w międzyczasie — skoro tylko lekarze mi na to zezwolili — przyjąłem, pogłębiła we mnie przekonanie o tym, jak trudno jest będąc odciętym od świata wyczuć sytuację, dla której nawet w naszych burzliwych polskich dziejach o analogie nie łatwo<sup>6</sup>. Rozumiem też uczucie bezbronności, którego Pan w obecnym swoim położeniu doznaje. Sądzę jednak, że zwolnienie Naczelnego Wodza, w szczególności gdy składa funkcję, której będąc internowany i pozbawiony wolności pełnić nie może — jest aktem, który jego prawa do obrony na przyszłość w żadnej mierze nie przesądza i nie umniejsza”.

Raczkiewicz wracał powoli do zdrowia. Musiał się wprowadzić stale oszczędzać, lecz w końcu października przestano się obawiać katastrofy. Wtedy Sikorski i jego otoczenie uprzytomnili sobie, że mają jeszcze co najwyżej parę tygodni na tworzenie dalszych faktów dokonanych. Chodziło przede wszystkim o to, by ostatecznie wykończyć sprawę komisji rejestracyjnej. Zespół wokół Sikorskiego zdecydował, że komisja będzie dawała pełną gwarancję właściwego, to znaczy surowego rozprawienia się z przeszłością, gdy skład jej uzupełni się delegatem Ministra Spraw Wojskowych (czyli Sikorskiego) w osobie płk. dypl. dr.

---

6. Piasecki po przyjeździe do Paryża nawiązał również kontakt z autorem, swym dawnym kolegą szkolnym. Odbyła się parogodzinna rozmowa w „Hotel du Rhône”. Opinie którymi się Piasecki dzielił potwierdzają słuszność oceny Raczkiewicza.

Izydora Modelskiego<sup>7</sup>. Dnia 15 listopada opublikowano obwieszczenie w sprawie Komisji rejestracyjnej (*Monitor Polski* z 16.2.39, Nr 252-257). Zawierało ono pełny jej skład, to znaczy — prócz nazwisk Hallera, Strońskiego, Ładosia — również Modelskiego. „Monitor” wyjaśniał, że „Komisja” ma za zadanie zebranie wszechstronnych informacji, materiałów, i dokumentów, odnoszących się do przebiegu ostatnich zdarzeń w Polsce oraz ustalenia ich przyczyn. Organ rządu zawierał ponadto wezwanie do nadsyłania wszelkich z tą sprawą związanych wiadomości i dokumentów do konsulatu generalnego R.P. na rue Jean-Goujon 31. W ten sposób sprawa o którą dbało pieczołowicie otoczenie Sikorskiego, została najformalniej sfinalizowana. Chory Raczkiewicz nie mógł w tej decyzji nic zmienić ani wykonania jej opóźnić.

22 listopada, na kilka dni przed wyzdrowieniem Prezydenta, cały rząd z gen. Sikorskim na czele przeniósł się do swej nowej siedziby zaofiarowanej przez rząd francuski — do Angers. Za rządem przeniósł swą siedzibę „Monitor”. Pierwszy numer organu urzędowego wydanego w nowej siedzibie rządu ukazał się 28 listopada (Nr 258-267). 28 listopada Raczkiewicz wrócił do zdrowia. Jak donosił „Monitor” (1 grudnia Nr 268-270) Prezydent po raz pierwszy opuścił w tym dniu mieszkanie, udając się zaraz do prezesa Rady Ministrów i Naczelnego Wodza, u którego zabawił na dłuższej, przeszło godzinę trwającej rozmowie. Nazajutrz, 29 listopada, Prezydent R.P. złożył pierwszą oficjalną wizytę Prezydentowi Republiki Francuskiej, p. Lebrun, który rewizytował go tegoż dnia w ambasadzie R.P.

Raczkiewicz od razu zaczął działać. Rozumiał doskonale, że okres jego choroby wyzyskano również, by spopularyzować Sikorskiego, a jego osobę w cień usunąć. Sikorski, istotnie, w czasie choroby Raczkiewicza robił wszystko, aby stać się wodzem narodu. Pokazywał się przy każdej okazji w oddziałach tworzącego się wojska, przemawiał do Kraju czy do wy-

---

7. W dwadzieścia lat później pisał członek pierwszej Rady Narodowej Zygmunt Nowakowski, że rząd Sikorskiego uznał za „najpilniejsze swe zadanie” powołanie tej Komisji. „Na jej czele stanął gen. Izydor Modelski jako sędzia śledczy a raczej jako inkwizytor, który wszędzie wietrzył zdradę i tchórzostwo, traktując wszystkich uczestników kampanii wrześniowej jako zbrodniarzy. Komisja Zbierania Faktów pogubiła swe akta w drodze z Francji do Anglii, jej zaś szef, zaiste rycerz bez skazy, bezpośrednio po Jaltcie wylądował w ataszacie waszyngtońskiej ambasady rezy-mowej”.

Takich „rycerzy bez skazy” należących do najbliższego otoczenia gen. Sikorskiego, którzy poszli po wojnie na współpracę z reżymem Bieruta, było więcej.

chodźtwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. Nie zwlekając Raczkiewicz postanowił przenieść się do Angers, by nie tracić kontaktu z pracami rządu. 3 grudnia wraz ze swym otoczeniem przyjechał do nowej siedziby.

W czasie przenosin Prezydenta z Paryża do Angers Sikorski dokonał jeszcze ostatnich pociągnięć związanych z tworzeniem swego rządu. Zdegradował A. Koca. Został on podsekretarzem stanu w Ministerstwie Skarbu i w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Na ministra obu tych resortów powołano Henryka Strasburgera. Przesunięcie to stanowiło zapowiedź pozbycia się Koca. Koc, siląc się na lojalność, nie zareagował na posunięcie Sikorskiego ustąpieniem z gabinetu. Poddął się decyzji Sikorskiego.

A Sikorski pomnażał dalej poczet swych zwolenników w rządzie. Jako Minister Sprawiedliwości mianował dyrektorem departamentu w tymże ministerstwie dr. Stefana Głazera, oddanego mu członka Stronnictwa Pracy. Wejście do gabinetu dr. Mariana Seydy oznaczało również wzmocnienie pozycji Sikorskiego. Seyda, wybitny członek Stronnictwa Narodowego, wchodził do rządu wprawdzie za zgodą władz stronnictwa przebywających w Paryżu, lecz nie w charakterze desygnowanego do gabinetu przedstawiciela partii. Godząc się na taką pozycję w gabinecie Seyda, człowiek ambitny i niechętnie poddający się dyrektywom znacznie od siebie młodszego Prezesa Stronnictwa — Bieleckiego, stawał się dla Sikorskiego cennym nabytkiem. Na zewnątrz Sikorski mógł utrzymywać, że Stronnictwo Narodowe jest w rządzie. Naprawdę cieszył się, że go nie ma i że w osobie Seydy znajduje człowieka, ceniącego nade wszystko fotel ministerialny.

Najistotniejszą zmianą personalną było wprowadzenie do gabinetu prof. Stanisława Kota, który zdążył również przyjechać do Paryża. Kot bardziej formalnie członek Stronnictwa Ludowego, faktycznie twórca konspiracyjnych wtyczek Frontu Morges w tym stronnictwie, osobisty przyjaciel Sikorskiego, rozwinął od razu działalność, koncentrując się głównie na tępieniu przeszłości. Sikorski powołał go 7 grudnia do gabinetu, na razie w charakterze ministra bez teki. Od pierwszej chwili było jednak wiadomo, że będzie szarą eminencją rządu i że każde jego zarządzenie premier zaakceptuje.

W chwili więc powrotu Prezydenta Raczkiewicza do zdrowia skład rządu gen. Władysława Sikorskiego wyglądał następująco: Prezes Rady Ministrów, Minister Spraw Wojskowych, i Naczelnny Wódz — Władysław Sikorski, Zastępca Prezesa Rady Ministrów i Minister Informacji i Dokumentacji — Stanisław Stroński, Minister Spraw Zagranicznych — August Za-

leski, Minister Opieki Społecznej — Jan Stańczyk, Minister Skarbu, Przemysłu i Handlu — Henryk Strasburger, Minister Sprawiedliwości — Marian Seyda, Minister — Józef Hal-ler, Minister — Aleksander Ładoś, Minister — Kazimierz Sosnkowski, Minister — Stanisław Kot; Wiceminister Spraw Wojskowych — Marian Kukiel, Wiceminister Spraw Zagranicznych — Zygmunt Graliński, Wiceminister Opieki Społecznej — Karol Popiel, Wiceminister Skarbu, Przemysłu i Handlu — Adam Koc, Wiceminister Skarbu — Alfred Falter, Dyrektor Departamentu Ministerstwa Sprawiedliwości — Stefan Glazer.

Z tego licznego grona ministrów i wiceministrów cieszyli się zaufaniem Raczkiewicza tylko Zaleski, Sosnkowski i wiceminister Graliński. Większość gabinetu tworzyli ludzie oddani Sikorskiemu. Skład rządu był najgłówniejszym faktem dokonaniem Sikorskiego w czasie choroby Prezydenta. W warunkach emigracyjnych rząd odgrywał rolę decydującą.

Dopiero powróciwszy zupełnie do zdrowia Raczkiewicz uprzytomnił sobie w całej pełni wymowę tego co się stało. Zrozumiał, że Sikorski stworzył w łonie gabinetu wyraźny front większości, gotowy do akceptowania wszystkich jego wniosków. Niepokoila Raczkiewicza zwłaszcza obecność w rządzie profesora Kota. Uważał go za intryganta, obciążonego nieuleczalnymi kompleksami. Orientował się, że za radą podobnych mu ludzi Sikorski usiłował wypełniać sobą lukę, spowodowaną jego długotrwałą chorobą. Upajając się hymnami usłużnych pochlebców Sikorski chciał być od razu wszystkim: naczelnym wodzem, premierem i — faktycznym prezydentem.

Z uczuciem niesmaku słuchał chory Prezydent relacji, jak to w miejscach publicznych pochlebcy zrywali się na widok Sikorskiego. Intonowali hymn państwowy, zastępując w nim nazwisko Dąbrowskiego nazwiskiem Sikorskiego. W podobny sposób reagował na wiadomości o różnych, często nieciekawych osobnikach, którzy uciekwszy z objętego pożogą Kraju, zjawiali się we Francji, przedstawiając się w roli ofiar „pułkownikowskiego reżymu”. Dostawszy się do wojska „ofiary” dążyły do wyeliminowania z niego wielu zdolnych oficerów. Część z nich znalazła się w karnych obozach wojskowych — najpierw we Francji, a potem na wyspie brytyjskiej.

Otoczenie Sikorskiego podniecało jego ambicje, grając na urazach generała do pomajowej przeszłości. Zaczęło się jej opluwanie. W akcji tej angażowała się większość przeciwników rządów pomajowych. W zaślepieniu nie zdawali sobie sprawy, że akcja ta podważa w oczach sojuszników znaczenie kampanii wrze-

śniowej, samotnie prowadzonej przez Polskę. Raczkiewicz mając za sobą długoletnie doświadczenie państwowe, zdał sobie szybko sprawę z fatalnych skutków tych niepoczytalnych harców. Toteż od pierwszych dni urzędowania i w czasie choroby usiłował taktownie przeciwdziałać porachunkowym wystąpieniom zwolenników Sikorskiego.

W pierwszych miesiącach pobytu we Francji nie miał jednak pewności czy da to jakiś pozytywny skutek. Tym usilniej, zaraz po objęciu urzędu, zabiegał o względy jednego z największych autorytetów narodowych, sędziwego mistrza tonów Ignacego Paderewskiego. Nie wątpił, że Paderewski, pełen również zadawnionych urazów do rządów pomajowych, uważa go za jednego z przedstawicieli minionego okresu. Ale rozumiał, że pozyskanie względów Paderewskiego może choć w pewnym stopniu przyczynić się do rozładowania nastrojów porachunkowych. Osobiście żywił głęboką cześć dla wielkiego patrioty. I dlatego pisząc 30 września do Paderewskiego przemawiał językiem szczerym.

„Pan Prezydent Ignacy Mościcki — brzmiały słowa listu — przelał na mnie w dniu dzisiejszym urząd Prezydenta Rzeczypospolitej. Jestem świadom wielkiej odpowiedzialności, która została mi przekazana w obliczu pełnej grozy sytuacji, jaka nad Polską zawisła...Cały mój wysiłek wyteżyłem w tym kierunku, by w warunkach w jakich się znalazłem najpełniej zrealizować powołanie Rządu Jedności Narodowej”. „Symbolem niekazitelnego patriotyzmu polskiego — pisał dalej — jest Pan, Panie Prezydencie. Jest Pan wyrazicielem najszlachetniejszym umęczonego narodu. Pragnieniem moim byłoby, by Panu przypadła misja, która spadła na moje barki”. „Wiedziony tymi pobudkami płynącymi z myśli i serca, w tym szczególnym momencie zwracam się z całym serdecznym zaufaniem do Pańskiej Dostojnej Osoby, jako Człowieka, którego imię otoczone jest ciężą powszechną nie tylko wśród Polaków, ale na całym świecie, by zechciał mi okazać swą życzliwość i pomoc”.

W odpowiedzi Paderewski pisał:

„...Pan, Panie Prezydencie, wspólnie z rządem Jedności Narodowej, na którego czele stanął mój długoletni przyjaciel gen. Władysław Sikorski, stanowicie w oczach całego narodu jedną, nierozzerwalną całość, symbol majestatu Rzeczypospolitej, widomy znak naszej niepodległości. Proszę gorąco Boga, aby tę jedność Waszą i braterstwo utrzymać raczej i żeby pracy Waszej błogosławił”.

Już nazajutrz, 1 października, Raczkiewicz wystosował list do przebywającego w Rzymie ks. Kardynała Augusta Hlonda zawiadamiając Prymasa o objęciu urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej.

Kardynał odpowiedział bezzwłocznie. Wyrażał radość z po-



wodu objęcia przez Raczkiewicza urzędu Prezydenta. List kończył takim zwrotem:

„W każdym westchnieniu modlitewnym błagam Wiecznego Władcę ludów i czasów, by z Jego woli i zrządzenia Panu Prezydentowi dane było w niedługim czasie przenieść majestat Państwa Polskiego w granice niepodległej i nieśmiertelnej Rzeczypospolitej, by się w tym celu około dostojnej Osoby Pana Prezydenta, jako około prawowitego piastuna najwyższej władzy Rzeczypospolitej, skupiło we wspólnym zbawczym wysiłku, całe polskie plemię. Są to zarazem moje prymasowskie życzenia, które ze wzruszeniem i z hołdem składałam w ręce czwartego Prezydenta Rzeczypospolitej”.

Obie odpowiedzi, zwłaszcza Paderewskiego, podniosły Raczkiewicza na duchu. Postanowił utrzymywać możliwie jak najczęstszy kontakt korespondencyjny z Paderewskim, świadom, że musi dołożyć bardzo wielu starań by przekonać Paderewskiego, iż szczerze dąży do realizacji celów, które sformułował w swym liście. Wiedział, że Kraj rażony nagłą klęską, okupowany przez dwóch wrogów związanych ze sobą rozbiornym sojuszem skupił wszystkie nadzieje na rządzie polskim w Paryżu, głównie na osobie premiera i naczelnego wodza.

Nadzieje te umacniał w Kraju inny dostojnik kościoła — w odróżnieniu od Kardynała Hłonda — przeciwnik rządów pomajowych, Kardynał Metropolita Krakowski Adam Sapieha<sup>8</sup>. Godna postawa jaką zajął wobec niemieckiego okupanta sprawiła, że po załamaniu się przedwojennych autorytetów wyrósł w Kraju na postać otoczoną powszechnym szacunkiem. Ks. metropolita krakowski bez zastrzeżeń popierał Sikorskiego, natomiast z nieufnością odnosił się do Raczkiewicza. Widział w nim przedstawiciela dawnego systemu rządów. Toteż pragnąc pozyskać zaufanie Kardynała Sapiehy, Prezydent Raczkiewicz odcinał się taktownie od przeszłości. W przemówieniu radiowym wygłoszonym 23 marca 1940 roku do Kraju mówił:

„Nie znaczy to bynajmniej, ażebyśmy nie mieli zapamiętać błędów przeszłości, albo żeby wina tych błędów miała pozostać zamazana. Ale wierzę, że w tych dziejowych chwilach każdy Polak potrafi w zaciętym skupieniu pracować ramię w ramię z wczorajszym przeciwnikiem politycznym, z okiem utkwionym w przyszłość, chociażby serce jego trawiła gorycz i żal przeszłości”.

A dalej:

„Nowe władze polskie zerwały z trybem poprzednich rządów osobistych, które wyrządziły państwu olbrzymie szkody. Toteż Prezydent Rzeczypospo-

---

8. Przed wojną wielkiego rozgłosu nabrali konflikt metropolity z władzami w sprawie pochowania zwłok Marszałka Piłsudskiego na Wawelu.

litej współdziałała zgodnie z Rządem Jedności Narodowej we wszelkich postanowieniach co znalazło swój wyraz dnia 30 listopada 1939 r. w jego oficjalnym oświadczeniu”.

Powołując się na takie deklaracje Raczkiewicz mógł kontynuować zabiegi o pozyskanie zaufania zarówno Ignacego Paderewskiego jak Ks. Kardynała Sapiehy.

W początkach 1940 r. otrzymał z Krakowa list, w którym Kardynał Sapieha wyrażał przede wszystkim radość, że Prezydent korzysta ze „skarbnicy patriotyzmu, doświadczeń, autorytetu moralnego Prezydenta Paderewskiego”. Nawiązując do przemówienia wygłoszonego przez Paderewskiego na otwarciu Rady Narodowej Kardynał pisał:

„W enuncjacji Prezydenta Paderewskiego rozwiązane są bodajże wszelkie obawy jakie by Kraj mógł żywić co do możliwości powrotu do władzy poprzedniego *régime*’u. Bolesna rzeczywistość dnia dzisiejszego posłużyć nam winna za historyczną naukę i niezachwiane wskazanie, że rządy bez istotnej kontroli narodu i jego przedstawicielstwa są w przyszłości Polski niedopuszczalne i nie do pomyślenia”.

Ze słów Kardynała wynikało, że przyłącza się do chóru oskarżycieli dawnych rządów. Był pod tym względem zgodny z Sikorskim i Paderewskim.

W liście Paderewskiego do Kardynała pisanym w kwietniu znajdował się m.in. taki ustęp:

„Sytuacja w chwili obejmowania urzędu Prezydenta Rzeczypospolitej była taka, że o przeprowadzeniu jakichkolwiek pertraktacji z p. Mościckim co do osoby jego następcy mowy być nie mogło. Alianci byli pod wrażeniem, że lada chwila może się wyłonić pod presją okupantów jakiś „rząd” w Kraju i że należy za wszelką cenę ich w tym ubiec. W ówczesnych warunkach nie zdawali sobie sprawy z naszej dojrzałości obywatelskiej, z hartu ducha okazywanego przez Kraj. Nie chcieli wprost wierzyć, że w Polsce nie znajdzie się jakiś Hacha czy inny zdrajca. W tych warunkach generał nie mógł postąpić inaczej, jak tylko stanąć na gruncie konstytucji. Trzeba przyznać, że z możliwych rozwiązań uzyskaliśmy, dzięki opiece Opatrzności, najlepsze”.

I dalej:

„Z całą szczerością przyznaję, że w pierwszej chwili uważałem wybór p. Raczkiewicza, dokonany przez b. prezydenta bez porozumienia się z kimkolwiek, za pewnego rodzaju chęć odegrania się sanacji przez postawienie na naczelnym stanowisku „swojego człowieka”. Jeśli takie były rachuby, to z radością stwierdzam, że one zawiodły. Z Panem Prezydentem utrzymuję stały i bliski kontakt. Zarówno z zamienionych z nim listów, jak i z osobistych rozmów w Paryżu, stwierdzić mogę stanowczo, że jest on ożywiony jak najlepszymi uczuciami, że współpracuje z generałem z całą lojalnością i że służy Polsce ze wszystkich sił”.

Paderewski niejako tłumaczył Kardynałowi Sikorskiego. Wyjaśniał, że generał jedynie zmuszony okolicznościami zgodził się na wybór Raczkiewicza i uznał Konstytucję Kwietniową za podstawę działań władz Rzeczypospolitej na emigracji. Zwrot o wyborze Raczkiewicza „bez porozumienia się z kimkolwiek” miał się z prawdą. Paderewski nie ukrywał również obaw politycznych, jakie budziła w nim osoba Raczkiewicza. Ostatnie zwroty listu wskazywałyby, że w miarę upływu czasu, obaw tych zaczęła się pozbywać.

Czy tak było? Paderewski lojalnie za pośrednictwem swego zaufanego Sylwina Strakacza zapoznał Raczkiewicza z projektem listu do Kardynała. Musiał więc okrasić w nim nieprzyjemne dla Raczkiewicza zwroty kilkoma komplementami. Ale i za to Raczkiewicz był Paderewskiemu wdzięczny. Toteż w każdym liście podkreślał oddanie dla wielkiego patrioty. Dziękując 31 marca za udostępnienie projektu listu do Kardynała pisał:

„Nie ustane w wysiłkach nad harmonizowaniem naszej pracy na obczyźnie w jak najbliższym kontakcie z Panem Prezydentem i Krajem, a przede wszystkim nad ułatwieniem gen. Sikorskiemu spełnienia jego wyjątkowo trudnej, a jakże odpowiedzialnej misji dziejowej. Będę zawsze niezmiernie serdecznie obowiązany Panu Prezydentowi za rady i myśli wielkiego Obywatela, które nigdy nie pozostaną bez zrozumienia oraz głębokiego odczucia”... „Proszę mi wierzyć że zaufanie, jakim Pan Prezydent niezmiernie mnie obdarza jest jasnym promieniem dodającym otuchy w pracy pełnej trosk o lepsze jutro naszego dziś tak okrutnie doświadczonego Narodu”.

Podobnie pisał 1 kwietnia 1940 r. do Księcia metropolity krakowskiego:

„W dręczącym poczuciu naszej obecnej bezsilności, w obliczu męczeństwa Polski, szukamy na obczyźnie ukojenia jedynie w naszej pracy dla krwawiącej Ojczyzny i jej wielkiej, wierzę w to niezłomnie przyszłości. Co do mnie, to osobiście mam tylko jedno pragnienie: aby mi danym było powróciwszy do Kraju złożyć ciężar odpowiedzialności, którą los i poczucie obowiązku na mnie włożył w ręce nowych przez Naród powołanych ludzi. Chcę to móc zrobić z uczuciem, że pierwszemu ich zespołowi, który się tutaj stworzył pod wodzą generała Sikorskiego i w zgodnym wysiłku pracuje, w miarę moich sił w spełnieniu jego misji dziejowej dopomogłem”.

Zabiegi Prezydenta o zjednanie zaufania dwóch wtedy największych autorytetów moralno-narodowych dały niewątpliwie pewien skutek. Nie rozwiały jednak ani w Paderewskim ani w metropolicie krakowskim wątpliwości czy rzeczywiście Raczkiewicz będzie lojalnie współpracował z Sikorskim, to znaczy, czy bez większych oporów gotów jest wykonywać jego decyzje. Raczkiewicz zdawał sobie z tego sprawę. Rozumiał słabość swej pozycji.

Sikorski nie potrzebował zabiegać o względy Kardynała Sapiehy. Cieszył się zaufaniem Paderewskiego. W ogóle zaczynał działalność pod szczęśliwą gwiazdą. Mógł głosić, że jest wcieleniem wszystkich sił demokratycznych odsuwanych przed wojną w Polsce od władzy. Mógł twierdzić, że wykluczenie ich od udziału w rządach przyczyniło się do klęski, a odpowiedzialność za nią spada wyłącznie na rządy przedwrześniowe. Mógł zapewniać Polaków, że on i jego rząd odrobnią błędy przeszłości. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach emigracyjnych deklaracje tego rodzaju zamykały usta przeciwnikom Sikorskiego. Nikt w obronie rzeczywistości przedwrześniowej nie chciał kruszyć kopii. Cieszył się Sikorski poparciem głównego wówczas alianta Polski — Francji, której potęgę wojskowo-polityczną gloryfikował przed wybuchem wojny do ostatka. I rzecz najważniejsza, zdołał stworzyć rząd, którym mógł kierować jak chciał, nie licząc się zbyt z niezależnymi opiniami takich ministrów jak Sosnkowski czy Zaleski. Zdołał przy tym utrwalić zagranicą i w Kraju przekonanie, że jest to rząd jedności narodowej, choć jedność ta była fikcją.

Prezydent Raczkiewicz wraz z gronem bliskich sobie ludzi mógł w pierwszych miesiącach emigracyjnych myśleć jedynie o obronie swej pozycji.

### *Porachunek z przeszłością*

Powołanie jakiejś namiastki parlamentu w postaci Rady Narodowej stanowiło od powstania rządu troskę Sikorskiego, dbałość o zachowanie demokratycznych pozorów. W rzeczy samej chodziło mu przede wszystkim, by mieć organ aprobujący wszystkie poczynania rządu. Dlatego kompetencje Rady ograniczono do zakresu doradczo-opiniodawczego. Tak przy tym Radę zrekonstruowano, by zasiadła w niej większość zwolenników premiera. Wprowadzając ich do Rady chciał Sikorski zaspokoić ambicje stronnictw. Wiele tek ministerialnych obsadził przybyłymi wcześniej do Paryża politykami. Dla reszty pozostała Rada. W otoczeniu Sikorskiego mówiło się wiele o tym zaspakajaniu ambicji stronnictw śmiejąc się z niektórych nominacji. Chodziło wreszcie Sikorskiemu o wyeliminowanie z Rady piłsudczyków. Po przyjeździe Kota do Paryża było rzeczą wiadomą, że Sikorski nie będzie się z nimi liczył, jak się na to zanosilo w pierwszych tygodniach, ale zmierzać będzie do likwidacji roli politycznej piłsudczyków na uchodźstwie.

Inaczej do zagadnienia podchodził Raczkiewicz. Pragnął w

Radzie Narodowej widzieć organ wyposażony w duży autorytet moralno-polityczny. Chciał przy jego pomocy hamować autorytatywne dążenia Sikorskiego i jego otoczenia.

Sikorski zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego śpieszył się z montowaniem składu Rady, wykorzystując chorobę Prezydenta. W ciągu listopada toczyła się między obu cicha walka o obsadę personalną owej namiastki parlamentu.

Niektóre nazwiska, jak Ignacego Paderewskiego, ks. biskupa Gawliny czy gen. Lucjana Żeligowskiego, nie budziły wątpliwości. Były to niejako wspólne kandydatury Prezydenta i Premiera. Niechętnie musiał się Sikorski pogodzić z myślą, że w Radzie zasiądzie przybyły do Paryża Prezes Stronnictwa Narodowego Tadeusz Bielecki. Inaczej Raczkiewicz. Widząc uległość Mariana Seydy wobec Sikorskiego, cieszył się z obecności Bieleckiego w Radzie i że rola w niej reprezentantki kobiet przypadnie b. posłance ze Stronnictwa Narodowego, Zofii Załeskiej.

PPS miało mieć w Radzie trzech przedstawicieli: dr. Hermana Liebermana, adwokata Tadeusza Tomaszewskiego i Alojzego Adamczyka. Pierwszy uchodził za bardzo bliskiego człowieka Sikorskiego, drugi za bliskiego Prezydentowi.

Do oddanych Sikorskiemu należeli: Stanisław Mikołajczyk i dr Jan Jaworski ze Stronnictwa Ludowego, Arkadiusz Bożek, przedwojenny działacz ze Śląska Opolskiego, ks. Jan Brandys ze Stronnictwa Pracy oraz bliski temu stronnictwu, poseł w ostatnim sejmie — Stanisław Józwiak z Poznańskiego.

B. ambasador Tytus Filipowicz, o przeszłości piśsudczyka, bliższy był raczej Prezydentowi. Ale i na niego liczył Sikorski, wiedząc, że kłócił się z sanacją. Publicysta wileński Stanisław Mackiewicz miał w Radzie reprezentować koła konserwatywne. Fakt, że przez krótki czas był więźniem Berezcy, kwalifikował go w oczach Sikorskiego na wroga dawnego reżymu. W przekonaniu tym utwierdziły go wiadomości, że Raczkiewicz nie był entuzjastą kandydatury Mackiewicza. Inny znany pisarz Zygmunt Nowakowski, autor uszczypliwych felietonów przedwojennych kierowanych pod adresem różnych wielkości sanacyjnych, miał w Radzie reprezentować sfery intelektualne. Dr Ignacy Schwarzbart wchodził do Rady jako przedstawiciel Żydów. Oblicze polityczne radców narodowych przechylało szalę na rzecz Sikorskiego. Nie udało mu się jednak zapewnić w Radzie wpływu bezwzględ- nego.

Pierwszy skład Rady został zatwierdzony przez Prezydenta Rzeczypospolitej i Premiera dnia 11 grudnia. W tym dniu powstała Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej.

Dekret z 21 grudnia powołujący Radę, nazywa ją „organem doradczym Prezydenta Rzeczypospolitej”. „Rada wydawać będzie opinie — brzmiały słowa dekretu — we wszystkich sprawach wniesionych przez Rząd na jej sesję”. W szczególności Rada ma wypowiadać opinię w sprawie budżetu państwa, może zgłaszać wnioski w sprawach dotyczących potrzeby wydania odpowiednich dekretów i zarządzeń, może z własnej inicjatywy opracowywać zasady przyszłego ustroju państwa, zwłaszcza ordynację wyborczą do Izby Ustawodawczych. Zakres uprawnień Rady wyglądał więc skromnie. Ilość radców mianowanych przez Prezydenta RP na wniosek prezesa Rady Ministrów ustalona została najmniej na dwunastu, najwyżej na 24-ech.

18 stycznia nominowani zostali dalsi członkowie Rady: Michał Kwiatkowski, wydawca „Narodowca” we Francji, ze Stronnictwa Pracy, oddany Sikorskiemu; Józef Szczerbiński bezpartyjny i Józef Szymański również bezpartyjny, jako przedstawiciele starej emigracji polskiej we Francji. Już po otwarciu Rady w końcu stycznia i po jej pierwszej sesji 28 marca został członkiem Rady socjalista Adam Ciołkosz na miejsce Tadeusza Tomaszewskiego, który musiał ustąpić z Rady w związku z objęciem stanowiska Prezesa Najwyższej Izby Kontroli Państwa.

Rada uchwaliła niezwykle długi regulamin ujęty w 108 artykułach i podzieliła się na cztery komisje: gospodarczo-budżetową, wojskową, spraw zagranicznych i prawno-konstytucyjną.

Uroczyste otwarcie Rady Narodowej odbyło się 23 stycznia 1940. Wygłosił na nim patriotyczne przemówienie jej tytułarny przewodniczący, Ignacy Paderewski. Na wiceprzewodniczących powołano: Stanisława Mikołajczyka, Tadeusza Bieleckiego i Hermana Liebermana.

Przemówienie Paderewskiego pozbawione było akcentów porachunkowych z przeszłością co — jak potem mówiono — bardzo się nie podobało Sikorskiemu i oddanym mu nominatom. Ale nie przejmował się tym. Nie przejmował się w ogóle Radą Narodową. Jego lekceważący stosunek do tej instytucji najlepiej ilustruje opinia wyrażona 22 lutego 1940 na łamach paryskiego „Słowa”, organu Stanisława Mackiewicza. „Rada Narodowa — pisało „Słowo” — została, jak wiadomo, zapowiedziana w początkach grudnia, mianowana w początkach stycznia, odbyła jedno posiedzenie w początkach lutego, ma się ponownie zebrać w początkach marca”...

W dwadzieścia lat potem Mackiewicz napisze o Radzie Narodowej którą propaganda Sikorskiego określała jako „wyraz zbiorowej woli narodu” że było to ciało złożone z przedstawicieli „rzekomo najsilniejszych partii polskich, oraz kilku osób luźnych,

które się pod ręką znalazły”. A jak oceni jej działalność? Rada Narodowa

„nie zajmowała się huraganem dziejowym; zajmowała się walką ze zmarłym 4 lata wcześniej Józefem Piłsudskim i z sanacją, oraz walkami między sobą. Każdy minister miał tu swoich stronników i w ten sposób podstawił nogę innemu ministrowi. Za szybami była wojna i wielkie manewry dyplomatyczne, ale nie patrzono przez okna, zresztą była tam noc, w której nic nie umiano odróżnić. Na polityce zagranicznej znano się tyle, ile kura na pieprzu. Natomiast walki z sanacją były święte, walki międzykliczkowe były pasjonujące”.

Trudno jest coś dodać do tej obrazowej charakterystyki „gro-na ludzi z małego domku”. Ale właśnie tak skonstruowany „dommek” odpowiadał Sikorskiemu. Mógł się z jego mieszkańcami nie liczyć. Ważne było to, co zdecyduje rząd. Mimo to dbał zawsze o podkreślanie swych demokratycznych poglądów. Potrzebne mu to było dla zaznaczania kontrastu między nim, a ludźmi którzy rządząli Polską przed wrześniem.

Z okazji Nowego 1940 roku wygłosił do członków rządu znamienne pod tym względem przemówienie.

„Dwie przesłanki — mówił — rozstrzygają o celowości naszej pracy, pojętej nie jako służba dla jednego człowieka, ani nawet grupy ludzi, a jedynie jako najszlachetniejsza służba dla Polski.

Pierwsza, to szczerze i stanowcze zerwanie z rządami pozbawionymi wszelkiej kontroli, działającymi poza, a nawet ponad opinią publiczną narodu. Wiele było przyczyn, jak na to wskazują ogłoszone obecnie dokumenty, naszej strasznej klęski. Winnych osądzi historia oraz Naród, ponoszący w następstwie tej klęski okropne ofiary. Jedną z jej głównych przyczyn był niewątpliwie potępiony przez społeczeństwo system rządów. Drugą przesłanką naszej pracy jest obowiązująca dziś zasada: właściwy człowiek na właściwym miejscu. Pragnąłbym, aby szanowni panowie wiedzieli, że odtąd o miejscu jakie każdemu z nas przypada w wysiłku zbiorowym na rzecz wielkiego w tym nieszczęściu Kraju, decydują wyłącznie kwalifikacje moralne i fachowe”...

W tej patetycznej deklaracji, godnej sztandarowego demokracji, zwrot o potępianym przez społeczeństwo systemie rządów, który stał się jedną z przyczyn straszliwej klęski, niósł zapowiedź bliskiej rozprawy z przeszłością. Gromy towarzyszące temu porachunkowi miały stwarzać rodzaj zasłony dymnej za którą Sikorski mógł rządzić bez kontroli, nie licząc się z tym, czy w doborze współpracowników będzie się kierować głoszoną zasadą kwalifikacji moralnych i fachowych. Z tą fachowością i poziomem dobieranych współpracowników było źle od samego początku. Na parę dni przed noworocznym przemówieniem, w okólniku „w sprawie należytego funkcjonowania aparatu państwowego” („Mo-

„nitor Polski”, Nr 202) Sikorski przyznawał że „spory kompetencyjne i zadrażnienia personalne hamują pracę twórczą i pozytywną”. „Nie czas dzisiaj na animozje ani ambicje osobiste” czy „jałowe tarcia wewnętrzne i nieuzgodnione, a czasem wprost sprzeczne wysiłki”.

Pierwsze posiedzenie rady ministrów odbyło się 2 października 1939 r. pod przewodnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej. Ogółem w październiku odbyło się ich pięć. Obrady wypełniały przeważnie sprawy bieżące i organizacyjne. W listopadzie posiedzenia Rady Ministrów były rzadsze. 14 listopada Sikorski w towarzystwie Zaleskiego udał się po raz pierwszy do Wielkiej Brytanii, skąd wrócili 20 listopada. 23 listopada odbyło się pierwsze posiedzenie gabinetu w Angers, mieście przeznaczonym na siedzibę polskich władz rządowych.

Już na Radzie Ministrów 1 grudnia zaznaczyły się pewne różnice poglądów w sprawie winnych klęski wrześniowej, ale szybko były łagodzone. Wkrótce jednak rzeczy uległy zmianie. Od stycznia — pisze W. Pobóg-Malinowski — „największą troską rządu, spędzającą mu sen z powiek, była sprawa internowanych w Rumunii przedwrześniowych dostojników państwowych. Nie schodziła ona z porządku dziennego Rady Ministrów”.

9 stycznia Sikorski zawiadomił rząd o nieoczekiwanej propozycji gen. Denain użycia na froncie fińskim „formacji polskich, tworzonych na terytorium francuskim”. Był zdania, że propozycję należy odrzucić. Zdawało się, że sprawa jest na tyle ważna, iż można nie zaprzętać uwagi rządu nastrojami panującymi w społeczeństwie uchodźczym i w wojsku. Ale wietrząc wszędzie działania zwolenników rządów przedwrześniowych Sikorski nie może się powstrzymać. Narzeka na oficerów. Grozi im sankcjami karnymi. Powód? Nastroje antysemickie. Na tym samym posiedzeniu oburza się na b. posła Bitnera, że złożył jakiś memoriał francuskiemu podsekretarzowi stanu, Champetier de Ribes.

I odtąd stale będzie się na kogoś oburzał i komuś groził przy wtórze większości ministrów. Raz będzie chodziło o część emigracyjnej prasy, innym razem o wojskowych, ale głównie o ludzi związanych z przedwrześniową przeszłością i o ich prawdziwą czy wymaginowaną działalność antyrządową. Tego konia dosiada najchętniej.

Szkalowanie przeszłości należy zresztą w polskim Paryżu do dobrego tonu. „Trzeba mieć nadzieję — pisze „Słowo” Mackiewicza — że Niemcy nie wytną wszystkich drzew w Polsce i zostanie ich dość dla przygarnięcia potentatów, co nami do 17 września rządzieli. Wszyscy ci ludzie nie byli w stanie kie-



rować z sensem parą mułów, a — cóż dopiero milionami ludzi”. Mackiewicz, który z perspektywy lat powie trafnie, że walki z sanacją były święte tzn. przesłaniały Sikorskiemu i jego rządowi sprawy kapitalnej dla Polski wagi, sam pisał wówczas, że przedwojennej „gnojówki pudrować nie będzie”. A jego przyjaciel i bliski współpracownik, podpisujący się inicjałami K.Z. nie tylko troszczył się o zachowanie drzew, na których po wojnie będzie wieszać „potentatów co nami do 17 września rządzą”, ale specjalizował się w karczemnych wymysłach rzucanych na ich głowy.

Na Radzie Ministrów 24 stycznia znalazła się ważna sprawa niedomagań organizacyjnych armii polskiej, zawinionych przez Francuzów. Sikorski przyznawał, że nie chciał jej ujawnić ale w przyszłości będzie mówić prawdę. Wydawało się że temat tak zasadniczy, jak odpowiednie wyposażenie oddziałów wojska polskiego, które miały być użyte do walki z Niemcami, wypełni porządek dzienny posiedzenia Rady Ministrów. Nic podobnego. Na posiedzeniu wyłynęła sprawa, która pochłonięła uwagę ministrów i premiera. Chodziło o Najwyższą Izbę Kontroli Państwa (NIK).

Dyskusję otworzył spec od wietrzenia antyrządowych knowań — Stanisław Kot. Wypowiadał się przeciwko rozszerzaniu aparatu kontroli. Dowodził, że na razie nie ma czego kontrolować. Dlaczego więc zgłaszał zastrzeżenia? Z dwóch powodów: Uważał, że należy przede wszystkim zająć się zbadaniem gospodarki... poprzedniego rządu. Ponadto wyrażał obawę, by do poszerzonego aparatu NIK'u nie weszli ludzie, którzy „gorliwie popierali poprzedni rząd!” Potępiana w czambuł przeszłość posłużyła mu za argument przeciwko rozszerzaniu NIK'u, który miał kontrolować gospodarkę finansową rządu. A przecież Sikorski wciąż podkreślał, że nie chce „władzy niekontrolowanej” i wręcz domaga się kontroli wszystkich kroków rządu.

Premier tymczasem sekundował Kotowi. Informował członków rządu, że właśnie przed posiedzeniem doszło do starcia między nim i prezesem Najwyższej Izby Kontroli Państwa socjalistą T. Tomaszewskim. Tomaszewski wystosował nawet do premiera list, zawierający „groźby” pod adresem rządu. Tendencje, które zdradza p. Tomaszewski w traktowaniu sprawy kontroli — mówił Sikorski — są niebezpieczne, jeśli się uwzględni skład osób, które zamierza wprowadzić do swego urzędu. Dobór ich jest jednostronny.

Do wywodów premiera przyłączył się towarzysz partyjny Tomaszewskiego, minister Opieki Społecznej Jan Stańczyk, re-

prezentujący w rządzie PPS, specjalizujący się także w miotaniu gromów na przedwrześniową przeszłość.

Czasem w zespole oddanych premierowi ministrów występowały zgrzyty. W połowie lutego Stańczyk zaatakował działalność Ministerstwa Informacji. Posługiwane się w Londynie panem Retingerem — mówił — nie daje wyników. Wbrew opinii głoszonej przez Strońskiego, ministra tego resortu, Retinger nie posiada kontaktów z brytyjską Labour Party. Jednocześnie Stańczyk zażądał zwiększenia dotacji finansowej dla swego towarzysza z PPS, J. Szapiry, przebywającego w Londynie. Stroński bronił swego resortu. Dowodził, że zarzuty przeciwko jego dwóm współpracownikom londyńskim — J. Retingerowi i S. Litauerowi są bezpodstawne.

Ale nad tego rodzaju „rodzinnymi” sporami Sikorski szybko przechodził do porządku dziennego. Niepokoiły go wyraźnie zarysowujące się już nastroje niezadowolenia w społeczeństwie uchodźczym i w wojsku. Uważał, że są one skutkiem inspiracji kół związanych z przedwrześniową przeszłością.

W Lyonie doszło do wrzenia wśród lotników rozczarowanych warunkami i beczynnością władz francuskich. Sikorski udał się na miejsce, by osobiście zbadać przyczyny fermentu. Wrócił uspokojony. Tłumaczył 13 lutego członkom rządu, że ferment wywołany był „nadmiarem patriotyzmu” lotników.

Często w atakowaniu kół „podejrzanych” wyręczają premiera inni członkowie gabinetu. Było tak na posiedzeniu 1 marca.

Atak rozpoczął Popiel. Ubolewał, że rząd nie rozporządza sankcjami przeciwko uchodźcom polskim, którzy uchylają się od rejestracji w urzędach polskich. „Reżymowcy” — mówił — ustawicznie plotkują. Ośrodkiem „antyrządowych knowań” jest byłły ambasador RP w Paryżu Juliusz Łukasiewicz. Sikorski włączył się do dyskusji. Poinformował rząd, że na jego rozkaz skonfiskowano tygodnik „Czarne na białym”, redagowany przez płk. Jana Grzędzińskiego. Do wywodów premiera przyłączył się zaraz Stroński. Narzekał również na niektórych publicystów, jak S. Mackiewicz. Zarzucał, że nie powstrzymują się od niepotrzebnych polemik. Radio miało nawet puścić artykuł Mackiewicza o rzekomej odpowiedzialności wszystkich za klęskę wrześniową! Kot również atakował Mackiewicza. Przede wszystkim jednak zajął się osobą płk. Kary, polskiego cenzora przy cenzurze francuskiej. Uznał, że ze względu na przeszłość polityczną Kary nie jest on właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Popiel wrócił do Mackiewicza. Domagał się m.in., aby potępił swego brata — Józefa za jego polityczne wystąpienia na Litwie. W tym chórze nie zabrakło oczywiście Stańczyka. Zaatakował oficerów

II Oddziału i pytał, kiedy wreszcie nada się bieg wnioskowi o pociągnięcie do odpowiedzialności winowajców klęski wrześniowej. Żądał wymienienia nazwisk winowajców.

W związku z wystąpieniem Stańczyka okazało się, że trójosobowy zespół (Kot oraz dwaj prawnicy Glazer i Szurlej) skończył badania, czy można na emigracji powołać Trybunał Stanu. Badania dały negatywny wynik wobec czego Kot i Seyda wypowiedzieli się za utworzeniem specjalnej komisji, która zajęłaby się ustaleniem listy osób, odpowiedzialnych za klęskę wrześniową.

Przebieg posiedzenia nie budził wątpliwości, że Sikorski i jego otoczenie zmierzają do przyśpieszenia rozprawy z przeszłością, a winnych szukają wszędzie, zarówno w wojsku, jak wśród „plotkujących” uchodźców cywilnych.

16 marca znowu rząd debatuje o przeszłości. Najpierw Sikorski komunikuje z zadowoleniem, że po konferencji z prasą, sami redaktorzy zgodzili się na polską cenzurę. A Kot, wciąż zaniepokojony „sanacyjną” przeszłością pułkownika Kary, dodaje, że prasa „domaga się”, aby stanowisko cenzora polskiego objął b. redaktor warszawskiego „Kuriera Polskiego”, Marcei Karzewski.

Właściwa debata toczy się jednak wokół wniosku uchwalonego 30 listopada przez Radę Narodową w sprawie powołania komisji do zbadania przyczyn klęski kampanii wrześniowej. Zabiera głos August Zaleski. Stara się wylać trochę zimnej wody na głowy roznamiętnionych tematem ministrów. Mówi o rozmowie z ambasadorem brytyjskim przy rządzie polskim, Kennardem. Przytacza jego opinię, że wszelkie porachunki z „*ancien régime*” ambasador uważa w chwili obecnej za niefortunne. Co więcej, Kennard zapowiada w Anglii ostrą krytykę uchwały Rady Narodowej. Zdaniem Anglików nie ma bowiem rządu, który nie robiłby głupstw, stwarzających podstawy do rzucania potępień przez rząd następny.

Opinia dyplomaty brytyjskiego nie podziałała ani na Sikorskiego, ani na większość ministrów. 29 marca porachunek z przeszłością rozgorzał na nowo.

Okazję dała dyskusja budżetowa. Zapoczątkował ją Stańczyk. Domagał się wydzielenia pewnych sum, przeznaczonych na szkoły polskie na emigracji. Wykłady w tych szkołach — dowodził — odbywają się w dalszym ciągu na podstawie sanacyjnych podręczników, szerzących między innymi kult Śmigłego-Rydza. Sumy przeznaczone na te cele nadużywano przed wojną do agitacji sanacyjnej i do tępienia prądów opozycyjnych wśród emigracji. Ludzie — grzmiał — którzy to robili, pozostają jeszcze na daw-

nych stanowiskach! Stańczyk nie zapomniał o subwencjach rządowych dla „Światpolu”. Twierdził, że organizacja ta, której przewodził Raczkiewicz, służyła do rozbijania przedwojennej opozycji. Powtórzył zastrzeżenia zgłaszane co do składu personalnego Oddziału II.

W dyskusji nad budżetem Ministerstwa Spraw Wojskowych zabrał głos Sikorski. Zdawało się, że pragnie złagodzić wystąpienie Stańczyka. Dywersyjna robota przeciw rządowa wymaga oczywiście baczości — mówił — ale nie jest poważna. Filary jej zachowują się jak sztubacy. Generałowie: Dąb-Biernacki i Stachiewicz piszą do naczelnego wodza listy, zdradzające brak wszelkiej godności.

Tematyka porachunkowa zaprzęta uwagę Rady Ministrów także w kwietniu. Znowu w roli „moralnego sanatora” występuje Stańczyk. 5 kwietnia wysuwa zastrzeżenia przeciwko robocie wojskowej na Kraj. Odpowiedzialnego za ten resort ministra Sosnkowskiego, nie ma na posiedzeniu. Ale to nie powstrzymuje Stańczyka od ataku. Zdaniem jego wyolbrzymia się w ogóle znaczenie roboty krajowej. Tymczasem w resorcie tym działa „mafia”. Dąży ona do przygotowania w Kraju rządu z którym rząd Sikorskiego musiałby po powrocie do Kraju prowadzić otwartą wojnę. Stańczyka popiera Popiel. Od siebie dodaje, że emisariusze „mafii” docierają nawet do Ameryki. Sikorski tłumaczy, że generał Sosnkowski odciął się od działalności owej „mafii”. Kot wzywa do przeciwdziałania agitacji wmawiającej społeczeństwu w Kraju jakoby w rządzie istniały poważniejsze rozdźwięki. Sikorski zapewnia Kota, że rozprawi się z tymi plotkami.

Co zaalarmowało rząd, że znowu tyle czasu poświęcił rozprawie z widmami przeszłości? Pytanie wyjaśnił Popiel. W nowojorskim „Nowym Świecie” ukazał się wywiad z byłym ministrem J. Beckiem. Zdaniem Popiela wywiad jest sygnałem rozpoczęcia kampanii antyrządowej. Wydawcę „Nowego Świata”, Węgrzynka, nazwał Popiel „sanatorem”, zalecając by postarano się o uszczuplenie jego dochodów...

Obecny na posiedzeniu 26 kwietnia Sosnkowski zastrzegł się przeciwko pomawianiu go o tolerowanie „mafii” i udzielanie jej przytułku w krajowej organizacji wojskowej. Dziękował premierowi, że w czasie jego nieobecności wziął go w obronę.

Stańczyk zaraz odpowiedział. Istnienie „mafii” — mówił — niczym nie obciąża generała Sosnkowskiego. Poruszając ten temat miał on jedynie na myśli „zorganizowanych wrogów rządu”, nadużywających dla swych celów imienia Sosnkowskiego. Są oni wszędzie: w Rumunii, na Węgrzech i we Włoszech. Osobiście ma do Sosnkowskiego pełne zaufanie.

I na tym posiedzeniu znaleziono czas na porachunek z przeszłością, choć na porządku dziennym figurowała sprawa, o której Sikorski powie, że ma „przełomowe znaczenie”. Rada ministrów dowiedziała się w tym dniu od premiera, że „Polska występowała po raz pierwszy w charakterze pełnoprawnej sojuszniczki mocarstw zachodnich” w Komitecie Najwyższej Rady Wojennej Sprzymierzonych. Nie było to ściśle. Uzyskane w drugiej połowie lutego prawo uczestnictwa w Komitecie ograniczono tylko do spraw „mogących interesować Polskę”. Niemniej temat był tak ważny, że mógł bez reszty wypełnić całe posiedzenie. Ponadto znalazły się na nim sprawy mniej ważne, ale godne uwagi, jak fakt uchylania się większości Ukraińców (68%) i Żydów (80%) od służby w wojsku polskim. Ale — jak zawsze — nawet najważniejsze zagadnienia nie są w stanie odwrócić uwagi członków rządu od tematyki porachunkowej.

Czy zniknie z posiedzeń w tragicznych chwilach załamania Francji w maju i czerwcu? Czy większość ministrów z Sikorskim na czele zapomni o niej, gdy nagle uzmysłowi sobie prawdę, że Francja dopiero w obliczu klęski zaczyna brać na serio wojnę i że nie umiała dotychczas wyciągnąć żadnej nauki z doświadczeń wojny polsko-niemieckiej?

To spóźnione odkrycie dominuje nad obradami rządu 8 maja. Sikorski uderza nawet w krytyczne tony pod adresem sprzymierzeńca Polski. Przyznaje, że na Quai d’Orsay dojrzewają tendencje rusofilskie i że mierzą one w nasze granice wschodnie. „Za poufną aprobatą odpowiednich czynników Quai d’Orsay — mówił — przygotowuje się w kilku językach książka niezmiernie szkodliwa dla Polski”. Cenzura francuska skreśliła mu ustępy przemówienia, odnoszące się do Wileńszczyzny i sprawy powrotu wszystkich ziem do Polski. Groził na Quai d’Orsay złożeniem premierostwa. Oświadczył Francuzom, że reprezentuje rząd, który nie będzie przykładął ręki do aktów oznaczających czwarty rozbiór Polski. Taki rząd nie mógłby pokazać się w Kraju.

Premiera poparł Seyda mówiąc o „wielu politykach francuskich ulegających wpływowi rosyjskim i odmawiających Polsce praw do Kresów Wschodnich”.

Sosnkowski podzielał obawy Sikorskiego. Zaproponował jak najszybsze przystąpienie do opracowania ofensywnych polskich celów wojennych, bez czego może Polsce grozić zaskoczenie.

Na tymże samym posiedzeniu Sikorski zapowiedział wizytę z Zaleskim w Londynie. Może w związku z nią przypomniał sobie uwagi ambasadora Kennarda na temat porachunków z przeszłością. Nieoczekiwanie bowiem zwrócił się do Rady Ministrów

o zgodę na przyjazd do Francji kilku członków dawnego rządu.

Nad propozycją premiera rozwinęła się cała debata. Pierwszy zabrał głos Kot. Godził się na propozycję, wypowiadał się jednak za segregacją. Lepiej — mówił — nie zostawiać ich razem. Byłych ministrów dzielił na dwie kategorie: lojalnych i nielojalnych wobec rządu. Do pierwszej zaliczał: Kwiatkowskiego, Kalińskiego, nawet b. premiera Sławoj-Składkowskiego i dwóch ex-podsekretarzy stanu: Argasińskiego i Chełmońskiego. Inaczej potraktował Becka jako „uprawiającego na terenie międzynarodowym intrygi przeciwko rządowi”. Również Poniatowskiego, Grabowskiego i Ulricha. O generale Kasprzyckim i ministrze Romanie — mówił — nie warto nawet wspominać. Lubując się w temacie wyjaśniał, że „główną” postacią akcji antyrządowej na terenie Rumunii jest b. dyrektor departamentu konsularnego M.S.Z. T. Drymmer, a jego wiernym pomocnikiem konsul Wdziękoński. Proponował skierować niepożądanych ex-ministrów do kolonii francuskich, a Składkowskiego ulokować gdzieś na południu Francji. Wszyscy byli ministrowie — dodawał — muszą być w każdej chwili do dyspozycji komisji powołanej w związku z kampanią wrześniową.

Nie skończyło się na tym dwugłosie. Większość ministrów — gdy o porachunek z przeszłością chodzi — zawsze chciała się wypowiedzieć. Stroński naśladując „jenerała”, przemawiał w tonie koncyliacyjnym. Tłumaczył, że wśród dygnitarzy dawnego rządu są i tacy, którzy mogą się przydać. Zaliczał do nich E. Kwiatkowskiego, do nieprzydatnych — b. Marszałka Sejmu, W. Makowskiego.

Nieprzejednane stanowisko zajął Stańczyk. Sprzeciwiał się „wszelkim gestom”. Biadał, że dotąd nie uchwalono jego wniosku o „moralnym potępieniu dygnitarzy b. reżymu”. Nie godził się z twierdzeniem, że podnoszenie tej sprawy pozbawiło Polskę udziału w Najwyższej Radzie Alianckiej. Nie godził się z wywodami Zaleskiego, który uważał za niedopuszczalne narażenie Becka na dostanie się w ręce niemieckie. Wypowiadał się przeciwko okazywaniu jakichkolwiek względów Składkowskiemu, nazywając go — sadystą. W sukurs Stańczykowi przyszedł Strasburger. Przestrzegał rząd by nie ułatwiano przyjazdu członkom byłego rządu w czasie gdy tyle wartościowych jednostek czeka na wyjazd do Francji. Stańczyka poparł Popiel. Przypomniał, że i tak jest dość we Francji przeciwników rządu rozwijających szkodliwą działalność. Wymienił wśród nich M. Grażyńskiego, b. wojewodę śląskiego i ministra rządu Składkowskiego.

Jak zreasumował debatę premier?

Choć zaczynał umiarkowanie, kończył w tonie Stańczyka i

Popiela. Najlepiej byłoby — mówił — wysłać dawny rząd do Egiptu. Trudność jednak polega na tym, że ministrowie dawnego rządu przedostałyby się bez trudu z Egiptu do Anglii, co oczywiście byłoby niepożądane. Panowie ci — mówił — mogliby służyć czynnie Krajowi tylko w Legii Oficerskiej, jeśli taka powstanie. Kończąc, zaproponował celem rozpatrzenia sprawy powołanie odrębnej komisji ze Stańczykiem na czele. Miałyby zdecydować o wyjeździe członków rządu Składkowskiego z Rumunii i o ewentualnym przyjeździe niektórych do Francji. Wniosek przyjęto. Do komisji weszli: Stańczyk, Strasburger i Zaleski, jako reprezentant mniejszości usiłującej wpływać hamująco na większość ministrów.

Po uchwaleniu wniosku zabrał głos profesor Glaser. Referował z polecenia premiera „projekt Dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej o powstaniu komisji w związku z wynikiem kampanii wojennej 1939 roku”. Wyjaśnił, że projekt różni się od rozesłanego uprzednio. Uzgodniono go z szefem kancelarii Prezydenta gdyż Prezydent w sprawie pewnych punktów projektu zgłosił zastrzeżenia. Zastrzeżenia te zreferował wiceminister Graliński, wyjaśniewszy, że czyni to po rozmowie z Prezydentem.

Na razie Stańczyk nie chciał w ogóle dyskutować projektu dekretu w nowej formie. Potem wycofał się, podkreślił jednak, że projekt nie daje „satisfakcji społeczeństwu, a ogranicza się wyłącznie do zbierania zeznań”.

Wielką mowę wygłosił Kot. Ubolewał, że w sprawie projektu zastosowano odmienną procedurę. Dawniej przedstawiano Prezydentowi dekrety w formie uzgodnionej opinii całego rządu. Nowy projekt nie odzwierciedla opinii rządu pragnącego wprowadzić w życie uchwałę Rady Narodowej. Tym bardziej nie oddaje zgodnej w tej sprawie opinii Kraju. Projekt — mówił Kot — jest wynikiem kompromisu „przeforsowanego przez szefa kancelarii Pana Prezydenta”. Lecz czas nagli. Wypowiada się przede wszystkim natychmiastowym uchwaleniem projektu, choć go nie zadawalnia. Bo — jak twierdził — znikają dokumenty, wymierają ludzie i „coraz trudniej o uchwycenie winowajców, odpowiedzialnych za niebywałą klęskę narodu i państwa”. Nie wolno ułatwiać im roboty. Społeczeństwu należy powiedzieć, że musi się na razie zadowolnić moralnym potępieniem winowajców.

W dyskusji zabrało głos jeszcze kilku mówców. Popiel biadał na „ciągłe przyjmowanie byłych sanatorów na różne stanowiska”. Onieśmiela to — narzekał — wielu którzy mogliby służyć „cenne zeznania”. Profesor Glazer, popierając Popiela, domagał się sankcji na byłych dygnitarzy, którzy — jak Beck — odmawiają wszelkich zeznań komisji badawczej. Zabierali jeszcze

głos: Sosnkowski, Stroński i Graliński. Debatę zakończyło uchwalenie nowego projektu dekretu.

Nie należy zapominać, że ta wielka debata toczy się dosłownie w przede dniu ofensywy niemieckiej na Holandię, Belgię i Francję. Któż jest jej przeciwny? Zaleski. Popiera go Graliński. Jak widać Prezydent usiłuje złagodzić ostrze pomysłów zrodzonych w głowach Sikorskiego, Kota, Stańczyka, Popiela czy Strasburgera. To samo Sosnkowski, choć stara się nie zabierać głosu w sprawach wewnętrznych. Ale usiłowania odnoszą znikomy skutek.

Porachunek z przeszłością przesłaniać będzie Sikorskiemu obraz sytuacji militarnej Francji. Nie tylko Sikorskiemu. Dokładnie na trzy miesiące przed rozpoczęciem ofensywy niemieckiej, 10 lutego, dziennikarz podpisujący się inicjałami K.Z. tak będzie pouczać rodaków w paryskim „Słowie”: „Wracając do Polski z francuskim bagnetem w rękę dobrze zrobi przynieść też w głowie trochę francuskich metod życia i pracy”. Myśl zawarta w tym zdaniu wyrażała przekonanie, że Kraj w którym się Polacy znaleźli, winien być dla nich wzorem wielu cnót i że odniesie on, jak w czasie pierwszej wojny światowej, niechybne zwycięstwo nad Niemcami.

Opinie te utrwał naczelnny wódz i premier do końca nawet wtedy, gdy — jak powie świadek tych tragicznych chwil, Zygmunt Nowakowski („Dziennik Polski”, 11.7.63) „od Francji wiało klęską. Można było od razu przewidzieć, że gdy przyjdzie co do czego, strzelą karabinem ale o bruk ulicy. Tańczyć będą i śpiewać gdy radio otrąbi zawieszenie broni w dniu, w którym na placu pozostaną tylko polscy żołnierze osłaniający bezładny odwrót tych, którzy są w wojnie... z powodu Polski”. Sikorski będzie optymistą nawet 20 maja, gdy pod naporem ofensywy niemieckiej załamuje się opór armii francuskich. Na Radzie Ministrów mówi o skutecznych przeciwdziałaniach aliantów. Twierdzi, że rozmach niemieckiej ofensywy wyraźnie słabnie, że rosą stale trudności zaopatrzeniowe i komunikacyjne atakujących armii niemieckich, że czołgi francuskie górują nad niemieckimi i że również lotnictwo sprzymierzonych jakościowo góruje nad niemieckim. W rekonstrukcji rządu francuskiego dostrzega pomyślny zwrot dla Polski. Odeszli z rządu — jak się wyrazi — monarchijczycy i rusofile. Miejsce ich zajęli przyjaciele Polski: Pétain, Weygand, Mariel i Roux. Wezwie członków rządu do „energicznego współdziałania w zwalczaniu objawów paniki”. Mając na myśli opozycję, będzie wypowiadał się za stosowaniem sankcji karnych „przeciwko wszystkim, którzy by się okazali win-



nymi siania popłochu”. „Musimy świecić wszędzie przykładem zimnej krwi i determinacji”.

I znowu nie zapomina o porachunku z przeszłością. Czyta rozkaz w sprawie utworzenia Legii Oficerskiej, do której mają być głównie skierowani przeciwnicy rządu. Grozi, że jeśli nie wypełnią obowiązku, wówczas wystąpi z wnioskiem, aby ich internowano. Czołowe osobistości mają być skierowane nie do Francji lecz do Afryki Północnej. Wyszły już w tej sprawie depesze do Bukaresztu, Budapesztu, Białogrodu i Rzymu.

W kilka dni później, 28 maja, na Radzie Ministrów z udziałem Prezydenta, rysuje już nie wymaginowany ale prawdziwy obraz sytuacji militarnej Francji, spowodowany — jak twierdzi Sikorski — zdradziecką kapitulacją Króla Belgów. Poczesa jednak dalej siebie i ministrów. Mówi, że, na szczęście, nie ma mowy o załamaniu moralnym aliantów. Jedno wyznanie Sikorskiego jest znamienne. Przypomina mu się, że byłoby wskazane, aby francuska armia północna poszła śladami generała Kutrzeby, który przedał się spod Kutna do Warszawy. Przyznaje, że alianci coraz częściej zwracają się do Polaków o radę i wskazówki. Dostrzega słowem w kampanii wrześniowej elementy nie tylko godne uwagi ale i naśladowania. Czy oznacza to jednak że w obliczu klęski francuskiej rezygnuje z akcji porachunkowej? Nic podobnego. Sikorski nawet 28 maja pamięta, by poinformować Radę Ministrów, że projekt dekretu o powstaniu komisji w związku z kampanią wojenną 1939 roku został już kontrasygnowany przez wszystkich członków rządu.

8 czerwca sytuacja wygląda dramatycznie. Włochy lada dzień wystąpią po stronie Trzeciej Rzeszy. Ale Sikorski twierdzi jeszcze, że „klęska Niemiec we Francji jest nieunikniona”. Znajduje czas, aby uzyskać formalną zgodę gabinetu na skład komisji powołanej w związku z wynikiem kampanii wrześniowej. Proponowany skład uderza jednostronnością. Profesor Winiarski, podobnie jak Seyda, powolny Sikorskiemu przedstawiciel Stronnictwa Narodowego, oddany premierowi — Mikołajczyk ze Stronnictwa Ludowego, zaciekle przeciwnik przedwrześniowej przeszłości — Lieberman z PPS oraz posłuszni Sikorskiemu: podsekretarz stanu K. Popiel ze Stronnictwa Pracy i drugi zastępca Ministra Spraw Wojskowych, generał I. Modelski. Pozostałych dwóch miejsc nie zdążono obsadzić...

I tak oto, nawet w przededniu upadku Paryża, rząd Sikorskiego nie jest w stanie oderwać się od widma bezpowrotnej przeszłości przedwrześniowej. Na walkę z tym widmem zużywa wiele wysiłków i drogocennego czasu.

*(Dokończenie w następnym Zeszytcie)*

*Tadeusz KATELBACH*

## SZKICE PAMIĘTNIKARSKIE

*Wskutek braku miejsca zmuszeni byliśmy skrócić drukowany Fragment o kilka początkowych stron. Podajemy więc celem wyjaśnienia, że autor opuściwszy Warszawę po apelu płk. Umiaszowskiego znalazł się we Lwowie. Usiłując przekroczyć granicę został aresztowany przez sowiecką straż pograniczną w pobliżu Turki, osadzony w więzieniu w Skolem, potem w Stryju, a następnie wywieziony do łagru w Rosji — (Redakcja)*

Po dwutygodniowej podróży, pełnej utarczek z enkawudzistami o wodę i powietrze, dwa zasadnicze elementy potrzebne do życia, po zawróceniu transportu z Archangielska z powodu przepełnienia tamtejszego obozu, po wyładowaniu na stacji Obozerskaja, po nużącym, jednodniowym marszu bez wody wzdłuż (!) rzeki Onega i po dwudniowej podróży w towarzystwie bandytów na barce po Białym Morzu, dotarliśmy wreszcie na miejsce przeznaczenia.

Miejscem przeznaczenia był *Sorokłag* (od miejscowości Sorokowo) NKWD *żelaznodorożnoje stroitielstwo i wospitatielno-trudowej łagier*. Obóz ten złożony z dziesiątków tysięcy więźniów (niektórzy mówili o 80.000!), budował linię kolejową długości 900 km pomiędzy stacjami Sorokowo (Biełomorsk) i Obozerskaja. Miała ona znaczenie strategiczne i odegrała ważną rolę w ostatniej wojnie.

Dr Mazurowska, Polka, lekarka i enkawudzistka przeprowadziła po wyładowaniu selekcję na oko i podzieliła przybyłych w liczbie 1.200 na trzy grupy z numeracją 1, 25 i 29. Mnie przypadł numer 25, jak się potem okazało, kolonia dla „słabosilnych”.

Kiedy przyszliliśmy na teren nr 25, położony niedaleko wsi Małoszujka (rejon Onega), nad brzegiem Białego Morza, w

głębokiej, dziewiczej tajdze, zastaliśmy tylko ogrodzenie i rowy pełne wody. I to było wszystko.

Tu macie pobudować się — tak brzmiało zarządzenie. Tu zostaniecie na całe życie i nigdy Polski nie zobaczycie — do-dawał politrabotnik.

Przeszły nas ciarki, ale nie daliśmy poznać po sobie. Pomyśleliśmy, że wojna jeszcze nie skończyła się i że poszukamy wyjścia z sytuacji.

Zaraz z początku uciekło dwudziestu w kierunku finlandzkiej granicy. Ucieczka była łatwa, ale beznadziejna. Któż przebrnie 600 km przez tajgę, przez śniegi i mokradła, przez bezdrożne knieje, bez przygotowania, narzędzi i żywności? Osiemnastu szybko wyłapano, dwóch tkwiło w puszczy przez dwa miesiące, dokazując nie byle jakiego bohaterstwa.

Administracja naszej kolonii spoczywała w rękach pospolitych przestępców rosyjskich, tzw. bytowików, doświadczonych bywalców rozmaitych obozów. Oni to pomogli zabudować i urządzić teren. Powstały nędzne baraki, kuchnia, piekarnia, „kaptiorka” (skład chleba i odzieży), suszarnia i warsztaty krawiecko-szewskie.

To wyliczenie daje zupełnie fałszywe pojęcie o rzeczywistości. Baraki były brudne, zawszone i miały prycze ogólne, nie pojedyncze. W kuchni znikwały lepsze kaski z przeznaczeniem dla administracji. Piekarnia wypiekała glinę. W „kaptiorce” nie doważano chleba i wydawano ciepłą odzież, walonki i nowiutką bieliznę tylko administracji i to na każde żądanie. „Bytowiki” nosili się czysto i dbali o zewnętrzny wygląd. Z suszarni łąchy wychodziły wilgotne. Warsztaty krawieckie otrzymywały do naprawy stare, podarte, zawszone ciuchy z innych kolonii i w te buszłaty, fufajki i waciaki ubierano naszych więźniów. Warsztaty szewskie szyły pantofle ze starych opon i to było obuwie dla naszej kolonii. Tak wyglądała rzeczywistość.

Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że jesteśmy na prawach słabosilnych, to znaczy, że nie wolno obciążać nas dalekimi marszami, ciężką robotą i że mamy otrzymywać 900 gramów chleba dziennie bez względu na wyniki pracy. O tym nie wiedzieliśmy przez 3 miesiące.

Tymczasem gnano ludzi do roboty jak bydło, posługując się kijami i nie mając względów na stan zdrowia. Wywlekano często chorych z gorączką i pędzono kilometrami do roboty przy układaniu linii. Nie wyrabiających normy głodzono zredukowanymi porcjami chleba i zupy. Ludzie ginęli z głodu, z brudu i z wycieńczenia.

Niejaki Brandstetter ze Lwowa, syn właścicieli fabryki cze-

kolady Branka, bronił się dolegliwościami sercowymi przed wyprowadzeniem na robotę. Nic nie pomogło. Nasz lepkom Kojzsewski, kanalia białoemigrancka, który do wojny mieszkał na Wołyniu i jadł polski chleb, starał się przypodobać sowieckim „nariadczykom” i orzekł, że Brandstetter jest symulantem. Wkrótce potem Brandstetter umarł na serce.

Komendantką kolonii była *bywszaja zakluczonnaja* Larszy-na, która po zwolnieniu pozostała na robocie w NKWD. Była to przystojna blondynka, która szukała sposobności do miłości z naszym buchalterem. Ona to była winną sabotażu wobec Polaków, których nienawidziła i umyślnie zapomniała o przywilejach słabosilnych.

Dzięki warszawskiemu fryzjerowi Kuczbardowi otrzymałem pracę w buchalterii i to mnie uratowało, a pośrednio przyczyniło się do uratowania wielu innych.

Buchalterem był Fiodor Fiodorowicz Umnow, b. dyrektor banku, odsiadujący 10 lat za malwersację. Wesół, pogodny, gościnnie i beztroski. Wyuczył mnie szybko sztuki rachmistrza i od tej chwili zdał całą robotę na mnie i na rosyjskiego Niemca, Kimmla. Ale ja byłem faworytem. Kimmel spał w ogólnym baraku, ja w buchalterii z szefem. W baraku było zimno, u nas paliło się dniem i nocą, gdyż o to dbał szef, któremu przydzielono do sprzątnięcia i pilnowania pieca służącego (!) tzw. „dniewalnego”. Dla nas to była wygoda, dla „dniewalnego” szczęście, gdyż nie wychodził na pracę i miał lepszy wikt. Ale nie było to zupełnie zgodne z ideałami komunistycznej rewolucji.

Fiodor Fiodorowicz wyrobił mi odpowiednią opinię w centrali finansowej, która miała mi się bardzo przydać w przyszłości, ułatwił mi nawiązanie przyjacielskich stosunków z bazą żywnościową, starał się dla mnie o końskie mięso i machorkę, patrzył przez palce na moje fałszerstwa na korzyść polskich brygad, dodał z własnej kieszeni 50 rubli celem przekazania żonie i wreszcie wyznaczył mnie na swego następcę. Za to robiłem całą robotę, on zaś spał długo i do późnej nocy grał na gitarze.

Moje stanowisko w buchalterii starałem się wykorzystać w dwojaki sposób dla ratowania kolegów. Buchalteria miała nadmiar chleba, cebuli i machorki. Te zapasy wędrowały do głodnych żołądków naszych przyjaciół. Ponadto w moim ręku były wykazy dla kuchni, w których zgodnie z wykonaną robotą figurowały porcje chleba, zupy i dodatków, które otrzymać miał codziennie każdy robotnik indywidualnie. Ponieważ ludzie nie pracowali, przeważnie na skutek wyczerpania i wysokich norm,

nic więc dziwnego, że wyniki produkcyjne były niskie i legalnie przypadały porcje głodowe. Trzeba było zatem uciekać się do fałszerstw, by ratować ludzi. O tym dużo mogą powiedzieć brygadierzy Władysław Zachariasiewicz, były działacz Świątopolu, śpiewak Grocholski, oficerowie Antonowicz i Rodajewicz i adwokat izraelski Klimek.

Tego ostatniego poznałem na przystani w Onedze obłożonego tobołami, jakby wybierał się na jarmark perski. Był w Krakowie aplikantem. Kiedy Mars zeszedł na ziemię, on zaciągnął się do szeregów Merkurego, opiekuna kupców i zasłyszawszy o wspaniałej koniunkturze, stworzonej przez sowieckich zdobywców, wybrał się z towarem tekstylnym przez zieloną granicę i wylądował, zamiast we Lwowie, w lwowskich Brygidkach. Z trudem ciągnął za sobą swój kramik, który powoli topniał na skutek kradzieży i hojnych podarunków. Został brygadierem żydowskiej brygady, przez celowość, nie przez antysemitizm. Miał z nią dużo kłopotów. Przed wyjściem do pracy wszyscy codziennie meldowali się do lekarza, ale tylko niektórzy byli naprawdę chorzy. Klimek uganiał się od przychodni do bramy, by sformować swoją brygadę. Wreszcie po długich staraniach wychodzili do pracy, zawsze ostatni i to żurawim szykiem. Klimka diabli brali. Naturalnie, że do pracy nie kwapili się, zarządzeń brygadiera nie słuchali i co pięć minut przerywali pracę na papierosa. Do obozu wracali pierwsi, grożąc Klimkowi, że go zdejmą z brygady, jeśli nie otrzymają obiadu! Wreszcie Klimek zeżlił się i sam rzekł się tej godności i zadowolony poszedł na zwykłego robotnika. Inna rzecz, że jego brygada, złożona przeważnie z adeptów kupieckich, rzeczywiście nie była przygotowana do fizycznej pracy.



Nastroje w obozie były kontrewolucyjne, wśród Rosjan bardziej jawne, wśród Polaków i Żydów bardziej skryte.

Właściwie Rosjanie byli antystalinowcami, już wówczas dopatrywali się w Stalinie źródła wszystkiego złego. Przyznawali się do komunizmu, ale odrzucali dyktaturę Stalina, którego nie nawidzili.

Tylko jeden, Griszin, był pryncypialnym przeciwnikiem ustroju. Wyszedł z „bezpriзорnych”, państwo go przygarnęło, wychowało i rozwinęło jego zdolności poetyckie, dając mu możliwość pracy w publicystyce i w dziennikarstwie. Griszin był utalentowanym poetą, pisał piękne wiersze do przyjaciół Polaków. A jednak popadł w ręce NKWD. Do swego opozycy-

nego stanowiska doszedł zupełnie samodzielnie i samorodnie na podstawie lektury i spekulacji myślowych. Obserwując stosunek obywateli sowieckich do uspołecznionej własności doszedł do przekonania, że nie są oni przygotowani do tego rodzaju reformy i że wobec tego odnoszą się wrogo do wspólnej własności, którą każdy grabi, jeśli nadarzy się sposobność. Zdaniem Griszina reformy zostały narzucone przedwcześnie i z góry a winny być poprzedzone odpowiednim wychowaniem i przygotowaniem, jednym słowem winny przyjść ewolucyjnie a nie rewolucyjnie. W tym miejscu włączyło się NKWD i położyło kres wynurzeniom Griszina, posyłając go na 10 lat do obozu pracy.

Zjawisko Griszina ma cechy pozytywne. Świadczy o tym, że człowiek, który wszystko zawdzięcza systemowi sowieckiemu, może dojść dzięki inteligencji i samodzielności myślenia do wprost rewolucyjnych wniosków, niebezpiecznych dla ustroju. A takich Griszinów jest więcej.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej Griszina rozstrzelano. Podobno wyraził się w gronie przyjaciół, że czerwonec jest tylko świstkiem papieru w obliczu ofensywy niemieckiej.



Przed Bożym Narodzeniem 1940 roku odwołano Fiodora Fiodorowicza i na jego wniosek naznaczono mnie na jego następcę. Jako drugiego pomocnika przybrałem sobie niejakiego Nowickiego. Teraz miałem mało roboty i poświęcałem czas konwersacjom i studiom psychologii rosyjskich przestępców.

Najciekawszym typem był wielokrotny morderca, Maramzin, Łotysz z pochodzenia. Nazbierał rozmaitych wyroków na 70 lat. Był niski, krępy, o ciemnej cerze i rozbieganych, żywych oczach. Był mistrzem w budowaniu wielopiętrowych przekleństw. Wymowę miał niewyraźną, nudził się w obozie niepomnie, nigdy nie zhańbił się pracą, od tego chronił go wieloletni staż w obozach. Dużo opowiadał o swoich śmiałych wyczynach i w kułak śmiał się z sowieckiej propagandy o zmniejszeniu przestępczości i wyrugowaniu prostytucji. Twierdził, że dawniej istniał klan złodziei a dzisiaj do tego klanu należą wszyscy. Czas spędzał na kojce, zawodząc trzy takty jakiejś smutnej piosenki. Jako kierownik gospodarstwa miał dobre serce i nigdy nikomu niczego nie odmawiał.

Na wilię zaprosiłem do buchalterii brygadierów, księdza Gąsiorka i kucharza Gawryluka. Ksiądz, który potem zginął we Włoszech w wypadku samochodowym, odmówił krótką modlitwę i poświęcił przygotowane potrawy. A były to luksusy, jak

na nasze stosunki i możliwości: ryba treska z Białego Morza, babka wyrobu Gawryluka i krymskie jabłka, przysłane mi *po błatu* z bazy. Życzenia pełne ufności i nadziei zakończyły uroczystość, jedyną w swoim rodzaju.



Przed Nowym Rokiem zjechała komisja NKWD na inspekcję, zgodnie z postawą, zachowaniem i ubraniem same grube szyszki. Na czele stał Charewicz, Polak z Wilna.

Zaczął od rozpytywania mnie na osobności, jakie stosunki panują w obozie. Nie ukrywałem niczego i opowiedziałem mu o zachowaniu Larszyny, o wypędzaniu na robotę kijami, o śmiertelności i chorobach, o brudzie i wszach, o braku odzieży zimowej i obuwia. Charewicz słuchał pilnie i na zakończenie zapytał, ile chleba otrzymujemy dziennie. Poinformowałem go, że według wyników pracy.

Po trzech dniach przyszło zarządzenia dyrektora Sorokłagu:

- 1) spalić zabudowania kolonii nr 25;
- 2) więźniów przenieść do innej kolonii, już urządzonej, odległej o 20 km.
- 3) zdjąć Larszynę z kierownictwa;
- 4) naznaczyć na kierownika Anikienkę;
- 5) wyznaczyć więźniom lekką robotę w rodzaju wiązania miotełek w strefie samego obozu;
- 6) wydawać każdemu uwięzionemu bez względu na wyniki pracy 900 gramów chleba i 3 zupy dziennie.

To uratowało załogę naszej kolonii.



Nowe baraki były przestronne, czyste, wygodne i ciepłe. Kolonia miała wszystkie udogodnienia, szpitalik, salę jadalną i nawet wewnętrzne więzienie. Robota była lekka, odżywienie dostateczne, więc nawet „dochodiaga” czyli „muzułmanin” Zdzisław Bau, który cierpiał na pelagrę, szybko powrócił do zdrowia i wyglądał jak pączek w maśle.

Na tej kolonii spotkaliśmy rosyjskich więźniów politycznych, którzy opowiadali okropności o swoich przeżyciach na wyspach Sołowieckich. Było tam źle z powodu ostrego klimatu, to znaczy mrozu połączonego z wiatrem, braku odpowiedniego zaopatrzenia żywnościowego i odzieżowego i brutalności ochrony. Ochraną nazywali żołnierzy NKWD pilnujących więźniów. Doku-

czał im bardzo zakaz komunikowania się z rodzinami i otrzymywania paczek. Kleli Stalina po matuzsze.

Jeden z nich Polak z pochodzenia, stary komunista, niejaki Osmorski, który sprawował u nas funkcje technika, zwrócił mi uwagę na to, że nowy naczelnik Anikienko kradnie tekstylia z pracowni krawieckiej. W pierwszej chwili pomyślałem sobie: „czort z nim, niech kradnie, kogo okrada, jak nie sowiecki skarb!”. Ale Osmorski zaczął do mnie przemawiać w imię interesów kolonii, moralności, czystości obyczajów itp. szlachetnych pojęć, które nie istnieją w Sowietach na wolności a co dopiero w obozach.

Głupi, dałem się namówić do wspólnej interwencji u dyrektora całego obozu. Skutki były fatalne. Po przeprowadzeniu powierzchownego śledztwa Anikienko został i kradł dalej. Mnie natomiast przepędził z buchalterii i posłał na zmiatanie śniegu.

W tym momencie zaczęły grać moje stosunki. Wyższa instancja finansowa zainteresowała się natychmiast sprawą i zaprotestowała przeciwko samowolnemu usunięciu buchaltera bez porozumienia się z nią, co mogło spowodować „nieobliczalne szkody” dla interesów przedsiębiorstwa. Nawiasem mówiąc, koszt własny miotełki, produkowanej przez naszych robotników, wynosił trzykrotną sumę jej ceny na rynku. Mało tego, centrala specjalnie wysłała swego delegata, by zbadał sprawę na miejscu. Był nim Iwanow, starszy urzędnik i dawny łagiernik, bardzo ze mną zaprzyjaźniony. Wiedział on dobrze w jakie uderzyć tony w rozmowie w Anikienką. Teraz jako zwykły robotnik spałem w barakach razem z innymi. Iwanow po przybyciu składał mi pierwszą wizytę, zapewniał pomoc i przynosił podarunek w formie pół kilograma czekoladek deserowych i paczki luksusowych papierosów „Siewiernaja palmira”. To były rarytasy, których nie widziałem od 2 lat. Potem porozmawiał z Anikienko. Nazajutrz wycofano mnie z zmiatania śniegu i wyznaczono na telefonistę. Po tygodniu otrzymałem przeniesienie na stanowisko pomocnika buchaltera na kolonii nr 29. Tak skończyła się batalia o sprawiedliwość.

Na nowej kolonii zająłem wkrótce stanowisko głównego buchaltera. Mój szef, Krykusz, upił się spirytusem, który wspólnie z kilku innymi „bytownikami” ciągnął z cukru przy pomocy prymitywnej instalacji przez nich skomponowanej. O tym dowiedziała się ochrana i posłała całą czwórkę na karną kolonię.

Przestrzegali bardzo zakazu picia alkoholu. Mnie tylko dwa razy udało się wstawić. Raz poczęstowano mnie eterem, zakropionym walerianą, drugim razem buteleczką wody kolońskiej. W obu wypadkach skutki były fatalne.



Na podstawie wnikliwej lektury „Prawdy” już z początkiem czerwca orientowaliśmy się, że wojna niemiecko-sowiecka wisi na włosku. Kiedy wybuchła, czuliśmy, że przyszedł dla nas właściwy moment i czekaliśmy zmian z dnia na dzień. Rosjanie również nie ukrywali swojej satysfakcji. Przypuszczali, że Stalin dostanie po głowie, że poszczególne narodowości „kraju stu narodów” wystąpią przeciwko komunizmowi, ale, że w rezultacie Rosja zwycięży i odrodzi się w blasku wolności i demokracji. Te przewidywania niezupełnie sprawdziły się.

Umowa polsko-sowiecka z 31.7.41 uratowała życia dzieciątkom tysięcy obywateli polskich i była niezależnie od jej niedomówień w zakresie granic faktem ze wszech miar pozytywnym.

Opuszczaliśmy obóz z radością i z dumą. Przetrzyliśmy trudne warunki i złowrogie wróżby i teraz witano nas wszędzie jako pożądaných sojuszników. Wbrew umowie zatrzymano w obozie Zachariasiewicza i Grocholskiego, jako element niebezpieczny politycznie. Na skutek interwencji ambasady wypuszczono ich po kilku miesiącach. Trudno opisać ich cierpienia moralne w obliczu masowego zwolnienia kolegów i przyjaciół i nieubłaganej konieczności pozostania w obozie wśród elementu zupełnie obcego. I nam przykro było wychodzić na wolność, pozostawiając dwóch serdecznych towarzyszy niedoli.



Związek Sowiecki przedstawiał w tym czasie obraz nędzy i rozpacz.

Potężne dworce kolejowe, budowane z rozmachem, były przepełnione ludźmi, którzy całymi dniami czekali na połączenie. Pociągi kursowały nieregularnie. Rodziny biwakowały w poczekalniach. Żłódzieje mieli żniwo, podkradając walizki. Milicji ani na lekarstwo. Z chwilą przybycia pociągu rozpoczynał się szturm, tzw. posadka, która była obrazem dzikich walk i ponurych scen.

Rosja była zawsze krajem podróżników. Kolosalne obszary i duże możliwości zachęcały do wałęsania się. W tym momencie okoliczności, związane z wojną, usprawiedliwiały podróże. Z jednej strony ewakuacja ludzi i fabryk, z drugiej strony mobilizacja i amnestia były przyczyną przepełnienia pociągów.

Ustała wszelka kontrola. NKWD na pewien czas popuściło cugle, albo było nieprzygotowane do podobnej sytuacji. Nikogo

nie pytano ani o przepustkę ani o bilet kolejowy. Nasi rodacy, niedawno amnestionowani, docierali bez przeszkód do Moskwy, prezentując osobiście ambasadorowi swoje przeżycia i łachmański strój.

Ewakuacja fabryk odbywała się bez planu. W kraju planifikacji brakło planu na wypadek klęski. Przywożono maszyny, które wyładowywano w otwartym polu, bez zabezpieczenia, tak że wkrótce rdzewiały. Z czasem uruchomiono niektóre fabryki w rejonach azjatyckich. Nasi robotnicy, którzy tam pracowali, narzekali na częste remonty i zastoje.

Cały kraj był pogrążony w ponurym nastroju. Wszyscy smutni, obdarci, niedożywieni i przepracowani. Nic więc dziwnego, że kiedy przyszła wojna nie mieli powodu do radości. Ojcowie i synowie wyjeżdżali na front bez entuzjazmu. Pozostawiali rodziny bez zaopatrzenia, zdane na własną pracę, w trudnych warunkach aprowizacyjnych. Brakowało mięsa, masła i cukru. Mimo to, przyjmowano nas b. łagerników z jakąś dziwną serdecznością i gościnnością. Odczuwało się sympatię nietyle dla Polaków, ile dla byłych więźniów, nie było przecież rodziny, która by nie miała kogoś z bliskich w obozie lub w więzieniu.



Buzułuk żył pod znakiem białego orła. Na dworcu uzbrojona żandarmeria polska, w centrum gmach sztabu, ozdobiony polską, sowiecką i brytyjską flagą.

W sztabie spotkałem warszawskiego, lewicowego dziennikarza Mieszkowskiego, który niedawno przybył z Anglii z pierwszą ekipą i został wyznaczony delegatem ambasady przy sztabie. Biedny podporucznik Mieszkowski, poczciwy grubasek, cierpiał od wszystkich: od ambasadora za zbyt potulną postawę wobec Andersa, znowu Anders groził mu sądem wojskowym za niedopilnowanie transportu rzekomo ważnych dokumentów, zaś władze sowieckie aresztowały go za szpiegostwo i zwolniły dopiero po Październiku. Dosyć złego na jednego.

Stanowisko delegata ambasady przy sztabie było bardzo delikatne i trzeba było umieć lawirować pomiędzy wojskiem a ambasadą, które rywalizowały ze sobą. Anders uważał się za najwyższą instancję, miarodajną we wszystkich sprawach wojskowych i cywilnych, dotyczących Polaków na terenie Związku Sowieckiego. Był bohaterem wojny 1939 roku, rannym w bitwach z Niemcami, wybrańcem Stalina, obsypywanym przez niego prezentami po układzie Sikorski — Majski. Nic więc dziwnego, że jeździł na złotym koniu i ambasadora, przysłanego z Londynu

uważał za piąte koło u wozu. Otoczony adiutantami, artystami, szwadronem przybocznym i orkiestrą, stał bądź co bądź na czele najpotężniejszej w tym momencie polskiej siły zbrojnej i to dawało mu pewność siebie, żądę władzy i ambicje polityczne. Sztab dublował funkcje ambasady, szczególnie w zakresie opieki społecznej.

Przeciwnikiem był ambasador, prof. Kot, człowiek o głębokiej wiedzy i inteligencji, niezaprzeczonego patriotą, pryncypialny przeciwnik sanacji i wojska, mieszającego się do spraw cywilnych. Konflikty wybuchły wkrótce i dotyczyły polityki wobec Stalina, stosunku do rządu w Londynie, do spraw opieki społecznej, do spraw żydowskich itp. Ponieważ oba wrogie obozy natychmiast zerwały stosunki, zasklepiły się w sobie i zajęły pozycje wypadowe, przeto konieczne się stało zorganizowanie wywiadu, by wiedzieć, co czyni i zamierza strona przeciwna. Prof. Kot był mistrzem w podobnych akcjach, ale jestem przekonany, że twierdzenie sowieckie, jakoby ambasador i ambasada, byli promotorami wywiadu antyradzieckiego, są najzupełniej błędne. Owszem były wypadki indywidualnego szpiegostwa ze strony delegatów czy mężów zaufania, ale oparte wyłącznie na własnej inicjatywie. Prof. Kot budował wywiad kontrandersowski i *vice-versa* sztab chciał wiedzieć, co się dzieje w ambasadzie i jakie plany ma ambasador.

Nawet taka mała placówka jak attachat wojskowy przy ambasadzie, kierowany przez gen. Wolikowskiego i płk. Jacynę, którzy nie mieli żadnych kontaktów ze sztabem gen. Andersa, albo zupełnie nieistotne, ze względu na swoje „angielskie” pochodzenie — nie miała również żadnych kontaktów z resztą ambasady, gdyż wojskowi byli u Profesora na indeksie. A więc oni również przy pomocy wewnętrznego wywiadu dowiadywali się, co dzieje się w ambasadzie i jakie zamierzenia ma ambasador a z drugiej strony Profesor kontrolował ich pracę przez zaufanych ludzi. Attachat zupełnie nie wdawał się w szpiegostwo antysowieckie, zajmując się również, jak inni, opieką społeczną.

Te wywiady i kontrwywiady w środowisku polskim dzisiaj wydają się śmieszne, ale wówczas na pewno nie przyczyniły się do wzmocnienia autorytetu polskich władz.



Mieszkowski namówił mnie do przyjęcia pracy w delegaturze ambasady a ponieważ przyszedłem z obozu w łachmanach, podarował mi noszone, ale w dobrym stanie angielskie ubranie, które krawiec dopasował do moich wysokich sznurowanych butów, za-

kupionych równocześnie od rewizjonistycznego działacza Szeskina.

Rewizjoniści żydowscy Szeskin i Kahan, bundowcy Blit i Glikzman, ambasada i sztab, toczyli rozgrywkę o żydowskie dusze. Później przyłączyły się Sowiety do tej rozgrywki jako *quintus gaudens*.

Rewizjoniści popierali koncepcję tworzenia odrębnych oddziałów żydowskich celem późniejszego wykorzystania ich w walce przeciwko Anglikom. Bundowcy słusznie sprzeciwiali się wszelkiej dyskryminacji — tak traktowali i kwalifikowali wszelkie ograniczenia i odrębności — a jako przeciwnicy idei palestyńskiej nie myśleli o wojnie z Anglikami. Ambasada wychodząc z demokratycznych i liberalnych założeń, wchodzących w skład programu rządowego i osobistych przekonań ambasadora, była przeciwna w zasadzie poruszaniu kwestii żydowskiej, co mogło tylko zaszkodzić polskim interesom w opinii zachodu. W sztabie obawiano się dużego procentu żydowskiego w wojsku, co miało osłabiać jego bojowość a ponadto grały tam momenty antysemityczne. Sowiety z zadowoleniem obserwowały te rozgrywki i udając filosemitów postanowiły na podstawie swoistej koncepcji prawnej, opartej na urodzeniu na ziemiach wschodnich albo na udziale w tzw. plebiscycie, zatrzymać wszystkich Żydów, jako obywateli sowieckich, ale kiedy przyszło do formowania dywizji kościuszkowskiej kazali spuszczać spodnie i sprawdzali naocznie wyznaczenie ochotnika.

Wynikiem tych zabiegów było

- 1) przyjęcie niewielkiej ilości Żydów do armii Andersa,
- 2) ewakuacja nieznacznej ilości Żydów jako rodzin wojskowych,
- 3) wyewakuowanie grupy rabinów i ortodoksów oraz bundowców jako najbardziej zagrożonych, nie więcej jak 100 osób,
- 4) pozostawienie w rękach sowieckich „filosemitów” co najmniej 150.000 Żydów, którzy uratowali się tylko dzięki szybkiej repatriacji i w ten sposób uniknęli nowej, szykującej się fali miłości Stalina. Sowiecka perfidia nie ma granic. Twierdzą oni, że ci Żydzi powinni im być wdzięczni za uratowanie od hitlerowskiego pogromu! A ci, co zginęli w więzieniach, na zsyłce, w obozach i na wolności?



Mieszkowski wyjechał natychmiast w poszukiwaniu niedopilnowanych skrzyń, pozostawiając delegaturę w rękach ks. Cieńskiego i moich. W tym czasie nadeszły już konserwy angielskie

i było czym odżywiać powracających z obozów. Z ks. Cieńskim współpracowaliśmy bez zgrzytów.

Urzędowaliśmy w sztabie na galeryjce, mając sposobność poczynienia pewnych obserwacji. W sztabie panował zawsze niepospolity ruch jak przed ważną bitwą. Wyżywiali się biedacy za lata przymusowego odpoczynku w więzieniach i obozach.

Najwięcej krzyku było zawsze wokół płk. Krogulskiego. Energiczny Gruzin, płk. Kipiani, montował doraźne sądy wojskowe, często wbrew przepisom prawnym, ale za to zgodnie z *bis master's voice*. Szef sztabu płk. Okulicki zapewniał nas w połowie października, że zajęcie Moskwy nastąpi w najbliższym czasie i że Sowiety bronić się będą na Uralu. Tylko płk Szarecki patrzył flegmatycznie z wyżyn wieku i wiedzy medycznej na manewry sztabowe. Zabiegany płk Tyszyński, spec od transportów, znany był ze swoich prokomunistycznych sympatii, ale mimo to powierzono mu przechowywanie okrągłej pieczęci sztabu, co niektórzy nadgorliwcy uważali za lekkomyślność. Dwóch było sceptyków, którzy rozsądnie oceniali wyniki działalności sztabowej, a to płk Pstrokoński, któremu nie przeszkadzały w tym jego nacjonalistyczne przekonania i płk Gaładyk, stojący poza sztabem, wypowiadający szczerze swoje radykalne opinie, obaj zawsze niezgodni ze zdaniem wodza. A kiedy wkraczał na scenę gen. Anders, rzucając piorunujące spojrzenia, w otoczeniu sztykowych adiutantów Klimkowskiego i Romanowskiego, wydawało się, że sam Mars zeszedł z Olimpu, by pomyślnie uporządkować sprawę Polaków.

W tym czasie zdarzył się w sztabie niemiły wypadek. Wieczorem wtargnął do hallu pijany wojskowy sowiecki. Jak to pijak uparł się, by napić się z nowymi aliantami. Żandarmi wezwali go stanowczo do opuszczenia budynku a kiedy ten upierał się przy swoim i jeszcze ich zwymyślał, zastrzelili go na miejscu. Powiedzmy szczerze, że trochę przejaskrawili w swej służbistości. Nadarzyła się okazja rozwalić sowieciarza, więc skorzystali z niej skwapliwie. To zdarzenie nie zwiastowało pogodnego rozwoju przyjaźni. Ale jak tu mówić o przyjaźni i o wspólnym froncie, kiedy nienawiści są zadawnione i rany jeszcze świeże. Trudno, by wczorajsi więźniowie, pamiętający traktowanie i warunki, stali się nazajutrz przyjaciółmi swoich oprawców. I to byłoby sedno zagadnienia. Choć może mądrość polityczna nakazywała bić się wspólnie z wojskami sowieckimi, pozostawić całą armię lub jej część w Związku Sowieckim, ale sentymenty nie pozwalały na taką operację i pchały do wyjścia. I w tym leży zasługa gen. Andersa, że udało mu się uzyskać zgodę na ewakuację.

Na razie płk Żukow z NKWD, działający w charakterze łącznika, załagodził skutki opisanego wyżej incydentu.



W Buzułuku znalazło się małe grono pepesowców. Z Anglii przyjechał Freud, przydzielony do ambasady. Z Galicji ewakuował się przed Niemcami Hochfeld. Z obozów wyszli Boski, Grot i Moszczyński. Wszyscy oni zbierali się u mnie dla omówienia sytuacji. Były to teoretyczne rozważania na temat możliwości wojennych, które na razie trudno było określić. Sowiety ustępowały, Niemcy zwyciężali, podchodzili pod Moskwę, nie wiadomo było, kiedy Ameryka przystąpi do wojny.

Trudno też było uzyskać orientacyjną opinię od znanego dziennikarza warszawskiego, Bernarda Singera. Spotkałem go w Buzułuku na ulicy, bezpośrednio po powrocie z obozu, w stanie zupełnego rozkładu. Był w łachmanach, brudny, nieogolony, chwiał się na nogach, okazało się, że ma gorączkę i że jest ciężko chory. Wraz z Boskim, sprawozdawcą parlamentarnym „Robotnika”, ulokowaliśmy go w szpitalu, gdzie pod opieką polskich lekarzy szybko wrócił do zdrowia. Zaopiekował się nim ambasador, powołując go do wydziału prasowego. Później zetknąłem się z nim w Samarkandzie, dokąd przyjechał z delikatną i bardzo drażliwą misją. Miał wyjaśnić Żydom, dlaczego nie zostaną wyewakuowani, że ambasada chce, ale władze sowieckie nie zgadzają się, uważając ich za swoich obywateli. Było to zadanie niewdzięczne, Singer uchodził za czarnego kruka, któremu nikt nie wierzył, nawet wbrew faktom oczywistym, tj. ewakuacji przeprowadzonej bez Żydów i późniejszej przymusowej paszportyzacji. Były chwile słabości, kiedy ludzie popadali w rozpacz na samą myśl, że pozostaną na zawsze w Związku Sowieckim i wtedy płakali, jak dzieci — sam byłem tego świadkiem — ale były to tylko chwile, które przeganiano uspokojeniem, że póki wojna trwa, to nic nie wiadomo.



W listopadzie przeniesiono mnie do delegatury w Taszkencie do pomocy Kwapińskiemu. Podróż z Buzułuka do Uzbekistanu trwała 7 dni. Jechaliśmy wygodnie, wprawdzie nie w wagonie sypialnym, ale mając do dyspozycji ławki do spania, materace i pościel na noc, samowar i wrzątek oraz wystarczającą porcję konserw angielskich z argentyńskim corned beefem na czele.

Wybrałem się w towarzystwie żony i por. Bugajskiego, którego zwerbowałem do pracy w opiece społecznej. Niestety dostał się później w łapy NKWD i umarł w więzieniu. Równocześnie z nami i w tym samym wagonie wyjechała delegacja do Ałma-Ata, złożona z Hochfelda, jego żony i płk. Matuszkowej z dziećmi.

W Taszkencie Ordonka, którą wojna zaskoczyła na terytorium sowieckim na występach, rozpoczęła akcję opieki rozdając pieniądze, otrzymane w sztabie, przejeżdżającym Polakom. Była to działalność prymitywna, przeważnie dostawali ci, którzy byli zasobni, ale osoba Ordonki, elegancko ubranej, trochę fascynowała, trochę raziła na tle ogólnej nędzy.

Kwapiński przyjmował petentów w pokoju hotelowym i w zależności od humoru wygłaszał filipiki w obronie Żydów lub też wręcz antysemickie. Kwapiński z rodziną spędził zesłanie na posesiołku, gdzie Żydzi pomogli mu bardzo do przetrwania. Ostatnie tygodnie przesiedział w więzieniu.

System opieki społecznej zastosowany przez niego był również niewłaściwy. Uważał, że każdą puszkę konserw i każdą sztukę bielizny musi wręczyć osobiście. Dawne nawyki wyborcze podszeptowały mu wykorzystanie okazji dla gromadzenia kapitału politycznego. Ponieważ petentów i to rzeczywiście potrzebujących pomocy, było mnóstwo, zaś Kwapiński zanim wręczył puszkę marmelady wdawał się w długie polityczne rozważania, przeto, nic dziwnego, że ludzie byli niezadowoleni i tak samo władze sowieckie, patrzące niechętnie na tłumy nędzarzy, roznościcieli tyfusu plamistego, oblegających jedyny możliwy Hotel National.

Kwapiński był szefem kapryśnym i dokuczliwym. Bez powodu wszczynał kłótnie z urzędnikami, których ostro łątał wobec klientów. O tym wiele mógłby opowiedzieć Jerzy Schapiro, jego ostatni osobisty sekretarz w londyńskim ministerstwie.

Gorzej, że cierpieli również niewinni biedacy. Dnia 6 grudnia 1941 roku nikt z Polaków z Taszkencie nie otrzymał chleba z powodu zamknięcia dworcowego punktu rozdzielczego na zarządzenie Kwapińskiego. Powód nieznan.

Było nas trzech pepesowców w delegaturze. Kwapiński, Jaroszewski, działacz związkowy z Borysławia i autor niniejszych szkiców. Nam dwóm było przykro, kiedy obserwowaliśmy kaprysy Kwapińskiego i często zamienialiśmy krytyczne, porozumiewawcze spojrzenia.

Wreszcie Kwapiński otrzymał nominację na ministra do Londynu i walizkę z garderobą z Teheranu. Odetchnęliśmy ze względu na widoki szybkiej separacji. Ponadto Kwapiński przestał

interesować się detalami, gdyż poświęcił się układaniu, przekładaniu, odświeżaniu i pieszczaniu zawartości otrzymanej walizki. W drodze do Londynu walizka zatoneła na skutek torpedy a wraz z nią mój referat, opisujący sytuację Polaków w Związku Sowieckim, który Kwapiński miał wygłosić przez BBC.



Amnestionowani obywatele polscy kierowali się masowo do Uzbekistanu z uwagi na ciepły klimat, rzekomo dobrą i taną aprowizację, bliskość granicy perskiej i przeczuwane możliwości wyjazdowe. Wezwania ambasady, starające się zatrzymać Polaków w północnych rejonach do wiosny, dawały ograniczone rezultaty, tym więcej, że władze wojskowe przekazywały odmienne instrukcje, mające na widoku koncentrację wojska na południu i ewentualną ewakuację.

W ten sposób liczba Polaków w republice uzbekskiej przekroczyła wkrótce 100.000. Pewien, dość znaczny, odsetek zginął podczas epidemii tyfusu płamistego. Część ulokowała się w kołchozach, część w miastach, część biwakowała na placach przed dworcami większych miast, często w deszczu i o głodzie.

Władze sowieckie postanowiły rozładować sytuację i zachęcając różnymi możliwościami wywozły barkami Amu-Daria kilka tysięcy osób do Kara-Kalpakskiej ASSR. W czasie tego transportu wiele osób zginęło z zimna i głodu. Na miejsce wywiezionych przybyła podwójna ilość z północy. Wobec tego pod przymusem załadowano do podstawionych pociągów wszystkich wyłapanych Polaków i skierowano do pustynnego Kirgistanu. Było to pogorszenie sytuacji. Na szczęście w tym czasie przyjechał gen. Sikorski z wizytą do polskich sił zbrojnych i do Stalina. Na skutek naszych interwencji wyjednał on u Stalina cofnięcie deportacji. Słowo Stalina zmieniało kierunek rzek a co dopiero pociągów. Polacy wrócili do Uzbekistanu.

Ci, którzy zostali w miastach, zdołali urządzić się skromnie w uzbeckich izdebkach, utrzymując się z pomocy ambasady, ze sprzedaży własnych ciuchów, na rynku bardzo poszukiwanych przez żony enkawudzistów, z handlu, rzadziej z pracy, która nie dawała utrzymania.

Gorzej było tym, którzy poszli do kołchozów. Praca była ciężka, pomieszczenia prymitywne i zaopatrzenie nędzne. Inni kołchoźnicy mieli własne, małe działki, które uprawiali na własny użytek albo też sprzedawali uzyskane produkty na wolnym rynku po cenach wygórowanych. Polacy działek nie mieli i żyli z awansów żywnościowych za wykonaną pracę, które prze-



ciężnie dawały 1000 kalorii dziennie. Często otrzymywali chleb, tj. płaskie lepioszki, nieokreślonej treści, ale za to ważące pudy. Już po wyjeździe Kwapińskiego przygotowaliśmy odpowiedni memoriał do NKWD, udokumentowany zaświadczeniami przewodniczących kołchozów, na temat wydanych racji żywnościowych, ich przeliczenia na kalorie oraz orzeczenie ekspertów, stwierdzające konieczność 4000 kalorii dla alimentacji przy pracy na roli, z załączeniem rzeczowych dowodów w postaci owych ciężkich lepioszek. NKWD uznało słuszność naszej argumentacji i zarządziło zwolnienie wszystkich Polaków z kołchozów, zezwalając na zamieszkanie w miastach.



Po wyjeździe Kwapińskiego delegatura przeniosła się do Samarkandy na życzenie władz sowieckich, które uważały, że Polacy zaśmiecają Taszkient, stolicę republiki. Oczywiście nie to było przyczyną. Stosunki polsko-sowieckie zaczęły się psuć. Stalin zorientował się, że armia polska nie ma ochoty walczyć razem z armią sowiecką. Nastroje w armii i wśród polskiej ludności cywilnej — myślę tu o polskich obywatelach w ogóle, były wyraźnie antysowieckie. Polakom było za zimno na północy i parli na południe, powodując często zatory i zamieszanie. Chcieli być blisko wojska. Wyekwipowanie żołnierza polskiego w sorty mundurowe i pomoc dla ludności cywilnej była dowodem wyższości i bogactwa zachodu, o czym obywatel sowiecki nie powinien był wiedzieć. Metalowa puszka z *emergency rations* zrobiła lepszą propagandę dla zgniętego zachodu niż setki audycji radiowych. Wobec tego, że sytuacja na froncie poprawiła się i Niemców odrzucono od Moskwy, Stalin i władze sowieckie odzyskały pewność siebie i zabrały się do niesfornych Polaków, usuwając ich przedstawicielstwa ze stolic republikańskich, odmawiając wydania broni dla armii, ograniczając liczbę dywizji i ilość racji żywnościowych.



Kierownictwo delegatury w Samarkandzie objął zastępczo inż. Kaźmierczak, fachowiec automobilowy od Citroena. Przed wojną pracował w polskim przemyśle wojennym, po wojnie umarł nagle w Brazylii. Był to skrupulatny administrator i sumienny urzędnik. Wkrótce przybył nowy delegat prof. Heitzman, b. wrażliwy, subtelny i chorowity.

W tym czasie (wiosna 1942) mieliśmy już pełne magazyny oraz duże kredyty, które pozwoliły na rozwinięcie szerokiej akcji

pomocy, tj. na otwarcie szkół, sierocińców, domów starców i szpitali.

Z pobliskiego Kermine przyjeżdżali często oficerowie dla zwiedzenia starej Samarkandy, położonej na jedwabnym trakcie, wiodącym z Bagdadu do Pekinu. Tu stoją zabudowania starej, wyższej szkoły mahometańskiej i tu znajduje się grobowiec Tamerlana.

Często z kpt. Broniewskim objaliśmy się po starym mieście, wstępując na szklankę kaberne do wszystkich kiosków, znajdujących się po drodze i tęskniąc za swojskimi szynkami. Por. lekarz dr Grünhut z Krakowa opowiadał przy tej sposobności, jak to uczył wiedzy medycznej gen. Tokarzewskiego w więzieniu sowieckim. Na tej podstawie generał zachował incognito i długi czas uchodził i praktykował jako lekarz z b. dobrymi wynikami! Odnalazłem mojego przyjaciela dra Szancera, którego wraz z całą rodziną wywieziono na Syberię. Wstąpił do armii i szybko dosłużył się stopnia porucznika i sławy poety i dziejopisa. Zameldował się również kolega obozowy, nieszczęśliwy kupiec i brygadier, Klimek, któremu wyrobiłem stanowisko radcy prawnego przy delegaturze.

W delegaturze pracował dalej Jaroszewski, zawodowy urzędnik konsularny Kowol, były urzędnik Ministerstwa Pracy, fajtlapa, Horszowski, urzędnik MSZ Kokczyński, który wkrótce potem wyjechał z Drohojowskim do Chin, oraz nowoprzyjęty przeze mnie Nowacki, który później odegrał pewną rolę.



Pewnego pięknego dnia lipcowego wkroczył do delegatury generał NKWD na czele oddziału oficerów i po dokonaniu szczegółowej rewizji, połączonej z opukiwaniem ścian i rozpruwaniem foteli aresztował Jaroszewskiego, Kowola i mnie. Heitzmana i Kaźmierczaka wezwano podstępnie na konferencję do NKWD o tej samej godzinie i tam ich aresztowano.

Akcja ta była następstwem znalezienia materiału szpiegowskiego względnie pół-szpiegowskiego w teczce, pozostawionej przez jednego z delegatów w restauracji kujbyszewskiej. Mądre to nie było, ale co robić. Aresztowano około 140 osób tj. delegatów i wyższych urzędników pod zarzutem szpiegostwa. W takim przypadku władze sowieckie rozumują, że jeżeli jeden mógł to zrobić, to na pewno wszyscy inni też są wmieszani.

Kilka dni przed aresztowaniem mieliśmy już wiadomości o tej akcji i spodziewaliśmy się nalotu. Przygotowywaliśmy się do wyjazdu z drugą ewakuacją. Pokrzyżowało to nasze plany. Czu-

jąc pismo nosem zapaliłem pewnej nocy świecę, postawiłem na podłodze, usiadłem obok i zniszczyłem kompromitujące, choć nie szpiegowskie materiały. Kiedy rewidowali mieszkanie, odkryli z triumfem ukryte na kredensie niewinne paszporty a przeoczyli właściwą skrytkę pod dnem koszyka.

Otrzymałem separatkę w parterowym więzieniu samarkandzkim. Na spacerze posłyszałem kuśtykanie Jaroszewskiego, więc pozdrowiłem go głośno cytatem z „Wesela”:

„Sława panie Kazimierzu...!”.

Było mu na imię Kazimierz.

Po kilku dniach przewieziono mnie stołypinką do Taszkientu do wewnętrznego więzienia.



Wkrótce zorientowałem się, że nie mają absolutnie żadnych dowodów przeciwko mnie. Wynikało to z kilku okoliczności. Ciągła zmiana śledczych była powodem ich niedostatecznego zgrania. Jedno słowo za mało lub za dużo wystarczało, by zorientować się w ich możliwościach. Następnie zdradzili się kapusie, włączeni do mojej celi. Przez sześć tygodni trzymano mnie samego, by doprowadzić nerwy do szczytu napięcia i przygotować do wynurzeń wobec przyszłego współtowarzysza. Pierwszym był Rosjanin, który marzył o rosyjskim języku świata, drugim Polak, podający się za por. Padewskiego, obaj na usługach NKWD. Zadawali mi identyczne pytania, dotyczące rozlokowania wojsk sowieckich w okręgu taszkienckim. Układ i forma pytań zdradziła ich jako konfidentów oraz przekonała mnie, że NKWD nie ma dowodów.

Teraz ja z kolei, udając przyjaciela, używałem moich kapusów za powierników, którym powierzałem pewne wiadomości, zdając sobie sprawę z tego, że przekażą je natychmiast moim inkwizytorom a to było właśnie moim celem.

Np. przekazałem nieprawdziwą wiadomość, że jestem znany w kołach holenderskich jurystów, którzy upomną się o mnie po wojnie. Ta i inne tego rodzaju insynuacje wzmocniły mój autorytet i pomogły mi w decydującym momencie.

Jednak brak dowodów nie był podstawą do zaniechania śledztwa. Wręcz przeciwnie śledczy twierdzili, że rosyjska procedura karna nakłada na obwinionego obowiązek udowodnienia swojej niewinności a jeśli nie może, to trzeba przyznać się.

Te rozmówki trwały mniej więcej dwa miesiące w spokojnym nastroju. Zmieniło się kilku śledczych, sprawa nie posunęła się naprzód ani o krok i wreszcie trafiłem na Żyda, Kogana.

Człowiek młody, wysoki i przystojny był w istocie podłym psem, który uważał, że on właśnie ma wszelkie dane po temu, by złać drugiego Żyda. Powtarzał ciągle, że jako sowiecki Żyd, należący do sowieckiej społeczności żydowskiej, która cieszy się wolnością i przywilejami, nie może zrozumieć, że siedzi naprzeciw niego polski Żyd, mówiący tylko po polsku i służący wiernie interesom antysemitckiego narodu polskiego, czy to jako adwokat, czy to jako urzędnik. Mówiąc o tym pieniał się i pluł mi w twarz. Byłem bezradny wobec jego chamstwa. Nie mogłem rzucić mu w twarz faktów chuligańskiego antysemityzmu w czerwonej armii, o czym dowiedziałem się później ani wymordowania całej plejady pisarzy żydowskich, gdyż to nastąpiło dopiero po 10 latach. Rad byłbym zobaczyć jego minę w momencie aresztowania lekarzy żydowskich. Pan Bóg nierychliwy ale sprawiedliwy.

Naturalnie mowy nie było o przyznaniu się z mojej strony. Wobec tego oświadczył mi, że zastosuje środki drastyczne. I tak też stało się.

Kiedy wracałem tym razem do celi dochodziły z każdego pokoju jęki katowanych. Tego dawniej nie było nigdy, więc zorientowałem się szybko, że jest to maskarada, aby mnie zastraszyć. Gdyby odgłosy szły tylko z jednego pokoju, to może uwierzyłbym, ale ze wszystkich to trochę przesadzili. Wyobrażam sobie, jak trenowali się w jękach, bo przedstawienie wypadło zupełnie dobrze.

Dalszy bieg wypadków był stereotypowy: usiłowanie popełnienia samobójstwa, jedenastodniowy karcer i 60-cio godzinny konwojer. Wszystko to nie dało rezultatu. Kogan wściekał się, tupał nogami, wyzywał od najgorszych, przeklinał, szantażował aresztem żony i groził, że złamie moje „japońskie morale” innymi środkami.

W pewnej chwili wyciągnął z szuflady gumowy harap i zaczął mnie nim okładać, ale widziałem, że robi to nieśmiało i jakby bojaźliwie, chowając szybko narzędzie tortur do biurka.

Przypadek zrządził, że w tym momencie wszedł do gabinetu kierownik kontrwywiadu płk Gniłoszczakow, rozsądny i inteligentny enkawudzista. Znałem go z czasów urzędowania delegatury w Taszkencie. Do niego zwracaliśmy się o interwencję w ważnych sprawach, których inne władze tknąć nie chciały. Miał odwagę powziąć decyzję i przeprowadzić ją. Rzecz rzadka w Sowietach.

Opowiedziałem mu o biciu i zapytałem wprost, czy w Związku Sowieckim wolno bić więźniów. Odrzekł, że to są moje wymysły, ale natychmiast po wyjściu poprosił telefonicznie

Kogana do siebie. Więcej harapa nie widziałem. Raz tylko Kogan chciał mnie uderzyć, ale w ostatniej chwili cofnął się i warknął: „inostraniec”. Dla mnie oznaczało to, że Holendrzy poskutkowali.

Ale wszystko ma swój kres. Następnego konwojera nie wytrzymałem. Chciało mi się strasznie spać. Pomyślałem sobie, że trzeba opowiedzieć im jakąś bajeczkę i za tę cenę pójść spać. Oczy mi się kleiły, powieki same opadały a tu za każdym razem budził mnie szturchaniec śledczego. Właśnie dyżur miał sympatyczny enkawudzista Agapitow, któremu opowiedziałem bajeczkę, na prędcie skomponowaną. Oto Powieża, radca ambasady, który tymczasem został storpedowany na Białym Morzu, po przybyciu do delegatury w Taszkencie, witał się podnosząc dwa palce do góry, co jakoby miało być znakiem rozpoznawczym drugiego oddziału. Później widząc Churchilla, pokazującego palcami V, śmiałem się, że pracował w polskim wywiadzie. Ale Agapitow uwierzył i potwierdził, że on o tym znaku rozpoznawczym wie skądinąd. Był nietyle szczęśliwy z mojego przyznania, ile rad, że przyznałem się jemu, a nie Koganowi i że wreszcie zwolni się od dyżuru przy jałowym i nudnym konwojerze.

Pozwolono mi spać 36 godzin bez przerwy.

Kiedy znowu wezwano mnie na śledztwo Kogan pienił się. Jak to, on włożył tyle pracy w „opracowanie” mojej sprawy i mojej osoby, a ja bezczelnie przyznaję się innemu, przypadkowemu śledczemu. Traktował mnie dalej per nogam.

Okazało się, że NKWD nie jest monolitem i że przy bliższej obserwacji wychodzą na jaw przeciwieństwa i antagonizmy, oparte na różnicach narodowościowych.

Płk Gniłoszczakow wezwał mnie na przesłuchanie, co zdarzało się rzadko, bo z pominięciem Kogana. Pytał mnie na temat Powieży. Oświadczyłem mu, że to wszystko fikcja na skutek fizycznego i nerwowego wyczerpania.

Wobec tego podrzemy to zeznanie — zadeklarował nieoczekiwanie Gniłoszczakow.

— Ale mam propozycję. — Pomyślałem sobie, że chodzi o wywiad. Rzeczywiście chodziło o wywiad, ale innej natury.

— Wiemy, że jesteś dobrym adwokatem i że zajmowałeś się polityką. — Faktycznie nie ukrywałem mojej przynależności do PPS.

— Jako człowiek i jako polityk poznałeś Związek Radziecki w więzieniu i na wolności. Interesuje nas twój sąd, twoja opinia. Czy chcesz nam to napisać?

Zamyśliłem się. Widocznie upadł zarzut szpiegostwa i chcą mnie złapać na politykę. Ale z drugiej strony nie ukrywałem

nigdy moich przekonań politycznych, przeciwnie miałem odwagę przyznać się do nich. Nigdy nie agitowałem za PPS w Sowietach. I wreszcie nabrałem dziwnego zaufania do Gniłoszczakowa, który uratował mnie od bicia i zniszczył protokół fikcji. Zgodziłem się.

Napisałem kilkanaście stron. Zacząłem od szczegółowej biografii, podkreśliłem przywiązanie do polskości i do PPS. Zaznaczyłem, że nigdy nie byłem komunistą ani sowieckim człowiekiem, ale, że przez pewien czas miałem prosowieckie sympatie, które skończyły się we wrześniu 1939 roku. Opisałem moje przejścia wojenne, więzienne i obozowe. Następnie w punktach wyliczyłem naprzód ujemne a następnie pozytywne obserwacje. A więc poświęcenie jednego pokolenia sowieckiego, które nie zaznało owoców rewolucji, tylko ciężką pracę i nędzę, dalej wszechwładza NKWD, która na zachodzie jest nie do pomyslenia, ciężkie warunki i nadużycia w obozach pracy, zrujnowanie rolnictwa przez przymus kołchoźniany i wadliwość handlowego aparatu rozdzielczego. Pozytywne zjawiska widziałem w męstwie żołnierza sowieckiego, patriotyzmie zwykłego obywatela, fachowym dowództwie i w sprawności aparatu komunikacyjnego. Na zakończenie umieściłem uwagę, że obecnie, w obliczu wspólnego wroga, idą razem Rosjanie i Amerykanie, komuniści i kapitaliści, konserwatyści i liberałowie, ale po zakończeniu wojny dawne antagonizmy odżyją i znowu nastąpi separacja. Zaznaczyłem, że moje przekonania wyjawiałem często w rozmowach z kolegami z delegatury, ale nigdy nie wypowiadałem ich wobec obywateli sowieckich. To była klauzula bezpieczeństwa.

Kiedy powróciłem do celi i opowiedziałem treść mojego memorandum Padewskiemu, zapewnił mnie, że zarobiłem 10 lat.



Kiedy następnego dnia popołudniu kończyłem kształcenie mojego porucznika, wykładając mu treść „Wesela” i doszedłem do ostatniej strofki Chochoła, otworzył się judasz i polecono mi wyjść „z wieszczami”.

Rzadko wzywano na śledztwo popołudniu. Raczej chodziło o przeniesienie do innego więzienia lub do innej celi. Wbrew przypuszczeniom zapakowano mnie do „czarnego kruka” i zawieziono do tego samego budynku, tylko od wejścia dla śledczych. Sto razy robiłem tę drogę, ale zawsze w nocy. Tym razem świeciło miłe, jesienne słońce. Weselsze i przyjemniejsze były korytarze, uśmiechnięci urzędnicy, wszyscy znani mi z konwojera, witali się ze mną serdecznie, dając mi do zrozumienia, że czeka

mnie miła niespodzianka. Nie chciałem wierzyć własnym myślom.

Zaprowadzono mnie do poczekalni Gniłoszczakowa. Tutaj spotkałem Kogana. Patrzył na mnie, jak na wroga, był wściekły z powodu obrotu sprawy. Po chwili wezwał nas szef i odczytał postanowienie o umorzeniu śledztwa wobec braku poszlak.

Kogan nie ukrywał niezadowolenia. Inni, kiedy po raz ostatni wracałem przez korytarze, ściskali mi serdecznie rękę, nietyle dla okazania mi przyjaźni, ile dla zademonstrowania antypatii do nadgorliwca Żyda, Kogana.

Sprawy nasze zakończyły się szybko dzięki interwencji Stanów Zjednoczonych (vide pamiętniki amb. Ciechanowskiego) i złej sytuacji wojennej (Stalingrad) Związku Sowieckiego. Około 70% aresztowanych uznano winnymi i skazano na wydalenie poza granice państwa sowieckiego, co znowu nie było taką straszną karą, 15% skazano na więzienia względnie obozy a 15% dostało umorzenie sprawy i pozostało w Sowietach.

Przyjaciele śmiali się, że broniłem się za dobrze.



Po powrocie do Samarkandy zastałem sytuację zmienioną. Wojsko wyjechało do Iranu. Wraz z wojskiem znaczna część Polaków, jako rodziny wojskowe. Pozostali przeważnie Żydzi — w samej Samarkandzie około 3000 — wśród nich, jak rodziny w cieście, Polacy, którzy spóźnili się na ewakuacyjny pociąg. Delegaturę zlikwidowano, pozostał Piotr Nowacki, jako mąż zaufania.

Nowacki był typem pełnym sprzeczności, ale nie pozbawionym wdzięku i uroku. Był rudawy, ale niezanadto i jego rude wąsiki nie budziły rasowych podejrzeń. Był inteligentny i mądry, ale nie przemądrzały. Był antysemitą, ale umiarkowanym. W rezultacie okazało się, że jest pochodzenia żydowskiego. Podczas paszportyzacji odmówił przyjęcia obywatelstwa sowieckiego i ślad po nim zaginął. Jedną z pierwszych osób, na które natknąłem się w Lublinie, była pewna starsza, dystygowana pani, pełniąca funkcje sekretarki naszego resortu do dyspozycji ministra. Przy załatwianiu poczty nawiązałem z nią rozmowę i szybko ustaliłem, że jest siostrą Nowackiego, który nazywał się naprawdę Barliński. Same sprzeczności. Był żonaty i dzieciaty. W Samarkandzie pozostawił wojenną żonę.

Moja osobista sytuacja była niewesoła. Ambasada przysłała mi paszport, zaopatrzony w wizę irańską i brytyjską do Nairobi. Władze sowieckie konsekwentnie odmawiały mi wizy wyjazdowej, uznając natomiast mój polski paszport i polskie obywa-

telstwo i przedłużając mi periodycznie wizę pobytową. Jako skompromitowany udziałem w sprawie o szpiegostwo, nie mogłem więcej pracować w aparacie ambasady. Byłem więc bezrobotny, utrzymując się z odprawy, sprzedaży ciuchów i z pomocy materiałowej ambasady.



Zima minęła mniej więcej spokojnie, ale zwycięstwo sowieckie pod Stalingradem było zapowiedzią nowych aktów opiekuńczych.

Zbieraliśmy się codziennie wieczorem w mieszkaniu Nowackiego i po kolacji skracaliśmy czas zabawami w inteligencję. Z ostatnią falą uchodźców z Kaukazu napłynęło wiele osób. W tym niemało inteligencji. Samarkanda była największym ośrodkiem intelektualnym. Na zebraniach u Nowackiego mówiliśmy mało o polityce, obawiając się podsłuchów, gdyż wtedy NKWD było wszechmocne i wszechobecne. Interesowali się bardzo polskimi obywatelami, co myślą i co mówią. Przypuszczaliśmy, że w centrali NKWD istnieje specjalna komórka, poświęcona Polakom, która permanentnie zastanawia się nad tym, jak im dokuczyć. Była to oczywiście fantazja.

Wśród nowych przybyszów odnalazłem kolegę i towarzysza partyjnego, adwokata Mieczysława Gordona z Warszawy. Jego wątły organizm nie wytrzymał trudów tułaczki. Człowiek cichy, dobry i szlachetny umarłomalże na moich rękach, prosząc o przekazanie towarzyszą, że do ostatniej chwili pozostał wierny socjalistycznemu sztandarowi.

Z Kaukazu przybył też adw. Stanisław Gross z Warszawy, poczciwy grubasek, którego później wprowadziłem, podtrzymując, na polityczną ślizgawkę. Z czasem nauczył się holendrować samodzielnie.

Do najmiłszych wspomnień z tego okresu należały znajomości i częste kontakty towarzyskie z Kiljanową, twórczynią teatru kukiełek swoistych form, osobą żywą i inteligentną, z Rosenberg-Lejflową, umiejętną satelitką ludzi znanych, z Weltmanową, dbającą o rzeczy ważne, bo powszednie, dzisiaj urzędniczką Narodów Zjednoczonych, z Nowacką, wojenną żoną Pietrka.

Z mężczyzn muszę wymienić na pierwszym miejscu Pawła Hertza, który już samą apollinijską aparycją rozpraszał nasze codzienne troski, oraz lekarza dra Liebenschajna, zwanego powszechnie doktorem Zacności ze względu na wielkoduszną aktywność.

To były osoby pojedyncze. O ile chodzi o rodziny, to najlepsze mieszczańskie, prowincjonalne tradycje polskie pielegno-



wała pośród uzbeckich winogron, bawełny i ryżu aptekarska rodzina Lichtsonów, właśnie z Kazimierza nad Wisłą.



Wiosna roku 1943 była dla nas bardzo burzliwa.

Pierwsza bomba wybuchła z okazji narzuconej z góry paszportyzacji. NKWD postanowiło skończyć z polskimi obywatelami i dać im albo obywatelstwo sowieckie albo dokumenty bezpaństwowców. Wszystko było upozorowane swobodą postanowienia i dyskusji. W rzeczywistości stosowano nacisk i areszty celem wypełnienia normy, tj. wyprodukowania 90% sowieckich obywateli i 10% apatrydów. Nie było określonych warunków dla tego zróżniczkowania. Zależało to od swobodnego uznania urzędnika, czasem od łapówki. Rojewski i Weltmanowa przesiedzieli kilka dni w areszcie, później przyjęli paszporty sowieckie. Strach padł na żydowsko-polską społeczność w Samarkandzie. Wkrótce stało się wiadome, że kto odmawia konsekwentnie, to go sądzą i skazują za byle co, np. za włóczęgostwo lub za prostytucję. Świadkowie znajdują się zawsze.

Nowackiego zaproszono w tej sprawie do naczelnika okręgowego NKWD. Od tej pory słuch po nim zaginął. Mnie wezwano jako drugiego z kolei. Audyencję odprawiał Aślanikaszwili, szef NKWD, w towarzystwie trzech innych oficerów. Wybrałem się na to posiedzenie, zaopatrzwszy się w koc i spory mieczek machorki, spodziewając się losu Nowackiego. Aślanikaszwili zawiadomił mnie, że spadła na mnie wielka łaska i godność, gdyż władze sowieckie postanowiły zaofiarować mi obywatelstwo sowieckie. Grzecznie podziękowałem i odmówiłem, powołując się na to, że jestem wychowany w duchu polskim, że byłem polskim urzędnikiem, że należałem zawsze do PPS i że ojczyzna nie porzuca się, gdy znajduje się w ciężkiej sytuacji. Wysłuchali spokojnie i rozpoczęli argumentować po swojemu, a że to ojczyzna narodów, że traktuje się wszystkich równo, że Żydzi mają tutaj swoją Palestynę itp. O losie Birobidżanu, skąd Żydzi uciekli wiedziałem, ale przemilczałem, nie chcąc zaostrzać sytuacji. Skromnie postawiłem pytanie, czy władza sowiecka uznaje swoje poprzednie decyzje? Otrzymałem skwapliwą odpowiedź, że naturalnie, że praworzadnie, że to jasne itd. A więc czego panowie chcą ode mnie, skoro jestem posiadaczem ważnego, polskiego paszportu zagranicznego, stwierdzającego obywatelstwo polskie i uznanego przez władze sowieckie przez wydanie mi i stałą prolonatę zezwolenia na pobyt. Aślanikaszwili udał, że go to zaskoczyło, sprawdzał, gdzie, co i jak, i przerwał posiedzenie.

Dobrze wiedział, o co chodzi, ale myślał, że mnie zastraszy i pozyska jedną duszyczkę, która będzie przykładem dla reszty. Koc okazał się niepotrzebny, do sprawy nikt więcej nie powracał, pozostałem obywatelem polskim, jednym z najwyżej 10-ciu na terenie całego Związku.



W tym czasie przyjąłem posadę rachmistrza w sowieckim przedsiębiorstwie konserwacji skór surowych. Firmą kierował nominalnie Uzbek Amin Aka, faktycznie ewakuowany Żyd z Odessy, Lewin, obaj starsi ludzie i dawni członkowie partii.

Amin Aka był typem niewspółczesnym, nie uznawał nowoczesnych środków lokomocji, jeździł tylko na osłe. Był administratorem powolnym (czas na wschodzie ma zupełnie inne znaczenie), uczciwym, braterskim i lubianym.

Lewin był nowoczesnym menadżerem w wiecznym wyścigu z czasem, eksploatującym potulnych tubylców na kolonialną miarę, pilnującym swoich interesów na boczkach, nielubianym, wprost znieawidzonym, ze względu na jego gubernatorskie gesty.

W tym to przedsiębiorstwie pracowała jedna młoda urzędniczka, Żydówka, ewakuowana z Moskwy. Była komsomołką, wyrażała się z pogardą o tej organizacji. Patrzyła z odrazą na Lewina. Zaprzyjaźniwszy się ze mną, wyznała mi, że brat jej właśnie przyjechał z frontu na urlop i nie chce wracać wobec dzikiego antysemityzmu, panującego w czerwonej armii. Szkoda, że Kogan nie mógł tego posłyszeć. Płakała opowiadając mi o tym i winiła nie tylko Rosjan, jako tradycyjnych chuliganów, ale i Żydów typu Lewina.

W czasie pracy w tej instytucji padła bomba Katynia i zerwanie stosunków polsko-sowieckich. Koledzy w biurze dawali niedwuznacznie do zrozumienia, że sprawcą Katynia są władze sowieckie, ale na zewnątrz obarczaliśmy winą Niemców. Była to typowa sowiecka maskarada, która później, dzięki Miłoszowi, otrzymała nazwę ketmanu.



Zerwanie stosunków dyplomatycznych było dalszym ciosem tego sezonu, wymierzonym w serca byłych obywateli polskich, którzy od tej chwili zdani byli na łaskę i niełaskę władz sowieckich. Zaczęto przebąkiwać o nowych wywózkach.

W tej sytuacji i z punktu widzenia oportunistycznych inte-

resów ludności polskiej, pozostałej w Sowietach, powstanie Związku Patriotów Polskich pod egidą Wandy Wasilewskiej i Dywizji Kościuszkowskiej pod dowództwem Berlinga, należy uznać za cudowne wydarzenie, które uratowało wielu ludziom życie, zapewniło egzystencję im oraz polskim instytucjom kulturalnym i opiekuńczym, istniejącym na terenie Związku Sowieckiego. Jasne jest, że nie to było celem Związku Patriotów Polskich, który miał swoje cele polityczne, wszystkim dobrze znane mimo starannego kamuflażu.

Znalazł się nowy opiekun, do którego nacjonalistycznej frazeologii nie miano zaufania, ale nie było innego wyjścia jak współpracować z nim, by uniknąć przykrości. Natomiast współpraca dawała znaczne korzyści w postaci posad i deputatów. Byli obywatele polscy byli sytuowani znacznie lepiej, niż obywatele sowieccy starej daty. Oprócz normalnych przydziałów otrzymywali dodatkowe, z dawnych, bogatych magazynów ambasady i jeszcze nadzwyczajne dodatki od władz sowieckich. Starano się zbudować most przyjaźni i zaufania do Związku Patriotów.

Stałem cały czas na uboczu, wyrabiając 450 rubli miesięcznie na mojej posiadzie, co wystarczało na tydzień życia. Po wkroczeniu czerwonej armii i dywizji Kościuszkowskiej do Lublina, postanowiłem wrócić do Polski, meldując się do wojska. Akceptowałem zasady manifestu lipcowego PKWN. Zdawałem sobie sprawę z tego, że do partnera nie można mieć wielkiego zaufania, ale pomyślałem sobie, że nieraz zgubiło nas zbytne zaufanie do rzekomych aliantów i że w tym momencie nie było innego wyjścia, jak wracać do Polski.



Z bijącym sercem mijałem granicę polsko-sowiecką. Wracalem po pięciu latach przymusowej nieobecności. Interesował mnie każdy szczegół.

Rzuciło mi się w oczy, że zniszczenia wojenne są stosunkowo niewielkie. Wsie i miasteczka ocalały, gdzieniegdzie tylko, od Włodawy do Lublina, widać było spalony czy zniszczony dom. Na Ukrainie sowieckiej zniszczenia były znacznie bardziej namacalne.

Jakoś ci chłopci, których spotykałem wzdłuż drogi, nie przypominali mi przedwojennych chłopów. Byli odziani bardziej po miejsku, baby ubrane dostatnio, wozy wiejskie ogumione, rzucało się od razu w oczy, że chłopom wiodło się nie najgorzej podczas wojny.

W Lublinie zniszczenia również były niewielkie. Miasto ocalało i kokietowało swoją urodą w złotym świetle jesiennego słońca.

Na ulicach i w lokalach panował ożywiony ruch. Wystawy uginają się pod ciężarem kielbas, ciastek i białego pieczywa. Mężczyźni i kobiety ubrani elegancko, według specyficznej wojennej mody.

Zdawało mi się, że to zjawia senna. Pięć lat żyłem w nędzy z dala od teatru wojny w *Hinterlandzie*. Wróciłem w łachmanach i w trepkach. A tu, gdzie rozgrywały się dramaty wojenne ludzie dbali o swój zewnętrzny wygląd i o dobre odżywienie i mało różnili się od przedwojennej publiczności.

Propaganda sowiecka oszpecała miasto. Wielkie portrety Stalina, tasiemcowe wersety z komunistycznych ksiąg mądrości, przetłumaczone złą polszczyzną i wypisane nieortograficznie. kapały się w jaskrawej, rażącej czerwieni.

Na targu inni ludzie, inni kupcy i straganiarze. Z obrazu wypadły historyczne i tradycyjne postacie i na ich miejsce weszli nowicjusze, poruszający się niepewnie w tym nowym, komercyjnym światku.



Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN) urzędował w gmachu województwa przy ul. Spokojnej.

Był to rząd, który nie nazywał się rządem, ze względów taktycznych i składał się z kierowników resortów, nie ministrów, mianowanych spośród działaczy krajowych, Związku Patriotów Polskich oraz z kilku działaczy politycznych, wywiezionych na Sybir i podebranych przez NKWD. Warto poświęcić parę słów tym osobistościom.

Na czele PKWN, następnie Rządu Tymczasowego i Rządu Jedności Narodowej stał Edward Osóbka-Morawski. Przedwojenny spółdzielca i pepesowiec, wyszedł obecnie z Robotniczej Partii Polskich Socjalistów (RPPS), która była kontynuacją organizacji Polscy Socjaliści (PS), wywodzącej się z socjalistycznych grup opozycyjnych wobec kierownictwa przedwojennej PPS, zjednoczonych we wrześniu 1941 na I Zjeździe PS. Wtedy do CK tej organizacji weszli A. Próchnik, St. Chudoba, E. Osóbka-Morawski, P. Gajewski, L. Raabe i H. Wachowicz. Latem 1941 PS weszli do Delegatury Rządu Londyńskiego, przebywali tam do połowy 1943, do powrotu do tej instytucji przedstawiciele WRN. W kwietniu 1943 II Zjazd zmienił nazwę organizacji na RPPS. Program PS był antysowiecki i antypartyzancki w początkowym okresie. Dopiero na wiosnę 1943 KC RPPS utwo-

rzył Polską Armię Ludową (PAL). Była to mała organizacja. W kierownictwie PS, potem RPPS działała grupa, dążąca do współpracy z komunistami, ale II Zjazd w r. 1943 wypowiedział się przeciw jednolitemu frontowi z nimi, jak również z Delegaturą i WRN. Doszło do rozłamu. Zwolennicy współdziałania z PPR wzięli udział w tworzeniu KRN. Powstał tymczasowy rozłamowy KC RPPS. Nowy IV Zjazd RPPS w maju 1944 skrytykował stanowisko KC, wyłonionego na III Zjeździe zrewidował program i politykę partii, przyjmując założenia współpracy ze Związkiem Sowieckim i z PPR. Do prezydium Rady Politycznej weszli: St. Szwalbe, H. Świątkowski, St. Tołwiński, do CKW E. Osóbka, M. Szyszko, F. Baranowski i in. KC wybrany na III Zjeździe dla odróżnienia od WRN, która wróciła do tradycyjnej nazwy PPS, przybrał w czerwcu 1944 nazwę PPS Lewicy. III i IV Zjazd podzieliły tę niewielką organizację, liczącą na pewno nie więcej niż 30 osób, na RPPS i PS Lewica. Obie nie miały bazy społecznej. Nikt nie znał ich programu i polityki. Zresztą trudno było je znać, skoro każdy zjazd (szumna nazwa!) i każde prezydium CKW zmieniało zasady i kierunek. Przypuszczam, że nawet członkowie niezupełnie orientowali się w tym kalejdoskopie. Takie organizacje są typowe dla sytuacji okupacyjnej lub emigracyjnej. RPPS po IV Zjeździe brała udział w tworzeniu PKWN. Na konferencji partyjnej w Lublinie we wrześniu 1944 roku RPPS przyjęła nazwę PPS. W tej konferencji brałem udział i byłem autorem telegramów do szefów państw sprzymierzonych i do bratnich partii socjalistycznych. Konferencja była słabo obesłana, brało w niej udział nie więcej jak 50 delegatów. Potwierdziła ona zasady jednolitego frontu. Brali w niej udział m.in. Osóbka, Drobner, prof. Raabe, Ogrodziński, Frymar, Skrzypek i in. Drobnera wybrano prezesem Rady Naczelnej, Osóbkę przewodniczącym CKW, mnie jego zastępcą.

Umyślnie przytoczyłem po krótkce historię rozłamów, gdyż jest ona charakterystyczna dla polskiego życia politycznego: indywidualizm polityczny, żerowanie na tradycyjnych firmach i rozmażania się przez dzielenie.



Osóbka, młody działacz spółdzielczy, był dobrym materiałem na uczciwego przywódcę politycznego. Ale uczciwością w polityce daleko nie zajędzie, szczególnie, jeśli ma się jako partnerów, polityków, których zasadą jest, że cel uświęca środki. Osóbka był szczerzy, prawdomówny i impetyczny. Nieraz krzy-

czał w swoim mieszkaniu, zapominając o aparatach podsłuchowych, w bezsilnej złości i wygrażając potężnemu portretowi Stalina, że nie on a ten łotr rządzi Polską. Osóbka nie był kukłą pepelowców, nie ustępował im i przy każdej sposobności wypominał im ich nielojalności i podstępny. Był uczciwy, ale za słaby. Inna rzecz, że mocniejszy też nie dałby rady przeciwko partii, która miała za sobą autorytet Stalina i Czerwonej Armii. Był zdolny, ale za mało zaprawiony w politycznych rozgrywkach. Był dobrym mówcą, ale nie miał doświadczenia w pertraktacjach. Z tych erpesowskich przygód rozłamowych wyniósł przekonanie, że to był klanik oderwany od reszty świata, że jego towarzysze to po większej części przypadkowi oportuniści i że jedyną siłą jest PPS, której należy utorować drogę do władzy. Nie posiadał ambicji osobistych, miał natomiast ambicje partyjne. Zależało mu na tym, by nie dać zepchnąć się na drugi tor przez PPR. Osóbka w moich oczach zaprezentował się jako płomienny pepesowiec, który posiadane braki i niedobory wyrównywał entuzjazmem i wiarą. W tym podtrzymywała go jego młodziutka żona, Wiśła, z domu Pankiewiczówna.



Z innych jego erpepesowskich towarzyszy tylko dwaj stanęli na poziomie, a to Szwalbe, układny i rozsądny, umiarkowany, specjalista od rokowań, pertraktacji i zakulisowych rozmów oraz adw. Świątkowski, dobry prawnik i administrator, ale zanadto uległy wobec sowieckich postulatów. Trudno mi napisać coś o Tołwińskim, prezydencie m. Warszawy, gdyż nigdy nie mogłem zorientować się, czy należy do RPPS, do PPS czy do PPR. To samo można było powiedzieć o Droźniaku, który w tym czasie odgrywał dużą rolę w organizacji bankowości.

Takie było zaplecze partyjne Osóbki. Jaka była jego pierwsza ekipa rządowa, tj. PKWN? Jedynym politykiem z prawdziwego zdarzenia był kierownik resortu odszkodowań, syjonista dr Emil Sommerstein, którego NKWD aresztowało we Lwowie, trzymało długi czas w więzieniach a następnie przekazało do PKWN. Nie mogę powiedzieć, czy prośbą, czy groźbą, czy też przekonano go o konieczności tej misji. W rozmowach bardzo ostrożny, patrzył na wszystko z uśmiechem zawiedzonego konesera, na posiedzeniach komitetu nie zabierał głosu, chyba dla poprawy sformułowań prawniczych w uchwalanych dekretach. Ożywił się natomiast na posiedzeniach komisji prawniczej KRN, której przewodniczyłem, i gdzie dyskusje odbywały się na wyższym poziomie fachowym. Brał w nich udział

również bundowiec adw. Szuldenfrei, wybitny prawnik, podówczas dyrektor biura prawnego przy prezydium rady ministrów. Dyskusje na posiedzeniach PKWN były bardzo skromne i ograniczone. Kierownicy resortów, później ministrowie, nie mieli wiele do powiedzenia, raczej zabierali głos wiceministrowie, wśród których było kilka otwartych głów.

Sommerstein nie wszedł do rządu tymczasowego, został dyrektorem biura odszkodowań. Wkrótce potem wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie niedawno umarł, pielęgnowany przez jedyną córkę, która podczas wojny uratowała się w Polsce dzięki pomocy włoskich oficerów. Sommerstein przeszedł niejedną tragedię, ale największą chyba była niemożność osiedlenia się w Izraelu i zobaczenia własnymi oczyma realizacji jego idei.

Jest dużo Żydów, którzy nie pojechali do Izraela i zagranicą słowem i piśmem bronią interesów polskich. Swoją aktywnością zadają kłam tezie, że ich przyznawanie się do polskości miało charakter koniunkturalny. Ich polskość była i jest z najszerszego złota. Tym więcej trzeba to podkreślić, że ze strony swoich współwyznawców spotykają ich wyrzuty, dotyczące zaprzaństwa i służalczości wobec antysemitów. Samo używanie języka polskiego przez Żydów budzi często odrazę w sferach mało inteligentnych Żydów. Ale z drugiej strony można również spotkać prostych Żydów, rozsianych po całym świecie, którzy z dumą popisują się znajomością języka polskiego i wspominają piękno polskiego krajobrazu. Jest jeden Icek w Buenos Aires, właściciel delikatesów, pochodzący z Nowogródka, mówiący dobrze po polsku i deklamujący utwory swojego rodaka z Zaosia. Albo ta Żydówka, która w uniesieniu powiedziała do mnie: „Zjeść jeszcze raz karpia ze stawów Piłsudskich i umrzeć!”. Każdy z nich wspomina po swojemu Polskę.



Zastępcami Osóbki byli Andrzej Witos i Wanda Wasilewska.

Jak łatwo pojąć Andrzej Witos został zastępcą ze względu na nazwisko i braterstwo z Wincentym. Jeszcze jedna akcja symulacyjna wymyślona przez NKWD i obliczona na prostaków. Andrzej nie nadawał się na ministra. Brakowało mu zdolności i odwagi brata. Wkrótce spławiono go pod pozorem sabotażu reformy rolnej. Na jego miejsce przyszedł młody wiciowiec Bertold, który przeprowadził reformę przy pomocy brygad robotniczych, albowiem chłopie nie kwapili się. Wyczuli pismo nosem, że to niby teraz dają a potem zmuszą do kołchozów.

Albo przyjdą z powrotem pany i odbiorą. Wkrótce Bertold na skutek niezależności opinii popadł w niełaskę i poszedł w odstawkę do Państwowego Banku Rolnego. Ale to są już dalsze dzieje.

Podobnie jak nie dane było drowi Sommersteinowi zobaczyć ziemię obiecaną, tak i Wandzie Wasilewskiej nie pozwolono spełniać w Polsce Ludowej żadnej funkcji publicznej. Owszem, prywatnie mogła przyjeżdżać z wizytą, ale nic więcej. I w PKWN była tylko formalnie zastępcą Osóbki. Przyczyną tego ostracyzmu było zbytne zaangażowanie się po stronie ukraińskiej tak moralne, jak i rodzinne. Ona to zbudowała Związek Patriotów Polskich i patronowała Dywizji Kościuszkowskiej, ale na granicach Polski Stalin zastopował jej pęd do władzy, podobno urażony jej egocentryzmem i apodyktycznością, czego nie tolerował.



Przybyli ze Związku Sowieckiego Kotek-Agroszewski i Radkiewicz objęli resort administracji wzgl. bezpieczeństwa. Kotek to było zero, Radkiewicz właściwie też. Obaj, świetnie ubrani, nie mieli nic do powiedzenia. Tyle tylko, że Agroszewski nie miał także nic do ukrywania a Radkiewicz bardzo wiele. Był on firmantem wszystkich niecznych praktyk i inkwizytorskich tortur aplikowanych przez Różańskich et consortes. Potem tłumaczył się, że o tym nie wiedział! Kiedyś przydano mu na zastępcę socjalistę Wachowicza, który wkrótce wyleciał z powodu zbytnej ciekawości. A więc albo Radkiewicz nie był w ogóle ciekaw, tego co się u niego dzieje i przymykał oczy, albo — jeżeli był ciekaw — to dlaczego nie wiedział i nie wyrzucił winnych?

Do PKWN weszło jeszcze dwóch panów, którzy przedarli się z kraju przez front do Moskwy, a to gen. Rola Żymierski i buchalter Haneman.

Gen. Żymierski wkrótce ubuławił się, ale nie zmienił sposobu bycia à la fanfaron. Po wykończeniu Berlinga sam został wykończony przez Rokossowskiego.

Berling był oficerem legionowym, pochodzi z kolejarskiej rodziny z Nowego Sącza, twierdzy PPS. Zawsze podkreślał, że jest socjalistą. Po wyekspediowaniu armii Andersa przez Krasnowodsk do Iranu, Berling odmeldował się jako szef bazy ewakuacyjnej i zameldował się do dyspozycji władz sowieckich dla wspólnej walki przeciwko Niemcom. Podobno przeszedł szczegółowe badanie weryfikacyjne w NKWD, po czym stanął na czele Dywizji Kościuszkowskiej, która przelała niepotrzebnie dużo krwi pod Lenino dla udokumentowania braterstwa broni. Pod-



czas powstania Berling stanął na wysokości zadania jako patriota, ale zawiódł jako polityk. Nie rozumiał oczekiwania czerwonej armii po drugiej stronie Wisły i na własną rękę skierował część dywizji do pomocy powstańcom. Wyprawa skończyła się niepowodzeniem i poniosła duże straty. Kiedy zmuszono go do przyhamowania, wysłał protestującą depezę do Stalina, zarzucając trockizm lubelskiemu komitetowi. Nie było cięższego i niebezpieczniejszego zarzutu. Była to śmiertelna obraza dla PKWN, który od tej chwili odnosił się do Berlinga zdecydowanie wrogo. Berling apelował do Stalina prosząc o audiencję. Wezwano go do Moskwy, ale nie dopuszczono do szefa. Przesiedział tam bezczynnie rok, po czym wrócił do Polski na drugorzędne stanowisko. Właściwie wymusił powrót groźbą strajku okupacyjnego w ambasadzie. Jego adiutantem był płk Władysław Spatz, syn lekarza z Jarosławia, poczciwy jakaś, weterynarz, który szybko awansował, ale nie miał pojęcia o wojsku. Berling był przynajmniej zawodowym wojskowym. Obaj mieli uczciwe zamiary, ale nie zdawali sobie sprawy z politycznych machiawelizmów. Spatz odsiedział swoje w bezpiece.

Opuściliśmy na chwilę buchaltera Hanemana, ale tylko na chwilę zostawiliśmy go samego. Na dłużej nie wolno, gdyż może popełnić głupstwo. Był to okrągłutki człowieczek, który marzył o opanowaniu sztuki prowadzenia Jeepa. Podczas największego napięcia wypadków politycznych i wojennych zabrał się do nauki szoferki i przejechał w biały dzień, w śródmieściu Lublina, kilka osób na śmierć. Był kierownikiem resortu skarbu, przemysłu i handlu. Trzy ważne działy, którymi dyrygował sposobem sklepikarskim. Wszystkie zapasy gotówki i produktów trzymał u siebie w biurze i rozdzielał ciepłą rączką. Co prawda papierowe pieniądze drukowała Moskwa prowadząc podwójną buchalterię, tzn. zatrzymując pewne partie bez polskiej kontroli dla siebie. Produkcja przemysłowa była ograniczona, ale ludzie palili się do pracy i należało wykorzystać produkcyjnie ten entuzjazm i uruchomić fabryki i warsztaty, ale do tego brak było Hanemanowi sprytu.



Był jeszcze resort propagandy w rękach Jędrzychowskiego i Matuszewskiego.

Jędrzychowski należał do grupy wileńskiej, z której wyszli również śp. Dembiński, Sztachelski, Putrament, Petruszewicz i inni. Grupa ta wykształciła własne metody postępowania, które uchroniły ją od wielu przykrości. Przeszli krzyżową drogę od chrześcijaństwa do komunizmu. I na tym skończył się ich aposto-

lat. Raz doszedłszy do mety, spoczęli na laurach, unikając walki, nie wdając się w politykę, nie odchylając się i nie wychylając się. Wszyscy zdolni, układni i grzeczni wypełniali roboczą normę na sto dwa, ale nic więcej. Nie mogę powiedzieć, czy gnębiły ich wyrzuty sumienia chrześcijańskiego, czy też zachowali jezuicką psychikę, dość, że cechowała ich odrębna mentalność. Jędrzychowski, typ jadowitego inkwizytora, orientował się doskonale w zagadnieniach ekonomicznych. Być może teoretyzował za dużo, ale lepsze to, niż wątpliwy nadmiar mincowskiej praktyczności.

O Matuszewskim trudno napisać coś dodatniego. On również porzucił światopogląd katolicki dla socjalizmu. Potem, zdaje się, pod wpływem żony, uległ pokusom przyjaźni polsko-sowieckiej i urokom Stalina. W tym czasie był również sekretarzem generalnym PPS. W CKW uchodził za peperowską wtyczkę. Po prostu notował jawnie na posiedzeniach ich przebieg, by potem przekazać komu należy. Już to bezpieczeństwa mogła poszukać sobie inteligentniejszą wtyczkę. We wrześniu 1944 był przekonany, że czerwona armia wkroczy wkrótce do Warszawy i prosił mnie o przygotowanie tekstu odezw PKWN i PPS do ludności wyzwolonej stolicy. Nie orientował się w polityce. Typ gorliwego neofity.



W resorcie spraw zagranicznych główną figurą był Jakub Berman, z kategorii żydowskich doktrynerów. Układny, grzeczny, chłodno uśmiechnięty, trwał dniami i nocami przy telefonie, połączonym bezpośrednio z Kremlm i był drobiazgowym wykonawcą otrzymanych instrukcji bez marzy interpretacyjnej dla interesów polskich. Ilekroć rozmawiałem z nim odnosiłem zawsze wrażenie, że żyje w stanie ciągłego zawieszenia i obawy, by nie powziąć decyzji, która potem mogłaby okazać się niezgodna z nowymi poleceniami z centrum. Początkowo moje stosunki z komunistami były więcej jak poprawne, naturalnie nie z Bermanem, ale z Mincem, Skrzyszewskim, jego żoną Bronisławą, Wierbłowskim, Modzelewskim i innymi. Były to czasy niekontrolowanej euforii z powodu zagarnięcia władzy. Dopiero później nastąpiło napięcie, spowodowane przywróceniem dyscypliny partyjnej, izolacji organizacyjnej i przypomnieniem *memento mori* z okresu czystek sowieckich. Przedtem zapraszano mnie na zebrania peperowskie jako referenta i bardzo chwalono w centralnym organie. Tylko z Bermanem nie było płaszczyzny porozumienia. Dużą rolę odgrywał w jego umysłowości strach przed powrotem demokratycznego ustroju. Pewnego razu robił mi wyrzuty, że nie ujawniłem moich rozmów z Zarembą, którego

— jego zdaniem — należało natychmiast zamknąć i unieszkodliwić, gdyż inaczej narazamy się na niebezpieczeństwo, że nas przymkną. Jego wywiad pomylił Zuławskiego z Zarembą, którego nie widziałem w kraju na oczy. Berman, celujący uczeń sowiecki, węszył wszędzie agentów i szpiegów. Nie dopuścił do mianowania Langego ministrem spraw zagranicznych, zarzucając mu, że jest agentem Roosevelta. Niewątpliwie echo opinii Stalina. Hoovera i jego delegację, która przybyła do Polski celem zorganizowania pomocy UNRRA, traktował jako organizację szpiegowską, wysłaną dla zmontowania sieci wywiadu. Do tej delegacji przydzieliłem jako tłumaczkę Wiktorię Wittlin, siostrę Józefa i z tego powodu miałem wiele kłopotów, gdyż robiono mi zarzuty z powodu jej całkowicie obojętnego stosunku do bezpieczeństwa, tak że nie można było jej wykorzystywać. Nie wiem, co to byli za ludzie w tej delegacji i czy rzeczywiście mieli jakieś uboczne zadania, w co wątpię, poznawszy nieudolność wywiadu amerykańskiego w tym okresie, ale z jednym z członków tej delegacji zgadałem się na przyjęciu w Belwederze. Okazało się, że postarał się o włączenie do jej składu, by spotkać się z rozwiedzioną żoną, obecnie żyjącą w nędzy, a przed wojną w luksusie — w sławnym zielonym Packardzie i w kostiumie takiego samego koloru. Była to pani Pejt, zjawisko znane w Warszawie. Co do Jakuba Bermana to nie miał on pociechy z rodziny. Brat jako poale-syjonista wyjechał wkrótce do Izraela, szwagier i szwagierka odmówili powrotu do Polski i pozostali w Stanach.

Kierownikiem resortu spraw zagranicznych był w tym czasie Wincenty Rzymowski, człowiek stary, schorowany, obarczony sympatiami profaszystowskimi, służący PKWN-owi jako dogasający neon. Jego następca, Modzelewski, zawodowy komunista i wychowanek paryskiej szkoły politycznej wykazywał *esprit*, żywotność i brak zasklepienia w programowych formułkach. Nie był doktrynerem. Patrzył z noszalancją na to, co dzieje się dokoła. Umarł wcześniej.

Korpus dyplomatyczny w Lublinie składał się z Jakowlewa, przedstawiciela Związku Sowieckiego i Fouchet, reprezentanta de Gaulle'a. Ten sam Christian Fouchet był później ambasadorem w Kopenhadze, ostatnim wysokim komisarzem Algieru i ministrem informacji w pierwszym rządzie Pompidou. Jako pierwszy ambasador sowiecki przyjechał następnie do Warszawy Lebediew, którego nawet komuniści nie mogli ścierpieć z powodu bezceremonialnego szarogęsienia i narzucania swojej woli. Typ carskiego namiestnika.



W tym pierwszym okresie sytuacja polityczna i gospodarcza była płynna. Podobno Związek Sowiecki nie miał jeszcze programu w stosunku do Polski i innych satelitów. A może miał go, tylko nie chciał ujawniać, by nie przestraszyć aliantów.

Dlatego też komuniści polscy, czyli peperowcy, okazywali niepewność co do przyszłego ustroju Polski. Interwencje sowieckie w sprawy wewnętrzne były na razie delikatne i powierzone. Jeszcze Lebediew nie zadomowił się. A jeśli trzeba było dokonać jakiegoś posunięcia w polityce międzynarodowej wówczas Stalin przysyłał Bułganina albo innego dygnitarza dla wyjaśnienia konieczności. PKWN szczerze czy nieszczerze ale dążył do porozumienia z Mikołajczykiem, gdyż tego chciał Stalin. Poważnym problemem była walka z podziemiem i lasem. Opór na ziemiach wyzwolonych istniał i podważał autorytet władz rządowych. Z drugiej strony czerwona armia czyhała na mienie polskie i należało bronić się przed groźnym sojusznikiem. I wreszcie trzeba było rozwiązać, a raczej przystąpić do rozwiązania problemu uruchomienia gospodarki.

Rozmawiałem często ze Skrzyszewskim, kierownikiem resortu oświaty na te tematy. Pani Skrzyszewska, krakowianka, z domu Mandelbaumówna, nie była zakłamana. Sympatyczna komunistka krakowskiego chowu była bliska pepesowcom. Wszyscy krakowscy politycy z lewa czy z prawa mają jedną ważną zaletę: umiar. Patrzą z wyżyn wawelskiej tradycji i z wież 44 kościołów na przebieg wypadków. Skrzyszewski studiował w Krakowie i przejął się nieco krakowskimi manierami. Podobnie w dużo późniejszym okresie zapisał się do cechu natolińczyków. Tej ewolucji nie byłem już świadkiem, więc trudno mi ją zrozumieć. Nie zaobserwowałem u niego dyspozycji psychicznej na stalinowca. Ale *tempora mutantur et nos mutamur in illis*. Zastanawialiśmy się nieraz dokąd idziemy. Skrzyszewski nie należał do wybitnych polityków, był natomiast specjalistą w sprawach oświatowych. I co najważniejsze mówił szczerze to, co myślał. Wtedy wyrażał opinię, że Polska pozostanie krajem rolniczym na wzór Danii, Litwy, Łotwy i Estonii, a więc po przeprowadzeniu reformy rolnej będzie demokracją chłopską. Nie marzył o uprzedemysłowieniu, które wydawało mu się zbyt kosztowne. Nie jest ważne, co myślał Skrzyszewski. Ważne jest, że jeszcze nie ujawniono centralnych instrukcji wobec polskich komunistów i ci korzystali z tymczasowej wolności kształtowania rozmaitych koncepcji. Nie puszczali farby na temat industrializacji, kolektywizacji i demokracji ludowej.

Z drugiej strony Wierbłowski prosił mnie nieraz o interwencję wśród pepesowców na korzyść jednolitego frontu z PPR

i przeciw flirtowi z PSL. To oznaczało, że komuniści nie czuli się pewnie w siodle i PPS przy zręcznym manewrowaniu mogła zająć pozycję bardziej wpływową. Naturalnie do pewnej granicy, ustalonej decyzją Stalina i ustepliwością zachodnich mocarstw, które z kolei miały swoje racje stanu, zmuszające je do ustepliwości. Polska nie była pępkiem świata, choć nam się tak wydawało na podstawie faktu rozpoczęcia wojny z naszego powodu i obietnic sprzymierzonych. Tak samo PPS w tym czasie dzięki wielkiej popularności cierpiała czasem na manię wielkości i niektórzy jej przywódcy mieli pomysły nierealne. Do nich należy samodzielne stanowisko w polityce wewnętrznej, staranie o uzyskanie zaufania Stalina i plan pomostu (*bridge*) pomiędzy socjalizmem zachodnim i komunizmem. Wszystkie te koncepcje upadły na skutek tego, że były one sprzeczne z polityką Stalina, który dyktował, ale nie pozwalał sobie dyktować i był bardzo odporny i podejrzliwy wobec wszelkiego rodzaju inspiracji.



Sytuacja zmieniła się po zakończeniu wojny na skutek nowego układu sił na arenie międzynarodowej.

Zmniejszyła się niepewność co do przyszłego ustroju Polski i satelitów. Sowiety zaczęły puszczać farbę, stosując metodę presji i interwencji w stosunki wewnętrzne. Zdawało się, że najbliższą metą będzie 17-a republika. W związku z tym nastąpiło usztywnienie w rozmowach z Mikołajczykiem. Nastąpiła częściowa likwidacja problemu podziemia i lasu. Powstał nowy problem repatriacji i zaludnienia Ziemi Odzyskanych. Rolnictwo i przemysł zaczęły dźwigać się ze zniszczeń wojennych, kontroli okupacyjnych i rekwizycji partyzanckich.

W r. 1944, po rozpoczęciu rozmów w Moskwie między PKWN a Mikołajczykiem, można było uzyskać znaczne koncesje od Bieruta, aż do premierowstwa włącznie. W r. 1945 było to już niemożliwe i trzeba było zadowolić się wicepremierostwem i kilku tekami. Po konferencji w Jałcie, po śmierci Roosevelta i po zakończeniu wojny inny był zupełnie układ sił i to na korzyść Stalina.

Zaczęła zarysowywać się możliwość zupełnego opanowania, bez aneksji, przy pomocy starannie opracowanej koncepcji demokracji ludowych całego szeregu państw wschodniej i środkowej Europy. Początkowo plan ten był jeszcze zawoalowany, gdyż należało liczyć się z możliwością interwencji zachodnich mocarstw, którym przysługiwały pewne uprawnienia na zasadzie traktatów międzynarodowych.

Niemniej jednak Związek Sowiecki rozpoczął wnikać coraz głębiej w życie publiczne. Do tego celu służyła gigantycznie rozbudowana ambasada i PPR. Ta ostatnia niezupełnie jednolicie przyjmowała te intronisje, w zależności od grupy doktrynerów czy realistów. Pierwsi byli ślepyimi wykonawcami instrukcji, drudzy mieli na względzie polskie interesy narodowe w pewnym zakresie. Np. Gomułka i Rabanowski, ówczesny minister komunikacji, otwarcie chwalili polskich kolejarzy, rabujących dla Polski sowieckie mienie zdobyczne, a może i niezdobyczne, transportowane przez polskie terytorium.

Dzięki rozładowaniu atmosfery wojennej udało się rządowi zdemobilizować w znacznej mierze las i podziemie, które co prawda dawało jeszcze znać o sobie przez długi czas, były to jednak tylko dogasające płomienie. Można to było osiągnąć znacznie wcześniej i bez obustronnych ofiar, gdyby zastosowano uczciwą metodę, polegającą na uznaniu niewątpliwych zasług AK, na uczciwej amnestii i na pełnoprawnym dopuszczeniu do normalnego życia. Jak można było żądać ujawnienia się od ludzi, skoro wiadome było, że mimo ogłoszonej amnestii i obietnic aresztują, wywożą na Sybir, plwają na zasłużoną organizację podziemną, przywódców porywają podstępnie i uzależniają start życiowy od specyficznych warunków.

Gigantyczny problem wędrowki ludów ze wschodu na zachód i *vice-versa*, spowodowanej zmianami terytorialnymi i zlikwidowaniem obozów cywilnych i wojskowych rozwiązał się samoczynnie dzięki inicjatywie i pomysłowości zainteresowanych przy minimalnym udziale czynnika administracyjnego, który nie był przygotowany do podjęcia tak wielkiego zadania.

Życie gospodarcze ożywiło się nieoczekiwanie szybko. Polacy zabrali się do pracy i do interesów. Rolnictwo wchodziło na normalne tory. Uruchomiono fabryki i kopalnie, znajdujące się pod zarządem państwowym oraz przedsiębiorstwa prywatne. Polska pierwsza po wojnie zaczęła eksportować węgiel.



Za męża opatrnościowego polskiej ekonomii w owym okresie uchodził Hilary Minc. Pochodził z żydowskiej, mieszczańskiej rodziny, pracował przed wojną w GUS, wtedy wstąpił do partii i należał do kategorii elastycznych. To znaczy, że trzymał się z dala od polityki *sensu stricto*, ale gospodarkę kształtował według modelu sowieckiego, uwzględniając w miarę możliwości aktualne potrzeby państwa polskiego. Był przystępny dla argumentów strony przeciwnej, które rozpatrywał na płaszczyźnie rzeczowej.

Lubił, gdy go chwalono i sam chwalił się chętnie swoimi osiągnięciami. Statystyka obiektywna nie istniała dla niego. On sam robił statystykę pod kątem potrzeb bieżących. Przemawiał przekonująco, według punktowanej recepty stalinowskiej. Naturalnie koniec końców ulegał instrukcjom z Moskwy, czasem *contre coeur*. Tak było w sprawie ceny rabunkowej eksportowanego do Sowietów węgla, tak też było w sprawie planu Marshalla, którym entuzjamował się początkowo, ale wycofał się szybko dostawszy po głowie. Nie inaczej wypadło z modelem gospodarki polskiej, czy ma być konsumpcyjny, czy też heroiczny. W pierwszej fazie opowiadał się za odbudową fizycznych i moralnych sił narodu przez podniesienie poziomu życia, ale Kreml nie mógł znieść różnicy poziomów na korzyść Polski i zmusił do równania w dół. Minc posłusznie zaakceptował i skłonił do dymisji Czesława Bobrowskiego, prezesa głównego urzędu planowania, który jako młodziutki stażem pepeesiak bronił interesów konsumenta. Minc nie był złym ministrem, był tylko złym taktikiem. Obiecywał za dużo i posługiwał się fałszywymi wskaźnikami. To było zresztą w Sowietach na porządku dziennym. Miał do pomocy kilku zdolnych wiceministrów, m.in. inż. Ciszewskiego, którego nazywaliśmy szklarzem, albowiem od niego zależał przydział cennych szyb do okaleczonych przez wypadki wojenne okien. Zmarł wkrótce na stanowisku delegata do konwencji węglowej w Genewie.



Bierut i Gomułka. Zawodowiec i amator. Wychowanek Kominternu i polski samouk. Opanowanie i ekspansja. Doktrynerstwo i realizm. Inteligent i robotnik. Układność i szorstkość. Dwulicowość i szczerość. Wygodnictwo i prostota. Uzależnienie i niezależność. Rezerwa i bezpośredniość. Oportunizm i rebeliantstwo. Flegmatyk i choleryk. Ciasnota i horyzonty. Układność i kanciastość. Dukanie i płynność. Politura i chropowatość. Mnich i proboszcz. Centralista i autonomista. Biurokrata i życiowiec. Ortodoksa i reformator. Klasyk i romantyk.

Z tych kilku niezawsze ściśle przeciwstawień otrzymujemy charakterystykę dwóch głównych postaci polskiego komunizmu.

Dwa światy jednej wiary: katolik i protestant.

W dzisiejszym świecie, dążącym za wszelką cenę do symplifikacji, konieczne jest zastrzeżenie, że nie wszystko, co bierutowskie, jest czarne, tak samo jak nie wszystko, co gomułkowskie, jest białe.



Kiedy po 23-dniowej podróży powróciłem z wojennego zesłania do Lublina, uderzyło mnie, że mimo upływu tylko siedmiu tygodni od wkroczenia czerwonej armii, nie było już żadnych śladów niemieckiego gospodarowania z wyjątkiem słupów reklamowych z nietkniętą propagandą streicherowską.

Kiedy kilka tygodni później przejeżdżałem w podróży służbowej przez Krosno, zatrzymaliśmy ciężarówkę w centrum dla rozprostowania nóg. Właśnie przechodziły dwie uczennice, jedna może piętnastoletnia, druga dużo młodsza. Starsza, wskazując na mnie, objaśniła młodszą: „To jest Żyd”. Było to powiedziane bez złości, bez nienawiści, ot po prostu dla uświadomienia młodszej koleżanki, jak wyglądał zaginiony gatunek.

Te dwa fakty na tle pustego miejsca, wywołanego wytepieniem Żydów, były bardzo charakterystyczne dla ówczesnej sytuacji. Zdałem sobie sprawę z kolosalnego osamotnienia. Nie istnieje więcej baza masowa, zaplecze mojej aktywności. Zginęła tragicznie i to był ból tak wielki, że trudno go było pojąć i wysłowić.

Uratowała się cała bliska rodzina moja i mojej żony dzięki pomocy Polaków, tych ofiarnych Kurkowskich, Kulikowskich, i wielu innych. Wśród tej masowej katastrofy było to wyjątkowe szczęście. Ale równocześnie doznawałem wyrzutów sumienia z powodu tego uprzywilejowania przez los wobec pustki panującej dokoła.

Teraz należało przyjąć to *vacuum* jako fakt i dostosować się do niego. Propaganda antysemicka hitlerowców nie pozostała bez echa. Były koła polityczne, które wyrażały zadowolenie, że Żydzi zniknęli i że Niemcy zastąpiły je w rozwiązaniu tego problemu. Naturalnie mało to je obchodziło, w jaki sposób to się stało. Ważnym elementem antysemityzmu powojennego była również obawa, że Żydzi, którzy uratowali się od zagłady, upomną się o zwrot ich własności, tymczasem zaanektowanej przez sąsiadów.

W tej sytuacji znalazłem się pod wrażeniem wielkiej klęski żydostwa polskiego i starałem się bardzo ostrożnie podchodzić do udziału Żydów w polskim życiu publicznym. Wskazaniem mi była owa uwaga krośnieńskiej uczennicy. Myślałem sobie, że wszyscy powiedzą tak samo: „To jest Żyd! Żydzi nami rządzą. Żydzi rozpychają się”. A nikt nie pomyśli i nie zastanowi się, jaki Żyd, czy komunista, czy socjalista, czy syjonista i dlaczego zajmuje to stanowisko, czy aby wypełniać polecenia Moskwy, czy też, aby im przeciwdziałać. Nikt nie pomyśli wreszcie, że pozostały przy życiu Żyd jest takim samym obywatelem, jak inni i ma te same



prawa i obowiązki. Daleko byliśmy od tego. Wszyscy Żydzi uchodzili w opinii publicznej za moskiewskich najemników.

Z dniem 1.I.1945 nastąpiło przemianowanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego na Rząd Tymczasowy. W PKWN kierownikiem resortu pracy, opieki społecznej i zdrowia był Bolesław Drobner, ja zaś jego zastępcą. Drobner należał do inwentarza pepesowskich opozycjonistów. To był zawodowy oponent, zawsze krewki i zawsze gotów do ostrej dyskusji. Temat konfliktu gubił się często w toku teoretycznej sprzeczki. *Geist, der stets vereint, der Böses schafft aber Gutes meint.* Była to i jest jeszcze postać ujmująca właśnie na skutek swego indywidualizmu, który nie mieści się w żadnej partii, nawet we własnej, którą kiedyś stworzył. Mimo żydowskiego pochodzenia był typem szlacheckiego warchoła, najtypowszym przedstawicielem *liberum veto* i żywym dowodem wzajemnego przenikania różnych kultur. Nosił się *à la rebelle* tak jak Piłsudski i Stalin, w kurtce, z wielkim orłem na piersiach. Szlachecki wąż i rozmarzone oczy były zewnętrznym wyrazem jego czupurności i mglistych poglądów. Dużo później stwierdziłem, że Drobner ma swoje *alter ego*, sobowtóra, zgodnego co do wieku, wyglądu, charakteru i politycznych inklinacji. Jest to argentyński socjalista dr Alfredo Palacios. Faktycznie trudno było wytrzymać z Drobnerem, a jeszcze trudniej współpracować z nim. Zawodowa opozycja to orzech trudny do zgryzienia. Przed wojną uchodził za przyjaciela Związku Sowieckiego. Podczas wojny został z tej racji dyrektorem kopalni soli potasowych w Kałuszu. Podobno tak dokuczał władzom sowieckim, może i słusznymi pretensjami, że przy wywózce na Sybir zapakowano dyrektora i przyjaciela do wagonu i posłano do lasu. Trzeba przyznać mu wielkie zdolności retoryczne i cywilną odwagę. Na zesłaniu ujadął na władze. Kiedy zwerbowano go do Związku Patriotów Polskich stał się elementem wywrotowym w komitecie. Po ukonstytuowaniu się PKWN w Lublinie rozsadał resort swoimi nierealnymi sformułowaniami. Brał udział w posiedzeniach CKW PPS jako prezes rady naczelnej i prowokował wiecznie Osóbkę, uniemożliwiając załatwienie ważnych problemów. Stale i słusznie wygadawał na Związek Sowiecki i na komunistów. I to go zgubiło. W okresie przed powołaniem rządu tymczasowego określił publicznie, w stołowce ministerialnej, z właściwą mu swobodą, szarą eminencją i męża zaufania Stalina, Jakuba Bermana, jako „skończone bydlę” czy coś w tym rodzaju. Naturalnie doniesiono o tym Bermanowi, który stanowczo sprzeciwił się nominacji Drobnera na ministra w nowym rządzie. Poszedł w odставку, by potem zająć się opozycją dla opozycji we Wrocławiu, w Krako-

wie i w innych środowiskach. Najciekawsze jest, że był przekonany i może jest nadal, że to ja go utraciłem. Żadne wyjaśnienia i tłumaczenia nie pomogły. Jest bardzo uparty.

W toku rozmów przedwstępnych peperowcy zażądali teki dla Minca, który w PKWN nie otrzymał resortu z powodu konfliktu z Berlingiem i płk. Spatzem w dywizji kościuszkowskiej. Minc, jako oficer polityczny, zachował się niezgodnie z regulaminem i otrzymał karę za nieposłuszeństwo. Ponieważ gwiazda Berlinga zgasła z powodu bohaterstwa i naiwności, można było pomóc do zabłyśnięcia gwiazdzie Minca, który był zdolnym ekonomistą i wyborowym sofistą. A więc jeden Żyd miał zapewnić miejsce w gabinecie. Poszukując następcy Drobnera Osóbka zaproponował mi stanowisko ministra. Odmówiłem stanowczo, motywując szczerze i jasno: dwóch Żydów w rządzie to za dużo i do tego obaj na M, dodałem śmiejąc się. I tak mówią, że Żydzi rządzą Polską. Zamianowano niejakiego Trojanowskiego a mnie podsekretarzem stanu. Pewnego razu Osóbka wezwał nas obu i oświadczył kategorycznie i gwałtownie, jak to było u niego w zwyczaju, że Trojanowski ma mnie słuchać (!) i że tylko na skutek specjalnych względów nie zostałem ministrem. Bogu ducha winny Trojanowski wysłuchał potulnie, mnie zaś ciarki przeszły z powodu tego nietaktu i przykrew sytuacji, która powstała. Moje stosunki z Trojanowskim były normalne, był to młody człowiek z sumiastym wąsem, bez doświadczenia i znajomości resortu a więc i tak moja opinia decydowała i żadnej pomocy czy interwencji Osóbki nie potrzebowałem.

Coś podobnego powtórzyło się przy innej sposobności. Omawiano w Krajowej Radzie Narodowej projekt ustawy o upaństwowieniu kluczowych gałęzi przemysłu (1946). Jako przewodniczący komisji prawniczej brałem czynny udział w akcji przygotowawczej, przeprowadziłem moje osobiste poprawki u Minca, broniłem projektu na radzie ministrów, byłem sprawozdawcą na połączonych komisjach prawniczo-przemysłowej, oddając przewodnictwo na posiedzeniach Obrączce, ale kiedy ofiarowano mi referat na plenum — odmówiłem. Właśnie dlatego, że ustawa była zasadniczą i konieczną reformą nie chciałem, by dała okazję do uwag i złośliwości antysemitów. Przemawiałem tylko w dyskusji, odpierając zarzuty posłów ludowych. Przemówienie moje nie było bardzo zgodne z dialektycznym rozróżnieniem chłopca bogatego, średniego i biednego, ale osiągnęło swój cel przez zbagatelizowanie i ośmieszenie pretensji ludowców. Inny błąd popełniłem przy tej okazji, nie doceniając postulatów spółdzielców, którzy domagali się uspołecznienia a nie upaństwowienia przemysłu. Szwalbe skarżył się, że kazałem im głosować za

upaństwowieniem. Być może, że czynnik społeczny, a więc konsumenci i robotnicy uzyskaliby szereg prerogatyw ustawowych, ale, wątpię, czy miałyby to w praktyce większe znaczenie. Gomułka w r. 1956 obiecywał robotnikom głos i wpływ na zarząd fabryk, w których niezależnie od tego powstały samorzutnie instytucje robotnicze, zmierzające do tego samego celu, ale dzisiaj po 6-ciu latach zwyciężyły tendencje biurokratyczne i centralistyczne i nie ma więcej mowy o głosie i wpływach robotników ani o instytucjach, współdziałających w administracji przedsiębiorstw państwowych.

W pierwszym i drugim wypadku postawiłem sprawę tak, a nie inaczej zgodnie z moimi poprzednimi wywodami na temat roli Żydów w administracji publicznej w danym okresie. Pozycja Żydów była bardzo delikatna i nie wolno było zaostrzać sytuacji. Nie wszyscy Żydzi to rozumieli i nieraz można było spotkać grupy Żydów na odpowiedzialnych stanowiskach, którzy nawet między sobą udawali Polaków dzięki aryjskiemu wyglądowi i spolszczonym nazwiskom. Taka sytuacja była częsta na terenie przedstawicielstw zagranicznych lub delegacji wysyłanych *ad hoc* zagranicę. Wokół wszyscy naśmiewali się z tej maskarady.

Toteż gdy potem wyjeżdżałem do Wiednia i kompletowałem ekipę, starałem się dobrać odpowiednio personal. Pod tym względem miałem wolną rękę i nikt mi nikogo nie narzucał. Dopiero w czasie urzędowania nastąpiła zmiana na stanowisku pierwszego sekretarza. Z Warszawy przysłano mi niejakiego Białka, postawnego blondyna, o którym wróble, wtajemniczone w drzewo genealogiczne, ćwierkały, że właściwie nazywa się Zimmerman. Pana Białka potrzebowałem, pan Zimmerman psuł moje poczucie równowagi oraz wykraczał poza *numerus clausus* przeze mnie wytypowany. I co się okazało? MSZ działało w dobrej wierze, wprowadzono w błąd szefa departamentu, Olszewskiego. Nosił wilk, ponieśli i wilka. Olszewski, wnuk rabina, z prawdziwego nazwiska Specht, nie rozpoznał Białka. Gdy się sprawa wydała, odwołał go natychmiast, gdyż trzeba przyznać, że Olszewski miał poczucie równowagi.

Trudniej było z Wierbłowskim (nazwisko autentyczne!), który u siebie, w praskim poselstwie, urządził małą placówkę zakamuflowanych współwyznawców. Zwracałem mu na to nieraz uwagę, ale bezskutecznie. Podobno jest stalinowcem a Stalin tępił Żydów. Jak to pogodzić? Trzeba przyznać, że znacznie więcej poczucia równowagi wykazał Chruszczow, kiedy odmówił zgody na nominację Zambrowskiego na generalnego sekretarza partii. Przyczyną odmowy nie był antysemityzm, o który go

posądzają, tylko znajomość klimatu i nieoczekiwany przebłysk taktu.

Pisałem o tym, że odpowiedzialni i sumienni komuniści żydowskiego pochodzenia, muszą od czasu do czasu zadawać sobie pytanie, kogo oni reprezentują. Oczywiście, że są tacy, którzy przechodzą łatwo nad tym do porządku dziennego, posługując się teorią dyktatury partii jako awangardy proletariatu. Do tych ostatnich należy właśnie Zambrowski, który podczas obrad nad ordynacją wyborczą (1946), zapewniał mnie, przewodniczącego nadzwyczajnej komisji sejmowej, powołanej dla opracowania tej ustawy, że partia musi wygrać wybory bez względu na rzeczywiste wyniki. Nie chciałem być reprezentantem narzuconym, ani też pomagać do starościńskich wyborów. Wyciąłem się z akcji, przerwałem pracę i wyjechałem do Florencji na kongres włoskiej partii socjalistycznej.

Może mi ktoś zarzucić zbytne przeczulenie i przerost skrupułów, właściwy semickiej mentalności. Spotkam się też z zarzutami, że moje podejście do zagadnienia nie jest zgodne z marksistowską dialektyką i historycznym materializmem, ale przypuszczam, że właśnie moi oponenti popełniają błąd przez eliminację psychologiczno-sentymentalnych pierwiastków i widzą antysemityzm tam, gdzie go nie ma, a są jego powodem tam, gdzie można go uniknąć.

*Feliks MANTEL*

## WSPOMNIENIA KOLEJARZA Z DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

### I. KRAKÓW

W nocy na pierwszego września 1939 roku zadzwonił telefon w moim mieszkaniu. Naczelnik wydziału wojskowego dysektacji meldował o otrzymaniu depechy z Ministerstwa Komunikacji o mobilizacji.

Szybko ubrałem się i zszedłem do swego gabinetu służbowego. Wyjąłem z kasy ogniotrwałej kopertę, zawierającą wytyczne na wypadek wojny i wręczyłem naczelnikowi dla nadania.

Setki aparatów telegraficznych zastukały, nadając depecze „Mob”.

Liczne stacje, warsztaty, oddziały drogowe, mechaniczne, ruchowe, punkty lekarskie pootwierały zaklejone koperty z napisem „Mob” i przystąpiły do czynności, związanych z przewozem transportów wojskowych i przestawieniem kolei na stopę wojenną.

Po sprawdzeniu, że wszyscy naczelnicy wydziałów są na miejscu, nie miałem na razie, do rana, nic do wykonania.

Siedziałem przy biurku i odczuwałem nerwowe drgania w sercu. Że wojna była nieunikniona i że rozkaz mobilizacyjny miał lada chwila nadejść, wiedziałem o tym. Jednak gdzieś w głębi duszy tkwiła nadzieja, że uda się zapobiec temu straszliwemu nieszczęściu.

W dniu ogłoszenia mobilizacji przeżyliśmy pierwszy nalot samolotów nieprzyjacielskich na Kraków.

Po południu alarm lotniczy poderwał mieszkańców miasta. Pojedyncze osoby spieszyły ukryć się w schronach, lub chowały

się do wykopanych rowów. Przeważna część szukała schronienia w piwnicach.

Wkrótce nastąpiły wybuchy zrzuconych przez nieprzyjaciela bomb.

Głównym celem były dworzec kolejowy, dyrekcyjna kolejowa i lotnisko.

Od czasu do czasu odzywały się nasze działa przeciwlotnicze. Kolorowe szrapnele pędziły wtedy za samolotem i pękały w pobliżu jego skrzydeł. Naszych samolotów nie było widać.

Po krótkim czasie nastąpił ponownie spokój. Ale ten spokój nie trwał długo. Samoloty nieprzyjacielskie nawróciły jeszcze raz. Czują się bezkarne, zniżają się do ziemi i ostrzeliwały dworzec kolejowy i pociągi z karabinów maszynowych.

Stopniowo, widocznie po wyczerpaniu amunicji, samoloty zaczęły odlatywać, ginąc w obłokach.

Pojechałem na dworzec, aby zorientować się w zniszczeniach.

Mimo nalotów w mieście nie odczuwało się popłochu. Ludzie, jak zwykle, spokojnie posuwali się po ulicach. Czasami napotkałem większe grupki, oglądające wyrwy, pozostawione na jezdni po bombach.

Zniszczenia nie wydawały się zbyt groźne. Oprócz nieznacznego uszkodzenia kościoła w pobliżu budynku dyrekcyjnego, nie zauważyłem zburzonych domów.

Budynek dworca kolejowego był znacznie uszkodzony w środkowej części, gdzie znajdowała się przechowalnia bagażowa.

Kilku pasażerów i kolejarzy zostało zabitych i ciężko rannych. Ucierpiały również tory kolejowe. Bomby pozostawiły głębokie doły, z których wystawały szyny kolejowe i pokiereszowane podkłady.

Naokoło krzątali się robotnicy drogowi, gorączkowo naprawiając dokonane zniszczenia.

Wróciłem do dyrekcji.

Naczelnik wydziału ruchu oczekiwał mnie z meldunkiem.

— Mam raporty nadesłane w rannych godzinach z linii, że został wprowadzony wojenny rozkład jazdy. Jednak nie jestem pewny, czy ten rozkład uda się utrzymać. Dostałem wiadomość że z dyrekcji Katowickiej posuwa się duża ilość pociągów poza rozkładem jazdy. Próbowałem porozumieć się z dyrekcją Katowicką i dowiedzieć o przyczynach tego masowego ruchu, ale łączność jest przerwana.

— Jak pan myśli, co to za pociągi? — zapytałem.

— Przypuszczam, że są to pociągi z uciekającą przed nie-

przyjacielem ludnością cywilną, a także z ewakuowanymi urządzeniami państwowymi.

— Ewakuacja cywilnej ludności i urzędów państwowych poza rozkładem jazdy powinna być wstrzymana — powiedziałem z uniesieniem. — Gdy linie kolejowe i wagony będą zajęte uciekinierami nie podołamy wykonać zapotrzebowań władz wojskowych na przewiezienie żołnierzy i zaopatrzenia wojskowego, co może fatalnie wpłynąć na przebieg działań wojennych. Proszę połączyć mnie z Min. Komunikacji.

— Przypuszczałem, że pan zechce rozmówić się z Ministerstwem, ale łączność przez aparaty kolejowe jest przerwana.

— Należy spodziewać się, że linie telefoniczne lada chwila będą naprawione. Proszę polecić dyspozytorowi, aby bez względu nawet na porę nocną starał się nawiązać kontakt z Ministerstwem. Na pewno tam mają dyżury nocne. Czy próbował pan rozmówić się przez pocztę? — zapytałem.

— Owszem próbowałem, ale kilka kabli, jakie poczta posiada jeszcze w swoim rozporządzeniu są przeładowane rozmowami wojskowymi. Jestem pewny, że nie dostaniemy linii. Komunikacja telefoniczna i telegraficzna przerwana nie tylko z Warszawą, ale nie posiadamy również łączności z niektórymi węzłowymi stacjami naszej dyrekcji. Mamy znaczne trudności w kierowaniu ruchem pociągów. Jest to dopiero pierwszy dzień wojny, o ile sytuacja nie zmieni się transport kolejowy wkrótce przestanie istnieć.

— Nie bądź pan pesymistą — przerwałem mu — osobiście jestem przekonany, że obrona linii kolejowych została wzięta pod uwagę przy opracowaniu planów wojskowych. Masowe przetrzucanie żołnierzy, amunicji i żywności może być dokonane tylko przez transport kolejowy. Naloty nieprzyjacielskie w pierwszym dniu wojny widocznie były niespodziewane i nasze dowództwo nie zapanowało jeszcze w powietrzu. Jestem pewny, że w najbliższym czasie sytuacja kardynalnie zmieni się i nasze lotnictwo nie dopuści do dalszego niszczenia linii kolejowych.

Zaledwie skończyłem rozmowę z naczelnikiem służby ruchu nadszedł naczelnik wydziału drogowego.

— Na pewno mój poprzednik już poinformował pana o skutkach nalotu na naszą dyrekcję. Przyniosłem szkic linii kolejowych ze wskazaniem miejsc i wielkości zniszczeń.

Spojrzałem na szkic.

Prawie każda stacja węzłowa była bombardowana w większym lub mniejszym stopniu. W wielu kierunkach przewody telefoniczne i telegraficzne zostały uszkodzone.

— Naprawa jest prowadzona w szybkim tempie — zazna-

czył naczelnik. — W ciągu nocy oczekuję odbudowy ważniejszych zniszczeń.

Kolejny meldunek naczelnika służby mechanicznej był dość pocieszający, mieliśmy pod dostatkiem parowozów i wagonów.

Każda dyrekcja w czasie pokoju miała przydzielonego oficera sztabu głównego, jako łącznika dla współpracy transportu kolejowego z centralą wojskową. W czasie wojny ten oficer pełnił obowiązki trzeciego zastępcy dyrektora kolei.

W dniu mobilizacji delegat sztabu, podpułkownik, zameldował, że objął czynności zastępcy.

Poleciłem mu nawiązać kontakt z naczelnym dowództwem jednostek wojskowych, działających w obrębie Krakowskiej dyrekcji, aby mógł na czas wycofać personel i tabor kolejowy z zagrożonych kierunków i podsyłać lokomotywy i wagony tam gdzie należało oczekiwać załadunku wojska.

Nad ranem 2-go września otrzymałem meldunki, że łączność na głównych liniach została przywrócona i jest możliwość prowadzenia ruchu pociągów.

Połączenie jednak z Warszawą było nie do osiągnięcia.

Pociągi z uciekinierami, ze strony Katowic zaczęły napływać jeden za drugim, zajmując tory stacyjne i utrudniając pracę na węzle. Nie mając łączności z Ministerstwem, nie wiedziałem jak z nimi postąpić, przez rozwiązanie pociągów narzązałem uciekinierów na ciężką sytuację, puszczając je dalej stwarzałem dla siebie skomplikowane warunki ruchowe w razie potrzeby przerzucenia transportów wojskowych.

Z każdą godziną sytuacja komplikowała się, zdecydowałem przepuścić te pociągi dalej.

Oprócz pociągów z uciekinierami, masowo przybywały lokomotywy i puste wagony z odcinków zagrożonych przez nieprzyjaciela.

Nagromadziło się sporo taboru kolejowego.

Nie miałem pojęcia gdzie ten tabor kierować. Zdecydowałem się przesunąć większą ilość lokomotyw i wagonów w obręb dyrekcji Lwowskiej; dalszy nadchodzący tabor lokowałem na wschodnich odcinkach własnej dyrekcji.

Ze stacji kolejowych, zajętych przez nieprzyjaciela, lub znajdujących się pod jego uderzeniem, napływał do dyrekcji personel kolejowy, zawiadowcy stacji, kontrolerzy ruchu, zawiadowcy odcinków drogowych, pracownicy i robotnicy warsztatów kolejowych i td.

Opowiadali że wróg szybko posuwa się naprzód, widzieli jak pojedyncze tanki nieprzyjacielskie zapuszczały się w głąb naszego terenu, przejeżdżali nieraz koło budynków stacyjnych.



Niemieccy żołnierze rzucali spojrzenia na tory kolejowe i jechali dalej. Czasami zawracali z powrotem. Nie napotykali przeciwdziałania z naszej strony.

Po południu zawyły raptownie syreny alarmowe. Razem z pracownikami skierowałem się do schronu w pobliżu dyrekcji. Personel zachowywał się spokojnie, nie odczuwało się żadnego popłochu. Miało się wrażenie, że ludzie szli ukryć się nie przed bombami, ale przed nieoczekiwanym deszczem. Widocznie nie zdawali jeszcze sobie sprawy jaki ogrom nieszczęścia i niebezpieczeństwa piętrzy się nad naszymi głowami.

Jeden z pracowników przyniósł wiadomość, że Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom.

Podniecenie ogarnęło obecnych.

Zaczęto wierzyć, że sytuacja szybko zmieni się na naszą korzyść, że napór nieprzyjaciela będzie wstrzymany i ustaną codzienne naloty wrogich samolotów.

Fala optymizmu ogarnęła i mnie. Odetchnąłem z ulgą. Rażniej zrobiło się na sercu, nie jesteśmy sami, potężne państwo będzie walczyło przy naszym boku.

Nalot nieprzyjacielski trwał w dalszym ciągu. Wyobrażałem sobie jaka masa zniszczeń powstała na liniach kolejowych.

Nie byłem w stanie pozostawać dalej beczynnym. Aby nie przerażać żony i syna, którzy również znajdowali się w podziemiu, przeszedłem do przeciwległego końca schronu i wyszedłem niepostrzeżenie na zewnątrz.

Stanąłem przed wejściem do dyrekcji i spojrzałem na niebo. Wysoko, pomiędzy obłokami, poruszały się samoloty nieprzyjacielskie.

Od czasu do czasu odrywały się od nich, jakby małe kulki — wtedy głucho wybuchy potrzasały powietrzem. Sądząc z kierunku wybuchów głównym celem nalotów był dworzec kolejowy.

Wszedłem do budynku, do pokoju dyspozytora. Były tam zainstalowane aparaty telefoniczne, przez które mogłem połączyć się z dworcem kolejowym i z innymi ważniejszymi węzłami kolejowymi.

Gmach był opustoszały — nie widać było żywej duszy.

Ku memu zdziwieniu znalazłem dyżurnego dyspozytora na miejscu.

— Dla czego pan nie zszedł do schronu? — zapytałem ze zdziwieniem — budynek dyrekcji na pewno należy do jednego z obiektów, który Niemcy chcą zniszczyć. Można łatwo stracić życie.

— Jestem dyżurny — odpowiedział dyspozytor — uwa-

załem że nie powinienem porzucić posterunku. Mam stały kontakt z dyżurnym ruchu stacji Kraków — ciągnął dalej. — Zniszczenia na węzle są znaczne, większe niż dnia poprzedniego, ale bomby, chwała Bogu, padają dotychczas przeważnie na tory rozrządowe. Tory główne nie są na razie uszkodzone, mamy możliwość przesuwać pociągi w stronę Tarnowa. Z powodu braku łączności wyprawiamy je w kilkusetmetrowych odstępach.

— Czy pan mógł nawiązać kontakt z innymi węzłami kolejowymi — zapytałem.

— Nie! Próbowałem, ale bez skutku. — odpowiedział.

— Gdyby panu udało się zdobyć jakieś szczegóły o zniszczeniach poza Krakowem, proszę mnie natychmiast powiadomić — powiedziałem, opuszczając pokój dyspozytora.

Optymizm, który odczuwałem będąc w schronie na wiadomość, że Anglia przystąpiła do wojny z Niemcami, powoli zaczął ulatniać się. Wieści przynoszone przez napływających do dyrekcji kolejarzy były niepokojące. Wojsko nasze cofało się w szybkim tempie, nie stawiając prawie oporu. Samoloty nieprzyjacielskie bezkarnie panoszyły się nad naszą ziemią. Ich tanki poruszały się swobodnie po naszych drogach i polach, jak by to był spacer.

Powoli Kraków pustoszał. Część mieszkańców, obawiając się dalszych nalotów nieprzyjacielskich, szukała schronienia poza murami miasta.

Po spustoszeniach, dokonanych przez wroga w dniu 2-go września, dyrekcja straciła bezpośredni wpływ na przebieg spraw na liniach kolejowych.

Chociaż w ciągu nocy łączność na niektórych liniach i odcinkach została naprawiona, ale ta nikła łączność trwała tylko kilka godzin. Z nadejściem dnia rozpoczęło się dalsze niszczenie urządzeń i obiektów kolejowych przez samoloty nieprzyjacielskie. Karabiny maszynowe zabijały robotników i pracowników zajętych przy naprawach.

Przyszedłem do wniosku, że mój pobyt w Krakowie jest bezcelowy. Z kilkunastu stacji węzłowych i kilkudziesięciu stacji mniejszego znaczenia posiadałem łączność tylko ze stacją Kraków.

Według otrzymanych drogą okólną wiadomości, wschodnia część dyrekcji miała mniej uszkodzoną łączność i była w stanie prowadzić na niektórych odcinkach ruch pociągów.

Zdecydowałem się przenieść placówkę dyrekcyjną do Rzeszowa, skąd mogłem porozumieć się z liniami kolejowymi pozostałymi jeszcze w moim rozporządzeniu i być bliżej Lwowa dla nawiązania kontaktu z Lwowską dyrekcją kolejową.

Poleciłem memu zastępcy, pułkownikowi, aby powiadomił kierownictwo wojskowe, że wobec bezcelowości pobytu dyirekcji w Krakowie, przenoszę swoją placówkę dyirekcyjną do Rzeszowa.

W godzinach wieczornych z dnia 4-go na 5-go września opuściłem Kraków.

## 2. RZESZÓW

Sytuacja w Rzeszowie była niemniej rozpaczliwa niż w Krakowie. Nieprzyjaciel kilkakrotnie bombardował stację z powietrza. Łączność z najbliższymi punktami kolejowymi była od czasu do czasu przerywana przez naloty nieprzyjacielskie, można było jednak utrzymać z nimi względny kontakt.

Ze stacją Tarnów i pomniejszych stacjami, położonymi bliżej Tarnowa nie można było osiągnąć żadnego porozumienia.

W dzień przed moim przyjazdem do Rzeszowa został zabity inżynier-kontroler drogowy i kilku robotników, pracujących przy naprawie nawierzchni.

Bez względu na brak łączności pociągi jednak kursowały w nocy na głównej linii Kraków-Rzeszów, ale jechały obydwojoma torami w kierunku na Rzeszów, wskutek czego nie można było wyprawiać pociągów z Rzeszowa w stronę Krakowa.

Pociągi posuwały się żółtym krokiem w pewnej odległości od siebie. Stanowiły one widoczny cel dla samolotów nieprzyjacielskich, które nurkowały, ostrzeliwując okna wagonów z karabinów maszynowych.

Stacja Rzeszów roiła się od żołnierzy. Większa ich część należała do ładujących się lub jadących tranzytem jednostek wojskowych, pozostała część błąkała się, nie mogąc dostać się do swoich oddziałów i szukała możliwości kontynuowania dalszej podróży.

Na torach panował ożywiony ruch. Wszędzie było widać pełno taboru kolejowego. Lokomotywy gorączkowo pracowały, oczyszczając tory dla nadchodzących pociągów.

Zbyteczne wagony i lokomotywy ustawiano w długie zespoły i wypychano na Lwowską dyirekcję. Na zapasowych torach formowały się pociągi dla ładujących się żołnierzy.

W pomieszczeniu, gdzie urzędowali dyżurni ruchu i telegrafici, panował również gorączkowy ruch. Telefony brzęczały, aparaty telegraficzne terkotały bez ustanku. Dyżurni ruchu prawie nie odrywali słuchawek od uszu. Chociaż sytuacja na stacji komplikowała się z każdym dniem z powodu chaosu, panującego na przyległych liniach i ciągłego nalotu samolotów nie-

przyjacielskich, jednak nie odczuwało się pośród pracujących zdenerwowania — zarządzenia wydawane były w krótki i zwięzły sposób.

Po nawiązaniu kontaktu z wojskową komórką transportową, i zaznajomieniem się z ogólną sytuacją, panującą na stacji i przyległych odcinkach, porzuciłem lokal dyżurnego ruchu i poszedłem do restauracji kolejowej, mieszczącej się w głównym budynku stacyjnym.

Nie zdążyłem zrobić paru kroków gdy raptownie zawyły syreny alarmowe, posłyszałem następnie szum motorów.

Wysoko w obłokach posuwały się samoloty nieprzyjacielskie, zataczając kręgi nad stacją.

Za chwilę zaczęły spadać bomby na teren stacyjny.

Gdzieś odezwały się nasze działka przeciwlotnicze, ukryte w mieście. Obrona była niedostateczna i wróg nie zwracał na nią żadnej uwagi.

Niektóre z samolotów obniżały swój lot i z karabinów maszynowych ostrzeliwały budynki stacyjne i wagony.

Ruch zamarł na stacji, ludzie szukali schronienia pod wagonami lub w budynkach stacyjnych.

Nalot trwał z pół godziny, ponownie zawyły syreny, odwołując alarm.

W mgnieniu oka perony i tory zaroily się żołnierzami i ludnością cywilną. Przerwane czynności kontynuowano dalej. Miało się wrażenie, że nie był to nalot nieprzyjacielski, ale że przeszła gwałtowna burza, po której wszystko wróciło do dawnego porządku.

Ludzie przyzwyczaili się już do wojny.

W Rzeszowie zbudowano obszerny schron z zakomulowanym wejściem, gdzie mieściło się dowództwo wojskowe i przewidziane było również pomieszczenie dla placówki kolejowej.

Schron zaopatrzony był w telefony i urządzenia dla spania. Przebywanie jednak w schronie działało na mnie deprymująco.

Znajdowałem się stale na terenie stacyjnym, chociaż przy ograniczonym zakresie tutejszej pracy, ani ja, ani starsi urzędnicy dyrekcji, którzy przyjechali ze mną, nie mieliśmy tu nic specjalnego do roboty. Miejscowa obsada, złożona z doświadczonych pracowników kolejowych doskonale wywiązywała się ze swoich czynności.

Brak porozumienia z węzłową stacją Tarnów i pomniejszych stacjami, pomiędzy Rzeszowem i Tarnowem, uniemożliwił podjęcie kroków dla usunięcia zatorów z głównej linii. Postanowiłem pojechać samochodem do stacji Tarnów, aby zorientować się w panującej tam sytuacji.

Dzień zbliżał się ku końcowi, kiedy wyruszyłem w drogę. Szosa prowadząca do Tarnowa była przepełniona uciekinierami dążącymi do Rzeszowa.

Po obu stronach drogi szybko posuwali się w milczeniu mężczyźni, kobiety i dzieci, dźwigając na sobie zawiniątko, tobołki i plecaki.

Auta, przepełnione ludźmi, pośpiesznie omijały pojazdy konne i cyklistów.

Wszyscy spieszyli się, aby najprędzej dostać się pod ochronę miasta i uniknąć niespodziewanego nalotu nieprzyjaciela.

Minęliśmy młodą dziewczynę, ładnie ubraną, obutą w lekkie pantofelki na wysokich obcasach, ciągnącą ciężką walizę, którą co chwila przeczuciała z jednej ręki do drugiej. Była widocznie zmęczona, włosy spadały jej na czoło, spoconą twarz podnosiła od czasu do czasu do góry obawiając się wrażeń samolotów.

W pobliżu szosy dogorywał budynek jakiejś fabryczki. Płomienie buchały jeszcze wysoko, oświetlając olbrzymi kadłub komina.

Z daleka zarysowywały się czarne, dymiące zgliszcza rozwalonych domów.

Przejeżdżając koło zarośli zauważyłem grupkę ludzi, widocznie rezerwistów, którzy, nieuzbrojeni, w ubraniach cywilnych, mając tylko rogatywki, odbywali musztrę pod komendą podoficera.

W cieniu drzew, na załamaniu szosy, schowały się dwa najsze samoloty. Wyglądały jak kurczęta, ukrywające się przed krwiożerczymi krukami.

Samochód z trudem przedzierał się naprzód, jadąc przeciwko rwącemu potokowi ludzkiemu.

Byliśmy na szosie jedynym pojazdem, który dążył w stronę Tarnowa.

Raptem posłyszałem z daleka szum motorów.

Wyskoczyłem razem z szoferem z samochodu i schroniłem się w przydrożnym rowie. Jakiś pojedynczy samolot, wracając widocznie z wyprawy, zrobił nurka na dół i rozpoczął ostrzeliwanie szosy z karabinu maszynowego. Po paru minutach wzniósł się do góry i zniknął w obłokach.

Wróciłem do samochodu, aby kontynuować jazdę.

Nasza podróż znacznie przeciągała się. Przepychaliśmy się z trudem naprzód, mijając wozy zapełnione uciekinierami.

Zatrzymywaliśmy się od czasu do czasu, czekając na usunięcie zatorów.

Nastąpiła noc. Siedziałem w kącie samochodu ze spuszczo-  
nymi oczyma, pogrążony w dręczących myślach.

Niespodziewanie posłyszałem głos szofera:

— Proszę spojrzeć — powiedział podnieconym głosem, po-  
kazując ręką na lewo.

Byliśmy już na przedmieściu Tarnowa. Z daleka tryskały  
płomienie — palił się dworzec kolejowy.

Podjechaliśmy bliżej.

Olbrzymia przestrzeń naokoło dworca była oświetlona jak-  
by w dzień.

Zostawiłem samochód i skierowałem się na miejsce pogo-  
rzeliska.

Odnalazłem wolne od ognia przejście i wszedłem na teren  
stacyjny.

Stacja przedstawiała tragiczny obraz: część budynków leża-  
ła w gruzach, część była w ogniu. Kłęby dymu razem z wzbi-  
jającymi się do góry iskrami wirowały przy każdym podmuchu  
wiatru nad torami. Szyny kolejowe wykręcone w dziwaczny spo-  
sób, sterczały do góry. Rozbite parowozy i wagony tworzyły  
stosy żelaza i drzewa.

Żywej duszy nie było widać na stacji, ale co miałby tu robić  
człowiek wśród tych zgłiszcz i płomieni.

Przeskakując pomiędzy palącymi się głowniami, próbowa-  
łem odszukać biuro zawiadowcy stacji lub dyżurnego ruchu. Na-  
reszcie dotarłem do na wpół rozwalonego budynku, na którym  
przypadkiem losu trwała jeszcze tabliczka: „Zawiadowca stacji”.

Napis ten chwilami był jaskrawo widoczny, chwilami ginął  
w ciemnościach, w zależności od zmiany kierunku ognia.

Otworzyłem drzwi. Jakaś skurczona postać siedziała przy  
stole oświetlonym ogarkiem świecy, wetkniętym do butelki.

Podszedłem bliżej, zobaczyłem trupio-błądą twarz człowie-  
ka, ubranego w mundur kolejowy.

— Co pan tu robi? — zapytałem.

— Jestem dyżurnym ruchu — otrzymałem odpowiedź.

— Ależ stacja jest zniszczona. Pańska praca jest już bez-  
użyteczna, a łatwo można stracić życie od bomby lub wskutek  
zawalenia się budynku.

— Proszę pana nasz posterunek jest jeszcze potrzebny —  
odpowiedział kolejarz. — Jak tylko samoloty odlatują, robotni-  
cy drogowi i ludzie z warsztatów starają się usunąć szczątki roz-  
bitego taboru i naprawić chociażby prowizorycznie tory. Wtedy  
próbujemy ściągnąć z zatarasowanych linii pociągi i przepchnąć  
je w kierunku na Rzeszów. W pociągach znajdują się kobiety  
i dzieci bez jedzenia i wody. Są pociągi sanitarne, pociągi z

amunicją. Brakuje nam tylko pomocy. Zawiadowca stacji i dwaj moi koledzy są ranni i nie mogą pełnić służby. Ja dyżuruję już drugi dzień bez zmiany. Żona w nocy donosi mi jedzenie.

— Czy pan posiada łączność z sąsiednimi stacjami? — zapytałem.

— Kilka dni temu jeszcze nawiązywałem kontakt, ale przedwczoraj, a szczególnie wczoraj, mieliśmy straszliwe naloty samolotów nieprzyjacielskich i łączność została gruntownie zniszczona, a ze stacji, jak pan widzi, pozostały tylko gruzy.

— Słyszałem — mówił dalej dyżurny, patrząc na mnie zmęczonymi oczyma — że Kraków jest zajęty przez nieprzyjaciela, tym tłumacząc nieprzerwane bombardowanie naszej stacji, która jest najbliższą Krakowa stacją węzłową. — Kim pan jest? — zapytał w końcu.

Poinformowałem go.

— Przyjechałem do Tarnowa — powiedziałem — aby zdać sytuację na stacji. Od kilku dni nie mieliśmy wiadomości z tak ważnego dla nas punktu kolejowego. Nadesłę panu samochodem personel pomocniczy. Przesunięcie w ciągu nocy kilku pociągów jest nie do pogardzenia i warte wysiłku. Proszę jednak uważać. Budynek, w którym pan urzęduje, może w każdej chwili zawalić się.

Porzucając teren zgliszcz, rozumiałem wyraźnie, że Tarnów jako stacja węzłowa przestała istnieć. Nazajutrz na pewno i reszta budynku, zajmowanego przez zawiadowcę stacji będzie leżała w gruzach, ale nie chciałem odbierać dyżurnemu ruchu wiary w owocność jego pracy i dumy, że uczynił wszystko co było w jego mocy.

Nad ranem wróciłem do Rzeszowa.

Po wypoczynku w schronie, wyszedłem na miasto, aby coś przegryźć; był to czas obiadowy. Zwykle jadałem w restauracji kolejowej na dworcu. Ponieważ do stacji był kawał drogi, a czułem się głodny, postanowiłem w dniu dzisiejszym zjeść na mieście.

Nie zdążyłem skończyć drugiego dania, gdy postyszałem alarm lotniczy; właściciel restauracji wyskoczył na ulicę, po chwili wrócił, mówiąc, że samoloty nieprzyjacielskie bombardują stację kolejową.

Rzuciłem na stół należność za obiad i pobiegłem na dworzec.

Nie wiedziałem co mnie poderwało. W istocie rzeczy byłem tam w tej chwili zupełnie niepotrzebny i nie mogłem w niczym dopomóc, ale stacja Rzeszów była ostatnią placówką, któ-

ra mi pozostała z całej dyrekcji i ten ostatni zakątek był niszczone, nie mogłem chyba pozostać obojętnym.

W miarę zbliżania się do dworca słyszałem coraz głośniejsze odgłosy wybuchów.

Będąc w pobliżu budynku stacyjnego zauważyłem, że środkowa część dworca, w której mieściła się restauracja kolejowa leży w gruzach.

— Gdybym, jak zwykle, jadł obiad na stacji nie pozostałoby po mnie ani śladu — pomyślałem.

Na placu stacyjnym, przed głównym budynkiem, leżeli zabici i ranni. Poszarpane części ciał rozrzucone były po jezdni i chodniku; przeskoczyłem w biegu przez człowieka, jęczącego z bólu, miał wyrwany brzuch i wnętrzności zwisały mu na bruk.

Bomby padały bez ustanku, niszcząc budynki, wywracając wagony na torach.

Wpadłem do pomieszczenia dyżurnego ruchu.

Bez względu na piekło rozszalałe na zewnątrz, wewnątrz praca odbywała się w ustalonym trybie. Żaden kolejarz nie porzucił posterunku. Telegrafista w dalszym ciągu stukał na aparacie telegraficznym, dyżurny ruchu nie przerywał wydawania rozkazów przez telefon, przysłaniając tylko uszy, aby lepiej słyszeć. Miało się wrażenie, że to nie hałas spadających bomb przeszkadza mu w rozmowie telefonicznej, tylko jakiś przypadkowy szum z ulicy.

Zawsze miałem wielkie uznanie dla żmudnej i ciężkiej pracy kolejarza w czasie pokoju, byłem teraz świadkiem że i w czasie wojny kolejarz potrafi stanąć na wysokości zadania i wykonywać swoje obowiązki w obliczu niebezpieczeństwa z największym wysiłkiem, spokojem i determinacją.

Powoli ustały wybuchy bomb, terkotały tylko jeszcze karabiny maszynowe z samolotów nieprzyjacielskich. Wkrótce skończyło się również i granie karabinów. Ostatni samolot podniósł się do góry i zniknął w przestworzach.

Robotnicy drogowi uwijali się już po torach stacyjnych opatrując odniesione przez stację rany. Podobna była do żywej istoty, potłuczonej, zdemolowanej, ale jeszcze przytomnej i ruszającej się własnymi siłami.

Wiadomość otrzymana od dyżurnego ruchu Tarnów, że pomiędzy pociągami zatrzymanymi na linii Kraków-Rzeszów, znajdują się pociągi z amunicją i rannymi żołnierzami potwierdziły również czynniki wojskowe. Postanowiłem wysłać na chybił-trafił dwa parowozy dla odszukania i ściągnięcia tych pociągów na stację Rzeszów.



Potrzebowałem na ochotnika dwóch maszynistów i dwóch ruchowców.

Wyprawa niebezpieczna. Każdy poruszający się na linii parowóz zwracał na siebie uwagę samolotów nieprzyjacielskich.

Wiść o wyprawie rozeszła się po stacji. Miałem już dwóch maszynistów. Czekali tylko na rozkaz. Zjawiła się grupa ruchowców, pomiędzy nimi młody oficer. Wszyscy chcieli jechać. Zapytałem oficera czy jest kolejjarzem.

— Owszem, jestem dyżurnym ruchu — odpowiedział. — Moja stacja została zajęta przez Niemców, zgłosiłem się jako oficer rezerwy do wojska. Na razie jestem tu bezczynny.

Widać było z oczu że to ryzykowne przedsięwzięcie podobna mu się. Został wyznaczony.

Dałem wskazówki — wyjechać jak mrok zapadnie, posuwać się jak najciszej, nad rankiem wrócić. Gdyby nie udało się odnaleźć pociągów, wrócić luzem. Każde opóźnienie powrotu mogło grozić niebezpieczeństwem od samolotów nieprzyjacielskich.

Nadszedł wieczór. Znowu huk w powietrzu. Jakieś zabłąkane dwa samoloty niemieckie, widocznie wracając z wyprawy, zaczęły krążyć nad stacją. Zaterkotały gdzieś z daleka nasze karabiny maszynowe. Samoloty wzniosły się do góry i zniknęły.

Parowozy wyruszyły na poszukiwanie.

Przeszło wiele godzin. Zaczynało się świtać. Nie widać było żadnego ruchu od strony Tarnowa. Za chwilę należało oczekiwać — ustalonego jak w rozkładzie jazdy nalotu.

Wyprawa widocznie nie udała się. Żeby wrócili choć cali...

Minęło jeszcze parę godzin. Nastął już dzień.

Nagle, z daleka, wyłoniła się poruszająca się jak wąż czarna linia wagonów.

Jadą.

Zwalniając biegu, zatrzymał się przed budynkiem stacyjnym pociąg z amunicją.

Zauważyłem na parowozie śmiejące się oczy młodego oficera. Był zmęczony i niewyspany, ale żwawo zeskoczył z parowozu.

Zameldował, że pociąg z amunicją znajdował się za trzecią stacją od Rzeszowa. Musiał kilka pociągów przeciągnąć do najbliższej stacji przejściowej i wepchnąć na boczne tory, aby oczyścić drogę. Mówił, że ze wschodem słońca linia robi wrażenie zamarłej. Dopiero w nocy powstaje nerwowa praca — rozpoczyna się naprawa uszkodzonych torów, aby przepuścić po-

ciągi z czynnymi parowozami. Unieruchomione parowozy z wagonami obsługa stacyjna ściąga na boczne tory.

— Pociąg z rannymi stoi znacznie dalej — kontynuował oficer — ale kolega na drugim parowozie zwinnie pracuje i jest nadzieja, że i ten pociąg będzie wyciągnięty.

Pociąg z amunicją został szybko odstawiony na dalsze tory i ukryty przed okiem nieprzyjaciela.

Za godzinę nadjechał pociąg sanitarny.

Pracownik ze służby ruchu, który odszukał i przyprowadził pociąg, zakomunikował, że miał sporo pracy, ale szczęśliwie udało mu się pociąg wydobyć. Ranni nie mieli ani wody, ani gorącej strawy od kilku dni.

Zaledwie pociąg sanitarny usunięto z głównych torów nadleciały samoloty nieprzyjacielskie. Nurkowały tak nisko, że ogniem karabinowym kosły ludzi na torach i peronach.

Zaczynał się normalny dzień w życiu stacyjnym.

Po zajęciu Krakowa w dniu 6-go września, nieprzyjaciel rozpoczął szybki marsz na Rzeszów.

Postój mój na tej stacji był już bezcelowy. Zdecydowałem się jechać do Lwowa.

Pod wieczór 7-go września porzuciłem Rzeszów.

Zabrałem do swego auta zastępcę inż. O. i sekretarza. W drugim samochodzie jechał pułkownik ze swymi oficerami.

Ponieważ główna szosa do Lwowa była zatarasowana pojazdami i uciekinierami, postanowiłem jechać drogą okrężną przez Chyrów, spędzić noc w tym mieście i nad ranem ruszyć dalej.

Późnym wieczorem wjechaliśmy do Chyrowa. Miasto spało. Nie wiedzieliśmy gdzie zatrzymać się. Zdecydowaliśmy ostatecznie przenocować w chyrowskim klasztorze, należącym do zakonu jezuitów. W murach tego klasztoru znajdował się zakład naukowy dla chłopców.

Był późny wieczór i olbrzymi budynek klasztoru z licznymi skrzydłami, oświetlony księżycem, przedstawiał imponujący widok.

Mieliśmy niespokojny dzień w Rzeszowie i męczącą drogę. Marzyłem o zasłużonym wypoczynku i o jakieś skromnej strawie.

Wjechaliśmy na duży dziedziniec klasztorny. Sekretarz zadzwonił do bramy. Po dłuższym czekaniu otworzono drzwi.

— Czego panowie sobie życzą — zapytał odzwierny mnich.

Został poinformowany że kilku wyższych urzędników Krakowskiej dyrekcji kolejowej i pułkownik sztabu generalnego z grupą oficerów proszą o przenocowanie.

Mnich nic nie mówiąc zatrzasnął bramę.

Wyszedłem z samochodu i zacząłem dzwonić.

Po długim czekaniu otworzyły się drzwi.

Był już inny zakonnik.

Powtórzyłem prośbę.

Otrzymałem odpowiedź, że nie ma miejsca na nocleg.

— Szkoła mieści kilkuset chłopców, na pewno znajdzie się kilka łóżek i dla nas — powiedziałem.

— Szkoła nieczynna, są wakacje.

— Proszę powiadomić przeora, że jesteśmy zmęczeni i nie mamy gdzie przenocować.

Drzwi znowu zamknęły się.

Po dłuższym czekaniu otrzymaliśmy w końcu zezwolenie na przenocowanie w szpitaliku szkolnym.

Wszyscy, nie rozbierając się, położyliśmy się na żelaznych ramach.

Rano odczuwałem ból w całym ciele, leżenie na metalowych prętach dało się w znaki.

Wyszedłem na dziedziniec klasztorny. Rozglądałem się gdzie zdobyć wodę do umycia się. Żadnego zakonnika nie było widać. Klasztor wyglądał jak martwy.

Posłyszałem głos pułkownika.

— Znalazłem miejsce gdzie możemy się rozgościć — powiedział.

Poprowadził mnie przez wyłom w klasztornej murze do małej wioski. Weszliśmy do biednej chaty. Wyszła nam na spotkanie kobieta otoczona czworgiem dzieci. Poprosiła nas do kuchni. Podała czysty ręcznik i gorącą wodę. Po umyciu się ugościła nas kawą, położyła na stół chleb i masło.

Podczas rozmowy dowiedziałem się, że męża powołano do wojska i ona została sama z małymi dziećmi.

Chciałem zapłacić jej za spożyte śniadanie, ale kobieta odmówiła przyjęcia pieniędzy.

— Jesteście gośćmi — powiedziała.

W sekrecie przed kobietą obdarowałem dzieci, aby kupiły sobie zabawki.

Porzucając wioskę popatrzyłem z rozczuleniem na ubogą chatę i mimo woli podniosłem oczy na leżący obok bogaty klasztor.

Podczas pobytu we Lwowie, dowiedziałem się że minister, wiceminister i wyżsi urzędnicy M-twa Komunikacji ewakuowali się z Warszawy do Małopolski Wschodniej.

Postanowiłem odszukać ministra, aby otrzymać dalsze zarządzenia.

Rodzinę pozostawiłem tymczasem we Lwowie. Poinformowałem żonę o swoich zamiarach i uprzedziłem, że może nie zobaczymy się przez dłuższy czas, ponieważ w razie delegowania mnie na nową placówkę, pojedę tam wprost nie zaglądając do Lwowa.

W poszukiwaniu swego zwierzchnika wstąpiłem do Stanisławowa i Tarnopola, telefonowałem do innych placówek kolejowych, czy nie natrafiono na ślad ministra.

Zatrzymywałem się czasami na skraju szosy i przyglądałem się defiladzie samochodów, starając się złapać jego sylwetkę.

Wysiłki moje nie dały pozytywnych wyników.

Nie widziałem do kogo zwrócić się po informacje, nie orientowałem się w ogóle w sytuacji, w której znalazł się nasz kraj.

Naokoło panowały chaos i panika.

Po drodze spotykałem czasami grupki ludzi — mieszkańców wsi i osad, którzy przy wjeździe do osiedla pracowali przy kopaniu poprzecznych rowów, przypuszczając, że w ten sposób wstrzymają penetrację tanków nieprzyjacielskich w głąb kraju. Szukali domowych środków dla wstrzymania najazdu wroga.

Skreśliłem ponownie do Tarnopola i tu dowiedziałem się że telefonował wice-minister P., który będąc poinformowany, że poszukuję ministra, prosił abym zgłosił się do niego do Stanisławowa.

Pospieszyłem na spotkanie.

— Rad jestem, że widzę pana — powiedział — chcę powierzyć panu kierownictwo nad liniami kolejowymi, biegnącymi na wschód od Stanisławowa.

Poprosiłem o polecenie na piśmie, aby posiadać dowód, uprawniający mnie do działania. Wice-minister znalazł na stole skrawek papieru i szybko napisał upoważnienie.

— Jak mam postępować — zapytałem — gdyby wojsko sowieckie wkroczyło na linie kolejowe, szerzą się pogłoski, że ich oddziały wojskowe grupują się na wschodnich granicach Polski. Ewakuować kolejarzy, i gdzie, czy pozostawić na miejscu?

— Jutro znowu wpadnę do Stanisławowa i omówimy wtedy tę sprawę, na razie spieszę się — odpowiedział.

Odjechał.

Powiadomiłem linie kolejowe, że obejmuję okręg dykcji Stanisławowskiej pod swoje kierownictwo.

Minęło kilka dni, wice-minister nie zgłosił się.

Ostatecznie nadeszła wiadomość, że minister i wice-ministrowie są już poza granicami Polski.

### 3. STANISŁAWÓW

Okręg Stanisławowski znajdował się jakby w kleszczach — z jednej strony zbliżali się Niemcy, z drugiej groziła inwazja Rosjan.

Kolejarze byli zdezorientowani. Nie wiedzieli co mają począć w razie zajęcia linii kolejowych przez najeźdźców — czy porzucić swoje placówki i odchodzić, i gdzie, i czy należy niszczyć urządzenia kolejowe.

Wydałem zarządzenie, aby pozostali na miejscu. Nie było już skrawka wolnej ziemi polskiej, do którego można byłoby ich ewakuować. Nie chciałem również narażać ich na tułaczkę, z dala od własnych domów.

Życie społeczne stopniowo zamierało. Ludność korzystała z przejazdów kolejowych jedynie w wypadkach nagłego zapotrzebowania, towary prawie nie były wysyłane. Pociągi kursowały według ograniczonego rozkładu jazdy.

Stanisławów skupiał w sobie rzeszę kolejarzy z Krakowskiej, Katowickiej, Lwowskiej i innych dyrekcyj kolejowych — z linii zajętych przez nieprzyjaciela. Był to dla nich ostatni punkt oparcia.

Pozbawieni byli dachu nad głową. Większość nie posiadała pieniędzy na życie gdyż nie wszyscy zdążyli otrzymać przed ewakuacją należne im pobory.

Wyżywienie poza tym było problemem z powodu braku na rynku produktów spożywczych.

Było moim moralnym obowiązkiem przyjść im z pomocą.

Po zorganizowaniu punktów wyżywienia dalszym nagłym zagadnieniem było zdobycie pieniędzy dla wypłacenia kolejarzom należnych zarobków i paromiesięcznej odprawy.

W ciężkiej sytuacji finansowej znaleźli się również emerytowani pracownicy kolejowi, którzy nie otrzymali emerytury, należnej im za ubiegły miesiąc.

Suma potrzebna na zaspokojenie wszystkich wydatków finansowych wynosiła kilka milionów złotych.

Zatelefonowałem do dyrektora filii banku Polskiego i prosiłem go, aby przygotował pieniądze na wypłatę należności pracownikom i robotnikom kolejowym.

— Nie znam pana — powiedział — czy nie mógłby wojewoda potwierdzić pana identyczności.

Zwróciłem się do wojewody. Ale był on już nieosiągalny, znajdował się w samochodzie, porzucając miasto.

Wice-wojewoda jeszcze urzędował.

— Zaraz porozumiem się z dyrektorem banku — powiedział.

Za chwilę otrzymałem telefon z banku, że sprawa załatwiona, proszono tylko aby po pieniądze zgłosili się ci sami kasjerzy, którzy zwykle pobierali gotówkę dla dyrekcji kolejowej.

Niemcy zbliżali się od zachodu. Rosjanie w dniu 17-go września wkroczyli do Polski ze wschodu.

Nie wiadomo było czy ci ostatni wchodzą na nasz teren w celach pokojowych, czy jak wrogowie.

Oficjalnie Polska nie była w wojnie z Rosją.

Nie miałem zamiaru wpaść w ręce Niemców, również nie wierzyłem w dobre intencje bolszewików.

Postanowiłem jechać do Rumunii. Istniała jeszcze możliwość przekroczenia granicy koło Czerniowiec.

Jednak w ostatniej chwili zrezygnowałem z wyjazdu.

Wydałem w swoim czasie zarządzenie, aby wszyscy kolejarze pozostali na miejscu, jakże miałbym wyjechać.

Pozostałem w Stanisławowie.

Miasto wyglądało jak umarłe. Samotne, bez opieki. Mieszkańcy pozamykali się w swoich domach.

Pustką tchnęła ulica. Panowała cisza przed nadchodzącą burzą.

Na twarzach nielicznych przechodniów rysowało się przygnębienie i niepewność jutra.

Złowrogie pogłoski zaczęły krążyć po mieście — należy oczekiwać najścia chłopów ukraińskich z okolicznych wsi. Korzystając że miasto zostało porzucone przez władze administracyjne, organizują oni napad w celach rabunkowych.

Te wieści doszły do dyrekcji. Obawiając się, że nie tylko miasto, ale również magazyny kolejowe będą ich łupem, postanowiłem bronić miasta od napadu.

Opracowaliśmy plan obrony razem z dowódcą wojskowego przysposobienia kolejowego i ten ostatni objął kierownictwo nad całością.

Pozostali w mieście policjanci również zostali wciągnięci do pomocy.

W najbliższą noc cisza była przerywana turkotem setek kół — szli i jechali, zaopatrzeni w siekiery i kosy. Oczekiwali znacznego łupu.

Spotkała ich niespodzianka. Miasto było bronione...

Pierwsze strzały ostrzegawcze zabrzmiały w powietrzu. Nie wstrzymało to napastników. Rwali się naprzód. Jednak do miasta nie udało się im wejść. Ogień obrońców zmusił ich do ucieczki.

Najazd chłopów był małą chmurką w przeżyciach mieszkańców miasta. Nadciągała teraz ze wschodu olbrzymia, złowroga chmura.

Wkraczała powoli w granice Polski.

W dniu 18-go września oddziały rosyjskie wkroczyły do Stanisławowa.

Na początku w swoich odezwach i przemówieniach zaznaczyli, że przyszli jako przyjaciele, przyszli wyzwolić i ochronić naród polski. Ale od kogo wyzwolić i przed czym ochronić nie można było dokładnie zrozumieć.

Niektórzy Polacy przypuszczali, że wkroczyli oni aby powstrzymać dalszą penetrację Niemców i że nie jest wykluczone że nastąpi walka między nimi.

Później, z ustawionych na skrzyżowaniu ulic głośników, dowiedzieliśmy się, że oni przyszli uwolnić robotników i chłopów od ucisku panów i kapitalistów.

Mówili, że w Rosji jest cudowne życie i wszystkiego w bród. Mimo tego jednak co głosili rzucali się na sklepy, wykupowali wszystko co wpadło pod rękę.

Roziskrzonymi oczyma spoglądali na rzeczy, których przedtym nigdy nie widzieli. Chodzili po ulicach patrząc na swoje ręce, z których zwisały zegarki.

Niektórzy z nich byli tak zacofani, że nie mieli pojęcia o najprymitywniejszych urządzeniach domowych. Przypuszczali, że miski klozetowe są przeznaczone do mycia się.

Oddziały rosyjskie po wejściu do Stanisławowa nie zatrzymały się w mieście, kierowały się dalej do Lwowa.

Praca w dyrekcji odbywała się normalnie. Nikt z przybyszów nie wtrącał się do bieżącej działalności kolei. Czasami zgłaszali się do dyrekcji rosyjscy oficerowie, celem załatwienia spraw transportowych. Zachowywali się przyzwoicie.

Tak przeszło kilkanaście dni.

Pewnego ranka wtargnęli do gmachu dyrekcji rosyjscy kolejarze. Obsadzili wszystkie działy swoimi urzędnikami. Byli dokładnie obznajomieni z systemem organizacyjnym polskich kolei jak również z rozmieszczeniem biur w dyrekcji.

Zachowywali się bezceremonialnie. Wydawali rozkazy, tak jakby byli tu gospodarzami.

Pracownicy-Polacy byli zdeorientowani, nie wiedzieli, jak mają postępować, zwracali się do mnie o wskazówki. Cóż mogłem im powiedzieć. W pierwszych dniach sam nie wiedziałem w jakich zamiarach Rosjanie wkroczyli na teren Polski i na jakich podstawach obejmują władzę.

Osobiście znalazłem się w niewyraźnej sytuacji. Nikt z na-

jeźdźców nie zwracał się do mnie, ja również nie miałem zamiaru rozpoczynać z nimi rozmów... W ogóle nie orientowałem się z kim właściwie rozmawiać. Uzurpacja odbywała się w niezrozumiały i tajemniczy sposób.

Sytuacja stawała się coraz bardziej naprężona. Oczekiwałem ze strony bolszewików jakiegoś drastycznego posunięcia w stosunku do mojej osoby, chociaż nie było jeszcze słyhać o aresztach.

Byłem się o rodzinę pozostawioną własnemu losowi. Zdecydowałem się wpaść do Lwowa, aby zobaczyć się z żoną i synem i ułożyć razem jakiś plan na przyszłość.

Dla uniknięcia świdrujących oczy tajnej policji bolszewickiej, która już zjawiła się w Stanisławowie, i obawiając się że samochód może być zarekwirowany w drodze, pojechałem do Lwowa pociągiem, ukryty w kącie przedziału trzeciej klasy.

Lwowski budynek stacyjny ucierpiał znacznie przez działania wojenne, w wielu miejscach był podparty rusztowaniami.

Spotkałem na dworcu kilku umundurowanych kolejarzy polskich. Poznali mnie i ukłonili się. Troska wyczierała im z oczu.

Spędziłem jeden dzień we Lwowie. Po rozmowie z żoną przyszedłem do wniosku, że robienie jakiegoś planu na przyszłość jest bezcelowe, ponieważ nie można było przewidzieć zamiarów najeźdźców w stosunku do naszego kraju i ludności.

Zapewniłem jednak żonę, że za kilka dni ponownie ich odwidzę. Ogólna sytuacja w tym czasie na pewno już wyjaśni się i będziemy mogli bardziej realnie omyślić nasze dalsze kroki. W głębi duszy odczuwałem jednak niepokój i nie byłem pewny ich i swego losu.

Po powrocie do Stanisławowa, wchodząc do budynku dyrekcyjnego, spotkałem w hallu i korytarzach, oprócz kolejowych urzędników rosyjskich, podejrzane typy, ubrane w mundury N.K.W.D.

Na ścianie przy wejściu do gmachu dyrekcyjnego zobaczyłem ogłoszenie, wywieszone przez sowieckie władze kolejowe, zawiadamiające, że za parę dni odbędzie się ogólne zebranie informacyjne na które muszą stawić się wszyscy starsi urzędnicy kolejowi.

„Nareszcie sytuacja wyjaśni się”, pomyślałem.

W oznaczonym dniu wszedłem do pomieszczenia, w którym miało się odbyć informacyjne zebranie.

Zaledwie usiadłem, gdy do pokoju wkroczyło pięciu Rosjan. Trzech w uniformach kolejowych, dwóch w mundurach N.K.W.D.

Jeden z nich, noszący mundur kolejowy, oświadczył, że



kolejarze polscy będą mogli pracować w dalszym ciągu na swoich placówkach w asyście kolejarzy rosyjskich. Rosjanie przyszli do Polski, aby uwolnić naród polski z rąk kapitalistów i gnębieli klasy robotniczej. Treść dalszego przemówienia była poświęcona wychwalaniu ustroju sowieckiego, dobrobytu i szczęścia, panujących w Rosji Sowieckiej.

Na zakończenie przemawiający głośno wykrzyknął:

— Niech żyje wielki obrońca uciemionych, towarzysz Stalin!

Komisarze poderwali się z krzeseł, trzymając ręce sztywno wzdłuż ciała.

Powoli, ociągając się prawie wszyscy kolejarze powstali ze swoich miejsc.

Mój zastępca, inż. O., dwóch kolejarzy i ja nie ruszyliśmy się z krzeseł.

Bolszewicy rzucili okiem na siedzących przypuszczając, że ci opieszali widocznie nie zrozumieli o czym się mówi, znowu powtórzyli:

— Niech żyje towarzysz Stalin!

Czterech kolejarzy spokojnie siedziało dalej i patrzyło do góry, studiując pęknięcia na suficie, biegnące w różnych kierunkach.

Zebranie zostało zamknięte.

Na trzeci dzień po zebraniu, w dniu 3-go października, 1939 roku, aresztowano mnie i mojego zastępcę.

*Inż. S. TARWID*

## PARTYZANTKA NA WILEŃSZCZYŹNIE

Dzień 2 lutego 1944 roku był pamiętny dla mnie; przyspieszył moje odejście do partyzantki. Gdy gestapowcy zaczęli się dobijać do domu o 5-tej rano, schowałem się na stryżku za kominem i wciągnąłem drabinę za sobą. Stryzek był zakryty dywanem, jak gdyby tuż po praniu. Okazało się, że prymitywny schowek ocalił mnie. Gestapowcy odeszli zabierając żonę. Przy sposobności ograbili również mieszkanie.

Tego samego dnia miałem spotkanie z Komendantem Obszaru A.K. Wilno-Nowogródek płk. Wilk-Krzyżanowskim, któremu zameldowałem o „spaleniu” mojej komórki. Dostałem pozwolenie odejścia do majątku koło Trok. Tam miałem czekać na dalsze rozkazy.

Wkrótce mój nowy przydział nadszedł. Zostałem przydzielony do 6-tej Brygady Partyzanckiej. Rozkaz został podpisany przez „Ludwika”, zastępcę „Wilka” i d-cę Okręgu Wilno.

Znalezienie partyzantki w „polu” nie należało do rzeczy łatwych. Trzeba było przekroczyć trzy strefy: pod kontrolą niemiecką i litewską, pod kontrolą polskiej partyzantki i „niczyją” ziemię, pomiędzy obiema strefami. Ponadto, polskie partyzantki były bardzo ruchliwe.

Dowódca Brygady major „Konar” przydzielił mnie do swego sztabu. On, jego adiutant, ob. „Ren” oficer oświatowy, inny oficer i ja dzieliliśmy tę samą kwaterę. Marsze trwały całą noc. Nad ranem lokowaliśmy się w wiosce, w pierwszej lepszej chałupie. Spaliśmy na podłodze, pokrytej lekko słomą. Nigdy nie zdejmowaliśmy ubrania. Broń była przy nas. Ludność nas żywiła. Jedliśmy to, co mogli nam dać. Woleli żywić nas, niż oddawać żywność okupantowi. Partyzantka polska była bar-

dzo popularna wśród ludności. Ochronialiśmy ją przed uciskiem okupanta i „czerwonym kurem” — największym postrachem chłopów. Podpalania powodowane były przez grabieżcze bandy wychodzące z Puszczy Rudnickiej. Nasza obecność w terenie i wytluczenie szeregu band poprawiło sytuację. W zasadzie ochrona ludności i danie przytułku „spalonym” Akowcom była głównym powodem stworzenia partyzantki, która była przedwczesna z wojskowego punktu widzenia.

6. Brygada miała wyszkolić kadry na przyszłą pełną brygadę. Składała się z dwóch kompanii i sztabu brygady. Razem około 500 ludzi. Uzbrojenie jej było dobre a nastrój doskonały. Celem jej było działać na bezpośredni rozkaz Dowództwa i Londynu. W tym celu nasz radio-telegrafista był rzutkiem z Londynu. Rozkazy były zaszyfrowane w muzyce. W każdej chwili spodziewaliśmy się rozkazu przerwania linii kolejowej i utrzymania jej pod naszą kontrolą około 24 godzin. Przez Wileńszczyznę szły główne transporty kolejowe. Przerwanie dostaw niemieckich idących na front wschodni miało pomóc w zniszczeniu Hitlera. Brygada nie mogła angażować się w żadne walki, gdyż musiała być w każdej chwili wolna do wykonania głównego zadania. Dowódca jej, major „Konar”, był spadochroniarzem. Nie mógł znieść bezczynnego życia w Anglii. Zgłosił się na pracę w Kraju. „Spalił się” na swej placówce wywiadu na Łotwę i Estonię, wyszedł wprost cudem z więzienia i dostał dowództwo 6. Brygady po „Tońce”, który został ciężko ranny w bitwie. „Tońko” był twórcą Brygady i najpopularniejszym jej członkiem. Spotkałem go kilka razy w partyzantce i w Szkocji, gdzie w stopniu kapitana spadochroniarzy dowodził kompanią P.K.P.R’u.

W dzień dziedzisty 3 maja 1944 roku zatrzymała się 6 Brygada Partyzancka w jednym z majątków na południe od Turgiel, by uczcić rocznicę Konstytucji Majowej. Nie potrzeba było wielkich przygotowań. Salą była uprzątnięta stodoła. Aktorami — partyzanci. Widzami byli nie-grający partyzanci i miejscowa ludność. Słowo wstępne wygłosił ob. Konar — Komentant Brygady. Referat zasadniczy — ob. Ren, oficer oświatowy. Na całość uroczystości złożyły się gry partyzanckie, recytacje własnych wierszy i śpiew własnych piosenek. Tuż po uroczystości, Brygada wykonała długi marsz w kierunku Ejszyszek.

W nocy napadliśmy na miejscowość przy głównej drodze (nie pamiętam dziś nazwy). Zajęliśmy pocztę litewską i inne urzędy. Broń maszynową wystawiliśmy na szosie w kierunku na Orany, na wypadek, gdyby nadeszła pomoc z tej strony.

Garnizon niemiecki poddał się, przekonany przez nam wysługujących się Niemców. Byli jeńcy niemieccy oddali nam usługi kilka razy, udowadniając w praktyce twierdzenie, że do wojska zostali wcieleni i że są przeciwnikami Niemiec hitlerowskich. Nie mieliśmy do nich pełnego zaufania, lecz z drugiej strony nie chcieliśmy odrzucać niczyjej pomocy na wypadek, gdyby była szczerą. Była również z nami grupa Francuzów, lecz tych nie można było skłonić do wydatniejszego wysiłku. Ponieważ pili często, zmuszeni byliśmy wypędzić ich z partyzantki.

Po wykonaniu zadania, wycofaliśmy się w kierunku Koniawy, miejscowości pomiędzy Ejszyszkami i Oranami. Czuliśmy, że Gestapo postępowało za nami. Widzieliśmy ich rakiety, jakie wymieniali między swoimi oddziałami. Odpoczynek nasz nad ranem został przerwany strzałami i raportem z kompanii „Piotra”, że został zaatakowany przez silne oddziały Gestapo. Konar nakazał Piotrowi utrzymać obecne pozycje i w razie silnego naporu wycofywać się na sztab. Pierwsza kompania otrzymała rozkaz wykonania ataku na tyły nieprzyjacielskie. Bitwa pod Koniawą skończyła się wycofaniem oddziałów niemieckolitewskich. Po stronie SS straty wyniosły około 50-ciu zabitych i rannych. Po naszej stronie było 7-u zabitych i 12-u rannych.

Jednym z największych problemów w partyzantce był los rannych po bitwie. Musiała go rozwiązać 6 Brygada po bitwach pod Ostrowcem, Koniawą, Koleśnikami i innymi. Ranni byli najczęściej lokowani we wsiach i majątkach. Mowa tu o skonfiskowanych majątkach, bo tylko takie istniały, przeważnie pod zarządem patriotycznych Polaków. Najciężej rannych musiało przyjąć Wilno. Byli oni dopuszczani do szpitali na podstawie fałszywych raportów o wypadkach ulicznych. Lekarze, należący do A.K., przejęli ten ciężar na siebie.

Rannych, rozmieszczonych po wioskach i majątkach, odwiedzały siostry szpitalne. Odwiedzały one czasami i nasze dowództwo. Przywilejem jednego z oficerów było odprowadzać je do miejsca ich postoju.

Chciałbym zatrzymać się na chwilę nad pochodzeniem socjalnym i narodowościowym partyzantów. Większość partyzantów w 6 Brygadzie, to młodzież z Wilna. Wychowana w polskich szkołach, wysoce patriotyczna, wykazywała dużo zrozumienia sytuacji i odpowiedzialności za swe czyny. Była gotowa oddać życie za Sprawę i za Polskę wolną od błędów Polski poprzedniej. Inne partyzantki miały większy skład młodzieży wiejskiej i małych miasteczek. Wieś, czy to Wileńska, czy Nowogródzka dawała chętnie swych synów partyzantce, bo była to

ich partyzantka, walczyła o ich Kraj i broniła ich domów przed zniszczeniem. Spis ludności, zarządzony przez Niemców, a wykonany przez Litwinów, a więc przez element, który nie można było posądzać o fałszowanie na korzyść Polaków, wykazał w 1941, że procent ludności podającej się za Polaków, był o wiele wyższy, niż za czasów Polski Niepodległej, a powiaty oszmiański i lidzki podały się w 100% za Polaków. Wiadomo było, że taka deklaracja nie była bezpieczna i ekonomicznie nie wygodna, z powodu wyższych podatków. Pierwsza partyzantka polska powstaje w rejonie jeziora Narocz, w 1943 roku. Później, próśby o wkroczenie lub o zawiązanie partyzantki nadchodzą do nas aż z powiatu baranowickiego i stołpeckiego.

Od czasu do czasu wyjeżdżałem do Wilna, by dowiadywać się o losy żony, która została aresztowana pod przybranym nazwiskiem. Początkowo, żądano okupu za nią; później, gdy więcej wiadomości zebrano od szpiclów, zerwano pertraktacje z szefem naszej komórki — profesorem uniwersytetu, który zajmował się uwalnianiem uwięzionych za pieniądze. Całe szczęście, że nie dowiedzieli się, że zajmowała się fałszowaniem dokumentów. Inni aresztowani z mojej komórki, zostali wywiezieni w nieznanym kierunku. Potem okazało się, że jeden został rozstrzelany, a inni wywiezieni znaleźli się w Anglii, po uwolnieniu ich przez Aliantów. Była to wielka radość dla mnie spotkać się z nimi. Żonę uwolniły ze Stutthoffu wojska sowieckie w marcu 1945 roku. Wyjazdy i przyjady do Brygady nie należały do łatwych. Zmieniałem środki transportowe w zależności od okoliczności i „bagażu” jaki wiozłem z powrotem. Pewnego razu wyjechałem ambulansem niemieckim. Rogatki otwierały się dość łatwo w pobliżu Wilna na widok ambulansu. Jednakże czym dalej od miasta tym większa była podejrzliwość wartowników. Nie mogli zrozumieć potrzeby tak dalekiego wyjazdu. Kierowcą był Akowiec z mej komórki, którą zorganizowałem na nowo. Więcej obawiałem się o niego, niż o siebie. Był ojcem sześciorga dzieci. Innym razem jechałem krytą ciężarówką niemiecką. Wiozłem około 6-u kandydatów na partyzantów i broń. Wiół nas Wiktor „Dąb”-Dubowik, również Akowiec. Papiery wystawione były na drwali jadących do lasu, położonego w kierunku ostatniego postoju Brygady. Niemcy zatrzymali nas celem wylegitymowania. Myśmy siedzieli wewnątrz budy ciężarówki, gotowi do akcji w razie podejrzenia. Rozmowa Niemca z szoferem przedłużała się. W końcu usłyszeliśmy podnoszenie się szlabanu, bez sprawdzenia zawartości ciężarówki. W tym właśnie momencie, gdy nerwy były u szczytu napięcia,

motor się zaciął, poruszany palącą się kostką drzewną. Tych kilka minut, zanim ruszyliśmy, wydały się wiekiem.

Brygada partyzancka była największą władzą na terenie przez który przechodziła. Do nas zwracała się ludność po decyzje w różnych sprawach. Obowiązek ten spadał przeważnie na mnie z powodu mego prawniczego wykształcenia, które więcej przeszkadzało mi w takich wypadkach, niż pomagało. Potwierdzaliśmy nasze decyzje pieczętką Brygady. Przeważnie umieszczałem formułkę, że takie, a takie zarządzenie jest tymczasowe, do czasu aż prawowite władze polskie nie rozpatrzą sprawy ponownie. Nawet sprawy małżeńskie trzeba było załatwiać w ten sposób. Nasze „wyroki” znajdowały posłuch. W razie oporu, patrol partyzancki i chłosta wyświeślały nieporozumienie, kto jest „władzą” w terenie. Mieliśmy dwa wypadki rabunku ludności cywilnej przez partyzantów — zabrali samogon. Zostali skazani przez sąd polowy na wypędzenie z partyzantki. Potem, gdy dowiedzieliśmy się, że pozostali w terenie i rabują, zostali złapani przez patrol i rozstrzelani. *Dura lex, sed lex*. Byliśmy opiekunami ludności, a nie rabusiami.

Ten stosunek do ludności spowodował, że wieśniak dawał świadczenia na rzecz Polski Podziemnej. Powstała Służba Ochrony Powstania (S.O.P.), organizacja samorządowa, której celem był sprawiedliwy i potajemny pobór świadczeń rzeczowych na rzecz wojska podziemnego. W tym celu wyznaczeni byli konspiracyjni sołtysi, wójtowie i żywnościowe magazyny. Często byłem proszony przez wieśniaków, by podać im adresy Polaków w Wilnie, którzy potrzebują pomocy materialnej. Pewnego dnia przewieźliśmy żywność dla profesorów Uniwersytetu St. Batorego. Był to gest ładny ze strony tych, którzy nigdy z ich usług nie korzystali, lecz chcieli zachować ich dla przyszłej Polski.

W czerwcu 1944 r. Komendant Okręgów Wilno-Nowogródek, ob. Wilk, przeszedł w pole i objął dowództwo nad wszystkimi brygadami z wileńszczyzny i batalionami partyzanckimi z nowogródziny, które zmieniły swój charakter i stały się wojskiem polskim, wprowadzając w życie wojskowe regulaminy i ustawy obowiązujące przed wojną 1939 r. Miejscem postoju dowództwa było miasteczko Dziewieniszki (80 klm. na południe od Wilna). Sztab umieścił się w gminie i szkole. Była to najbardziej demokratyczna armia, jaką widziałem w swoim życiu. Posłuch był oparty na szacunku. Dowódca musiał być urodzonym przywódcą. Nie miał munduru lub stopnia, które by wspomagało go w rozkazodawstwie. Zasiłki pieniężne były jednakowe dla wszystkich, bez względu na stopień. Gdy ktoś

potrzebował więcej z powodu rodziny, choroby, albo aresztowania, dostawał dodatkowy zasiłek. Dyscyplina była jednak na bardzo wysokim poziomie. Bezpieczeństwo wszystkich i wykonanie zadania polegało na ścisłym wykonywaniu rozkazów. Naturalnie, nie wolni byliśmy od ludzkich wad. Specjalnie nieprzyjemne dla Wilka były zawiści między niektórymi dowódcami brygad.

Pewnego dnia, nasz dziewieniski garnizon A.K. został zaalarmowany zbliżającą się partyzantką sowiecką. Okazało się, że był to oddział liczący 200 ludzi, maszerujący na spotkanie sowieckiej armii, która w tym czasie miażdżyła niemiecki front koło Witebska. Dostali oni pozwolenie przemarszu przez nasz teren. Ochraniani byli przez pluton polskiej partyzantki w czasie przemarszu przez nasze tereny. Sztab polski ustawił się na rynku i przyjął defiladę sowieckiego oddziału. Wzruszenie ścisnęło nas za gardło. Myśleliśmy, że to może dobry omen i że w przyszłości stosunki ułożą się pomyślnie pomiędzy nami i sowiecką armią. Nigdy nie niszczyliśmy sowieckiej regularnej partyzantki, choć mieliśmy wiele okazji, nie wyłączając tej ostatniej na rynku dziewieniskim; poza tym wiązałyśmy na terenie polskim kilkadziesiąt dywizyj niemieckiego wojska regularnego i policyjnego, których Niemcy potrzebowali na froncie wschodnim i które może by wystarczyły do złamania oporu sowieckiego.

By ułatwić sobie zadanie i skuteczniej likwidować polską partyzantkę, na wiosnę 1944 roku zaproponowali Niemcy Litwinom utworzenie specjalnych batalionów. Zadania tego podjął się były generał carski Plechaviczius. Zorganizował on dywizję w sile około 18.000 żołnierzy. Była to jedna z większych plag, która spadła na ludność polską. „Plechavicziusy” mieli ogromną swobodę postępowania i wykorzystywali swoje możliwości. Strzelali do ludzi w Wilnie, nawet w dzień. Pacyfikacje terenowe kończyły się rozstrzeliwaniem chłopów, gwałtami i rabunkami. Poszczególne bataliony Plechavicziusa starały się wziąć w środek każdą z polskich partyzantek, by potem, przez jednoczesne działanie z trzech wierzchołków, zniszczyć Polaków. Partyzanci przejrzeni plan Plechavicziusa i nie czekając na jego akcję uderzali na poszczególne bataliony. Bardziej znane stało się uderzenie polskiego oddziału partyzanckiego w sile 200 żołnierzy na litewski batalion, stojący pod Oszmianą. Bitwa skończyła się klęską Litwinów. Dowódca polski, by ich ośmieszyć, kazał im rozebrać się. Pozostawił im tylko kalesony, pozbawione guzików i hełmy. Tak „ubranym” kazano wyjść na szosę Oszmiana-Wilno, skąd zabrali ich ciężarówki niemieckie, wracające z

frontu do Wilna. Wkrótce przekonali się Niemcy, że poprzez bitych i rozbrajanych Plehavicziusów w dużym stopniu wykwapowali polskie oddziały partyzanckie. Nie pozostało im nic innego jak tylko rozbroić resztę oddziałów litewskich, do których i tak nie mieli zaufania.

Konspiracyjna polska władza na Wileńszczyźnie dzieliła się na cywilną i wojskową. Cywilną reprezentował Konwent partii politycznych oraz Delegaci R.P. na Wilno i Nowogródek. Wojskową — uosobniał Komendant A.K. Wilno-Nowogródek. Władza cywilna miała w zawiązkach organy państwowe i samorządowe. Podlegała jej również policja. Delegatem Rządu na Wilno był Fedorowicz, a zastępcą dr Dobrzański.

W 1944 r. Komendantowi Okręgów A.K. Wilno-Nowogródek podlegali Komendant Okręgu „Wilno” i Komendant Okręgu „Nowogródek”. Komendantowi Okręgu A.K. w mieście Wilno (analogicznie w Nowogródku) podlegała Komenda Okręgu, Komenda Garnizonu m. Wilna, Komendanci rejonów m. Wilna, Komendanci pułków i td. aż do drużyny i sekcji. Cała Wileńszczyzna podzielona była na 4 inspektoraty: północ, południe, wschód i zachód z inspektorami na czele. Im znów podlegali komendanci powiatów, kompanii, plutonów, drużyn i sekcji.

Poza tym Komendantowi Okręgu A.K. podlegały inne komórki specjalne:

„Bip” (Biuro Informacji i Propagandy), które czuwało nad morale narodu poprzez prasę podziemną, której organem była „Niepodległość”;

„Kuznia”, która dostarczała potrzebnych dokumentów;

„Gospoda” dająca paszporty;

„Chrusty” — legalizacje;

„Farba” — drukarnia;

Zandarmeria, wojskowy sąd specjalny, egzekucja, wywiad, kontrwywiad — czuwające nad bezpieczeństwem i dające informacje;

Kwaternistrzostwo, z magazynami mundurów butów i td.;

Wytwórnice środków wybuchowych (np. granatów);

Duchowieństwo wojskowe z dziekanem na czele;

„Kedyw” (Komenda dywersyjna);

Oddział kurierów i kurierek. Łączność.

Pod koniec czerwca 1944 r. Wilk zleca mi zanieśenie rozkazu mjr. Jaremie, że — „Burza” — powstanie jest rozpoczęte, nakazując mu, i innym dowódcom, przegrupowanie do akcji na Wilno. W tym samym czasie Naczelne Dowództwo przeniosło



się z Dziewieniszek do majątku Wołkorabiszki, 18 klm. na południe od Wilna. Drugi rzut Dowództwa ułokował się we wsi Orklany. Wilk gromadzi do ataku na Wilno: 3 brygady pierwszego zgrupowania pod d-twem mjr. dypl. „Pohoreckiego” (śp. mjr. Antoni Olechnowicz); 4 brygady czwartego zgrupowania pod d-twem mjr. „Jaremy”; 6-tą Brygadę pod d-twem mjr. „Konara”; 2 bataliony nowogródzkie, szwadron rozpoznawczy kawalerii, pluton ochronny żandarmerii oraz 3 brygady drugiego zgrupowania pod d-twem Węgielnego, które jednak spóźniły się do akcji z powodu utarczek z nieprzyjacielem, plus bliżej nieznane bataliony nowogródzkie, włączając V batalion.

Trudno jest obliczyć ogólny stan żołnierzy, ponieważ stan brygad różnił się: silna Brygada szósta liczyła około 500 żołnierzy i słaba — ósma — 200 żołnierzy\*.

Uderzenie na Wilno nastąpiło 7 lipca 1944 roku o godz. 2 w nocy. Walka była ciężka, ponieważ uderzenie nastąpiło ze strony wschodniej, z której Niemcy spodziewali się wojsk sowieckich. W końcu czerwca Niemcy obunkrowali Wilno i wzmocnili załogę o dywizję pancerną. Bitwa toczyła się przy użyciu ognia artylerii z jednej i drugiej strony. Jednak strona polska nie miała ciężkiej artylerii, czołgów i samolotów. W ciągu dnia wdarła się do śródmieścia 3-cia zmotoryzowana brygada, pod d-twem „Szczerbca” i zatknęła polski sztandar na górze Zamkowej, w centrum Wilna. Pod wieczór nadjechały czołgi sowieckie i wsparły polskie uderzenie. Odtąd, przez 6 dni, oddziały polskie i sowieckie walczyły ramię przy ramieniu, aż do całkowitego zdobycia Wilna. Entuzjazm ze strony sowieckiej był ogromny, nie mogli się nachwalić postawy i dzielności polskiego żołnierza. Chciano dekorować Polaków sowieckimi orderami. Żołnierze polscy odmówili przyjęcia odznaczeń — twierdząc, że spełnili tylko swój obowiązek. Dowództwo polskie ujawniło się sowieckiej komendzie. Po bitwie, brygady i bataliony polskie rozlokowały się wokół dowództwa w Wołkorabiszkach. Rozpoczęte rozmowy polsko-sowieckie zmierzały do utworzenia wielkich jednostek wojskowych, które istniały przed wojną. Wilk był przekonany, że to czego nie udało się załatwić Rządowi przy zielonym stole, jemu uda się załatwić na „zielonej murawie”.

Dzień 16 lipca 1944 r. stał się dla nas bardzo pamiętny. Co się wtedy stało — może opowiem w przyszłości, a jeszcze lepiej, gdy to zrobią inni. Mam nadzieję, że Pan Redaktor nie

---

\* Skład zgrupowań i ilość brygad jest inna niż dane podane w III tomie „Wojska Polskiego”. Moje dane opierają się na notatkach, które spisałem w 14 miesięcy po bitwie o Wilno. — Autor.

weźmie mi za złe, gdy się zwrócę z tym apelem do Wilnian, którzy mogliby przyczynić się do uchylenia rąbka historii wileńskiej. Osobiście chciałbym się dowiedzieć również co się wtedy działo na Wołyniu, we Lwowie i na innych terenach wschodniej Polski.

*Jan ROLAND*

## LIKWIDACJA POLSKO-RUMUŃSKIEJ UMOWY NAFTOWEJ W R. 1939

Stosunki handlowe polsko-rumuńskie przed I-ą wojną światową były dosyć ożywione. Toteż kiedy po 17-ym września 1939 r. fala uchodźców napłynęła do Rumunii, było wśród nich wielu, którzy z tytułu dawniej zawartych transakcji mieli w Rumunii należności i pragnęli je egzekwować. Bardzo szybko jednakże okazało się, że realizacja nawet całkowicie bezspornych pretensji natrafia na poważne trudności. Zdarzały się naturalnie wypadki, że obie strony, kierując się bardziej zdrowym rozsądkiem i dobrą wolą niż normami formalno-prawnymi, dochodziły do porozumienia. Były to jednakże wyjątki. Przeważały wypadki, kiedy dłużnicy bądź to usiłując skorzystać z nadarzającej się sposobności i wymknąć się z przyjętych zobowiązań, bądź nawet w dobrej wierze, odmawiali przeprowadzenia likwidacji w warunkach, wytworzonych przez wojnę. Rósł mur argumentów, interpretacji i norm prawnych, trudny do przeskoczenia przez wierzyciela, znajdującego się na uchodźstwie. Pertraktacje zamieniały się w spór bez widoków na rozwiązanie. W warunkach normalnych, jako *ultima ratio* pozostaje sąd, który rozstrzyga. Ale droga dochodzeń prawnych w ówczesnej sytuacji nie rokowała wielkich nadziei.

Zbyt nierówne były szanse obu stron: wierzyciela, którym był uchodźca wojenny z okupowanego kraju, niejako zawieszony w próżni, przeważnie bez środków finansowych, spieszący na zachód i dłużnika, znajdującego się we własnym kraju, dysponującego czasem, pieniędzmi i górującego nad przeciwnikiem poczuciem stabilizacji. Ponadto domaganie się nakazu natychmiastowego dokonania rozliczenia w warunkach wojennych miało z natury rzeczy znacznie mniej widoków powodzenia, niż gra

na zwłokę, do czasu unormowania się stosunków po wojnie. Toteż droga sądowa nie nęciła nikogo. Jedyнным, znanym mi wyjątkiem z czasów pobytu w Bukareszcie, była likwidacja polsko-rumuńskiej umowy naftowej dokonana na skutek wyroku sądowego.

Przebieg sprawy był o tyle interesujący, że skromna kwestia likwidacji indywidualnego kontraktu przeobraziła się od razu w spór zasadniczy: czy na skutek okupacji całego kraju państwo polskie przestało istnieć, czy też nadal istniało? Pretensji swoich wypadało zatem dochodzić poprzez walkę o uznanie, że Polska jako państwo, mimo okupacji całego jej terytorium, nie przestała istnieć.

Poniżej przytaczam dokumenty tej sprawy, jako przyczynek do stosowania zasad prawa międzynarodowego w czasie wojny. Są one dla nas tym ciekawsze, że na ich podstawie likwidacja umowy została w całości dokonana na korzyść strony polskiej.

Tło sprawy było następujące: wiosną 1939 r. rząd polski zawarł z rządem rumuńskim umowę handlową, polegającą na dostawach z Polski broni, w zamian za co Rumunia w obrocie kompensacyjnym miała dostarczyć pewną ilość produktów rumuńskich, w tym 30.000 ton ropy naftowej. Kontrahentami ze strony polskiej byli SPW (Spółka Przemysłu Wojennego) jako dostawca broni i PEN (Polski Eksport Naftowy, przemianowany z chwilą wybuchu wojny na Wojenny Związek Naftowy) — jako odbiorca ropy. Obie te organizacje miały po zakończeniu transakcji przeprowadzić między sobą rozliczenie.

Broń do Rumunii została dostarczona, a odbiór ropy był w trakcie wykonywania. Technika odbioru była następująca: rząd rumuński z własnych zapasów postawił do dyspozycji 30.000 ton ropy i, zgodnie z instrukcją PENu, kierował ją do trzech rafinerii („Concordia”, „Romana Americana” i „Steua Romana”), które na podstawie dodatkowych umów z PENem miały tę ropę mieszać z pewną ilością nafty świetlnej i ekspediować do Polski.

Kiedy po 17-ym września 1939 r. jako dyrektor PENu i Wojennego Związku Naftowego znalazłem się w Bukareszcie, zastałem sytuację następującą: rafinerie „Romana Americana” i „Steua Romana” kontrakty swoje prawie w całości wykonały, tzn. otrzymany kontyngent ropy po wzmocnieniu umowną ilością nafty wyekspediowały do Polski przed 17-ym września. Natomiast w rafinerii „Concordia” znajdowało się jeszcze 10.000 ton ropy stanowiącej własność PENu i czekającej na wspomnia-

ną operację mieszkankową, która oczywiście w zmienionej sytuacji stała się bezprzedmiotowa.

Poza sprawą ropy istniało jeszcze zagadnienie cystern kolejowych, które przybyły do Rumunii po odbiór zakontraktowanej ropy. Należały one do polskich rafinerii. Po 17-ym września pewna ich ilość znajdowała się na torach rumuńskich.

Zatem likwidacja umowy naftowej sprowadzała się do:

a) wydostania z rafinerii „Concordia” 10.000 ton ropy lub jej ekwiwalentu pieniężnego;

b) przejęcia od kolei rumuńskich parku cysternowego, stanowiącego własność polską.

Wydawało się, że likwidacja umowy z firmą „Concordia” nie napotka na trudności. Przypuszczenie to okazało się trafne tylko w odniesieniu do tej części umowy, która dotyczyła operacji oczyszczenia, mieszania i ekspedycji ropy do Polski. Obie strony uznały okupację za siłę wyższą, a umowę automatycznie za rozwiązaną. Natomiast w sprawie zwrotu ropy od razu nasunęły się wątpliwości. Dyrekcja handlowa firmy „Concordia” uznała się za niekompetentną i skierowała sprawę do działu prawnego. Radca prawny towarzystwa „Concordia” Dr Alexandrache, nie negując, że ropa jest własnością PENU i powinna być temuż zwrócona, wysunął jednak wątpliwości, kto — w zmienionej sytuacji — jest przedstawicielem Wojennego Związku Naftowego jako kontynuatora PENU i z kim „Concordia” mogłaby w sposób dla siebie bezpieczny przeprowadzić likwidację kontraktu. Przedłożone zaświadczenie Ambasady Polskiej osłabiło jego wątpliwości z kim należy w tej sprawie rozmawiać, ale nie przekonało go, że przekazanie należności za ropę na ręce dyrektora W.Z.N. w pełni zabezpiecza interesy „Concordii”. Zaświadczenie Ambasady brzmiało jak następuje:

ODPIS

AMBASADA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

No 839/80

Bucarest, le 10 Octobre 1939.

Certificat

L'Ambassade de Pologne certifie par la présente que l'organisation „Polski Eksport Naftowy” a été fondée en vertu de la loi du 18 Mars 1932 (Bulletin des Lois de la République Polonaise No 7 ex 1932 pos.83/.

Le Statut de la dite organisation, publié dans le journal officiel „Monitor” No 10 ex 1936 pos. 99 du 30 Janvier 1936, a été modifié par l'ordonnance du 2 Septembre 1939 publié dans le „Monitor Polski” du 4 Septembre 1939 pos. 50 qui a changé le nom de l'organisation „Polski Eksport Naftowy” en celui de „Wojenny Związek Naftowy”.

Conformément au par.66 de Statut nouveau, l'ancienne administration du „Polski Eksport Naftowy” demeure en fonction. Conformément

au par.23 l'administration se compose d'un directeur et d'un ou des plusieurs sous-directeurs. Le directeur représente (d'après Statut) le „Wojenny Związek Naftowy” dans toutes les opérations juridiques et commerciales, spécialement devant les autorités judiciaires.

La signature de „Wojenny Związek Naftowy” doit être apposée, soit par le directeur soit par son substitut, soit par un ou par deux sous-directeurs sous la raison sociale de „Wojenny Związek Naftowy” écrite ou imprimée. Conformément au certificat de l'Office Supérieur des Mines de Lwów, M. l'Ingénieur Damian Wandycz occupe le poste de directeur du „Polski Eksport Naftowy” actuellement „Wojenny Związek Naftowy” et a le droit — d'après le par.23 du Statut — de représenter également l'organisation susmentionnée et de signer individuellement.

Ce certificat est délivré comme document donnant droit à M. Wandycz de représenter le „Wojenny Związek Naftowy” en qualité de directeur de cette organisation, dans toutes les opérations juridiques et commerciales.

Ambassadeur de Pologne

(—) R. Raczynski

L.S.

Notice: Après les mots „Polski Eksport Naftowy” dans la ligne 7 page 2 on a ajouté les mots „actuellement „Wojenny Związek Naftowy”.

Ambassadeur de Pologne

(—) R. Raczynski

L.S.

Obawy Dr. Alexandrache sprowadzały się do tego: Dyrektor W.Z.N., znalazłszy się na emigracji, stracił kontakt z organizacją, która pozostała we Lwowie lub przestała w ogóle istnieć. Jakie i przez kogo mogą być dane gwarancje, że W.Z.N. — jeśli istnieje — albo jego sukcesor, nie zjawi się pewnego dnia w Rumunii i zażąda zwrotu ropy? Dla zabezpieczenia się przed tego rodzaju ewentualnością uważał, że najlepszym rozwiązaniem będzie sprzedaż ropy z licytacji i złożenie uzyskanej sumy w sądzie, którego rzeczą będzie przekazanie jej do właściwych rąk. Nie da się zaprzeczyć, że z punktu widzenia ochrony interesów „Concordii” postępowanie takie było najbezpieczniejsze.

Inaczej rzecz przedstawiała się ze stanowiska polskiego. Złożenie do depozytu sądowego sumy uzyskanej ze sprzedaży ropy, równało się w praktyce jej zaprzepaszczeniu. Byliśmy w początkach wojny i nikt zdrowo myślący nie miał wątpliwości, że świat przejdzie przez kataklizmy, po których trudno będzie się doszukać doszczętnie zdewaluowanego depozytu. Ponadto w tym okresie krytycznych warunków finansowych rządu na emigracji, a zwłaszcza placówek dyplomatycznych, każdy dopływ pieniędzy był dla Ambasady w Bukareszcie niezmiernie cenny. To też z naszego punktu widzenia sens likwidacji umowy istniał

tylko w natychmiastowym jej wykonaniu. Po wielu bezpłodnych konferencjach nabrałem przekonania, że nie ma widoków na osiągnięcie porozumienia w drodze pertraktacji i pozostanie nam jedynie droga dochodzeń prawnych. Zdecydowałem się wejść na nią i w tym celu zaangażowałem znanego adwokata bukareszteńskiego, Dra Aleksandra Gorea.

Walczyliśmy uparcie z tezami Dra Alexandrache, co pewien czas przenosząc rozmowy do najwyższej instancji, tj. do p. Marinescu, naczelnego dyrektora „Concordii”. Na jednym z posiedzeń Marinescu oświadczył, że nie może wziąć na siebie odpowiedzialności wydania decyzji, bez zasięgnięcia jakiejś miarodajnej opinii, i postanowił zwrócić się o poradę prawną do prof. Micescu, uznanego na terenie Rumunii za autorytet w dziedzinie prawa międzynarodowego. Uczynił to, a wydana przez prof. Micescu opinia brzmiała jak następuje:

Tłumaczenie  
z francuskiego

#### PORADA PRAWNA

Niżej podpisany, Istrate Micescu, profesor uniwersytetu i adwokat zamieszkały w Bukareszcie przy ulicy Intrazea Zalomit 12, konsultowany przez „Spółkę Akcyjną dla Przemysłu Naftowego „Concordia” w sprawie postępowania w wykonaniu kontraktu z d. 23-go czerwca 1939 przez wymienioną firmę z organizacją „Polski Eksport Naftowy” w skrócie PEN, obecnie „Wojskowy Związek Naftowy”, w skrócie WZN, składający się z dwóch umów, omówionych w przedłożonym mi piśmie oraz w celu zabezpieczenia firmy „Concordia” przed jakimkolwiek ryzykiem i dyskusjami, jakie mogłyby powstać po zakończeniu obecnej wojny europejskiej, wydaje następującą opinię:

*A. Strona faktyczna.* Po zbadaniu aktów, jakie zostały mi przedłożone, a mianowicie: pisma przygotowawczego z dn. 11-go listopada 1939, obu umów w oryginale, referatu p. Alexandrache oraz zaświadczenia Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Bukareszcie, stwierdzam, że firma „Concordia” jest w stosunkach z firmą PEN, zastąpioną obecnie przez WZN, w charakterze depozytariusza pewnej ilości towaru, stanowiącego własność PENU i że jest z nim w trakcie postępowania likwidacyjnego, wynikającego z wykonania obu wspomnianych umów.

Wobec powyższego i w myśl części referatu p. Alexandrache, nie podzielając w całości jego wątpliwości, konstatuję,

że kwestie które należy rozstrzygnąć można sprowadzić do następujących pytań:

1) Kto jest legitymowanym przedstawicielem firmy PEN, zakładając, że jest ona w sposób legalny zastąpiona w swoich stosunkach kontraktowych przez organizację WZN?

2) Jaki jest wpływ siły wyższej tj. wojny na wykonanie wymienionych umów?

3) Jakie konsekwencje mogłyby wynikać z faktu dokonania likwidacji wymienionych umów obecnie, gdyby — wobec niewiadomych wyników wojny — nastąpiła ewentualność definitywnej likwidacji państwa polskiego?

*B. Strona Prawna.* Aby móc odpowiedzieć na postawione sobie pytania w sposób ścisły, należy, moim zdaniem, zanalizować zasady prawa, jakie winny nami kierować w poszukiwaniu odpowiedzi.

1) W kwestii, kto obecnie jest legitymowanym reprezentantem firmy PEN, przyjmując, że jest ona w sposób ważny zastąpiona przez WZN i z kim firma „Concordia” winna pertraktować w sprawie likwidacji kontraktu, nie mam żadnych wątpliwości, że za legalnego reprezentanta musi być uznany ten, kogo wymienia w swym zaświadczeniu Ambasada Rzeczypospolitej Polskiej w Bukareszcie.

Jest niezmienną zasadą, że normy prawa prywatnego w odniesieniu do pełnomocnictw pozostają ważne na podstawie *locus regit actum*. Wychodząc z tego założenia i uznając fikcję eksterytorialności, z jakiej w myśl międzynarodowego prawa publicznego korzystają poselstwa i ambasady, uważam zaświadczenie ambasady polskiej za ważne, ponieważ w Polsce w podobnych wypadkach stosuje się takie normy, a ambasada polska winna być traktowana jako część terytorium polskiego. Według podstawowych norm prawa prywatnego oraz międzynarodowego prywatnego, wszystkie postanowienia prawne stosowane w obcym państwie w odniesieniu do pełnomocnictw i reprezentacji osób fizycznych i prawnych, uważane są za obowiązujące, jeśli oparte są na informacjach i zaświadczeniach o normach prawnych danego państwa, udzielonych przez oficjalne organy poselstwa lub ambasady.

Nasuwa się jednak pytanie, czy wobec niepewności przyszłego istnienia państwa polskiego, zaświadczenie ambasady polskiej może być uznane, jako pochodzące od organu oficjalnego państwa polskiego w trakcie obecnej wojny europejskiej?

Notując to pytanie rezerwujemy sobie prawo odpowiedzi na nie po zanalizowaniu trzeciego, wyżej wymienionego pytania.



2) Co się tyczy drugiej kwestii, a mianowicie wpływu siły wyższej na wykonanie danej umowy, to solidaryzujemy się w zupełności z opinią wypowiedzianą przez naszego kolegę p. Alexandrache, że w stosunku do kontraktów, do których w czasie wojny 1914-1918 zastosowano klauzulę siły wyższej, ustaliła się w prawodawstwie praktyka, że siła wyższa w stosunku do kontraktów, których wykonanie jest bardzo pilne, nie oznacza w zasadzie ich anulowania, ale stanowi jedynie powód do zawieszenia ich wykonania. Wobec powyższego, jeśli chodzi o pytanie drugie, jest naszym głębokim przeświadczeniem, że strony kontraktujące, nie zainteresowane w zawieszeniu umowy, ale w jej wykonaniu i likwidacji, mogą tak postępować, przyjmując jako legitymowanego przedstawiciela firmy PEN, obecnie WZN, osobę wymienioną w piśmie gwarancyjnym ambasady. Sprawę tę jednak uważamy jeszcze za otwartą aż do udzielenia sobie odpowiedzi na trzecie pytanie, wiążące się z kwestią, czy w sytuacji obecnej należy państwo polskie reprezentowane przez ambasadę polską w Bukareszcie, uważać za istniejące.

3) Przystępujemy wreszcie do trzeciego pytania, a odpowiedź na nie łączy się z odpowiedzią na dwa pierwsze pytania. Powtarzamy to trzecie pytanie w sposób, w jaki zostało wyżej sformułowane: „Jakie konsekwencje mogłyby wynikać z faktu wykonania umów teraz, gdyby — wobec niepewnych wyników wojny — nastąpiła ewentualność definitywnej likwidacji państwa polskiego?” W tej kwestii nie podzielamy obaw naszego kolegi Alexandrache, który w nadmiarze przezorności wysuwa wątpliwości, co by się stało gdyby państwo polskie przestało istnieć, i jakie stanowisko zajęliby domniemani spadkobiercy — Niemcy i Rosja — w razie, gdyby obecny stan faktyczny stał się w wyniku wojny stanem prawnym? Nie dzielam tych wątpliwości z następujących powodów:

a) Jak długo państwo rumuńskie istnieje, jest suwerenne i nie wmieszane w wojnę obecną, towarzystwo „Concordia”, mające swą siedzibę w Rumunii, może likwidować produkty (towary) znajdujące się na terytorium rumuńskim w związku z umowami, jakie posiada z osobami fizycznymi lub prawnymi, należącymi do obcego państwa. W danym razie, zajmując się chwilowo jedynie sprawą likwidacji, mogą zastosować zasadę: *tempus regit actum*.

b) W kwestii istnienia państwa polskiego, co jest tu istotne ze względu na to, że firma PEN, obecnie WZN, zostały powołane do życia przez rząd polski, nie przypuszczam aby, przed ostatecznym wynikiem wojny, można się było zgodzić z tezą towarzystwa „Concordia”, że państwo polskie nie istnieje.

W istocie, o ile w myśl międzynarodowego prawa publicznego jest prawdą, że skoro jeden z czterech składników tworzących osobowość prawną kraju znika, to osobowość ta, nawet państwo, przestaje egzystować, to równocześnie pozostaje prawdą, że w stosunku do innych istniejących państw i instytucji od nich zależnych (jak np. państwo rumuńskie i towarzystwo Concordia) państwo polskie nadal istnieje i w konsekwencji wszelkie akty zawarte przez nie (np. likwidacja kontraktu) pozostają ważne tak, jak gdyby państwo polskie, de facto, istniało. Sformułowanie tej zasady prawa międzynarodowego publicznego oparte jest na nauce prawa i nie wzbudza we mnie żadnych wątpliwości (patrz „Traité de Droit International Public” par Paul Franchille, Ed. VIII, de Henry Bonfils Tome I 1-ère partie No 195 et suiv. Naissance et reconnaissance des Etats, page 300 et suiv). Dla wykazania, że zdanie moje jest zgodne z prawie jednogłośną opinią autorów o międzynarodowym prawie publicznym i tradycyjną zasadą prawa narodów, zwracam uwagę, że wybitny były dziekan wydziału prawa w Paryżu, Larnande, w swoich studiach pod tytułem „Le Droit Public, sa conception, sa méthode” (patrz: „Les méthodes juridiques” Ed. V. Giard et Brière 1911 page 1-3 et suiv.) stwierdza, że wszystkie prawa publiczne, włącznie z międzynarodowym publicznym, zostały sformułowane przez analogię i zgodnie z koncepcją prawa prywatnego. Czym jest państwo z punktu widzenia prawa prywatnego? Osobowością prawną tzn. fikcją osoby fizycznej. Ta analogia osoby fizycznej z prawną, czyli zasada prawa prywatnego przetransportowana w domenę prawa publicznego, prowadzi nas — jeżeli chodzi o powstawanie i znikanie państw jako osobowości prawnych — do zastosowania norm prawa prywatnego, dotyczącego osób fizycznych. W wypadku niniejszym problem, który nas interesuje, nie następuje w domenie prawnej żadnych trudności wobec tego, że rozwiązanie zostało ustalone w prawie rzymskim przez koncepcję „spadku wakującego” (*l'hérédité jacente*). W dziedzinie prawa prywatnego, osobowość jako zjawisko fizyczne zaczyna istnieć z chwilą urodzenia, a kończy z chwilą śmierci. Jest to jednakże tylko zasada; dla pewnych rozważań o osobowości jako takiej i jej prawach w związku z urodzeniem oraz o osobach trzecich w związku z ich śmiercią, moment urodzenia może być cofnięty do chwili poczęcia, a trwanie osobowości przedłużone poza śmierć przez pojęcie dziedzictwa wakującego. (Patrz Ulpian Digest 41, 1 de Acquirendo rerum dominio fragment 34 Hermogenian de herd. jac. fragment 61 principium).

Wychodząc z tego założenia, jeśli nawet państwo polskie

straciło swoje terytorium, a więc jeden z elementów tworzących jego osobowość i w konsekwencji utraciło własną osobowość, to jednak — wobec możliwości że śmierć faktyczna nie jest ostateczną — istnieje ono nadal, w myśl pojęcia o dziedzictwie wakującym, aż do formalnego uznania właściwego sukcesora, przedłużając osobowość zmarłego w myśl zasady: *Hereditas jacens sustinet personam defuncti*.

Jeśli chodzi o państwa sukcesyjne po państwie zmarłym, to Bonfils słusznie uważa, że aktem narodzin państwa sukcesyjnego — w rozumieniu dziedziczenia suwerenności — jest moment uznania go za państwo sukcesyjne.

Uznanie to stanowi akt urodzenia nowego państwa, w danym razie Niemiec lub Rosji, jeśli chodzi o wypadek państwa polskiego.

Według autorów prawa międzynarodowego, uznanie takie musi być zbiorowe albo dokonane na konferencji pokojowej, albo indywidualnie przez każde państwo; ma to ten sam skutek co umowa w prawie prywatnym, ograniczona do stron kontraktujących. W konsekwencji, tak długo jak w państwie rumuńskim instancje, normujące prawo prywatne na jakim opiera się interesująca nas tu umowa, nie uznały zniknięcia państwa polskiego, państwo to dla firmy „Concordia” istnieje.

#### *Konkluzja prawna*

Zatem z punktu widzenia suwerenności państwa rumuńskiego oraz ciągłości istnienia państwa polskiego w stosunku do suwerennej Rumunii, nie ma powodu obawiania się jakichkolwiek konsekwencji, wynikających z wojny obecnej, w związku z istnieniem państwa polskiego. Jestem w pełni przeświadczony, że nie jest konieczne — jak to sądzi mój kolega p. Alexandrache — aby państwo rumuńskie wypowiedziało się obecnie o ciągłości istnienia państwa polskiego, wobec tego, że uznanie to wynika z faktu, iż państwo rumuńskie utrzymuje nadal stosunki z państwem polskim, reprezentowanym przez ambasadę polską w Bukareszcie.

W konsekwencji, kontrakty, jakimi się tu zajmujemy, winny być likwidowane przez osoby, które je zawarły z reprezentantem wskazanym przez ambasadę polską, będącą oficjalnym przedstawicielem państwa polskiego. Jeśli chodzi o samą likwidację, to, zdaniem moim, zachowując „środki ostrożności”, należy ją przeprowadzić zgodnie z przepisami naszego kodeksu handlowego, według art. 60-72, to znaczy w myśl procedury przewidzianej w art. 70-72 kodeksu handlowego oraz zarządze-

nia prezydialnego, które firma „Concordia” mogłaby otrzymać w razie sprzeczności z przedstawicielem W.Z.N., wymienionym w piśmie gwarancyjnym ambasady polskiej.

#### *Wniosek końcowy.*

Jestem zdania aby nie komplikować likwidacji rozważaniami międzynarodowego prawa publicznego, ale zastosować środki wymienione wyżej pod tytułem „środki ostrożności”.

ss. Istrate M. Micescu

Można było sądzić, że sprawa została pomyślnie zakończona. Przypuszczenie to okazało się jednak błędne, bowiem dyr. Marinescu uznał, iż mimo opinii prof. Micescu nie czuje się zabezpieczony przed ewentualnymi zarzutami w przyszłości, że decyzję swoją oparł na prywatnej — mimo, iż bardzo autorytatywnej — opinii. Za jedyne rozwiązanie uznał orzeczenie sądu, wysuwając propozycję, aby dyrektor W.Z.N. wniósł przeciwko „Concordii” skargę sądową. Ze swej strony przyrzekł, że w razie wyroku przychylnego dla W.Z.N. przyjmie go, nie korzystając z prawa apelacji. Propozycją tą nie byliśmy zachwyceni, ale wobec kategorycznej postawy dyr. Marinescu nie mieliśmy wielkiego wyboru i Dr Gorea wniósł sprawę do sądu, który dnia 4-go grudnia 1939 wydał wyrok następujący:

#### Sąd Ilfon

Sekcja I-a Handlowa

Rozprawa Nr 16807

Posiedzenie 4-go grudnia 1939

Wywołani w sali prezydialnej, zgłosili swoją obecność: powód, „Polski Eksport Naftowy” obecnie „Wojenny Związek Naftowy” zastąpiony przez swego pełnomocnika p. Alex. S. Gorea, legitymującego się prawem wykonywania swego zawodu, zalegalizowanym przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych za Nr. 13547/939, i pozwany, „Spółka Akcyjna dla Przemysłu Naftowego 'Concordia'” — przez swego zastępcę prawnego p. Pawła Alexandrache. W ten sposób formalności proceduralne zostały dokonane. P. Alexandrache składa memoriał, zawierający odpowiedź na pismo przygotowawcze powoda a przygotowany przez firmę „Concordia”, w myśl którego:

p. Gorea popiera swą skargę wykazując, że pozwany przechowuje w depozycie około 1.000 wagonów ropy naftowej, będącej własnością powoda, co wynika z aktów i dokumentów, jak również odpowiedzi pozwanego na pismo przygotowawcze, ale odmawia zwrotu ropy pod pretekstem, że Polski Eksport Naftowy nie jest właściwie reprezentowany, ponieważ Polska

znajduje się pod okupacją. Sprawa jest pilna ze względu na to, że produkty naftowe w miarę przechowywania ulegają ubytkowi i są również wrażliwe na wahania się cen. Ze względu na to że dostawa do Polski jest niemożliwa, powinno to być dokonane w Rumunii.

Prosi, aby skarga jego została uwzględniona a pozwany otrzymał nakaz wydania zdeponowanego towaru.

P. Alexandrache w imieniu firmy „Concordia” przyznaje — jak to już stwierdził w odpowiedzi na pismo przygotowawcze — że firma jego otrzymała od rządu rumuńskiego dla firmy PEN pewną ilość ropy, co do której została zawarta umowa jej oczyszczenia, mieszania i ekspediowania do Polski, co było wykonywane tak długo jak to było możliwe. Jednakże wobec faktu, że całe państwo polskie zostało okupowane, dalsze wykonanie kontraktu, z powodu siły wyższej, stało się niemożliwe. Przyznaje przeto, że przechowuje w magazynach ropę naftową, którą zmuszony jest trzymać w depozycie, nie mogąc jej do Polski wyeksportować. Przechowywanie takie jest równoznaczne z niszczeniem towaru. Z tego względu zamierza prosić sąd o nakaz sprzedaży towaru zgodnie z artykułem 70 kodeksu handlowego. Jeżeli chodzi o dobrowolny zwrot towaru powodowi, to pozwany przyznaje, że mimo iż dostawa miała nastąpić w Polsce, może to, bez naruszenia zobowiązań kontraktowych, nastąpić również tu. Wyłania się jednak pytanie, komu — bez podejmowania ryzyka — należy towar zwrócić? Jedyne sądy może orzec: 1) czy zgłaszający się posiadają wystarczające pełnomocnictwa. 2) Czy firma ta może normalnie prosperować, posiada legitymację prawną domagania się wykonania umowy, wobec sytuacji, jaka zaistniała w Polsce na skutek wojny i okupacji. Oświadcza, że podporządkuje się orzeczeniu w razie, gdyby sąd nakazał zwrot. Prosi sąd o wydanie decyzji, a w każdym wypadku, aby sprzedaż została dokonana w myśl artykułu 70 kodeksu handlowego wobec faktu, że towar nie powinien być dłużej magazynowany. P. Gorea, opierając się na aktach i dokumentach udowadnia istnienie zarówno firmy, jak i osób mających prawo reprezentowania jej, a w konsekwencji prawo dysponowania towarem należącym do wspomnianej firmy. Domaga się uznania jego skargi.

My, Prezydent Sądu

w skardze wniesionej za Nr. 25475/939 Polski Eksport Naftowy obecnie Wojenny Związek Naftowy domaga się przez swego zastępcę p. Alex. Gorea, w myśl artykułu 66 bis Kodeksu Cywilnego, aby firma pozwana, Spółka Akcyjna dla Przemysłu

Naftowego „Concordia” przez swoich prawnych przedstawicieli mających siedzibę w Bukareszcie, 15 Matei Millo, dostarczyła wymienione ilości produktów, magazynowanych we wspomnianej firmie: a mianowicie:

Ropa naftowa, parafinowana	Gura Ocnitei	588.4443	wag.
”	”	181.7551	”
”	Moreni	77.5748	”
”	Occhiuri	28.4853	”
”	Bucoani	123.0599	”
”	Tintea		”

---

Razem wagonów 999.3194

słownie dziewięćdziesiąt dziewięć wagonów i trzy tysiące sto dziewięćdziesiąt cztery kilogramy.

Zbadawszy akta i dokumenty oraz wysłuchawszy obie strony,

Zważywszy, że w myśl artykułu 66 bis Kodeksu Cywilnego Prezydent Sądu może w wypadkach nagłych pobierać tymczasowe decyzje celem zabezpieczenia praw, które na skutek opóźnienia mogły by być naruszone.

Zważywszy, że dla poparcia swego żądania powód przystąpił do złożenia pisma przygotowawczego złożonego przez firmę pozwaną „Concordia”, jak również oświadczenie złożone przez nią przed komornikiem Sądu Ilfon No 34421 z dn. 29.XI.39, w którym przyznaje, że przetrzymuje u siebie ropę, zdeponowaną na zlecenie i do dyspozycji Polskiego Eksportu Naftowego, obecnie Wojennego Związku Naftowego, z którym zawarła kontrakt na oczyszczenie, mieszanie i ekspediowanie jej do Polski i że wobec sytuacji prawnej, w jakiej znajduje się PEN i W.Z.N. na skutek wypadków wojennych i okupacji Polski — może towar dostarczyć jedynie na zlecenie Sądu,

Zważywszy, że w danym wypadku chodzi o wykonanie umowy, zawartej między firmami polską i rumuńską w sprawie dostarczenia firmie polskiej pewnej ilości ropy,

Zważywszy, że firma Concordia przyznaje, że posiada w depozycie dla firmy powoda ropę w ilości żądanej przez tegoż, za którą wszystkie koszty i opłaty składowania zostały uiszczzone, wymieniona firma stwierdza jednakowoż, że nie może tej ilości dostarczyć wobec faktu okupowania całej Polski, a ponadto nie wie, czy firma powoda prawnie istnieje i nie zna jej reprezentantów, z którymi można by zawierać umowy prawniczo ważne,

Zważywszy, że ambasada polska w Rumunii zaświadcza za Nr. 839/80 z dn. 10 października 1939 istnienie Polskiego Eksportu Naftowego, powołanego do życia na mocy ustawy z d. 18 marca 1932 r., a którego nazwę zmieniono rozporządzeniem

z dn. 2-go września 1939 na Wojenny Związek Naftowy i że towarzystwo to legalnie reprezentuje, za indywidualnym podpisem, p. inż. Damian Wandycz, ten sam co podpisał pełnomocnictwo dla p. Aleksandra M. Gorea celem wniesienia niniejszej skargi i że podpis na tym pełnomocnictwie został zalegalizowany przez ambasadę polską w Rumunii,

Zważywszy, że kwestia, kto jest legalnym przedstawicielem firmy PEN obecnie Wojenny Związek Naftowy, z kim pozwany winien pertraktować w sprawie likwidacji swoich prawnych stosunków z powodem nie istnieje, ponieważ nie ma żadnych wątpliwości, że za legalnego reprezentanta musi być uznany ten, kto jest wymieniony w zaświadczeniu ambasady polskiej w Bukareszcie. Wobec zasady, odnoszącej się do norm prawa prywatnego, że pełnomocnictwa są ważne w myśl założenia *locus regit actum* i wobec faktu, że według norm międzynarodowego prawa publicznego ambasada korzysta z eksterytorialności — zaświadczenie ambasady polskiej musi być uznane za ważne, a to ze względu na normy obowiązujące w podobnych wypadkach w Polsce. W konsekwencji należy wysnuć wnioski wynikające z zaświadczeń ambasady.

Zważywszy, że skoro raz została ustalona prawna egzystencja powoda, jak również to, że państwo rumuńskie uznaje istnienie państwa polskiego, utrzymując z nim stosunki dyplomatyczne przez ambasadę polską w Rumunii, należy wychodząc z tych założeń, uznać, że firma pozwana nie może mieć jakichkolwiek bądź obaw przed wykonaniem omawianej umowy.

W obecnej sytuacji dostawa do Polski jest niemożliwa; musi zatem nastąpić w Rumunii w myśl instrukcji legalnego przedstawiciela towarzystwa skarżącego. Stwierdziwszy powyższe, jak również wobec pilności sprawy, co zostało uznane i przez reprezentanta firmy pozwanej, że przechowywanie towaru oznacza jego niszczenie i że w ten sposób prawa powoda zostałyby naruszone, a każda zwłoka w nakazie zwrotu towaru powodowi stanowi niebezpieczeństwo,

Z powyższych względów uznajemy skargę wniesioną za Nr. 25475/939 przez Polski Ekspert Naftowy obecnie „Wojenny Związek Naftowy”, w wyniku czego nakazujemy, aby pozwana Spółka Akcyjna dla Przemysłu Naftowego „Concordia” przez swoich legalnych przedstawicieli, mających siedzibę w Bukareszcie, 15 Matei Millo, dostarczyła powodowi „Polski Ekspert Naftowy” obecnie „Wojenny Związek Naftowy” następującą ilość produktów, znajdujących się w depozycie wymienionego towarzystwa, a mianowicie:

Ropa naftowa, parafinowana	Gura Ocnitei	588.4443	wag.
” ” ”	Moreni	181.7551	”
” ” ”	Ochiuri	77.5748	”
” ” ”	Bucani	28.4853	”
” ” ”	Tintea	125.0599	”

Razem wagonów 999.3194

słownie: dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć wagonów trzy tysiące sto dziewięćdziesiąt cztery kilog.

Nakaz niniejszy podlega egzekucji zgodnie z art. 66 bis Kodeksu Cywilnego. Od nakazu przysługuje prawo apelacji.

Dane i ogłoszone w sali prezydialnej d. 4-go grudnia 1939 r.

Prezes

Pierwszy protokulant

ss. O.Sachalarie

N.N.Popescu

Kancelaria Sądu Ilfon. Sekcja I-sza handlowa.

Kopia niniejsza została sporządzona zgodnie z oryginałem, który znajduje się w aktach sądu za Nr. 3127/939 i zalegalizowana przez nas.

Pierwszy protokółant

ss. N. Popescu

5-go grudnia 1939.

(Tłumaczenie z francuskiego)

Tym razem sprawa istotnie została zakończona. Naczelnny dyrektor „Concordii” słowa dotrzymał i wyrok sądowy przyjął. Po kilku dniach otrzymałem list następujący:

„CONCORDIA”

Societate Anonima Romana Pentru Industria Petrolului

Capital Deplin Varsat 1.015.000.000 Lei

Sediul Social: BUCURESTI

St/MD

Adresa Telegrafica: „Petrocordia”

Telefon No. 4-16-10

Bucuresti L, 13 Decembrie 1939

Str. Matei Millo, 15

Contabilitate

Onor.

Soc. Polski Eksport Naftowy

in mainile Dlui. Inginer Damian Wandycz

L o c o

Avem onoare a va remite aci alaturat, urmatoarele cekuri asupra Banca Comerciala Romna, emise de noi la ordinul Dvs., in valoare de:



Lei	3.172.181,-	Cu	No.	301132
”	2.500.000,-	”	”	301133
”	1.500.000,-	”	”	301134
”	20.000.000,-	”	”	301135

reprezentand soldul contului Soc. P.E.N. la noi c/v. facturei de astazi pentru Kgr. 999.3194 titei cumparat.

Va rugam a ne confirma primirea si va salutam,  
Cu toata stima,

CONCORDIA  
Societate Anonima Romana Pentru  
Industria Petrolului

Anexa No. 636-639  
4 cekuri

wraz z czekami na sumę 27.172.181 lei oraz pismo — w odpowiedzi na nasze żądanie — że sprzedana im ropa zostanie dostarczona Francji

„CONCORDIA”  
Societate Anonima Romana Pentru Industria Petrolului  
Capital Deplin Varsat 1.015.000.000 Lei  
Sedul Social: BUCURESTI  
Adresa Telegrafica: „Petrocordia”

Dr.T/Al

Telefon No. 4-16-10

Bucuresti 1,le 13 dé. 1939  
Str. Matei Millo, 15

No.14741  
Hon.

Polsky Eksport Naftowy aujourd'hui  
Wojenny Związek Naftowy  
Représenté par Mr. l'Ing. Damian Wandycz  
à l'Ambassade Polonaise  
à B u c a r e s t

Messieurs,

Nous référant à la quantité de 999,3194 wag. brut (tzitzei) que Vous nous avez vendue par votre facture portant la date de ce jour, nous vous confirmons que, selon votre demande, les produits résultant de cette marchandise seront destinés à l'exécution du contrat Franco-Roumain.

Veillez agréer, Messieurs, nos salutations distinguées.

CONCORDIA  
Societate Anonima Romana Pentru Industria  
Petrolului

W obawie, aby konto bankowe nie zostało zamrożone, co w czasie wojny w stosunku do cudzoziemców często było praktykowane, udałem się następnego dnia z radcą ambasady Tadeuszem Lubaczewskim do banku z dwiema walizkami, które po naładowaniu banknotami odwieźliśmy do ambasady\*).

Urzędująca w tym czasie w Bukareszcie „Komisja Ochrony Mienia Państwowego” stwierdziła, że po 17-ym września 1939 r. była to pierwsza należność wyegzekwowana w Rumunii na drodze prawnej i spodziewała się, że stanie się precedensem dla likwidacji innych tego typu pretensji. Czy stała się istotnie precedensem — nie wiem, ale niewątpliwie odegrała zasadniczą rolę przy likwidacji drugiej części umowy, a mianowicie rewindykacji cystern.

b) Sprawa ta była zarówno większej wagi, jak i trudniejsza od pierwszej. Ważniejsza, bo wartość parku cysternowego przewyższyła sumę należną za ropę, a bardziej skomplikowana i trudniejsza do przeprowadzenia z następujących powodów:

W sporze o ropę zainteresowane były tylko dwie strony: W.Z.N. i „Concordia” przyczym ta ostatnia nie negocjowała słuszności pretensji, ale chciała tylko zabezpieczyć się przed ewentualnością wystąpienia osób trzecich, jako sukcesorów W.Z.N. z żądaniem likwidacji tej samej umowy. W sprawie rewindykacji cystern stron zainteresowanych było więcej. A więc: PEN, ubiegający się o przejęcie ich w polskie ręce; Naczelną Dyрекcyj Kolei Rumuńskich, dla której każda cysterna w czasie wojennej, wzmózonej produkcji była „na wagę złota”; Niemcy, które uważając się za sukcesora majątku polskiego, domagały się przez swoją ambasadę w Bukareszcie zwrotu cystern i wreszcie francuska misja wojskowa w Rumunii była zainteresowana w tym, by cysterny te nie służyły interesom niemieckim. Spór miał zatem również aspekt polityczny.

W pierwszym etapie Dyrekcja Kolei Rumuńskich próbowała drogi najprostszej, negując jakoby jakiegokolwiek polskie cysterny pozostały w Rumunii. Z tego stanowiska musiała się jednak wycofać po przedłożeniu spisu numerów cystern z polskimi znakami wraz z podaniem stacji kolejowych, na których się

---

\*) Czytelnikowi z pewnością nasunie się pytanie, jaką wartość przedstawiała uzyskana suma. Niestety odpowiedź na to proste pytanie nie może być prosta. Według kursu czarnej giełdy suma ta równała się \$ 60,000. Według kursu oficjalnego miała wartość kilkakrotnie wyższą. Ale mierzona ówczesną siłą kupna w Rumunii miała wartość nieporównanie wyższą. Np. zasiłek miesięczny wypłacany przez władze rumuńskie polskim uchodźcom wynosił 3,000 lei, co wystarczało na skromne utrzymanie jednej osoby. Zatem uzyskana suma stanowiła równowartość utrzymania 750 uchodźców w Rumunii w ciągu roku.

znajdują, oraz po przedłożeniu dowodów schwywania na gorącym uczynku robotników kolejowych, przemalowujących znaki polskie na rumuńskie. Każda cysterna nosiła napis rafinerii, której była własnością. Znajdujący się na uchodźstwie pełnomocnicy rafinerii, jako właściciele cystern, udzielili PENowi mandatu do występowania w ich imieniu w sprawie rewindykacji cystern. Formalności w danym wypadku były „dwustopniowe”: najpierw należało wykazać prawo znajdujących się w Bukareszcie mandatariuszy rafinerii do występowania w ich imieniu, a później ważność pełnomocnictw udzielonych przez nich dyrektorowi PEN-u. Legalność tych wszystkich aktów opierała się na zaświadczeniach ambasady polskiej.

Po ustaleniu tych wstępnych formalności, wniosłem do Dyrekcji Kolei podanie o zwrot cystern. Podanie zrobione zostało „na wyrost”: domagałem się zwrotu cystern i pozwolenia na wywóz ich do Angers we Francji, ówczesnej siedziby rządu polskiego na emigracji. Wiedząc, że żądanie takie nie jest realne, wysunąłem następującą alternatywę: po przekazaniu PENowi cystern bez prawa ich wywozu, będą one eksploatowane w Rumunii. W tym celu zawarliśmy warunkową umowę dzierżawną z rafinerią „Columbia”, stanowiącą własność francuską.

W tym samym czasie również ambasada niemiecka złożyła podanie o przekazanie jej polskich cystern. Rumunia była wtedy krajem, gdzie wydostanie z urzędów nawet poufnych wiadomości nie napotykało na trudności nie do przewyciężenia. Toteż ja znałem treść listów ambasady niemieckiej i nie miałem wątpliwości, że ambasada znała treść moich. Łatwo można to było stwierdzić po sposobie argumentacji, w jaki ambasada usiłowała zbijać tezy wysuwane przeze mnie.

W tym stanie rzeczy Dyrekcja Kolei zarówno ze względów merytorycznych, jak i politycznych, nie była zgoła zainteresowana w rozstrzygnięciu pojedynku, jaki za jej pośrednictwem toczył się między PENem a ambasadą niemiecką. Jako *beati possidentes* spokojnie eksploatowała cysterny w ramach swego parku cysternowego. Pertraktacje ustne i pisemne ciągnęły się bez rezultatu.

Sprawę posunęła dopiero akcja tocząca się na bocznym torze. Pomiędzy cysternami, które były przedmiotem sporu, kilkanaście należało do firmy Vacuum Oil Co w Polsce. Jej siostrzane towarzystwo, Vacuum Oil Company w Rumunii, zawiadomiło mnie, iż zamierza ubiegać się o wydanie mu cystern będących własnością polskiego Vacuum; prosiło też o poparcie, a w każdym razie nie przeciwdziałanie tej akcji. Zgodziłem się

bez wahania, zdając sobie sprawę, że potężny koncern amerykański ma dobre szanse na uzyskanie zgody Dyrekcji Kolei, co stworzy precedens w sprawie przekazywania cystern jej prawowitym właścicielom. Kiedy to istotnie nastąpiło, pozostało tylko uzyskanie uznania przez stronę rumuńską ważności pełnomocnictw udzielonych dyrektorowi PENu przez właścicieli cystern, będących na emigracji. Ta sprawa stała jednak wciąż na martwym punkcie. Przewycięził go dopiero wyrok sądu w sprawie sporu z Concordią. Po przedłożeniu orzeczenia sądu Dyrekcja Kolei uznała je za miarodajne i skłonna była podanie PENu załatwić przychylnie.

W tym stadium sprawy nastąpiła kontrakcja ze strony ambasady niemieckiej. Poinformowana najwidoczniej o rozwoju sytuacji, wystosowała do Dyrekcji Kolei pismo z prośbą o odroczenie decyzji do czasu przedłożenia przez nią pełnomocnictw rafinerii znajdujących się w Polsce.

W tych warunkach Dyrekcja Kolei zawahała się przed samodzielnym powzięciem decyzji, mogącej mieć reperkusje polityczne i zwróciła się do Naczelnej Kolejowej Rady Adwokackiej, składającej się z dwunastu wybitnych prawników rumuńskich, z prośbą o udzielenie porady prawnej, a w szczególności odpowiedzi na następujące pytania:

a) Czy dyrektor PENu, znajdujący się na emigracji i wykazujący się pełnomocnictwami właścicieli cystern, również będących na emigracji, jest legitymowaną osobą, której można przekazać w mowie będące cysterny?

b) Jak Dyrekcja Kolei winna się ustosunkować do żądań ambasady niemieckiej, domagającej się odłożenia decyzji w sprawie zwrotu cystern do chwili złożenia przez nią swoich pełnomocnictw.

Odpowiedź Rady Prawniczej, skierowana do Naczelnej Dyrekcji Kolei, miała, rzecz prosta, charakter poufny i przeznaczona była do użytku wewnętrznego. Mimo to, odpis tego dokumentu znalazł się w moich rękach. Oto jego treść:

Tłumaczenie z  
tekstu francuskiego

Sprawa No 1313/939

Naczelna Rada Adwokacka

Posiedzenie d. 1-go kwietnia 1940 r.

Zbadawszy akta sprawy i wysłuchawszy referatu radcy prawnego Filloreanu Al.,

zważywszy, że po ogłoszeniu wojny polsko-niemieckiej zo-

stała w Rumunii pewna ilość cystern naftowych będących prywatną własnością kilku firm w Polsce,

zważywszy, że towarzystwo „Polski Eksport Naftowy” żąda zwrotu pewnej ilości tych cystern należących do firm: 1) „Galicyskie Karpackie Towarzystwo Naftowe”, 2) „Nafta, S. A.”, 3) „FANTO” S.A., 4) „Polskie Związkowe Rafinerie Olejów Mineralnych”, 5) „Limanowa”, 6) „Galicja”, 7) „Jasło, Zakłady Przemysłowo Naftowe, Gartenberg i Schreier w Niegłowicach” — bądź to w celu wystania ich do Francji, bądź to dla eksploataowania ich w kraju,

zważywszy, że firmy wyżej wymienione upoważniły tow. PEN reprezentowane przez swego naczelnego dyrektora p. Damiana Wandycza, do dysponowania tymi cysternami,

zważywszy, że pełnomocnictwa udzielone firmie PEN przez p. Leona Venjer jako przedstawiciela pierwszych czterech wymienionych wyżej towarzystw, przez p. Charles Marty — reprezentanta firmy „Limanowa” i „Galicja” i pp. Gartenberga i Adolfa Sterna — reprezentantów dwóch ostatnich firm — są z punktu widzenia prawnego w pełni ważne,

zważywszy, że ważność tych pełnomocnictw została zaświadczona przez ambasadę polską w Bukareszcie,

zważywszy, że takie zaświadczenie jest zgodne z zasadami międzynarodowego prawa prywatnego,

zważywszy, że normy prawa prywatnego w odniesieniu do pełnomocnictw są ważne zgodnie z zasadą locus regit actum i że ambasada polska na podstawie prawa eksterytorialności jest częścią terytorium Polski i jako taka jest uznana przez państwo rumuńskie, co właśnie wynika z faktu, że ambasada ta istnieje na naszym terytorium i utrzymywane są z nią stosunki dyplomatyczne,

zważywszy, że legalne istnienie państwa polskiego nie może podlegać dyskusji, bo aczkolwiek Polska straciła swoje terytorium, to nie zostało ono definitywnie przyznane domniemanym sukcesorom — Niemcom i Rosji — ani w formie zbiorowej, ani przez konferencję pokojową, ani indywidualnie przez państwo rumuńskie. Wobec powyższego, w myśl prawa prywatnego i międzynarodowego prywatnego, wszelkie normy stosowane w obcym państwie do pełnomocnictw i reprezentacji wszystkich osób fizycznych i prawnych winny opierać się na informacjach i zaświadczeniach danego państwa, udzielanych przez oficjalne organy poselstwa lub ambasady,

zważywszy, że w danym wypadku państwo polskie zaświadczyło za pośrednictwem swojej ambasady w Bukareszcie, że pp.

Venjer, Marty, Gartenberg i Adolf Stern są legalnymi przedstawicielami firm, będących właścicielami cystern kolejowych,

zważywszy, że ambasada zaświadczyła autentyczność treści i podpisów pełnomocnictw udzielonych przez wyżej wymienionych firmie PEN, ta ostatnia niewątpliwie w sposób legalny i ważny reprezentuje te towarzystwa i ma prawo dysponowania ich cysternami,

Zważywszy, że fakt zidentyfikowania przez Dyрекcję A. 83 cystern (wykazanych 28.II.1940) dostarczył dowodów, że są one własnością firm-mandatariuszy oraz, że pełnomocnictwo dane PENowi na podstawie norm prawnych wyżej wymienionych jest ważne, — roszczenia podania dołączonego do aktu No 1313/1939 Głównej Rady Adwokackiej, oparte na dawniejszym podaniu towarzystwa PEN — uważa się za usprawiedliwione.

Zważywszy fakt, że poza cysternami których domaga się PEN, znajduje się obecnie w Rumunii jeszcze pewna ilość prywatnych polskich cystern, z których 33 są w dyspozycji firmy Vega, a 21 — Dyrekcji Kolei (R.A.C.F.R.) decyzja z dnia 2. III.1940 przekazała towarzystwu Vacuum Oil Co, jako reprezentantce jej polskiego odpowiednika, będącego właścicielem tych cystern,

zważywszy, że firma PEN zasługuje na takie same traktowanie jak Vacuum Oil Company tzn., że cysterny zidentyfikowane przez organy kolei rumuńskich (Dyrekcja A) jako należące do firm, których mandat posiada — winny być przekazane PENowi do użytkowania,

zważywszy, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych, w piśmie Nr. 77664 z dn. 6.IV.40 traktuje cysterny, których domaga się PEN, jako depozyt przymusowy i stwierdza, że Dyrekcja Kolei Rumuńskich może je używać do końca wojny, ale stwierdza równocześnie, że nie może się domagać 33 cystern będących w posiadaniu firmy Vega, skoro te znajdują się w jej posiadaniu na jej odpowiedzialność i ryzyko cywilne.

zważywszy, że fakty powyższe i to, że prawa firmy PEN zostały w pełni udowodnione, oraz wobec intencji Dyrekcji Kolei zwracania cystern legalnym przedstawicielom firm będących ich właścicielami — w konsekwencji uznaje się podanie PENu w zasadzie za słuszne,

zważywszy równocześnie, że firma PEN nie może domagać się wpisania tych cystern do parku rumuńskiego o ile nie zastosuje się do przepisów rumuńskiego kodeksu handlowego lub nie powierzy administracji firmie rumuńskiej, zarejestrowanej w Izbie Handlowej,

zważywszy równocześnie, że Poselstwo Niemieckie w Bu-

kareszcie pismem z dn. 26.3.1940 Nr. 56.130 RA 1940 zawiadamia, że również złoży pełnomocnictwa w tym samym celu co PEN i prosi o odłożenie decyzji w sprawie roszczeń PENu do czasu, aż przedłoży te pełnomocnictwa.

zważywszy, że jeśli takie pełnomocnictwa zostaną złożone, Dyrekcja Kolei będzie zmuszona do rozstrzygnięcia sporu, który z racji swego charakteru należy do atrybucji sądów,

zważywszy, że każde rozstrzygnięcie władz administracyjnych spowoduje niepotrzebny konflikt, a nie będzie miało autorytetu i wagi decyzji sądowej,

zważywszy równocześnie, że zatrzymanie cystern przez Dyrekcję Kolei, po pełnym udokumentowaniu przez PEN jego praw, będzie również rozstrzygnięciem administracyjnym,

zważywszy, że Dyrekcja Kolei nie ponosi żadnego ryzyka przekazując te cysterny firmie PEN w celu ich użytkowania, ponieważ będą one oddane jej „na własną odpowiedzialność i ryzyko cywilne”, takie same jakie ponosi tow Vega w myśl pisma Departamentu Ekonomicznego Ministerstwa Spraw Zagranicznych,

zważywszy, że żądanie firmy PEN może być uwzględnione tylko pod tym warunkiem, że cysterny nie mogą opuścić Rumunii,

z tych względów  
Rada opiniuje:

I. Żądanie PENu jest w swej zasadzie usprawiedliwione i do zaakceptowania.

II. Cysterny zidentyfikowane przez Dyrekcję „A” mogą być przez firmę PEN przejęte, jeśli ta podporządkuje się przepisom rumuńskiego kodeksu handlowego i założy swoją reprezentację w tym kraju albo powierzy administrację cysternami towarzystwu rumuńskiemu.

III. Cysterny muszą być wpisane do parku kolei rumuńskich i nie mogą pod żadnym pozorem opuścić kraju do końca wojny.

W dokumencie tym uderza odmienny sposób, w jaki Rada potraktowała oba postawione jej pytania. Odpowiedź na pierwsze oparta była na pewnym wywodzie prawnym. Odpowiedź na drugie miała charakter życiowo-praktyczny i zmierzała do uniknięcia kłopotliwej sytuacji. Zastosowanie się do tej rady wymagało pośpiesznego działania. Naczelna Dyrekcja widocznie podzielała opinię Rady, bo odpowiedź tej nosiła datę 1-go kwietnia 1940 r., a już 10-go tegoż miesiąca otrzymałem z Naczelnej Dyrekcji Kolei następujące pismo:

*Tłumaczenie*

KOLEJE RUMUŃSKIE

Pan Inżynier Damian Wandycz  
Naczelny Dyrektor firmy  
„Polski Eksport Naftowy” (P.E.N.)  
Ambasada Polska, Radca Handlowy  
ulica Gogu Cantacuzene 50.

Nasz Numer  
33.613 RA C.F.R./940

W odpowiedzi na podanie Pana za No. 33.613. RA z d. 21.II.1940 mamy zaszczyt podać do Pańskiej wiadomości, że Naczelna Dyrekcja Kolei Rumuńskich wyraziła zgodę, aby wszystkie cysterny kolejowe, znajdujące się w tym kraju na skutek wojny niemiecko-polskiej, a będące własnością niżej wymienionych firm, reprezentowanych przez „P.E.N.”, zostały przekazane firmie „Franco Roumaine de Pétrole Columbia S.A.” w Rumunii, mandatariuszce firmy „P.E.N.”

- 1) Galicyjskie Karpackie Towarzystwo Naftowe, Glinik Mariampolski i Jedlicze
- 2) „Nafta”, S.A.
- 3) „Fanto S.A.”
- 4) „Polskie Związkowe Rafinerie Olejów Mineralnych” Trzebinia i Dros.
- 5) „Limanowa Soc. a respons. limit.”
- 6) „Galicja S.A.”
- 7) „Jasło Zakłady Przemysłowo-Naftowe Gartenberg i Szrajer S.A.” Niegłowice.

Towarzystwo „Franco-Roumaine de Pétrole Columbia S.A.” winno te cysterny wpisać do parku cysternowego Kolei Rumuńskich na podstawie odpowiedniego kontraktu z klauzulą, w myśl której cysterny te nie mogą opuścić kraju do końca wojny.

Celem zidentyfikowania i odbioru tych cystern, legitymowany reprezentant „La Soc. Franco-Roumaine de Pétrole Columbia S.A.” w Rumunii zgłosił się na stacji Bukareszt-Triage do naczelnika warsztatów kolejowych rumuńskich, który otrzymał już odpowiednie instrukcje.

Bukareszt, 10 kwietnia 1940.

Dyrektor Warsztatów i  
Sprzętu Kołowego  
(podpis nieczytelny)

Szef Działu Technicznego A. VI  
Inż. nacz. Parisianu



W ten sposób i druga część sporu, wynikającego z likwidacji umowy, została rozstrzygnięta korzystnie dla strony polskiej.

O ile jednak sprawa ropy znalazła pełne rozwiązanie w postaci przekazania polskiej stronie należności, to „zwycięstwo” w sprawie cystern, na skutek dalszego biegu wypadków wojennych, okazało się raczej teoretyczne. Bowiem po kilku miesiącach Rumunia została okupowana przez wojska niemieckie, i w ręce ich wraz z całym majątkiem rumuńskim musiały wpaść również cysterny z takim trudem przez polskie ręce przejęte.

Czy rząd warszawski w rozliczeniach powojennych polsko-rumuńskich zaliczył je do polskich aktywów — nie wiem. Należy to już jednak do innego rozdziału.

*Damian S. WANDY CZ*



EDWARD CZAPSKI I ŻMUDŹ  
W DOBIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO

*Autor i jego młode lata.*

Pod tytułem „Pamiętniki Sybiraka” ukazał się duży tom wspomnień niepospolitego człowieka, który przeżył wiele, wiele przecierpiał i wiedział wiele o swoich czasach i ludziach, o Polsce, Rosji, Europie między 1830 a powstaniem styczniowym. Pamiętniki te pisać zaczął w 1872 roku w Samarze, po uwolnieniu z katorgi na osiedlenie i pisał dalej po zezwoleniu na powrót do macierzystych Swojatyecz.

Z senatorskiego wielkopolskiego rodu, urodził się na Litwie; ojciec jego, Stanisław, miał tam majątki po matce Radziwiłłównie. W roku 1812 wystawił 22-gi pułk piechoty wojska polskiego. Bił się pod Kojdanowem i nad Berezyną. Edward przeżył lata szkolne w starym Collegium Nobilium na Żoliborzu, gdzie w roku 1829 miał honor oglądać właśnie ukoronowanego „Najjaśniejszego Króla” Mikołaja I i wysłuchać jego ostrych uwag o niejednostajnym ubiorze i nienależytej postawie wojskowej chłopców; a słyszał również śmiałą replikę sędziwego eks-Prowincjała. Tu przeżył rewolucję, wojnę, wyśpiewywał pieśni żołnierskie i opłakał upadek Warszawy. Po kasacie konwiktów i szkoły za Paskiewicza wywieziono go do Berlina na dalsze studia. Tu drugi raz oglądał Mikołaja I, któremu za jego wizyty prezentowano w ambasadzie jego poddanych studiujących w Berlinie. Cesarz wzburzył się na widok czyichś wąsików, kazał je zaraz ogolić — i „na tym skończyło się spotkanie monarchy z poddanymi, którzy za granicę po naukę jeździli”. Edward poznał tu nie tylko arystokrację wielkopolską ale i całą plejadę mło-

---

Edward Czapski: *Pamiętnik Sybiraka*. Z przedmową Stanisława Vincenza. Rękopis opracowała, opatrzyła w przypisy i indeksy Maria Czapska. Londyn 1964. B. Swiderski. Str. 372.

dzieży polskiej, było jej do dwustu, w tym sporo z rosyjskiego zaboru.

Gdy w roku 1840 wracał do kraju, do Kiejdan przez Taurigi, dokąd eskortowali podróżnych kozacy, „nieopisany jakiś ciężar legł na piersi, serce jakby zamarło pod tym naciskiem”. „Miałem to uczucie — jak wspominał po dziesięcioleciach — że wjeżdżam do jakiegoś niezmiernego więzienia”. Wspominał co mu wtedy powiedział ojciec: „Do domu niewoli wkraczasz, rozumiesz jaki los nam wypadł? Nie płacz, ale wytrzymaj...”. Przez kilka tygodni musiał młody Czapski nabierać z powrotem biegłości w języku polskim, czytać i robić streszczenia z wielkich pisarzy, uczyć się poezji na pamięć, aż powiedział o nim ojciec: „Mój syn wychowany w Berlinie, ale dla kraju. Widzę że starania moje stokrotnie wynagrodzone”. Pobyt u ojca, który z domku krytego strzechą o paru mieszkalnych pokojach rządził kluczem kiejdańskim, był mu nauką spartańskiego i pracowitego życia.

Po raz pierwszy był w Wilnie. Życie tam znalazł nawet „rozproszone i wesołe”, jeszcze w „najpierwszych domach przepych i wystawę”. Kościół „cenzurowany”, świeża kasata unii — „robotą krwią i przekupstwem skalana”, „męczeniem i mordowaniem nieposłusznych”. Właśnie zaś przybył nowy generał-gubernator, żona skąpa, wosku żałuje na posadzki, froterują mydłem, niebezpieczny taniec. A poprzednik, książe Dołgoruki przeniesiony do Charkowa. Wielkich długów wyjeżdżając nie zapłacił. Żartują, że „dołgi” zostały na Litwie, tylko „ruki” wyjechały. A wiadomo, że władze mają ostrożnie a stale kierować robotę „ku wyniszczeniu elementu polskiego na Litwie”. I tutaj po raz pierwszy wypływa w tej książce sprawa ludu w tym kraju. Pisze Czapski:

„Poddaństwo włościan, których liczba znakomicie powiększona po zaborach, podczas pierwszego spisu ludności, nakazanego przez Katarzynę II, wpływało najfatalniej na dobrobyt ludu, ale zarazem i na obyczaje, na temperament i moralny kaliber uprzywilejowanego obywatelstwa. Nieodpowiedzialne panowanie nie obchodzi się bez szkody moralnej; ani despotyzm świata, ani despotyzm szlacheckiej zagrody. Ten już jeden rys chorobliwy ówczesnej społeczności czynił ją jakby półdziką w porównaniu do Niemców. A przecież najwinniejszy tej choroby społecznej był zawsze rząd, bo kiedy w r. 1818 szlachta zgromadzona na sejmikach pod laską Michała Romera, uroczystie prosiła o wolność dla włościan litewskich, salę obrad w kilka dni potem zapieczetowano i nakazano milczenie w tej najżywotniejszej już podówczas kwestii”.

A wolno dodać że po klęsce 1831 roku i grozie jaka zapanowała za sprawy Konarskiego, już i sumienia przeważnie zamilkły, z czym wiąże się i własny dramat Czapskiego.

Na razie „wrócili z utęsknieniem do Kiejdan”. Zapadły w rodzinie decyzje, że ma studiować na uniwersytecie w Charkowie, gdzie jego brat starszy właśnie został kandydatem praw.

Edward odprowadzał matkę w Mińskie do jej brata stryjecz- nego, pułkownika Aleksandra Obuchowicza, w którego samotni było znowu „centrum polszczyzny” i myśli obywatelskiej. Od- wiedził ze wzruszeniem Swojatyńce, dom dzieciennych lat. U ple- nipotenta na ścianach sztychy Napoleona, Poniatowskiego, Ka- zimierza Sapiehy. „O każdym wspominał gospodarz z zapalem”. Tak tlił się jeszcze duch tamtej epoki i tęsknota za nią.

On zaś musiał jechać do Charkowa. I przedstawić się te- muż Dołgorukiemu, który go przyjął serdecznie, z szacunkiem jego ojca wspominał. Sypnęły się zaproszenia do wielkich ro- syjskich domów. Gościnnie przygarniała go Rosja.

### *W służbie rządowej.*

Po roku podróżował do Petersburga by wstąpić w służbę rządową. Wuj, Adam Rzewuski, żonaty z księżniczką Łopuchin, pilotował go. Omal-że nie został urzędnikiem trzeciego oddzia- łu Cesarskiej Kancelarii. Ale zdołał się wymówić. Natomiast mi- nister sekretarz stanu Królestwa, Ignacy Turkuł, żywy szcza- tek jego państwowego bytu, obiecuje wziąć go do swego urzędu. Kilka dni spędził Czapski w Warszawie. „Widział z przykrością wielką, że młodzież warszawska dzieliła się na obdłużonych trwo- nicieli i bezwstydnym a starszych wiekiem parazytów”. Był na bal u „Jaśnie Oświeconego Namiestnika”, który i tam był groź- ny. Wyciąga wniosek: „Snać myszom z kotami nie bawić się”. Wraca na kontrakty kijowskie by spotkać się z wujem Rzewu- skim i poznać jego rodzinę. Matka pod błogosławieństwem za- kazuje mu żenić się z jedną z Rzewuskich — bo Rosjanki. Wy- nikły stąd bolesne przeprawy sercowe. Powtórzą się po latach gdy Wielhorscy zaofiarowali mu rękę córki, którą był oczarow- any. Matka zabroniła, bo panna była prawosławna.

### *W służbie urzędniczej.*

Przez pięć lat służył Czapski w sekretariacie stanu. Turkuł, jego „dobry minister”, człowiek niezły choć słaby, gracz nie- fortunny i dziwak, miewał z nim ostre przeprawy, bo krytyko- wał konfederację barską i Kościuszkę, a Czapski dobitnie mu wygarnął, że nikt mu przecież nie każe pastwić się nad prze- szłością Polski. „Wyrok o niej do historii należy, a nie do ofi- cjalnych natchnień i podejrzanych dekretów polityki bieżącej... Może kraj nasz przeznaczony jest w dalszych kolejach prze- konać świat, że nie każda wygrana jest prawem, ani każda przegrana jest grzechem lub głupstwem”. Nie dziw, że wyszedł ze służby w sekretariacie stanu „z 12-ą tylko rangą”. Krajowi z tych służb nic nie przyszło i przyjść nie mogło. Brat jego Adolf „prezentował się cesarzowi w Kijowie i jako junkier zo-

stał wysłany na Kaukaz na własne żądanie". Gorzej, że gdy Mikołaj łaskawie mu zaproponował służbę w lejbgwardii, ekskuzował się, że go na to nie stać, „bo wstępuje do wojska bez zezwolenia ojca”. Cesarz odprawił go w łasce i uściskał, ale kazał ojca „jako podejrzanego w wierności wziąć pod ścisły nadzór policji a wedle potrzeby nawet majątek jego zabrać w administrację skarbową”. Od dozoru policyjnego zdołał Edward Czapski ojca wybronić przez Aleksę Orłowa, szefa żandarmów, do którego przez wspólnych krewnych łatwy miał wstęp. W obronie ojca musiał pogrzyżyć brata. I bawić się tu myszom z kotem.

Ciężką żałobą dotknęła Edwarda śmierć ojca. „Zacierany i wyciskany przez braci” — jako najmłodszy — pozostał formalnie w służbie, wziął urlop, rok 1846 spędził w podróżach. W tym czasie nawiązało się z nakazu umierającego ojca ale rozbiło jego narzeczeństwo z Tyzenhauzówną. Był w Rzymie. Myślał o powołaniu duchownym. Poznał się z Matką Makryną. Usłyszał jej wróżbę — same cierpienia, kłęski, ciemność, która dopiero w dalekiej przyszłości się rozjaśni. Papież Pius IX mówił mu o jego duchownym powołaniu: „Wielkie to zaprawdę przeznaczenie być sługą bożym, ale biada tym którzy nierozmyślnie do stóp ołtarza się cisną. *Ante quam de hoc calice bibas*” — pij nasamprzód z kielicha goryczy nieszczęśliwej Polski (i nieszczęśliwej Litwy). Leczył się w czeskich „badach”. Objechał Niemcy. Był w Peszcie na „Juliuszu Cezarze” granym po węgiersku. Słów nie rozumiał — ale wiedział że to przy najmniejszej aluzji do ojczyzny i swobody burza ogólna podnosiła się zewsząd i że podmuch rewolucji przechodzi Europę.

### *Na Żmudzi.*

Na Żmudzi objął jako swoją część spadku wieś i folwark Kałnabreż, wydzielone z dóbr kiejańskich. Czuł się pokrzywdzony. Majątek był zaniedbany i mało dochodowy. W ciągu sześciu lat gospodarowania majątek odbudował, zagospodarzył, dochód podniósł kilkakrotnie żyjąc sam po spartańsku i nie zdając się na ekonomów. Gorszył sąsiadów jeżdżeniem bryczką bez koczów i liberii, cieszył się swym małym kwiatowym ogródkiem. Ale zapisze:

„W tych wspomnieniach jest chmura jakaś... Niewola chłopów otaczała mnie, jak otaczała wszystkie objawy domowego i towarzyskiego życia. Jej niesprawiedliwość czułem, a korzystałem z niej, żyłem z niej na równi z innymi obywatelami. Dziś (piszę po latach dwudziestu) wystawiam sobie, o ile taka moja praca i takie zajęcie się gospodarstwem zyskałyby na spokojności wewnętrznej, na godności osobistej, gdyby niewoli nie było wtenczas. Niewola włościan odgradzała obywatelstwo od reszty mieszkańców wiejskich w sposób bardzo szkodliwy dla właścicieli ziemskich — nieszczęśliwy i niesprawiedliwy dla ludności wiejskiej... Nie masz bowiem

możebnej instytucji cywilnej która by jednocześnie nieskazitelną zachować mogła jedną połowę społeczeństwa, kiedy kazi i demoralizuje drugą...”

Ale podobne uwagi o poddaństwie na Litwie narzucały mu się już wtedy, gdy ją odkrywał wracając jako młody student ze szkół niemieckich — i uspakajał sumienie tym, że szlachta wileńska za Aleksandra I żądała zniesienia poddaństwa i rząd nie dał. Ale cóż poza doraźnym interesem broniło obywatelom zredukować dni pańszczyzny, zakazać bicia chłopów. Tymczasem według świadectwa Jakuba Gieysztor, późniejszego prezesa Wydziału Litwy za powstania, ucisk pańszczyźniany był ciężki w dobrach kiejdańskich za Stanisława Czapskiego, a za Edwarda w Kałnaberzy chłopci musieli odrabiać pańszczyzną sześć dni w tygodniu „od niedzieli do niedzieli”. A przecież sam pamiętnikarz przypominał, że „filantropowie” (myślał o Wilberforce’ie) „dowodnie” przekonali o szkodliwości niewolnictwa dla afrykańskich murzynów” i że „czas tę samą robotę przenieść w stosunku zniewolniczonych plemion i narodów starej Europy”. Ale chcieliby się dodać: zaczynając od chłopów z Kałnaberzy. Autor przyznaje, że ziemianie nie byli przygotowani na reformę z 1861, która „zastała jednostajnie nieprzygotowanych i obywateli i niegdyś ich poddanych”. Przypomnijmy: rzecz dzieje się w sześćdziesiąt kilka lat po manifeście połanieckim, pięćdziesiąt kilka po reformie napoleońskiej, blisko czterdzieści po pruskiej trzynastu lat po uwłaszczeniu w Galicji. Jakby nie doszły tu nigdy wielokrotne wezwania księcia Adama do szlachty, by się zdobyła na ofiarę i zniosła pańszczyznę własnymi rękami, bo tak nakazuje miłość ojczyzny, miłość chrześcijańska i nawet własny interes.

### *Kuratorstwo powiatowe.*

Niebawem przyjęte nowe obowiązki wprowadziły pamiętnikarza a z nim czytelników w dziedzinę szkolnictwa na Żmudzi. Łączyło się to z warunkami udziału w życiu publicznym.

„Dla ułatwienia wysługi na rangi, bez których obywatele brać udziału w sejmikach nie mieli prawa, „uzyskać trzeba było synekurę jaką był urząd Kuratora powiatowego”. Za to kurator płacił sto pięćdziesiąt rubli szkole powiatowej i wienien był raz na rok odwiedzać szkoły. Nie domyślił się Czapski przyjmując wakujący urząd na powiat Rosieński że na to by „rangi odbierać” trzeba się opłacić w kancelarii kuratora okręgu białoruskiego. Lata rzeczywistej pracy włożonej w kuratorstwo nie posunęły go wyżej w hierarchii. Za to otwarły oczy na stan szkolnictwa i oświaty na Litwie. Szkoły — razem sześć, paręset młodzieży — zacofane i zaniedbane. Nauka po rosyjsku. Tylko „religia i moralność” po polsku. Cóż kiedy ucznio-

wie po polsku nie rozumieją. „Uboższa szlachta w domu mówi po żmudzku, a po polsku nic prawie nie rozumie”.

„Trudność wyuczenia się dwóch języków, polskiego i rosyjskiego, po większej części łamała ich inteligencję”. A charakter uczniów i przełożonych także. Sam zaś kurator, który forsował naukę języka polskiego znalazł się pod tajnym nadzorem policji i znowu trzeba było i Turkułła i Orłowa by to odrobić. Co prawda to sprawników traktował z góry, nie opłacał i nie przyjmował, stawiał się gubernatorom, i jak sam się przyznaje ostrzych uwag im nie szczędził.

Gdy przybył do Wilna na generał-gubernatora sławny Bibikow, Czapski „dwa razy zmierzył się z tym olbrzymem pychy” i zasłużył sobie na złośliwą uwagę, że „ma język ostry jak nos w profilu”. Zwłaszcza gdy szło o język, religię czy wybronie kapelana zagrożonego wzięciem, czy w ogóle o katolicyzm i polskość. W roku 1855 przeprowadził petycję o dozwole nie nauki języka polskiego w gimnazjach. Miał wtedy w opinii polskiej mocną pozycję, choć odwagą cywilną niektórych odstraszał.

Były to jego lata szczęścia rodzinnego (ożenił się w 1852 z Antoniną z Różyckich, małżeństwo z miłości). Był u szczytu powodzeń majątkowych. Zakupił nowy, duży majątek Wiżuny w powiecie wiłkomirskim, gdzie się z rodziną przeniósł. Jako delegat powiatu wiłkomirskiego brał odtąd udział w pracach delegacji kowieńskiej nad reformą włościan.

### *Reforma włościańska i pośrednictwo polubowne.*

Jakby wypadł w pamiętnikach Czapskiego rok 1857 i ten fakt doniosły, że na zjeździe delegatów z trzech guberni zachodnich Litwy, odbytym w Kownie, szlachta postanowiła zwrócić się do tronu z prośbą o zniesienie poddaństwa chłopów z pozostawieniem jej prawa własności ziemi. W zjeździe tym Edward Czapski brał udział; jego brat Adolf świecił nieobecnością choć był marszałkiem w Kownie i gospodarzem domu. Według pamiętników Gieyszтора uchwalenie wolności chłopów wywołało powiew entuzjazmu choć nie przyznawało chłopom prawa własności posiadanej ziemi. Było też przyjęte z uznaniem przez Aleksandra II; dało asumpt do powołania w całym cesarstwie komitetów do rozważania sprawy włościańskiej. Czapski znalazł się w składzie delegacji kowieńskiej. Większość jej „widziała w wiecznym czynszu kres ustępstw sprawiedliwych”. W roku 1858 podstawą prac komitetu miały być wytyczne rządu przewidujące odsprzedanie włościanom ich zagród i pozostawienie im pewnej ilości ziemi w zamian za pewne świadczenia. Wytyczne spotkały się z opozycją ogólną, jako naruszające prawo własności szlacheckiej. Wniosek Gieyszтора zmierzał jednak do powzięcia przez samą szlachtę uchwały postanawiającej „od-



dzielenie" lwiej części gruntów będących w posiadaniu chłopów i oczynszowanie, tak by właścianin płacąc 6 procent stawał się w 25 lat właścicielem tej ziemi. Nie zdołał tej propozycji prze-forsować. Zostawiono rządowi inicjatywę rozwiązania sprawy chłopskiej. Inicjatywa niektórych szła w innym kierunku: marszałek wiłkomirski Kossko domagał się, aby po oswobodzeniu włościan dziedzic zachował prawo karania ich za złe prowadzenie się i lenistwo. Tego Kosskę zdołał Czapski wysadzić z marszałko-stwa interweniując u generał-gubernatora Nazimowa z dowo-dami jego nadużyć. Ale niektórzy delegaci komitetu litewskiego w Petersburgu oddali głosy za utrzymaniem kary chłosty dla włościan.

W roku 1859 była wizyta cesarza w Wilnie, ta która wywo-łała wiele nadziei i wiersz Odyńca o cieniach Jagiellonów któ-re się cieszą z tego dziedzica ich tronów. Czapski był na wiel-kiej audiencji, na której cesarz zapowiedział bliską reformę sta-nu włościańskiego i dziękował szlachcie za „gotowość do tej nieodzownej społecznej przemiany”. Poza tym wiało od niego chłodem.

Nastąpiły podróże Czapskiego do Petersburga w różnych sprawach gospodarczych — odszkodowania za propinację, ban-ku w Wilnie i innych, wszystko w atmosferze rosnącej niechę-ci ku Polakom, przy ostrych wymianach słów, protestach i w salonach nawet krótkich spięciach. Znalazł się w Rosji, gdy fala pożarów których wzniecenie przypisywano spiskowcom prze-chodziła przez Petersburg, przerzucała się na prowincję i gło-szono że podpalacze to Polacy.

Właśnie rodził się ukaz oswobodzicielski. Czapski trafnie przewidywał zamęt jaki wyniknie z zastosowania na Litwie z jej ustrojem dominialnym tego, co było przystosowane do ustro-ju rolnego rosyjskiego, gminnego, z odpowiedzialnością zbioro-wą. Widział w cyrkularzach urzędowych „obuch do socjalnej woj-ny”. W Petersburgu poznał się z Wielopolskim i z Zygmuntem Sierakowskim. Pierwszy imponował mu potęgą charakteru i oso-bistą godnością. Drugi usiłował go wciągnąć do sprzysiężenia — daremnie. Przekonywał go, że szlachta litewska powinna sama nadać ziemię swoim włościanom i tym sposobem stanąć na czele reformatorów i „reformacji społecznej”. Czapski przy-wiązywał to wpływom Milutina, Czerkaskiego i innych radyka-łów. Ale i Czartoryski od dziesięcioleci głosił to samo. I sam Czapski widział, że trzeba ustanowić nowe stosunki między szlachtą a włościaństwem na okres przejściowy w duchu sprawiedliwości. Wybrany „pośrednikiem” do przeprowadzenia reformy przez powiat wiłkomirski w tym duchu zamierzał działać.

Tymczasem już działały zapowiedzi ukazu carskiego wśród chłopów, którzy wolność brali dosłownie, wierzyli że car zwolnił ich od pańszczyzny i innych świadczeń i że panowie i urzędnicy oszukańczo fałszują jego wolę. Kraj wchodził w stan rewolu-cyjnego wrzenia. W kwietniu 1861 chłopci w Kałnaberzy, mająt-

ku Czapskiego, zbuntowali się przeciw pańszczyźnie, a za nimi chłopci w innych wioskach. Sąsiedzi Czapskiego, bawiącego w Wiżunach, wyjednali u gubernatora egzekucję wojskową. „Nieposłusznych cielesnie ukarano i wszystko wróciło niby do dawnego porządku”. Tłumaczy się Czapski, że nie otrzymał żadnego ostrzeżenia od władz że jego włościan będą chłostać, „choć wątpi aby mógł wtenczas perswazją na zbuntowanych coś wskórać”. Na zebraniu pośredników w Kownie tuż potem gubernator zalecał „największą ostrożność i łagodność”, a Gieysztor srogie mu robił wyrzuty z okazji egzekucji w Kałnaberży. Nie wyjaśnia Czapski zarzutu Gieysztora co do przekroczenia tam przewidzianej inwentarzami liczby dni pańszczyzny.

Na zjeździe obywateli w Wiłkomierzu „starszslacheckie” stronnictwo twardo obstawało przy egzekwowaniu wszelkich powinności i świadczeń. Ktoś kończył mowę: „ani jednego jajka im nie daruję”. Czapski przemawiał niemal w duchu Gieysztora:

„Zapytuję panów kto i co może przeszkodzić rządowi odebrać nam całą ziemię włościańską, choćby bez żadnego wynagrodzenia, albo za takie, na jakie zdobyła się w Galicji *felix Austria*? Azaliż to tylko jedna Austria potrafi ostrzyć noże na obywatelach polskich? Zaklinam was, ratujcie siebie i dzieci wasze polskie, szlacheckie; ratujcie teraz tak właśnie jak ratuje doświadczony sternik statek swój, nawałnicą skołatany, wyrzucicie w głąb morza połowę mienia waszego, to uratujecie życie i statek wasz”...

Wrażenie tej przestrogi wśród szlachty „było jak najgorsze”. A chłopci wiżunscy u Czapskiego nie chcieli przyjmować ustawy ani wybierać starsziny. Bunt został zażegnany nie jego perswazją, ale przestrogami księdza, jeszcze bez egzekucji wojskowej. Gdy przyszło wprowadzać „Ustawne hramoty” włoście Dekszniany i Świadość „objawiły mu że nie podpiszą”. Trzy razy posyłał sztafety o pomoc wojskową. Wreszcie przysłano kilkunastu żołnierzy a sprawnik przed przystąpieniem do ukarania przywódców buntu w długiej przemowie wytłumaczył, że rząd nikogo nie chce karać, ale na wezwanie „pośrednika” nasz gubernator zmuszony był przysłać egzekucję. I domagał się od Czapskiego by przy tym asystował. Jako ten „pośrednik”.

Krwawe to było wprowadzanie oswobodzicielskiego ukazu i polubowne pośrednictwo.

### *Powstanie, więzienie, katorga.*

Pamiętnik nie wspomina czy doszła Czapskiego wieść o manifeście i dekretach tymczasowego Rządu Narodowego uwłaszczających chłopów i rehabilitujących tym imię polskie tak-

że i na Litwie. Czapski, jak najbardziej przeciwny powstaniu, stronnik Wielopolskiego, dowiedział się raptem od Wołodźki, swego plenipotentą, że występuje z ochotnikami do boru Wiżuńskiego, bo kazano mu zacząć powstanie. Formowała się tam partia Gaspara Maleckiego. Na żądanie Czapski nie tylko prowiantu dostał ale odwiedził obóz choć „patrzył z niewymownym żalem na to wszystko”.

W tych dniach zaszedł wypadek, który zadecydował o jego losie. Gospodarz z jego majątku skarżył się na zdzierstwo „klucz-wójta”, policjanta rejonowego. Czapski kazał mu go przyprowadzić. Po drodze przez las natknęli się na powstańców. Ci wzięli „klucz-wójta” i jako podejrzanego powiesili. I były wszelkie pozory, że to się stało z nakazu Czapskiego. On tymczasem jeździł do obozu Sierakowskiego na jego wezwanie. Proponowano mu wejście do rządu. Odmówił, ale zobowiązał się pełnić rozkazy. Wysłany był do Rygi. Gdy wrócił do Wilna — już po klęsce Sierakowskiego — rządu Murawiewa były w pełni. Nad nim wisiało aresztowanie. Marszałek wileński Domeyko usiłował go skłonić do podpisu adresu wiernopoddańczego, czym mógł się ocalić. Ostro odmówił. Nie ukrywano że to się skończy katogą. Więziony w Wilnie, potem w Kownie, po wyroku pierwotnym na śmierć, zmienionym na 12 lat katoggi, przewieziony do Wilna, tu żegnał się z ukochaną żoną po raz ostatni. W Petersburgu odwiedzali go w więzieniu powinowaci i starzy znajomi, wśród nich i Rosjanie, a wśród nich książę Suworow, ówczesny gubernator stolicy.

Długa syberyjska droga do Siewiakowskiej turmy pod Czytą była łagodzona szacunkiem i władz i współwięźniów. Pełnił urząd starosty. Miał kłopoty. Bunt współwięźniów. Za to przez pół roku kajdany. (Za Mikołaja wszystkich by zasieczono). Miał wieści z kraju. Żona donosi o „Saturnaliach narodożerstwa”. Potem o śmierci jego matki. A wreszcie pośrednią drogą wiadomość o tragicznym zgonie żony. Po dalszych latach w roku 1872 ułaskawienie. Cesarz widząc spokrewnionego z nim dygnitarza zapytał: „Cóż powiesz na to, że ułaskawiłem tego zbrodniarza, tego łotra, krewnego twego Edwarda Czapskiego” na co tamten z głębokim ukłonem odpowiedział: „Są zbrodnie które nie licują z pewnymi nazwami”.

Na razie w Samarze a potem w Libawie czekał na pozwolenie powrotu na Litwę i do Swojatycz gdzie spędził resztę życia. Przeżył o 25 lat powstanie i swoją epokę.



Ten przegląd treści pamiętników Czapskiego, trzymający się własnych jego losów nie wyczerpuje ich treści, wychodzącej daleko poza osobiste przeżycia i kontakty. Nie wyczerpuje nawet

jego własnych spostrzeżeń i rozmyślań. Ten pozytywista *avant la lettre* sięgał myślą głęboko w sprawy swej epoki, choć nie zawsze wyciągał ze swych rozważań właściwe wnioski. Organizator *avant la lettre* w roku swej służby rządowej czy „obywatelskiej” kuratorskiej, czy również „obywatelskiej” jako pośrednik, napojony był piółunem i doświadczałnie stwierdził daremność tych prób, niepodobieństwo współpracy, a jego dumą polską i pańską buntująca się przeciw nakazom przemocy uczyniła go „niebłagonadiożnym”, zaledwie tolerowanym, zanim go pogrążył ostatecznie bierny raczej udział w powstaniu. Honor mu przynosi jego posłuszeństwo w stosunku do bezimiennej władzy narodowej, choć nie miał do niej zaufania ani wiary w powstanie.

Książka to którą się czyta z pasją i przeczytać trzeba. Dla historyka źródło bezcenne, studnia niewyczerpana. Bogactwem treści i siłą wyrazu góruje wśród literatury pamiętnikarskiej tamtej doby.

Pani Maria Czapska dokonała już przed wojną ogromnej pracy nad przygotowaniem szczęśliwie zachowanego rękopisu tych pamiętników do druku, który już w roku 1939 był rozpoczęty, a oryginały odesłane rodzinie do Kościelca, gdzie we wrześniu 1939 przepadły. Przepadła też kopia pamiętników sporządzona niegdyś przez dziadka p. Czapskiej, a stryjecznego brata ich autora. Maszynopis znajdujący się w jej mieszkaniu, zupełnie wyszabrowanym, odgrzebano w stosie rupieci. Raz jeszcze przygotowała go do druku. Ukazał się we wzorowej formie edytorskiej z obfitymi przypisami, objaśnieniami, indeksem. Należy się za udostępnienie tego dzieła wdzięczność dr Marii Czapskiej i wszystkim, którzy się przyczynili do jego wydania. Wdzięczność nie tylko historyków.

„Pamiętnik” zaopatrzył p. Stanisław Vincenz piękną, głęboko przemyślaną przedmową, bardzo kontrowersyjną w pewnych punktach, zwłaszcza co do sprawy włościańskiej i co do zagadnienia powstań polskich. Co do pierwszej, trudno pojąć że widzi w Czapskim „zawziętego bohatera w kierunku urzeczywistnienia reformy rolnej która by wzmogła solidarny dobrobyt całości narodu”. Tego nie wyczytaliśmy niestety w „Pamiętnikach”. A co do „kierunku” reformy, jakaż była inna droga, jak uwłaszczenie, jeśli ziemie zabrane nie miały się pogrążyć w stan permanentnej rewolucji socjalnej, wyprzedzając w tym Rosję, a żywioł polski utonąć w morzu nienawiści litewskich czy ruskich mas chłopskich. Kontrowersyjne są również wywody co do powstań polskich i wymagałyby dyskusji, przekraczającej ramy niniejszego sprawozdania. Sama ta kontrowersyjność świadczy, jak „Pamiętniki” Czapskiego głęboko poruszają i przymuszają do przemyślenia naszych ówczesnych losów.

Marian KUKIEL

## KARTA Z PRZESZŁOŚCI

Pamiętniki generała Józefa Hallera czyta się z bardzo mieszanymi uczuciami. Chwilami z kart ich wyłania się dobrze znana i przez legendę opromieniona sylwetka „Błękitnego Generała”, który całe swe życie poświęcił Sprawie Polskiej — chwilami czytelnik doznaje uczuć, które graniczą z zażenowaniem i musi pamiętać, że książka ta była dyktowana przez prawie osiemdziesięcioletniego człowieka, który nie tolerował „sprzeciwu i poprawek” i nie korzystając z żadnych źródeł odpowiadał na wszystkie zastrzeżenia i wątpliwości: „Wiem co mówię, mam dobrą pamięć”. Nie ulega kwestii, że przed wydawcami stanął poważny problem czy *Pamiętniki* w obecnej formie nadają się w ogóle do druku i przyznają oni, że „treść i forma” ich „nie są doskonałe”. Obiektywny historyk będzie zmuszony pójść o krok dalej i sąd jego o wartości tej książki niestety wypadnie ujemnie. Powstaje nawet pytanie czy autorowi, który zajmuje tak poczesne miejsce w najnowszych dziejach Polski nie wyrządono przypadkiem krzywdy przez ogłoszenie tych wspomnień?

Pamięć jest rzeczą zawodną. Spisywanie pamiętników w warunkach w jakich te powstały stanowi co najmniej wielkie ryzyko i mimowoli przychodzi na myśl inna zupełnie książka pisana w nieco zbliżonych warunkach — *Dernier Rapport* Józefa Becka — która przyniosła chyba więcej szkody niż pożytku pamięci jej autora. *Pamiętniki* oczywiście, i niestety, roją się od błędów i pomyłek i wyliczanie ich byłoby żmudne i dla czytelnika męczące. Nie ulega też wątpliwości, że z kolei zabiorą głos ci, których nazwiska bądź to są wspomniane w tym dziele bądź to wiążą się ściśle z wypadkami opisywanymi przez Józefa Hallera. Dla ilustracji należy jednak przytoczyć kilka pomyłek rzeczowych, które znajdują się w tej książce. Otóż Litwa Środkowa została wcielona do Rzeczypospolitej w roku 1922 a nie 1924; Marian Seyda nie był następcą po Romanie Dmowskim jako minister Spraw Zagranicznych ale odwrotnie; czesko-słowacka umowa w Pittsburgu miała miejsce w 1918 roku a nie w 1913; gen. Bernard nie był szefem inisji wojskowej francuskiej w Polsce po gen. Niesel'u — był nim gen. Dupont; Masaryk nie podpisywał żadnego układu z Francją w sprawie Śląska Cieszyńskiego; „L'Humanité” nie było pismem Clemenceau; Weygand był już generałem a nie pułkownikiem w jesieni 1918 roku, etc., etc., etc. Te liczne pomyłki są o tyle istotne, że podważają zaufanie czytelnika do ścisłości wspomnień autora i opisywanych wydarzeń. Nakreślone na przykład w kilku zdaniach rozmowy Hallera z Piłsudskim, Clemenceau, Fochem, Paderewskim brzmią jakoś bardzo nieprzekonywująco jeżeli czytelnik zna charakter tych postaci i ma się wrażenie, że pamięć, która przesiewa wydarzenia z przeszłości często pozostawia wersję, która najbardziej człowiekowi odpowiada.

W niektórych częściach książki opisywane fakta są już dobrze znane historykom a wersje generała Hallera czyta się z pewnym zażenowaniem. Weźmy na przykład sprawę wycofania dywizji hallerowskich z frontu ga-

licyjskiego w roku 1919. Wiadomo, że Paderewski przyjął zobowiązania iż wojska Hallera nie będą wówczas użyte przeciw Ukraincom i sprawa ta była roztrząsana na posiedzeniu Najwyższej Rady w Paryżu, komunikowana Piłsudskiemu i wreszcie załatwiona przez rozkaz czasowego wycofania tych oddziałów. Listy Piłsudskiego, Paderewskiego i dokumenty Konferencji Pokojowej są ogłoszone drukiem. Tymczasem generał Haller relacjonując całą sprawę w nieco uproszczony sposób widzi w niej „jakieś inne tajemnicze powody” i dodaje: „Jak się później okazało, już w tym czasie prowadzono jakieś układy z atamanem Petlurą” (str. 205).

Można jednak spojrzeć na *Pamiętniki* i pod innym kątem, oceniając ich wartość -- niezależnie od błędów i pomyłek -- w zależności od podejścia autora do zagadnień swojej epoki. Generał Haller, który odgrywał tak ważną rolę w polskim życiu zwłaszcza w latach 1914-1918, nie zagłębia się jednak w zagadnieniach, które byłyby naprawdę interesujące dla historyka. Niezorientowany czytelnik nie zrozumie z *Pamiętników* ani problematyki Legionu Wschodniego, ani konfliktu przysięgowego w Legionach, ani dylematu -- tak trudnego i skomplikowanego -- wojska polskiego w Rosji.

Punkty zwrotne, jak na przykład umowa z Międzypartyjnym Kołem w Rosji, stosunki z POW -- kontakty z Hołówką, tak ciekawie opisane przez tego ostatniego, w ogóle nie są wspomniane -- sprawa powrotu armii Hallera do Polski i tarcia na tym tle z Naczelnym Dowództwem wychodzą błado i anemicznie i niezawsze wiadomo o co chodzi.

Drażliwa niewątpliwie sprawa ekscesów antyżydowskich, związanych z wojskami Hallera, jest wytłumaczona w paru zdaniach, jako wynikała jedynie z przepisów sanitarnych i obcinania bród. Tłumaczenie to jest nie tylko ambarasująco naiwne, ale stoi w sprzeczności z ówczesnymi rozkazami gen. Hallera, który potępiał jakiegokolwiek wybryki antyżydowskie w rozkazach dziennych i groził karami.

I znów można stwierdzić, że rozkazy te zostały przechowane i że można było do nich dotrzeć. Czytelnik, zwłaszcza niechętnie nastawiony do Hallera, uzna więc te wyjaśnienia za niepoważne tak samo jak i jego niefortunny zwrot o „jakichś urojonych żydowskich krzywdach w Polsce” (str. 307).

Niestety licznych niedomówień i opuszczeń nie można tłumaczyć brakiem miejsca, gdyż *Pamiętniki* są przeładowane wspomnieniami natury osobistej, niezbyt ważnymi dla historyka. Co ma powiedzieć czytelnik i jaki wyrobi sobie pogląd o Hallerze czytając zdanie: „Bez wielkich wrażeń i zmian przeszedł też rok 1905”, po czym następuje *dziesięć linijek* uwag o rewolucji i wojnie rosyjsko-japońskiej i sytuacji w Królestwie (str. 48). Dosłownie tyle samo wierszy jest poświęconych na następnej stronie opisowi psów w dzielnicy Pera w Stambule, które zafascynowały widać Hallera. Przykładów takich można by podać jeszcze o wiele więcej.

Generał Haller był wybitnym żołnierzem i dowódcą. Jego osobista odwaga, poświęcenie i rzetelność w wykonywaniu ciężkich nieraz zadań nie ulega wątpliwości. Nie był on jednakże politykiem i stałe wciąganie go

do tych spraw przez prawicę stanowi swoistą tragedię tak jego jak i ówczesnego życia politycznego Polski.

Z *Pamiętników* odnosi się niejednokrotnie wrażenie, że Haller gubił się w życiu partyjnym, w którym wyzyskiwano jego nazwisko i popularność dla wąskich celów. „Kiedy dostałem się do Sejmu”, pisze on, „nie było mi łatwo zdać sobie sprawę z różnych poczynan” (str. 233).

Na emigracji w Londynie Haller — członek gabinetu, — był często niekonsultowany w istotnych sprawach. „Bardzo późno dowiedziałem się”, czytamy w innym miejscu, „w jaki sposób doszło do podpisania układu z Rosją Sowiecką [w 1941 roku — PW]” (str. 322).

Haller nie wspomina jak zamachowcy w operetkowym puczu z 4-go na 5-ty stycznia 1919 roku użyli jego nazwiska — Haller był wówczas we Francji — by przeciwstawić go jako naczelnego wodza Piłsudskiemu, i ogólnie biorąc pisze mało i ogłędnie o walkach obozów politycznych w Polsce. Stara się też być *fair* w stosunku do swych przeciwników, ale choć powściągliwość ta jest zrozumiała i godna szacunku to dla historyka pozostaje zbyt wiele niedopowiedzeń i luk, które Haller mógłby był ciekawie wypełnić. Pisze on o swej opozycji do planów wyprawy kijowskiej, ale chciałoby się mieć więcej szczegółów i faktów. Wspomina o okolicznościach, które towarzyszyły objęciu przez dowództwa frontu w 1920 roku, ale ponieważ wersja jego jest bardzo różna od wersji gen. Weyganda, czytelnik szuka na próżno jakichś akcentów polemicznych, gdyż trudno przypuścić aby Haller nie znał wspomnień francuskiego generała.

Generał Haller odrzuca z oburzeniem współczesną interpretację swej mowy po wyborze Narutowicza — prasa, a za nią wielu historyków widziało w niej podburzanie tłumów do akcji przeciw elektowi — ale znów historyk chciałby więcej szczegółów i danych.

Z kart *Pamiętników* widać wyraźnie jak ściśle Haller łączył zagadnienia polityczne z religią. Opisuje on jak przed powstaniem Frontu Morges udał się do biskupa tarnowskiego Wałęgi i dopiero dowiedziawszy się „że Witos jest całkiem w porządku z przynależnością do kościoła i z wiarą” uznał, „że nie będzie już nic stało na przeszkodzie do ściślejszej z nim współpracy politycznej” (str. 286). Głęboka żarliwość religijna Generała była zawsze znana i niezależnie od poglądów czytelnika należy się jej szacunek. Łączenie jednak polityki z religią wywołuje nieraz mieszane uczucia zwłaszcza że w okresie Dwudziestolecia koła prawicowe próbowały, niestety, posługiwać się swym katolicyzmem jako atutem politycznym. Jednym z przykładów przymierza prawicowo-katolickiego był ks. arcybiskup Teodorowicz i jego obrona dóbr kościelnych w czasie debat nad reformą rolną w Sejmie nie należy do najszczytniejszych kart kościoła w Polsce. Szkoda, że generał Haller nie dostrzegał tego i nawet po tylu latach porównuje ks. Teodorowicza do Skargi.

Wielu historyków zachodnich, a i pewna część polskich, wyraża się dziś krytycznie o nadmiernym zapatrzeniu się polskich mężów stanu i generałów w przedrozbiorową przeszłość. Ten pewien anachronizm nie pozwalał na trzeźwe spojrzenie na zagadnienie kresów i powodował brak zrozumienia dla głębokich przemian, którym uległy narody: litewski, ukra-

ński i białoruski. Generał Haller nie był też wolny od tych obciążeń przeszłości. Po przejściu pod Rarańczą kazał rozdać swemu wojsku egzemplarz „Trylogii”, tak jak gdyby Sienkiewicz był najlepszym wprowadzeniem do problematyki Ukrainy wieku dwudziestego. Przed bitwą pod Kaniowem cytował w swym rozkazie dziennym Przepowiednie Wernyhory. W ówczesnej atmosferze było to jeszcze zrozumiałe, ale w pracy dyktowanej w latach 50-tych prosiłoby się o jakąś uwagę w stylu, że tak *wówczas* myślano i odczuwano te sprawy.

Wspomnienia pisane czy dyktowane po wielu latach stają się prawie z reguły przedmiotem ostrej krytyki. Jeżeli autor pisze je z późniejszej perspektywy nasuwa podejrzenia, że stara się usprawiedliwić swe działania w przeszłości, które widzi i ocenia już inaczej. Jeżeli pisze tak jak gdyby cofał się do minionych chwil naraża się na zarzut, że tkwi w przeszłości i nie widzi z oddalenia jej blasków i cieni. Generał Haller miał więc niezwykle trudne zadanie i nie mógł w żadnym wypadku uniknąć surowej oceny historyków. Ale czytelnik niezawsze bierze te wszystkie elementy pod rozwagę i łatwo mu zauważyć, że w swym opisie Haller nie poddaje przeszłości i siebie samego wnikliwej analizie. Na fakt, że wierzył głęboko w słuszność wszystkich swoich posunięć w momencie podejmowania decyzji wskazuje to, że pozostawał zawsze w zgodzie z własnym sumieniem. Czy jednak z perspektywy wszystkie one były słuszne i właściwe? Haller był dostatecznie wybitną postacią, aby popełniać pomyłki i błędy, lecz ze wspomnień nie widać, aby zdawał sobie z nich sprawę. Tak więc, jak powiedziałem na wstępie, sylwetka wodza Legionu Wschodniego i Drugiej Brygady, dowódcy wojsk polskich w Rosji i we Francji, bohatera Rarańczy i Kaniowa, obrońcy Warszawy w roku 1920, wreszcie sędziwego generała odsuniętego od spraw wojskowych przez animozje i polityczne swary, gdzie był on nieraz wykorzystywany przez grupy, w które uczciwie wierzył — nie ukazuje się w *Pamiętnikach* tak wyraziście jakby się tego pragnęło. Generał Haller należy i do legendy i do historii. Na legendę wspomnienia jego mogą rzucać pewne cienie; dla historii *Pamiętniki* będą tylko jednym i to nie najważniejszym elementem do oceny jego działalności.

Na zakończenie parę uwag pod adresem wydawców, którzy od siebie dodali nieco zdjęć, dokumentów i indeks nazwisk. Zdjęcia są dobre a choć wybór dokumentów nasuwa pewne zastrzeżenia to podejmowanie dyskusji na ten temat nie byłoby chyba celowe. Gorzej przedstawia się natomiast indeks. Przede wszystkim nie jest on fachowo zrobiony — bo jakż pożytek może mieć czytelnik z uszeregowania dziesięciu kolumn numerów stron pod nazwiskiem Piłsudski bez rozbięcia ich na działy? Wydawcy nie zadali sobie wiele trudu aby zrobić indeks pełny, przejrzysty i bezbłędny. Umieszczanie imion lub choćby inicjałów przed nazwiskami należy do wyjątków, co oczywiście utrudnia identyfikację osób. Wiele nazwisk nie jest podanych w pełnym brzmieniu, na przykład „Michaelis, gen.” powinno być „Michaelis, gen. Eugeniusz de Henning”. Wreszcie w indeksie znajdują się wyraźne błędy. I tak Hołówko podany jest jako Hołówka, Mordacq jako Mordac, Sołohub jako Sołohub, a dwie ró-



żne osoby, wojewoda Łaszewski i Bolesław Łaszewski, prezes SPK po drugiej wojnie światowej, występują w skorowidzu jako jedna.

Na korzyść wydawców należy zaliczyć natomiast dobrą szatę zewnętrzną książki i ogólnie atrakcyjne wydanie całego tomu.

Piotr WANDYCZ

## BATALIONY CHŁOPSKIE NA LUBELSZCZYŹNIE

W ramach wydawnictwa ciągłego: *Źródła i materiały do dziejów ruchu oporu na Lubelszczyźnie, 1939-1944*, wyszedł drugi tom tej serii, poświęcony Batalionom Chłopskim. Opracowali go: Zygmunt Mańkowski, Jerzy Markiewicz i Jan Naumiak<sup>1</sup>.

Tom ten zawiera 217 dokumentów, wybranych dowolnie i ułożonych chronologicznie, oraz cztery instrukcje Komendy Głównej BCh, pomieszczone po materiałach lubelskich. W zamierzeniu wydawców zbiór ten miał obejmować cały okres okupacji niemieckiej. W realizacji — tylko trzy dokumenty odnoszą się do lat 1940-42, z roku 1943 mamy ich 63, a reszta dotyczy roku 1944, do lipca, do nadejścia PKWN i Armii Czerwonej.

Wstęp wydawców, który miał zobrazować w oparciu o ogłoszone dokumenty „rozwój, działalność, strukturę organizacyjną i obsadę personalną Batalionów Chłopskich”, jest nieśmiały i niepełny. Co do wielu ważnych okoliczności musiał ulec cenzurze politycznej; kilka konkretnych dowodów cenzury omawiam niżej. Autorzy są świadomi luk w obrazie BCh. Stan ten tłumaczą faktem, że „baza źródłowa dotycząca BCh w województwie lubelskim jest w zasadzie szczątkowa” i nie pozwala na pełne przedstawienie zagadnienia. Nie mogło być inaczej w istniejącej sytuacji politycznej.

Praca wydawnicza, włożona w ten tom, jest solidna i zasługuje na uznanie. Dokumenty są zaopatrzone w troskliwie przypiski. Tom posiada indeks osobowy nazwisk i pseudonimów, powiązanych ze sobą odsyłaczami. Dodano też indeks rzeczowy, choć szczupły i ogólnikowy, indeks nazw geograficznych, skorowidz dokumentów i spis ilustracji.

W porównaniu z pierwszym tomem, książka o Batalionach Chłopskich zawiera szerszą gamę zjawisk politycznych, obszerniej analizuje działalność i zaangażowanie szeregów żołnierskich do walki o pełną nie-

1. *Bataliony Chłopskie na Lubelszczyźnie, 1940-1944*; źródła. Wydawn. Lubelskie, Lublin, 1962, 374 s.

podległość swego narodu i państwa i do mierzenia się z trudnościami, obawami i wątpliwościami. W materiałach pierwszego tomu, głęboka niechęć do całej reszty narodu, często nawet nienawiść, i bezgraniczne zaufanie do Rosji Sowieckiej, oraz niedostrzeżenie jej planów politycznych.

Książka pozwala na ogólną orientację w sile i organizacji Batalionów Chłopskich i Rocha (kryptonim ruchu ludowego w podziemiu, reprezentowanego przez Stronnictwo Ludowe). Już od lutego 1940 r. praca ta została ujęta w formy organizacyjne. Konspiracyjne „trójki”, później „piątki” Rocha obejmują swoim politycznym kierownictwem wszystkich swych członków i sympatyków w całym kraju, na wszystkich szczeblach podziału administracyjnego, od centrali po gminy. Ich działalność zazębia się z pracą Administracji Zastępczej i z akcją wojskową BCh i AK.

Żywotność tej pracy podziemnej przejawia się w każdej dziedzinie. Wystarczy spojrzeć na tajną prasę BCh na Lubelszczyźnie, o której wspominają ogłoszone dokumenty: „Regionalna Agencja Prasowa 'Podlasie'”. „Idzie wolność”, „Świat w ogniu” (Podlasie), „Orle ciosy”, „Świt wolności”, „Młoda myśl” (Puławy) „Chłopski znak”, „Wyzwolenie”, „Wieża tworcza”, „Ziarno”, „Pobudka”, „Kukułka” — miesięcznik dla dzieci (Krasnystaw), „Tygodnik informacyjno-ideowy wsi 'Snop'”, „Wolność”, „Chłop polski” (Kraśnik), „Z ziemi wysiedlonych” (Zamość), „Lubelska Agencja Informacyjna 'Wieża'”. A to jest tylko część publikacji okręgu, nie licząc centralnych wydawnictw BCh, kolportowanych w całej Polsce.

Okręg BCh dzielił się na Podokręgi: A i B i na 15 obwodów. Wewnętrzna organizacja, jak ją ustala wydawnictwo, obejmowała Oddziały Taktyczne, Oddziały Terytorialne i Oddziały Specjalne. Równoległe do BCh prowadził swoją pracę Ludowy Związek Kobiet z Zielonym Krzyżem, który zapewniał opiekę sanitarną i uczestniczył w służbie łączności BCh.

Wiele miejsca zajmuje na kartach dokumentów działalność oddziałów partyzanckich i specjalnych. Znajdujemy tam także wiadomości o Szkołach Podchorążych BCh, o łączności z zagranicą, o nasłuchu radiowym, o akcjach zbrojnych i sabotażowych. Te ogłoszone dokumenty wystarczają do zaprzeczenia zarzutowi sowieckiemu, że polskie podziemie stało „z karabinem u nogi”, w bezczynności. A to przecież tylko część rejestru tych walk, które prowadziła tylko jedna organizacja wojskowo-polityczna Polski Podziemnej — i to tylko w jednym województwie.

Niektóre problemy, występujące w wydawnictwie, rozbudzają zaciekawienie, którego nie zaspokoi czytanie 217 dokumentów. Na przykład w „Raplocie Komendy Obwodu Hrubieszowskiego BCh do Komendy Okręgu o walkach z ukraińskimi nacjonalistami” czytamy: „Inspirowane przez okupanta walki narodowościowe na terenie Obw. nr 5, przyniosły stronie polskiej całkowitą przegraną... Teren ten jest w tej chwili dla sprawy polskiej stracony. Nie dotknięte jeszcze żadną akcją są dwie gminy: Horodło, Moniatycze, a to dzięki w głównej mierze tamtejszym wójtom-Ukraińcom, którzy z narażeniem się własnym nie dopuszczają do żadnych konfliktów”.

Szerszym zagadnieniem, które zabiera dużo miejsca w ogłoszonych dokumentach, jest oczywiście „Generalny Plan Wschodni Reichsführera SS” (Himmlera), który przewidywał wysiedlenie 80-85% ogółu Polaków na Syberię. Niemcy realizując swoje kolonizatorskie plany zamierzali przede wszystkim stworzyć wzdłuż granicy niemiecko-radzieckiej szeroki pas zamieszkały przez ludność niemiecką. Utworzenie takiego wału obronnego miało dwojaki cel. Z jednej strony cel polityczny — polegający na eksterminacji ludności polskiej i przygotowaniu oparcia do zakrojonej na szeroką skalę i długie lata kolonizacji Ukrainy, a z drugiej strony cel wojskowy polegający na zabezpieczeniu zaplecza niemieckich armii walczących na Wschodzie przez osadników uzbrojonych i zorganizowanych po wojskowemu<sup>2</sup>.

Wysiedlanie ludności rozpoczęło się: wał Himmlera powstawał na trupach i śladach wykorzenionych „tubyłców”. Tam właśnie ujawnił się szczególnie odrażający rodzaj okrucieństwa niemieckiego: odbieranie dzieci rodzicom, przeznaczonym do obozów koncentracyjnych i na przymusowe roboty. Zbrojne przeciwstawienie się tej akcji, w którym udział BCH był zasadniczy, zmusiło Niemców do jej zaprzestania. Dużą zasługę w zorganizowaniu tej determinacji samoobrony i prowadzeniu jej po właściwej linii należy przypisać, zgodnie z treścią dokumentów, Komendantowi Głównemu BCH, Franciszkowi Kamińskiemu.

Do zagadnień, które przekraczają treść ogłoszonych dokumentów, należy także sprawa scalenia BCH i AK i konflikty, jakie się rodziły i utrzymywały między częścią dowództwa AK i ruchem ludowym. Aspiracje mas chłopskich łączyły nierozdzielnie sprawę walki o wolność Polski z walką o demokrację i swój pełnoprawny udział w życiu państwowym. Konflikty zjednoczeniowe mają szerokie podłoże polityczne i historyczne. W pełni można je przedstawić jedynie na takim tle, w którym sytuacja polityczna wewnątrz rządu polskiego i emigracji politycznej w Londynie byłaby wyczerpująco naświetlona.

Mimo tych konfliktów między BCH i AK przez cały tom utrzymuje się atmosfera pełnej łączności mas chłopskich z rządem polskim w Londynie i pełnego zrozumienia dla zagadnień ogólnonarodowych. Roch jest głównym oparciem rządu gen. W. Sikorskiego i S. Mikołajczyka. Większość szeregow BCH dąży do scalenia AK; duża część żołnierzy AK politycznie popiera ruch ludowy, choć do BCH nie należy. W rozkazie Komendy Okręgu IV, stwierdzającym zakończenie akcji scalenkowej, Jawor (Jan Pasiak), k-nt Okręgu, wniósł się na poziom ogólnonarodowy. „Wojsko jest jedno” — pisał. — „Żołnierze Batalionów Chłopskich swą postawą zdecydowanej walki oraz liczebnością tworzą podstawę Naszej Armii Krajowej<sup>3</sup>”.

## II

Wiele spraw niepokoi czytelnika. Przede wszystkim skąd pochodzą dokumenty? W większości pochodzą one z Archiwum Zakładu Historii Partii KC PZPR. Duża część wzięta jest z Archiwum Komitetu Cen-

2. s. 77.

3. Rozkaz z dnia 20-tego lipca 1944 r., s. 308

trznego PZPR. Część uzyskano z Archiwum Zakładu Historii Ruchu Ludowego NK ZSL i z Archiwum Min. Obrony Nar. Kilku dostarczyły zbiory prywatne.

Ogromna większość tych dokumentów znalazła się więc w posiadaniu partii komunistycznej, co w dużej mierze tłumaczy luki w obrazie wielu zagadnień podziemnego ruchu ludowego. Fakt, że wydawcy nie odzyskali dokumentów z lat 1940-42 (a nawet r. 1939 powinien być wzięty pod uwagę; myślę o akcji organizacyjnej L. Świdzińskiego w Hrubieszowie) wzbudza obawy, że te dokumenty uległy wyniszczeniu. Problem ten jest ogromnie ważny dla historyka i dla całego narodu. Lata 1939-42 były latami intensywnej pracy organizacyjnej i walki z okupantem niemieckim wszystkich grup polskiego narodu prócz komunistów. Zanim komuniści zaczęli się organizować, ruch ludowy już się w swych organizacjach podziemnych rozwinął, skrzepł i ustabilizował. Rodzą się obawy, że szczupłość dokumentów z lat 1940-42, pomieszczonych w wydawnictwie, wypływa z dążeń komunistów, aby wyrównać obraz akcji przeciwniemieckiej BCh z obrazem działalności GL i AL, która się zaledwie rozpoczęła w r. 1942. Tom serii, poświęconej GL i AL, zawiera tylko 4 dokumenty z roku 1942. Należy odrzucić założenie, że organizacja BCh, która istniała przez trzy lata, gdy GL rozpoczynała swą działalność, pozostawiła tak mało śladów swego istnienia.

Wydawcy materiałów BCh skarżą się nie na jednym miejscu „na szczątkowy stan dokumentacji, (który) stworzył dla autorów ogromne trudności”. Dlatego zrezygnowali z rzeczowego podziału dokumentów, przyjmując układ chronologiczny. Ale w wielu zagadnieniach są bezradni. Nawet w dziedzinie obsady personalnej władz okręgowych trudno im „wobec braku materiałów... ustalić strukturę wewnętrzną, genezę i skład osobowy...”.

Trudności wydawców płyną w dużej mierze z powodów politycznych. Ślady politycznej cenzury są widoczne na niejednej stronie i w niejednym zagadnieniu. Dla przykładu zwracam uwagę na miejsce, jakie zajmuje Jan Chmielewski, ps. Zrąb, uczestnik podziemnego ruchu ludowego od samych początków, jego współzałożyciel i współorganizator i członek wojewódzkiej „piątki” Rocha. Od listopada 1943 r. spełnia funkcję przewodniczącego „Piątki”. Książka ledwie o nim wspomina trzy razy; i we wstępie wyraźnie się go umniejsza. Wydawcy nie pomieścili także przy jego nazwisku informacji, że Jan Chmielewski w r. 1944 został deportowany do Rosji Sowieckiej wraz z delegaturą wojewódzką rządu polskiego na Lubelszczyznę i z k-tem Okręgu AK, i że tam zmarł w łagrze powojennym ZSSR. Oczywiście braku tej wiadomości nie tłumaczy „szczątkowy charakter dokumentacji”. Jest on wynikiem cenzury politycznej.

Wynikiem cenzury jest także zupełne pominięcie w wydawnictwie Lucjana Świdzińskiego<sup>4</sup>. Był to działacz ludowy jeszcze z czasów „Wy-

---

4. Zmarł przy końcu czerwca 1962 roku w Hrubieszowie. Pogrzeb był dużą manifestacją przywiązania chłopów całego powiatu do swego przywódcy. Złożyło mu hołd całe społeczeństwo. Trumnę z domu do kościoła parafialnego nieśli na ramionach jego b. wychowankowie. Więcej o nim: *Orka*, IX, 9-10 i 14-19, wrz.-paźdz. 1963.

zwolenia". Od r. 1931 piastował godność i funkcję prezesa SL na powiat hrubieszowski. Uczył matematyki w gimnazjum i nigdy nie przerwał swej pracy politycznej. Prawdziwy trybun chłopów, demokratą i szermierz walki o sprawiedliwość społeczną.

Świdziński już w r. 1939 organizuje w pow. hrubieszowskim załazek konspiracyjnej organizacji wojskowej, opartej o komitet polityczny przedstawicieli czterech stronnictw. Wyprzedził w tym rozwój sytuacji w całym kraju. W r. 1944, po przyjeździe PKWN i nieudanej próbie ujawnienia się całego aparatu delegatury powiatowej rządu polskiego w Londynie, Administracji Zastępczej i Armii Krajowej w powiecie hrubieszowskim, prof. Świdziński wraca do konspiracji i nie ujawnia się aż do powrotu do Polski prezesa S. Mikołajczyka i jego przyjaciół politycznych. On to był autorem mocnej konspiracyjnej broszury: „Zatruta pigułka”, co dzisiaj mogę już wyjawiać. Wydaliśmy ją w podziemnej drukarni w latach 1944-45, w trzech nakładach. Była bardzo szeroko i chętnie czytana. W latach 1945-47, po ujawnieniu, Świdziński kieruje pracą ludową w województwie i wchodzi do Sejmu z grupy PSL. Późniejsze koleje prowadzą go przez więzienie na wewnętrzne wygnanie. Długo nie pozwolono mu wrócić do swego powiatu. Pominiecie tego nazwiska w dokumentach Batalionów Chłopskich na Lubelszczyźnie zubożyło książkę nie tylko o wielką pozycję organizacyjną i polityczną. Zubożyło także wydawców.

Zabawnym przejawem tego samego nacisku politycznego jest także pominiecie mego nazwiska, choć mój pseudonim: Halny — występuje poprawnie trzykrotnie, a na innych miejscach są wzmianki o zadaniach, które wykonywałem, bez przypisywania ich komukolwiek innemu. Przy tym pseudonimie pomieszczono przypisek: „nazwiska nie udało się ustalić”<sup>5</sup>. Wydawnictwo poprawnie notuje, że Halny redagował pisma BCh: „Ziarno” i „Wyzwolenie”<sup>6</sup>, i że go powołano na sekretarza konferencji scaleniowej jako przedstawiciela strony AK<sup>7</sup>. Skoro wydawcy mieli trudności z ustaleniem mego nazwiska, przychodzę im z pomocą. Halny — to autor tego omówienia. Z łatwością naliczyłem przeszło trzydzieści osób, wymienionych w książce, które mnie znały zarówno z nazwiska jak i z pseudonimu. Nie w tym leżała trudność. Nazwisko moje można było łatwo ustalić, ale nie wolno go było wydrukować.

Więcej; przy tej okazji notuję dalszy przykład przekręcania faktów. Wydawcy pominęli w składzie osobowym Okręgu BCh nie tylko moje nazwisko, ale i pseudonim. Byłem do sierpnia 1944 r. kierownikiem informacji i wydawnictw BCh na Okręg Lubelski i kierownikiem Komisji Propagandowo-Prasowej, powołanej i działającej przy wojewódzkiej „piątce” Rocha<sup>8</sup>. Wydawcy to zupełnie pomijają, po zastrzeżeniach o trudnościach w ustalaniu tych szczegółów. Aby jakoś załatać tę lukę w obsadzie Okręgu BCh, podają ogólnikowo, że „szefem prasy i wydawnictw Okręgu BCh był Józef Nikodem Kłosowski, ps. „Lemiesz”, który do sier-

5. s. 155.

6. s. 235.

7. 151-155.

8. O pracy Komisji s. 231.

pnia 1944 r. do władz Okręgu nie należał i ani tej ani żadnej innej funkcji w okresie objętym wydawnictwem na poziomie Okręgu nie spełniał. Lemiesz przyszedł do pracy w Okręgu gdzieś dopiero w październiku 1944 r. — i przyszedł do tej grupy BCh, która ujawniła się, poszła na współpracę z PKWN i działała już oficjalnie.

Większość BCh odrzuciła współpracę z komunistami. Pozostała wierna rozkazowi Komendanta Głównego BCh, który pisał w swej instrukcji z 20 stycznia 1944 r.: „Na wypadek podejścia Bolszewików do Waszych terenów instrukcja nasza brzmi: organizacja musi przetrwać wszystkie zmiany i we wszystkich okolicznościach musi pozostać i działać”<sup>9</sup>.

Wydawnictwo to mimo luk i cenzury jest ogromnym krokiem w kierunku sprawiedliwszego traktowania żołnierzy Batalionów Chłopskich — i, należałoby się spodziewać w przyszłości — Armii Krajowej, jeszcze w wydawnictwie nie uwzględnionej.

*Wacław SOROKA*  
*ps. Halny*

---

9. s. 122.

### NA MARGINESIE ARTYKUŁU Z.S. SIEMASZKI W 6-TYM „ZESZYCIE HISTORYCZNYM”

Po zapoznaniu się z treścią artykułu uważam za przyteczne zwrócenie uwagi Redakcji na następujące szczegóły sprawy:

1. *Sprawy techniczne.* Autor artykułu opierając się na prawdziwym materiale historycznym prawidłowo ocenił zasady organizacyjne i poziom techniczny łączności radiowej, którą prowadził Baon Łączności Sztabu Naczelnego Wodza.

Na odcinku łączności z Komendą Główną A.K. a podległymi jej okręgami i jednostkami w kraju, niedostatecznie zostały uwypuklone zasady obiegu korespondencji, tak w kraju jak i między krajami i zagranicą.

Ośrodki radiowe Kings Langley (pod Londynem) i Latio (pod Brindisi) stanowiły dwa „lustra”, w których odbijały się „wszystkie” telegramy nadawane przez każdą stację sieci krajowej: instrukcje opracowane przez Oddział Spec., w listopadzie i grudniu 1943 r., gwarantowały przekazanie adresatowi telegramów w ciągu najbliższych 24 godzin, niezależnie od tego do którego z tych ośrodków telegram wpłynął. Opóźnienia w doręczeniu telegramu adresatowi z powodów technicznych należały do bardzo nielicznych wyjątków.

Nie jest prawdą, że „telegramy pomiędzy Warszawą, Londynem i Włochami przekazywane były bardzo wolno” — (str. 69 wiersze 4-2 od końca). Natomiast słuszne jest stwierdzenie, że telegramy na odcinku Mewa — miejsce postoju Naczelnego Wodza, były przekazywane bardzo wolno, ale to już było poza zasięgiem łączności radiowej. Zorganizowanie tego odcinka było odbiciem rozkazów, jakie Naczelny Wódz wydał ustnie płk. Hańczy i płk. Demelowi.

Myli się autor w swym twierdzeniu, że pilność telegramów była ustalana dowolnie przez Hańczę i Utnika. W rzeczywistości o pilności decydował podpisujący depeszę przez zaznaczenie tego przy podpisie lub ustną wskazówkę. Utnik i Hańcza mogli zmienić znak pilności na telegramach opracowanych przez ich podkomendnych. Od początku lipca 1944 r. każdy telegram oddawany do biura szyfrów musiał posiadać znak pilności zaparafowany przez Szefa Oddz. Spec. lub jego zwierzchników.

Autorowi artykułu mimo jego usilnych starań nie udało się dotrzeć do „tajemnicy osobistych szyfrów” gen. Sosnkowskiego i jego politycznych przyjaciół z płk. Demelem na czele. Już od jesieni 1943 r. po uchwaleniu przez Rząd z udziałem gen. Sosnkowskiego wytycznych do „Burzy”, w otoczeniu politycznym gen. Sosnkowskiego wykluwa się zamiar przeciwstawienia się polityce Rządu Mikołajczyka. Ponieważ Oddział Specjalny ma obowiązek, nałożony jeszcze przez gen. Sikorskiego a nie anulowany przez gen. Sosnkowskiego, by informować premiera o wszystkich ważnych sprawach Armii Krajowej, i ponieważ na czele Oddziału Spec. jest „sikorszczyk” ppłk. Michał Protasewicz — przekazywanie wiadomości czy wytycznych Naczelnego Wodza za pośrednictwem Oddz. Spec. mogłoby uświadomić Rząd o zamierzeniach politycznych grupy sanacyjnej. Wobec tego odlatujący do kraju gen. Okulicki dostaje szyfry, które umożliwiają wysyłanie telegramów do K-dy Gł. A.K. — nieczytelne w Oddziale Spec.

Gen. Komorowski (Lawina) sprzeciwił się tego rodzaju korespondencji w maju 1944 r. Następuje druga próba przekazania szyfrów za pośrednictwem skoczka kpt. Gójskiego — samolot przy starcie w Anglii wpada do morza, a wyłowiona pocztą do K-dy Gł. A.K. ujawniła te usiłowania.

Pozostaje jednak szyfr zabrany przez gen. Okulickiego, którym posługuje się Demel w czasie włoskiej inspekcji gen. Sosnkowskiego. Z tego też powodu płk. Demel nie chce korzystać z pomocy szyfrantów płk. Hańczy w bazie Nr 11.

W normalnej korespondencji używane są trzy rodzaje szyfrów: 1) K-da Gł. A.K. — Oddz. Spec.; 2) K-da Gł. A.K. — okręgi i jednostki w kraju i 3) Oddz. Spec. — Baza Nr 11. Były również szyfry zapasowe, w tym okresie nie używane. Szyfr między K-dą Gł. A.K. i Okręgami (wewnętrzny krajowy) był dla Oddziału Spec. w zasadzie nieczytelny, bo nie znano kluczy oddzielnych dla każdego Okręgu. Po upadku powstania Szef Oddziału Spec. ppłk. Utnik polecił (dla celów archiwum historycznego, które prowadził przybyły z kraju kpt. Leliwa) odszyfrować (rozwiązać) cały szereg depesz w wewnętrznej korespondencji krajowej.



Niezajomość tych faktów z zakresu systemu szyfrowego Oddz. Spec. doprowadziła autora artykułu do wyciągnięcia błędnych wniosków, np. w sprawie posiadanych przez Oddz. Spec. wiadomości o wypadkach wileńskich, lwowskich i wołyńskich. Należy przyjąć, że w lipcu 1944 r. tylko treść telegramów z Komendy Głównej A.K. była na pewno znana w Oddz. Spec.

Niezajomość techniki szyfrowej jeszcze raz wywołała błędne wnioskowanie autora artykułu. Zestawiając godziny odebrania telegramu i godziny rozszyfrowania, wyciąga wniosek, że telegram się przeleżał. Tymczasem wchodzi tu w grę czynnik nie małej wagi, jak zniekształcenie telegramów przy odbiorze (tak było z telegramami krajowymi nadawanymi przez stacje konspiracyjne słabej mocy), lub błędne szyfrowanie przez nadawcę (tak było w wypadku telegramów szyfrowanych przez Demela). A wtedy czas odczytania przedłuża się, gdyż musi być rozwiązany.

Błędnie podaje autor informację, że telegramy pilne leżały przez noc, bo Oddział Spec. w nocy nie pracował. Należy stwierdzić, że od dnia otwarcia II frontu w Oddziale Spec. jest stały dyżur nocny i świąteczny, a szyfrant dyżurny mógł zażądać pomocy kolegów, np. wcześniejszego przyjścia do pracy.

Wyciąganie więc przez autora artykułu uogólniających wniosków natury politycznej lub moralnej na tak niepewnych podstawach, nie przystoi historykowi.

2. *Sprawy personalne.* Autor słusznie poświęca wiele wzmianek generałom Kopańskiemu i Tatarowi, którzy w tym czasie odegrali znacznie większą rolę w sprawie wybuchu „Walki o Warszawę” niż gen. Sosnkowski, który uchylił się od odegrania tej roli, przygotowując „pucz” przeciw Rządowi razem z gen. Andersem (art. Witolda Babińskiego, *Zesz.Hist.* 6, str. 59 — 1 wiersz od dołu i str. 60 wiersze 1-9 od góry).

Znane są wszystkie zasługi gen. Kopańskiego jako żołnierza i dowódcy. Na stanowisko Szefa Szt. Nacz. Wodza wyznaczony przez gen. Sikorskiego, lojalnie współpracował z nowym Naczelnym Wodzem, chociaż ten od początku dodał mu aniołów stróżów w osobach płk. Smoleńskiego i płk. Demela.

Gen. Kopański nie miał ambicji odgrywania samodzielnej roli politycznej i tylko kunktatorskie postępowanie gen. Sosnkowskiego w sprawach krajowych zmusiło go do opierania się na opiniach Tatar.

Gen. Tatar (Tabor) przybył w kwietniu 1944 r. do Londynu nie z własnej woli, ale na skutek intrygi „sosnkowszczyków” — gen. Pełczyński i płk. Iranek chętnie widzieli zamiar gen. Tatar na Okulickiego, a gen. Bór w tej sprawie nie wiele

miał do powiedzenia. Po przybyciu do Anglii Tatar od początku ujawnił postawę antysanacyjną i antylondyńską. W sprawach krajowych wysunął szereg zarzutów przeciw gen. Sosnkowskiemu, gen. Kopańskiemu i płk. Protasewiczowi, ówczesnemu Szefowi Oddz. Spec. Tatar nie chciał objąć żadnego stanowiska w Sztabie Nacz. Wodza i zamierzał, po wykonaniu swoich zadań, jako emisariusz K-dy Gł. A.K., przejść do służby liniowej. Na życzenie Kopańskiego i pod naciskiem Mikołajczyka i Sosnkowskiego przyjął funkcję Z-cy Szefa Sztabu do Spraw Krajowych. Politykę Mikołajczyka uważał on za realną aż do chwili, gdy został w kraju aresztowany i osądzony.

Stosunki osobiste między gen. Sosnkowskim i Tatarem były poprawne, aż do rezygnacji gen. Sosnkowskiego ze stanowiska Naczelnego Wodza, o czym może świadczyć kolacja pożegnalna w mieszkaniu gen. Sosnkowskiego w październiku 1944 r., na którą między innymi zostali zaproszeni Kopański, Tatar i Utnik.

Mjr. Utnik w chwili przybycia Tatara do Londynu pełnił funkcję Z-cy Szefa Oddziału Spec. (Z-cy ppłk. Protasewicza), jako rzekomy człowiek zaufania Prezydenta Raczkiewicza i gen. Sosnkowskiego i rzekomy przywódca konspiracji młodych oficerów wojska w Anglii. W wyniku kompromisów personalnych między Sosnkowskim i Tatarem, których wynikiem było odejście z Oddziału Spec. ppłk. Protasewicza, na szefa Oddziału został wyznaczony Utnik z równoczesnym awansem na podpułkownika, jako najbardziej w tym czasie zorientowany w sprawach technicznych „szóstki”. Przy tym awansie przewidziano jednak i realizowano zasadę, że dotychczasowe kompetencje Szefa Oddz. Spec. zostaną ograniczone na rzecz gen. Tatara, jako bezpośredniego przełożonego nad Szefem Oddziału. Jak oceniał gen. Sosnkowski osobę Utnika jako przedstawiciela rzekomej konspiracji młodych oficerów, należałoby sprawdzić raczej u członków tej znanej wszystkim konspiracji: ppłk. Mariana Czarneckiego, mjr. Kamila Czarneckiego, mjr. lotn. Bujalskiego, mjr. lotn. Czerniewskiego, mjr. Aleksandra Szendryka, mjr. Tadeusza Lisieckiego, kmdr. Karnickiego, kmdr. Wrońskiego lub mjr. Zdzisława Gadomskiego. Autor niesłusznie oparł się w tej sprawie na opiniach Demela i Iranka-Osmeckiego.

Płk. Hańcza, dla którego autorytety generałów były niewątpliwe i który był w pełni oddany sprawie Armii Krajowej — nie odgrywał roli politycznej i nie brał udziału w żadnych intrygach. Jako komendant Bazy Nr 11 próbował spełnić rolę wręcz przeciwną od tej, którą mu przypisuje autor artykułu. Robił on niezwykle wysiłki, żeby ułatwić łączność między generałami.

3. *Intryga*. Podtytuł dobrze dobrany przez autora, tylko powinien być użyty w liczbie mnogiej. W tym okresie intrygi prowadzili wszyscy. Dotychczas ujawnione dokumenty stwierdzają bez wątpliwości, że gen. Sosnkowski był zwolennikiem przeciwstawienia się Stalinowi zawsze i wszędzie. Czy był przeciwnikiem „Walki o Warszawę” tego wyraźnie nie powiedział do dn. 7 lipca 1944 r. To co robił, pisał i mówił po tym terminie można traktować jako tworzenie alibi, bo nie miało wpływu na bieg wypadków w kraju i można to przyrównać tylko do zachowania się generała w Poznaniu w 1926 r.

Kopański i Tatar, dwóch dzielnych i zasłużonych generałów, zmuszeni do podejmowania decyzji przekraczających ich przygotowanie polityczne, reagowali błędnie. Próbowali stworzyć kolektywnego Naczelnego Wodza (Prezydent Raczkiewicz, Kukiel, Kopański i Tatar) ze skutkiem znanym przez wyniki.

„Walka o Warszawę” — oparta na zasadach powstania „ogólnopolskiego” a wykonana w ramach „Burzy” — mogła nie wybuchnąć tylko na wyraźny rozkaz Naczelnego Wodza, wydany (wbrew decyzji Rządu) w dniach 18-25 lipca 1944 r. i przekazany w tym czasie Komendantowi Gł. A.K. w Warszawie. — Takiego rozkazu nie było, bo w tym czasie fotel Nacz. Wodza był pusty.

I nic tu nie pomogą inspiracje Demela czy Irancka, że przyjęcie telegramu o parę godzin wcześniej mogło sprawę powstania skierować na inne tory.

Może znajdzie się historyk, który wreszcie tę sprawę wyłuska z powodzi intryg i pochowanych dokumentów.

*Powyższe uwagi nadesłał b. pracownik Oddz. Spec. Sztabu Nacz. Wodza. — Nazwisko znane Redakcji.*



Londyn, dn. 5 listopada 1964

Szanowny Panie Redaktorze,

Z podziwem przeczytałem opracowanie inż. Z.S. Siemaszki pt. „Łączność Radiowa Sztabu N.W. w przeddzień Powstania Warszawskiego” w Zeszytach Szóstym Zeszytów Historycznych.

Wyobrażam sobie trudności, na jakie musiał napotkać autor, w zebrań i zestawieniu dokumentów, notatek i osobistych wypowiedzi. W dotychczasowych opracowaniach, zagadnienie wymiany wiadomości na najwyższym szczeblu polskiej hierarchii wojskowej w okresie tuż przed Po-

wstaniem Warszawskim ograniczało się do krótkiego stwierdzenia, że łączność była w mniejszym lub większym stopniu odpowiedzialna za opóźnienie przekazywania tych wiadomości. Z opracowania inż. Siemaszki wynika zupełnie jasno, że opóźnianie to było celowym działaniem komórek Sztabu Naczelnego Wodza, natomiast łączność techniczna — łączność radiowa działała bez zarzutu.

W opisie organizacji i techniki pracy Kompanii Radiotelegraficznej znalazły się jednak pewne nieścisłości, czy też niedomówienia, które chciałbym sprostować i uzupełnić. Kompania Radiotelegraficzna została utworzona Rozkazem N.W. L.dz. 189/Tjw. Org./43 z dn. 12.4.1943 r., a organizację i techniczny system pracy przygotowywałem parę tygodni przed 15 maja 1943 r. Pierwszą główną czynnością było przeniesienie amatorskich stacji, rozrzuconych w terenie, do centrali Barnes Lodge. Odbyło się to między 15.5.43 a 15.6.43, a nie w początku 1943 r., jak podaje inż. Siemaszko na str. 70-71. W obsadzie tej Kompanii znalazł on tylko dwóch inżynierów elektryków. W rzeczywistości w tym czasie pracowali w Kompanii: inż. F. Doborzyński, inż. W. Kuliszkiwicz, inż. L. Ormontowicz, inż. S. Popkiewicz, technolog (Wawelberg), W. Chmielewski, technolog (Wawelberg), M. Złotnicki i technik M. Kasia, a ponadto udzielali cennych porad technicznych polscy inżynierowie pracujący w angielskiej instytucji Admiralty Signal Establishment: inż. J. Hupert, inż. E. Rzymowski i inż. W. Struszyński.

Niezrozumiały dla mnie jest wybór tylko dwu oficerów godnych wzmianki, z pominięciem innych, może niemniej zasłużonych. Nie znane mi jest kryterium, na którym oparł autor ten wybór, ale w moim przekonaniu wyróżnienie to jest niesprawiedliwe w stosunku do innych, których tak praca jak i osiągnięcia techniczne były co najmniej takie same.

Jeśli chodzi o sprzęt techniczny, omawiany na str. 71, to należy stwierdzić, że nadajniki polskiej konstrukcji były zaprojektowane i wykonane przez pluton techniczny Kompanii R.T., a tylko jeden (typ G.S.I.) był wykonany przez Polski Wojskowy Warsztat Radiowy, w Stanmore, oraz że do najważniejszych czynników wymaganych od odbiorników do pracy ze stacjami agencyjnymi, oprócz wymienionej czułości i stabilności, należy niewątpliwie i selektywność. Do najlepszych w owym czasie należały odbiorniki produkcji amerykańskiej: wymieniony H.R.O. oraz RCA88. Oba te typy były używane na centralach odbiorczych.

Opis użycia częstotliwości, przedstawiony na stronie 72, wymaga pewnych wyjaśnień. Mianowicie I.S.Y.B. w Great Baddow jak i również I.R.P.L. w Waszyngtonie, dostarczały tylko wykresy przewidywanego stanu jonosfery dla całej kuli ziemskiej. Z danych tych Kompania R.T. obliczała najwyższe użyteczne i optymalne użytkowe częstotliwości dla komunikacji między radiostacjami agencyjnymi a centralą. Obliczone z wykresów najwyższe użyteczne częstotliwości należało zmniejszyć o 15% dla pewności komunikacji, gdyż stan jonosfery mógł różnić się w okresie miesiąca od przewidzianego na wykresach. Te zmniejszone częstotliwości, optymalne użytkowe, były właśnie najlepszymi do pracy między dwoma stacjami i one, a nie najwyższe częstotliwości, do korespondencji z Krajem sięgały do 13 Mc/s latem 1944 r. Należy również podkreślić, że optymalne częstotliwości były inne dla zachodnich a inne dla wschodnich dzielnic Polski. Dodatkową trudnością w lecie 1944 r. były częste i bardzo intensywne burze jonosferyczne, które zniekształcały stan jonosfery do tego stopnia, że w pewnych porach dnia komunikacja na falach odbitych była wybitnie utrudniona, a chwilami nawet niemożliwa. O ile normalne zmiany jonosfery mogły być przewidziane na miesiąc czy dwa wprzód, o tyle ostrze-

żenia o burzach jonosferycznych były podawane na bardzo krótko (dzień a nawet tylko parę godzin) przed ich pojawieniem się.

Pewnego wyjaśnienia wymaga system pracy przedstawiony na stronie 79. Stosowana praca „post-a-post” polegała na tym, że każda z dwu radiostacji sieci miała przydzieloną częstotliwość nadawczą a odbiornik musiał być nastrojony do częstotliwości nadawczej partnera. Ponieważ nadajniki i odbiorniki radiostacji agencyjnych posiadały wspólną antenę, więc rzeczywiście kiedy radiotelegrafista nadawał, to jego odbiornik był wyłączony. Na centrali natomiast odbiorniki ze swoimi antenami były zgrupowane w innym miejscu niż nadajniki i w czasie pracy nie były wyłączone. Radiotelegrafista centrali słuchał w czasie swojego nadawania i w wypadku gdy agent był zmuszony do nadawania czy ze względu na zły odbiór, czy też w pracy „pod przymusem”, przerywał natychmiast nadawanie i odbierał przekazywaną wiadomość.

W opisie sieci radiowych Sztabu N.W. zakradły się dwie pomyłki a mianowicie:

— sieć wojskowa w Kraju nie podlegała Oddziałowi Specjalnemu, jak twierdzi autor na str. 78, lecz Dowódcy Łączności Armii Krajowej i

— radiostacje przy wielkich jednostkach jak I Korpus, I Dywizja Pancerna i Brygada Spadochronowa, podlegały dowódcom łączności odpowiednich jednostek.

Z kolei chciałbym parę słów poświęcić łączności, tak technicznej jak i operacyjnej, Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego, z Krajem i Londynem w czasie gdy przebywał na inspekcji we Włoszech, od 16 do 31 lipca 1944 r. Otóż, na ten okres czasu radiostacje Barnes Lodge'u dostały rozkaz zwiększenia czasu korespondencji z radiostacją Wickek przy 2 Korpusie, Rygor w Algierze i Mewa we Włoszech. Nieznaną mi była organizacja łączności wewnętrznej dla Naczelnego Wodza poruszającego się po Włoszech. W łączności zewnętrznej Naczelnego Wódz mógł korzystać z sieci radiowych nie tylko Oddziałów Sztabu N.W. ale i M.S.Z.

Z ogólnej tezy autora o opóźnieniu telegramów wynika, że to Oddział Specjalny udaremnił stworzenie sieci radiowej wewnętrznej usprawniającej przekazywanie wiadomości. A przecież to ppłk. Hańcza wystąpił z propozycją nawiązania takiej łączności (patrz str. 80), ale było to w sierpniu gdy już Naczelnego Wodza we Włoszech nie było.

Telegramy przekazywane były przez radiostacje w formie zaszyfrowanej. Oddział Specjalny N.W. i Oddział Inf.-Wyw. Szt. N.W. używały swoich odrębnych szyfrów, ale dla samego przekazywania telegramów nie miało to znaczenia i nie wymagało przesyfrowania przy telegramach przechodnich.

Toteż wprowadzenie dodatkowo szyfru „Demel-Jagiełło” mogło służyć tylko dla specjalnych wiadomości wymienianych między Naczelnym Wodzem a pewnymi tylko osobami Sztabu N.W., czy też władz w Londynie. I tylko te telegramy powinny, i prawdopodobnie były zaszyfrowane i odszyfrowywane przez płk. Demela. Musiały one posiadać najwyższą pilność, niezależnie od nadanych im później ważności.

Gdyby Naczelnego Wódz chciał porozumiewać się bezpośrednio z Krajem, to przecież radiostacje Mewy i jej szyfr mogły z łatwością takie życzenie spełnić. Tak samo Dowódca Armii Krajowej mógł przekazywać telegramy do Naczelnego Wodza bezpośrednio do Włoch, jeśli wiedział o jego tam pobycie. Jest dla mnie zagadką w jaki sposób ppłk. Hańcza mógł rozmyślnie zmieniać pilność telegramów od Naczelnego Wodza, zaszyfrowanych szyfrem Demel-Jagiełło? Nawet gdyby tak zrobił, to nie miałyby to wpływu na czas przekazania tych telegramów z Mewy do Lon-

dynu, gdyż wszystkie telegramy z danego dnia były zawsze przekazane bez zaległości do Oddziału Specjalnego, gdzie jeszcze przed rozpoczęciem rozszyfrowania wiadomo było, który telegram jest od Naczelnego Wodza, a więc najwyższej pilności.

Telegramy z Londynu mogły być przekazywane przez radiostację Barnes Lodge do Mewy albo zaszyfrowane szyfrem Jagiełło-Demel, jeśli nadawcą była osoba upoważniona w Londynie, albo zaszyfrowane szyfrem Oddz. Specjalnego dla korespondencji z Mewą, albo też szyfrem „krajowym” przy telegramach przechodnich. Dwie ostatnie kategorie telegramów mogły być odszyfrowane przez szyfrantów Mewy i doręczone Naczelnemu Wodzowi jako tekst otwarty. Wobec powyższego sprawa telegramu Nr 406/1406 staje się mniej tajemniczą. Otóż oryginalna część pierwsza telegramu Nr 406/1/XXX/999 od Lawiny została przekazana do Mewy na dalekopisowy rozkaz ppłk. Utnika, a ponadto przeszyfrowana (pewnie szyfrem Jagiełło-Demel w Oddziale Specjalnym, treść tego telegramu została przekazana do Mewy pod Nr 1406/VV/555 (patrz str. 98).

Stąd Naczelnny Wódz rozróżniał telegram 406/I od Lawiny od telegramu 1406 z Oddziału Specjalnego i co najmniej dwukrotnie w depe szach do gen. Kopańskiego stwierdzał, że telegramu Lawiny Nr 1406 nie otrzymał, natomiast w telegramie Nr 1283/VVV/999 do Londynu odpowiedział: „Na waszą 1406...” co wskazywałoby, że telegram Oddziału Spec. Nr 1406 otrzymał.

Wydawanie bezpośrednich rozkazów ppłk. Utnika, d-cy Komp. Radiotelegraficznej odnośnie korespondencji i ruchu telegramów było przyjętą i ustaloną formą współpracy w takim samym stopniu jak i z Oddziałem Inf. Szt. N.W. lub M.O.N. Określenie przez autora takich poleceń „różnego rodzaju posunięciami, w które nie byli wtajemniczeni ani szef łączności Oddz. Spec. płk. Rola ani d-ca Batalionu mjr. Lisicki” sugeruje, że istniało jakieś tajne porozumienie Utnik-Popkiewicz, poza plecami właściwych komórek hierarchii w jakichś ukrytych celach. Wobec tego stwierdzam, że faktycznie otrzymywałem bezpośrednie rozkazy od ppłk. Utnika, ale wyłącznie w sprawach sieci łączności lub ruchu telegramów Oddz. Spec. i to tylko gdy pilność sprawy wymagała pominięcia dłuższej drogi służbowej, ale o każdym z takich rozkazów meldowałem mojemu bezpośredniemu przełożonemu.

Wyjaśnienie nagłówka telegramu Nr 5/XXX (str. 91) odnośnie Wandy 17, jakoby to był jeden z numerów Wand przydzielonych do Barnes Lodge nie wydaje mi się słuszne.

Żadna z radiostacji centrali w Londynie nie była nazywana Wandą jak twierdzi autor na stronie 75. Wzmianki na ten temat w moim opracowaniu na str. 8 i 19 oraz w Hist. Bat. na str. 75 nie znalazłem. Natomiast odnośnie telegramów przechodnich na str. 10 mojego opracowania stwierdziłem: „Ostatecznie rozwiązano sprawę w ten sposób, że poszczególne Wandy w telegramie przechodnim przeznaczonym dla Centrali Krajowej, podawały „to No 9”, telegramy bez adresu miały być dla centrali Londynu, a w przypadku telegramu do innej Wandy należało zaznaczyć „to No... X”, podając zamiast „X” odpowiedni numer.

Również wniosek autora wyrażony na str. 77, że zadecydowanie pracy trójek Wand na tych samych częstotliwościach i sygnałach wywoławczych, różniących się jedynie czwartą literą, było jakoby „fatalne w skutkach”, jest błędny. W moim opracowaniu, na które autor się powołuje, opisałem tylko trudności organizacyjno-techniczne centrali w Londynie, wymagające szybkiej zmiany systemu pracy, z takimi trójkami Wand, ale wyraźnie podkreśliłem, że „centrala zdołała obsłużyć wszystkie stacje i przekazać bez

opóźnienia wszystkie telegramy, nawet rozkazy i meldunki bojowe, małych zgrupowań". Jedynym, może nieprzyjemnym, skutkiem były „czasami pretensje do centrali, gdy ta prosiła jedną z radiostacji o zaczekanie na czas pracy z drugą”. A przecież w sieciach zamkniętych, normalnie stosowanych w wojsku, całe grupy radiostacji w sieci pracowały na jednej częstotliwości i były kierowane przez jedną radiostację — zwaną kierowniczą. Nawet w wojnie błyskawicznej taka organizacja sieci nie była w skutkach fatalna.

Na wielu przykładach inż. Siemaszko wykazał niedopuszczalne i ka-rygodne opóźnianie przekazywania wiadomości, ale dziwniejszy jeszcze wydaje mi się brak reakcji i brak żądań odbiorców tych telegramów, domagających się usprawnienia łączności. Odwrotnie — w owym czasie słyszało się tylko pochwały i podziękowania za szybkie i na czas przekazywane wiadomości.

Jeśli chodzi o naswietlenie celowego przetrzymywania telegramów przez Oddział Specjalny Szt. N.W. — co jest tezą pracy autora — i organizacji łączności dla Naczelnego Wodza we Włoszech, to cenne byłyby wypowiedzi płk. Roli, ówczesnego szefa łączności Oddz. Spec. Szt. N.W., płk. Demela i płk. Bąkiewicza, ówczesnego szefa Oddz. Wyw. II korpusu i udostępnienie dokumentów, które dotychczas pozostały nieujawnione, a są w Wielkiej Brytanii.

Łączę wyrazy szacunku

S. POPKIEWICZ



Londyn, dn. 16 listopada 1964

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zainteresowaniem przeczytałem w n-rze 6 Zeszytów Historycznych pracę inż. Z.S. Siemaszko pt. „Łączność radiowa Szt. N.W. w przededniu Powstania Warszawskiego”. Dzięki mrówczej pracy autora w archiwach nad telegramami, jasne jest obecnie na jakim szczeblu należy szukać opóźnień i trudności oraz, że łączność w znaczeniu wojsk łączności wypełniła swe zadanie bez zarzutu.

Dla uzupełnienia artykułu inż. Z.S. Siemaszko odnośnie sieci M.O.N. pragnę zaznaczyć, że pierwszą (niewzmiankowaną przez autora) z tej sieci stacją rzuconą na teren Francji z ówczesnym mjr. Zdrojewskim, była stacja „Roland”. Radiotelegrafista jej szkolony był w Edgware przez p. Dułębę z M.S.Z. Niestety, po pewnym czasie, po nawiązaniu łączności, stacja „Roland” dostała się w ręce niemieckie. Całość kryptominów tej sieci, nazwana przez inż. Siemaszko jako „romantyczna”, pochodziła od nazw koni wyścigowych.

Z punktu widzenia użytkownika zaznaczam, że częstotliwości obliczone nie zawsze używano do łączności, i to nie tylko ze względu na sprzęt agenta. Należało unikać „zajętych” pasów w eterze. Takim np. pasem odnośnie korespondencji z Francją był pas 7100-7300 Ke/S, który zajęty był przez stacje foniczne i maszynowe, a więc agent na pewno nie byłby w nim usłyszany. Całość zakłóceń eteru prowadziłem swego czasu skrzętnie jako bardzo pomocną w mej służbie.

W artykule inż. Siemaszko nie dość jasno podkreślone są pewne sprawy organizacyjne kompanii, o których zresztą pewnie nie wiedział.

Odnosi się to do stosunku kompania - Oddziały Sztabu. Dla szybkości Oddziały przez swych szefów lub upoważnionych oficerów miały bezpośrednią ingerencję do D-twa kompanii w sprawach łączności swych agentów. D-ca Batalionu w ważniejszych sprawach był później informowany przez d-cę komp.

Najmniejszą jednostką organizacyjną centrali odbiorczej, poza jednym stanowiskiem, było zgrupowanie stanowisk odbiorczych (od 2 do 4) pod kierownictwem starszego podoficera. Całe to zgrupowanie wspierało się wzajemnie w pracy radiowej. W przypadku zbyt dużego nasilenia pracy w jednym zgrupowaniu d-ca plutonu lub z-ca d-cy komp. uruchamiali stanowiska innych zgrupowań w miarę możliwości lub też stanowiska w centrali Connington (po jej uruchomieniu oczywiście), która odnośnie ruchu radio zależna była od centrali Barnes Lodge.

Kierownictwo Ruchu było dość duże. Należeli przecież do niego oficerowie korespondencyjni, kierownicy Ruchu, dyżurni oficerowie lub podchorążowie, zajmujący się kontrolą telegramów oraz personel dalekopisów. Niestety, nie rozporządzałem żadnym materiałem, ale o ile dobrze pamiętam, to kierownikami Ruchu byli: ppor. A. Brękiewicz i st. sierż. Wojciechowski. Specjalnie przydzieleni oficerowie i podchorążowie (słabsi jako radiotelegrafisci) zajmowali się kontrolą telegramów (dokładnym ich obiegami). Nie mogę sobie przypomnieć by kpr. pchr. Z.A. Siemaszko mógł być kierownikiem ruchu.

Całość poruszona łączności N.W.-Sztab jest osobiście dla mnie zagadką. Nie pierwszy to raz N.W. wyjeżdżał z Anglii. W czasie wyjazdów, i to dalszych, gen. Sikorskiego nigdy nie było trudności łącznościowych. I nie przydzielano do Jego osoby wysokiego oficera łączności, by tę łączność zorganizował.

Będąc w omawianym okresie przed i powstaniowym z-cą d-cy kom. od spraw ruchu radia, chcę dodać słów parę z punktu widzenia charakteru pracy radiotelegrafisty, a więc w formie gawędziarskiej dodać trochę kolorytu.

Kośćcem radiotelegrafistów centrali byli zawodowcy sprzed wojny, którzy znaleźli się w szeregach wojskowych, zasileni „wyciągniętymi” z różnych oddziałów radiotelegrafistami oraz w późniejszym okresie, nowym już „narybkiem” młodych żołnierzy, szkolonych w ośrodkach w Szkocji (w pewnym procencie byli to podchorążowie). Siłą rzeczy nowoprzybyli po okresie wprowadzenia, przydzieleni zostali na łatwiejsze łączności oraz zmieszani ze starą kadrą.

Jak ważne było posiadanie obsady doświadczonych radiotelegrafistów na służbie, dowodzi fakt rozpoznania przez jednego ze starszych podoficerów radiotelegrafistów zajęcia stacji Grenoble przez Niemców. Nawiąawszy codzienną łączność z wymienioną stacją, nasz radiotelegrafista zakomunikował, że „coś” nie jest w porządku. Na stacji w Grenoble jest ten sam radiotelegrafista (ta sama ręka), używa prawidłowo kodów, znak pracy pod przymusem nie był dany, ale „coś” się z nim dzieje. Zatrzymano więc nadanie przygotowanego telegramu i umówiono łączność na dzień następny. O powyższym natychmiast zameldowano szefowi wydziału wywiadu z prośbą o dyspozycje. Następnego dnia rano przysłała wiadomość że stacja w Grenoble wraz z szyframi i obsługą „wpadła”, a radiotelegrafista po „badaniu” zmuszony był do pracy z centralą. Do stacji tej został nadany specjalny, sfingowany telegram przygotowany przez O. II.

W tym miejscu należy wspomnieć, że w przypadku zajęcia stacji agentycznej przez nieprzyjaciela, zasadą obu stron było niewyprowadzanie się z błędu i czerpanie stąd korzyści dla siebie. Taki przypadek zaistniał po du-



żej „wpadce” w Paryżu w 1942 r. (Likwidacja F I). Wiadomość o tym przyszła do nas właśnie w trakcie nadawania telegramu; oczywiście przzerwano nadawanie i umówiono następne seanse, wiedząc już, że na stacji agencyjnej pracują z nami Niemcy. W następnych seansach nadawano już tylko sfingowane telegramy mimo zapytań strony przeciwnej o zakończenie właściwego telegramu (odpowiadano, że został zanulowany). Pewien czas upłynął nim Niemcy zorientowali się, że wiemy dobrze o „wpadce”.

Poza korespondencją szyfrową przyjmowano też czasami wiadomości otwartym tekstem. Zazwyczaj znamionowały one tragedię. Pamiętam ostatnie chwile Dywizji Wołyńskiej A.K. gdy radiotelegrafista nadawał ostatnie wiadomości, jak: „Pułk X otoczony”, „Rozbrajają nas”, „Zbliżają się do nas”. Natychmiast wiadomości te były przekazywane dalekopisem do O. VI Sztabu. Ku naszemu zdumieniu O.VI. odpowiedział: „Zapytać kto ich rozbraja”, co oczywiście wykonano. Odpowiedź brzmiała: „Sowieci, Sowietci”, a później już tylko: „Zegnajcie bracia”. Reakcja gen. Tabora na te meldunki było krótka: „Nieprawda”.

Służba radiotelegrafisty centrali była ciężka i wyczerpująca nerwowo. Zdarzały się przypadki omdlenia na służbie. Jednak mimo trudności duch całego był wspaniały, a że wysiłek kompanii poszedł na marne na pewno nie było to winą jej żołnierzy.

Łączę wyrazy poważania

S. KISIEL, mgr.  
Kpt. Łączn.



## REFLEKSJE ROCZNICOWE

Dwudziesta rocznica Powstania Warszawskiego przyniosła szereg wypowiedzi, wspomnień, przemówień. Wśród artykułów jakie się ukazały, na uwagę zasługuje opracowanie Z.S. Siemaszki w Zeszytach Szóstym „Zeszytów Historycznych”, w którym autor poddaje szczegółowej analizie działania łączności radiowej Sztabu N. Wodza w przededniu Powstania Warszawskiego. O przetrzymywaniu ważnych depech w Oddziale Specjalnym Sztabu w tym okresie wiadomo było od dawna. Dopiero obecnie jednak, p. Siemaszko wykazał jak głęboko sięgała wówczas intryga polityczna. Zarówno Oddział Specjalny Sztabu N.W. w Londynie, jak i płk Hańcza na bazie we Włoszech, robili wszystko, aby utrudnić i opóźnić wymianę depech między Naczelnym Wodzem a Dowódcą Armii Krajowej: przeciętna czasu między odebraniem a odszyfrowaniem depechy Naczelnego Wodza w Sztabie wynosiła 17 godzin (dla depech D-cy A.K. 7 i pół godzin). Depeszom zawierającym pilne dyrektywy Naczelnego Wodza, nadawano tzw. niską ważność, aby szły jak najdłużej. Depesze czekały w Sztabie na odszyfrowanie po kilkanaście godzin. Również depesze Armii Krajowej, dotyczące wykonywania „Burzy” lub przygotowań do walki, były w Sztabie przetrzymywane, dostawały ważność drugiego rzędu, aby jak najpóźniej doszły do rąk Naczelnego Wodza.

Prawdopodobnym celem intrygi było: doprowadzić do wybuchu powstania i tą drogą spowodować współdziałanie Armii Krajowej z Sowietami (jak naiwni przypuszczali).

Spisek, na którego czele stał gen. Tatar, sięgał głęboko; p. Siemasz-

ko skłonny jest widzieć rolę gen. Tatarą także w historii depezy o zmianie przez kraj najważniejszego punktu Instrukcji Wspólnej Rządu i Naczelnego Wodza z dnia 27 października 1943 r. Depesza ta, nadana w Warszawie w listopadzie, nadeszła do Londynu dopiero w pierwszych dniach stycznia 1944 r. Stawia także p. Siemaszko hipotezę, bardzo prawdopodobną, że wysłanie gen. Tatarą do Londynu, dokąd przybył 21 kwietnia 1944, wiąże się z tajemniczym zrzutem p. Retingera do kraju w początku kwietnia 1944. Sprawa nie jest do gruntu wyjaśniona i zawiera dużo niedomówień. Jakże to było możliwe, że w okresie gdy kraj wysyłał swych mężów zaufania do Londynu, znawców spraw Podziemia (Arciszewski, Berezowski) zjawia się w ich gronie gen. Tatar, zastępca Szefa Sztabu A.K. do spraw operacyjnych, ekspert Armii Krajowej. Dopiero po wojnie wyszło na jaw, że w kraju wiedziano o jego prokomunistycznych powiązaniach politycznych. Czemu więc o tym nie uprzedzono Naczelnego Wodza? W Londynie gen. Tatar początkowo krył się ze swoją akcją polityczną. Zrzucił maskę dopiero w okresie powstania.



W euforii rocznicowej zaciera się łatwo różnica między stroną emocjonalną a stroną racjonalną wypadków dziejowych. Powstanie Warszawskie to temat, poruszający najgłębsze struny uczuciowe. Żaden uczciwy Polak nie może nie uchylić czoła przed bohaterstwem powstańców. Każdy powinien wymawiać z czcią imię Warszawy — miasta o sercu niezłomnym.

Jezeli jednak chodzi o mądrość decyzji wybuchu, decyzji opartej na błędnej ocenie położenia zarówno politycznego, jak wojskowego — zdania muszą być podzielone i podzielone będą jeszcze przez wiele lat. Powstanie należy do kategorii wydarzeń, które nie prędko przechodzą do historii. Podobnie jak Rewolucja nie jest jeszcze w pełni historią dla Francuzów, albo Wojna Cywilna dla Amerykanów. Legenda powstania świecić będzie najczystszy blaskiem, ale celowość ofiary podlegać musi nadal dyskusji.

Wśród ówczesnych *dramatis personae* są tacy, którzy swej dozy odpowiedzialności nie wypierają się. Do nich należy premier Mikołajczyk. Są tacy, którzy gorąco bronią słuszności decyzji, ale pragnęliby — na wszelki wypadek — przerzucić choć część odpowiedzialności na kogo innego. Najchętniej na Naczelnego Wodza. Zapewne dlatego że był wybuchowi przeciwny i o swój pogląd walczył konsekwentnie w ramach ładu państwowego. Są wreszcie tacy, którzy zajmowali wtedy odpowiedzialne stanowiska publiczne, byli rzekomo powstaniu przeciwni, ale palcem nie kiwnęli, aby wybuchowi zapobiec. Ci — winni grzechu bierności — trwają do dziś dnia w roli Piłatów.



Rozliczne wypowiedzi rocznicowe wymagają postawienia kilku kropek nad i. Mówi się ostatnio o tym, że w chwili wybuchu powstania Armia Krajowa nie miała jeszcze dostatecznych danych o zachowaniu się Sowieców na ziemiach polskich. Lub, że jeśli miała także dane z kresów, to nie przesądzały one jeszcze o zachowaniu się Sowieców na zachód od Bugu. Dziesiątki meldunków Dowódcy A.K. do Naczelnego Wodza świadczą o czym innym: Depesze z 30 stycznia, 3 lutego, 10 lutego, 24 lutego, 8 marca, 23 marca 1944 mówią wielkim głosem o rozbrajaniu oddziałów A.K., o wcielaniu do Berlinga, o mordowaniu oficerów, likwidowaniu organizacji polskich, o tajnych rozkazach znalezionych w puszczy Nalibockiej. Są meldunki nie

tylko z Polesia, ale i z Białostockiego. O propagandzie głoszącej: Ukraina po Bug, a dalej Polska o ustroju sowieckim. Meldunki z 29 marca, 4 kwietnia, 19 kwietnia, 5 maja, 8 czerwca, 1944 omawiają znane nieudane próby odtworzenia 27 Dywizji na Wołyniu we współpracy z armią czerwaną.

Meldunki z 6 kwietnia, 10 maja, 17 maja, 24 maja, 31 maja, 1 czerwca, 13, 14 i 16 czerwca 1944 r. mówią o gwałtach, aresztowaniach, rozbrajaniu, poborze do armii sowieckiej, rozstrzeliwaniach, agitacji, o postępowaniu oddziałów A.L., dowodzonych przez oficerów sowieckich, o mobilizacji do armii Berlinga w Krasnymstawie.

Meldunek z 16 lipca 1944 r. donosi o pomocy udzielonej Sowietom przez A.K. w województwie wileńskim. O wypadkach w puszczy Rudnickiej, o podstępny zaproszeniu A.K. na rozmowy, przekazuje prośbę o przysłanie komisji alianckiej.

Meldunek z 14 lipca mówi o akcji partyzantów w Lubelskim, z 19 lipca — o podstępnym aresztowaniu sztabu A.K. w Wilnie i w Nowogródku. Meldunek z 27 lipca z Lublina: „towarzysze nas rozbrajają”. Meldunek z 29 lipca — rozbrajanie i wcielanie do armii Berlinga w Lubelskim. 29 lipca Warszawa melduje, że wedle wypowiedzi kierownika roboty sowieckiej, A.K. ma być całkowicie zniszczona, 29 lipca Warszawa melduje o wypadkach we Lwowie: rozbrajanie A.K., zapowiedź mobilizacji sowieckiej, oficerowie A.K. mają mieć wybór między oddziałami Berlinga, a armią sowiecką. Meldunek z 30 lipca mówi o aresztowaniach oficerów A.K. w Lubelskim, wzywa o pomoc Anglosasów. Meldunek z 1 sierpnia donosi o aresztowaniu wszystkich oficerów A.K. we Lwowie.

Takich depeesz, świadczących o tym, że stosunek Sowietów do A.K. był znany w Warszawie, można przytoczyć więcej.

Niedawno pojawiła się teza o rzekomym skutku politycznym Powstania: Gdyby nie Powstanie, Polska byłaby 17-tą republiką sowiecką, ale ponieważ „świat się przekonał” jacy jesteśmy i jak kochamy wolność — Polska otrzymała status satelicki. Tu wkraczamy w dziedzinę fantazji, fakty mówią co innego. Od rozbioru dokonanego wspólnie z Hitlerem, polityka sowiecka z żelazną konsekwencją realizuje swój program: aneksja wschodniej Polski oraz państwo etnograficzne o ustroju sowieckim. Czyż trzeba przypominać daty? „Plebiscyty” w listopadzie 1939, szkolenie polityczne oficerów na „daczach”, oświadczenia Majskiego w czasie rokowań o pakt w lipcu 1941. Oficjalne powstanie „Komitetu patriotów” Wasilewskiej w grudniu 1941. Zjazd słowiański w Moskwie w lipcu 1941. Zjazd w Saratowie w grudniu 1941. „Dywizja Kościuszki”, uniemożliwienie istnienia Armii Polskiej w Rosji, Noty w sprawie obywatelstwa. Obfta korespondencja Stalin-Churchill. Teheran i wytyczenie granic za pomocą zapalek w grudniu 1943. 3 sierpnia 1944 Stalin ustanawia wymianę przedstawicielstw dyplomatycznych z „Komitetem Wyzwolenia”. Plany sowieckie w stosunku do Polski były ustalone od dawna. Zresztą — taki sam ustrój, lub nieco swobodniejszy otrzymały wszystkie kraje środkowo-wschodniej Europy, włączone do imperium sowieckiego. I to zupełnie niezależnie od tego, czy walczyły, i z kim walczyły. Wojenni sprzymierzeńcy Niemiec mają taki sam ustrój, jak Polska, która złożyła bezmierne ofiary dla sprawy Aliantów.



Wreszcie — *last but not least* — nieco semantyki. Czy powstanie było „powstaniem”? Skoro włączenie Powstania Warszawskiego w ramy „Burzy” nie okazało się możliwe, gdyż plan „Burzy” nie obejmował Warsza-

wy („Polskie Siły Zbrojne” str. 651), mówi się obecnie że „powstanie” nie było powstaniem, lecz „walką o Warszawę”.

Gdy w dniu 21 lipca 1944 Dowódca A.K. zarządził „stan czynności do powstania powszechnego” musiał się liczyć z faktem, że decyzja uruchomienia powstania leży w rękach Rządu i tylko Rządu. Dopóki więc Premier nie upoważnił kraju do powzięcia decyzji uruchomienia powstania w swej depeшы z 26 lipca 1944 — wywołanie powstania nie leżało w kompetencji władz krajowych. Może więc właśnie dlatego pomiędzy 21 a 25 lipca 1944 zjawia się termin „walki o Warszawę”. Termin ten, aczkolwiek literacko poprawny, nie był znany w obowiązującej wówczas terminologii wojskowej ani politycznej, i ustalonej w instrukcjach najwyższych władz Rzeczypospolitej dla kraju. Wydaje się, że był stworzony *ad hoc* w dniach 21-25 lipca. Szef Sztabu w swym meldunku do Naczelnego Wodza z dn. 31 lipca 1944 mówi nadal o „powstaniu”. Również termin „powstanie” używany był w wymianie depeшы między Warszawą a Londynem w sierpniu i wrześniu 1944. Apele do państw zagranicznych mówiły o powstaniu, Premier Mikołajczyk rozmawiał ze Stalinem o powstaniu.

A więc może „powstanie” to nie „powstanie powszechne”? Że jako by „walka” staje się „powstaniem” a „powstanie” — „powstaniem powszechnym”, gdy następuje „jednoczesne podjęcie walki na obszarze Rzeczypospolitej”.

Otóż plan powstania Dowódcy A.K. z końca roku 1942 mówił o „jednoczesności” jedynie jako o metodzie taktycznej, ułatwiającej zaskoczenie i to w odniesieniu nie do „obszaru Rzeczypospolitej”, lecz do terenów stanowiących tzw. „bazę powstańczą”. Ale już w dokumencie z dnia 28 lutego 1943 jednoczesność działań nawet w tym ograniczonym zakresie została porzucona na rzecz zasady o przeprowadzeniu powstania „kolejnymi strefami”. A więc nie „jednoczesność” jest potrzebna, aby „walka” stała się „powstaniem”. Decydujące są tu cechy polityczno-strategiczne. Powstanie w stolicy państwa w siedzibie władz centralnych, politycznych i wojskowych, jest powstaniem powszechnym w sensie polityczno-wojskowym. Rozkaz zaś Dowódcy A.K. z dnia 14 sierpnia 1944 r., nakazujący okręgom A.K. marsz wszystkimi posiadanymi siłami na pomoc Warszawie, upowszechnił powstanie nawet w sensie taktycznym.

A wreszcie, dokumenty Armii Krajowej stwierdzają, że „walka o Warszawę” została przeprowadzona, jako „fragment z planu powstania powszechnego”.

Powstanie było jednak powstaniem.

Witold BABIŃSKI

## WYJAŚNIENIA

Mam lat przeszło osiemdziesiąt i, niestety, jestem ociemniały — od dawna już nie mogę ani czytać ani pisać. Kartki więc niniejsze są pisane pod moje dyktando.

Przeczytano mi artykuł Wiktora Sukiennickiego „Mademoiselle Piłsudskiego”, który ukazał się w Nrze 3-cim „Zeszytów Historycznych” „Kultury”.

Ponieważ autor użył mnie, oraz nie było jakich atrybutów związanych z moją osobą, do swego artykułu, szkicującego nawiązujące się stosunki Piłsudskiego z Paderewskim, na tle dopiero co odrodzonej Polski oraz Konferencji Pokojowej w Paryżu — dzieje tak bardzo mi znane i pamiętne — zmuszony jestem do wielu sprostowań i dopełnień.

Cytuję autora ze str. 79:

„...spędził natomiast (Świrski) prawie lat dziewięć na katordze i w więzieniu, przez cały ten czas udając melancholika i powstrzymując się od mówienia. Trudno uważać to za energiczne kontynuowanie rewolucyjnej kariery, czy nawet za właściwą do jakiegokolwiek kariery zaprawę”.

O jakiej karierze tu mowa? Uporczywie autor o niej wspomina przez ciągłość całego artykułu, niejednokrotnie jak gdyby utyskując, że na nią nie zasłużyłem.

Czy nie wystarczy mu ten fakt donośny, zasługujący na uznanie ze strony każdego prawego człowieka, że jak wiadomo, nigdy, po karierę polityczną, chociaż mógłbym — nie sięgałem.

Nie miałem po temu żadnych ambicji, ani też bezczelności sięgania po stanowiska w nagrodę za istotne lub nieistotne zasługi.

Sukiennicki utyskuje tedy, że nie zrobiłem żadnej kariery, natomiast, że:

„za dawne zasługi, więzienia i katorgę otrzymał (Świrski) dość płaćną synekurę-rejenturę w Warszawie, co mu zresztą nieraz wytykano z powodu braku zakończonego wykształcenia prawniczego”.

Oświadczam, że od początku do końca tego zdania (niby wyjętego z dzieła Korostowieca) każde słowo jest oburzającą, jakby tendencyjną nieprawdą.

Laikowi wiadomo było że to, żeby otrzymać notariat, nie

trzeba było koniecznie mieć ukończonych studiów prawniczych. Można było natomiast, według prawa, zdać egzamin z Prawa Cywilnego i Ustawy Notarialnej z których to, po odpowiednich studiach, zdałem pomyślnie.

Otrzymałem tedy stanowisko drugiego notariusza w małym miasteczku Garwolinie, nie zaś w Warszawie, jak twierdzi p. Sukiennicki. Dopiero po dwóch latach przeniesiony zostałem do Warszawy na notariat po sędzi Glasiu, który się zrzekł swego stanowiska z braku klienteli, wróciwszy do swojej sędziowskiej emerytury. Nie było więc to żadną nagrodą z czyjejkolwiek bądź protekcji, ani stanowiskiem „inratnym”, jak to opiewa p. Sukiennicki. Z przyczyny przecież braku czynności, już miałem zamiar także podać się do dymisji, lecz w tym czasie, z decyzji Prezydenta R.P., mianowany został Prezydentem miasta Warszawy jeden z moich najbliższych przyjaciół — Stefan Starzyński. Odtąd — wiedząc o mojej sytuacji — kazał kierować wszystkie czynności miejskie wyłącznie do mojej kancelarii. Mój notariat cieszył się opinią jednego z najlepszych w Warszawie.

Że notariat wcale nie był synekurą, jak o złośliwie twierdzi p. Sukiennicki, przytaczam tu dwa dosadne przykłady:

Kiedyś (za Piłsudskiego) urzędował w Warszawie, bardzo znany i szanowany, człowiek już starszy — notariusz Kosiński. Brat jego młodej żony, a jego urzędnik, w czasie choroby swego szefa zdefraudował, przegrawszy w karty, wielką sumę z kasy, zawierającej pieniądze stemplowe i depozyty klientów.

Kontrola księgowości i kasy, zarządzane u notariuszy, zazwyczaj niespodziewanie, przez Ministerstwo Sprawiedliwości, ujawniła to. Stary notariusz został aresztowany, zrujnowany i zhańbiony więzieniem. *Dura Lex — Sed Lex.*

Działo się to za Piłsudskiego. Niby jako *pendant* — inne zdarzenie.

Wśród notariuszy hipotecznych w Warszawie znany był notariusz S., wiedziano o nim, że w nie byle jakim klubie i nie z byle kim grywa grubo w karty. (Brat jego, znany dyrektor banku, należał do bliskich przyjaciół Śmigłego). Niespodziewana kontrola Ministerstwa ujawniła deficyt wielkiej sumy w jego kasie. Jednak notariusz S. nie został aresztowany. Natomiast otrzymał urlop półroczny od Ministerstwa, które przydzieliło na ten czas do pełnienia jego czynności sędziego. W ciągu paru miesięcy deficyt był pokryty z czynności skierowanych do jego kancelarii przez instytucje rządowe oraz banki, oczywiście, z nakazu z góry. Po półrocznym urlopie notariusz S. wrócił do swego urzędu wzbogacony nową i liczną klientelą.

N.B. Wiadome jest, że Śmigły nic o tym wszystkim nie

wiedział. Podobny fakt byłby jawnie potępiony, a nawet w ogóle nie miałby miejsca za życia Piłsudskiego.

Cytuję dalej z elaboratu p. Sukiennickiego:

„Dla Piłsudskiego był on (Świrski), czy może dopiero został, jednym z jego ludzi, niewątpliwie mniej bliskim niż ci, z którymi po Organizacji Bojowej przeszedł Strzelca i Legiony”.

Zasadniczo, i to grubo, autor się myli.

Zanim powstały Legiony, musiał się odbyć dramat Bezdański, jako źródło materialne dla podstaw Związku Walki Czynnej i Strzelca, które jak wiadomo, były zaczątkiem Legionów.

Bez Bezdany — nie byłoby Legionów.

Co zaś się tyczy mojego udziału w tej akcji, podkreślić muszę, że gdybym jako jeden z trzech kierowników — chybił i tym pokrzyżował ogólny plan akcji, skończyłaby się ona katastrofą, w której mógłby zginąć i główny jej dowódca — Józef Piłsudski.

Jasne jest, że historia Dwudziestolecia Polski wyglądałaby wtedy inaczej.

Bezdana, z Piłsudskim na czele, są w ogóle niedoceniane w historii naszej Niepodległości.

Dalej cytuję p. Sukiennickiego i podkreślam co następuje:

„Czesław Świrski... odegrał niepoślednią rolę w Akcji Bezdańskiej, będąc dowódcą jednej z grup operacyjnych zarówno podczas prac przygotowawczych w Warszawie, jak i w samych Bezdanych. Pobóg-Malinowski podaje o nim sporo szczegółów z wyjątkiem jednego, przechowanego w ustnej tradycji i wyróżniającego Świrskiego spośród innych uczestników Akcji. Młody książę-rewolucjonista miał w pewnym momencie, w Bezdanych, na pełnym ludzi peronie kolejowym stanąć przed Piłsudskim w wojskowej postawie zasadniczej na baczność, zasalutować i służbowo zameldować o wykonaniu zadania. Przez tę pozorną drobnostkę pozostał w pamięci Piłsudskiego i zyskał w tradycji tytuł 'pierwszego żołnierza polskiego od roku 1864'”.

Wszystkie powyższe dane świadczą, że nie byłem jednym z ostatnich po legionistach, ludzi Piłsudskiego, jak to twierdzi p. Sukiennicki, lecz stałem zawsze, już od roku 1906, długo jeszcze przed Legionami, dla których mam zawsze cześć i podziw, blisko Jego osoby, jako jeden z najbliższych osobiście Jemu, żołnierzy.

Tak zaczęła się moja kariera.

Jestem bowiem żołnierzem z urodzenia, synem i wnukiem powstańców.

Innej kariery nie miałem nigdy na myśli. Zaś głębokie uczu-

cie moje dla Piłsudskiego jest bliskie każdemu szczeremu Legioniście i zrozumiałe żołnierzowi polskiemu z epoki Piłsudskiego.

Przytoczyć tu chcę jeszcze jeden dowód zadawnionego do mnie zaufania Piłsudskiego, który miał miejsce wkrótce po powrocie Komendanta z Magdeburga, zaś mojego z rosyjskiej katorgi.

Jako wzruszający znak, że Piłsudski wyróżniał mnie od dawien dawna z otoczenia swym zaufaniem, podam tu pewne doniosłe wspomnienie. W grudniu 1918 r., wkrótce po przybyciu z mojego mieszkania na Mokotowskiej do Belwederu, Komendant nagle zachorował na ciężką grypę, z której wywiązało się zapalenie płuc. Lekarze orzekli, że stan jest groźny. (Poza najbliższym otoczeniem nikt nie miał o tym wiedzieć). Komendant kazał wezwać notariusza, aby spisać testament. Testament był tzw. „Mistyczny” o treści nieznaney nikomu, zapieczętowany w obecności pięciu świadków, którymi byli, na rozkaz Komendanta wezwani: płk. Sosnkowski, kpt. Miedziński, rtm. Wieniawa-Długoszewski, kpt. Koc i dr Piestrzyński. Na wykonawców zaś testamentu wyznaczeni zostali przez Piłsudskiego: pan Jan Piłsudski, brat Jego, Aleksander Prystor i Czesław Świrski.

Był to jedyny testament notarialny sporządzony za życia Józefa Piłsudskiego.

Dla dopełnienia świadectwa mojego, że nie byłem „jednym z ostatnich ludzi” z otoczenia Piłsudskiego, jak to pisze p. Sukiennicki, zechcę dodać i ten fakt, że już później, córkę ukochaną Komendanta — Jagodę (dziś p. Jadwigę Jaraczewską) — trzymałem do chrztu wraz z siostrą Komendanta a moją Kumą — panią Zofią Kadenacową.

Co się tyczy przydziału mego do osoby Komendanta, p. Sukiennicki mylnie informuje czytelnika, jak również później, o przydziale moim do Paderewskiego na wyjazd do Paryża. Opowiem więc jak istotnie rzecz się miała.

Na początku pozwałam tu sobie na pozorną dygresję, notując szczegóły należące niewątpliwie do historii, mające wszakże związek z tematem, który jest przedmiotem niniejszych sprostowań i dopełnień. Opowiem więc o pierwszych dniach po przyjeździe Komendanta z Magdeburga.

W lipcu roku 1918 wróciłem był z Rosji do Warszawy, uwolniony z katorżniczego więzienia dzięki rewolucji Kiereńskiego. W Warszawie objąłem apartament przyjaciół moich pp. Henrykostwa Dymśzów, przy ul. Mokotowskiej 50.

11 listopada, dżdżystego poranka, powrócił z Magdeburga Józef Piłsudski wraz z płk. Sosnkowskim. Wprost z dworca



pojechali w otoczeniu Legionistów do pensjonatu p. Romanówny, późniejszej gen. Góreckiej (przy ul. Moniuszki 3), gdzie mieściła się kwatera P.O.W.

Z sercem wezbranym radością pośpieszyłem na Jego powitanie. Tłumy obiegały schody i wejście do mieszkania. Z wielkim trudem udało mi się uzyskać zameldowanie mego nazwiska.

Nie będę tu opisywał spotkania po 10 latach z moim Woźdem i jak głęboko byłem wzruszony.

Z miejsca Komendant nazaczył mnie swoim adiutantem i sekretarzem osobistym. Zaproponowałem, wobec ciasnoty pensjonatowego mieszkania, przeniesienie się do mojego obszernego i komfortowego apartamentu. Komendant się zgodził, usuwając inne podobne propozycje wysuwane przez obywateli Warszawy.

Natychmiast zarządziłem odpowiednie przygotowania przy pomocy przydzielonych mi harcerzy i po dwóch dniach Piłsudski wraz z Kazimierzem Sosnkowskim przenieśli się do mnie, na Mokotowską 50.

Dalszy ciąg moich wspomnień, na kilku następnych stronicach, jest zapożyczony z moich „Szkiców do Pamiętnika”.

„W mieszkaniu moim, na Mokotowskiej 50, dziś historycznym, Komendant rozpoczął swe rządy Polską, do 29 listopada.

W okresie tym przejął legalnie władzę, dobrowolnie Mu złożoną przez Radę Regencyjną i tam powstał pierwszy Gabinet Ministrów z Jędrzejem Moraczewskim na czele. Po kilku dniach, że mieszkanie było oczywiście zbyt szczupłe, Komendant polecił mi, jako już legalnie władny Naczelnik Państwa, przedstawić sobie plany rządowych gmachów odpowiednich na Kwaterę Wojskową.

Przedstawiłem mu Zamek Królewski, na który Komendant odmachnął mi ręką mówiąc: „W Zamku mogą rezydować królowie, albo mieścić się muzeum”. Pałac pod Błachą i inne okazały się też nieodpowiednie, odpowiadał natomiast Komendantowi Belweder. Ostatnio była to rezydencja letnia Beselera. Natychmiast zwróciłem się do kustosza gmachów rządowych inż. Skórewicza, ażeby gmach odpowiednio przygotował i — przede wszystkim kazał palić w piecach.

29 listopada Teatr Wielki wystawił „Noc Listopadową”, na którą zjawił się w wielkiej łoży zaproszony Piłsudski. Asystowałem Mu jako Jego adiutant. Entuzjazm publiczności na jego widok był niewypowiedziany. Po pierwszym akcie sztuki pojechaliśmy do Pałacu Saskiego, gdzie odbywała się uczta pożegnalna P.O.W.

Stamtąd około północy skierowaliśmy się już wprost do Belwederu, dokąd z mego mieszkania były już zawczasu przewiezione rzeczy Komendanta oraz pierwsze akta urzędowe. Gdy przybyliśmy do Belwederu pałac, choć świecił jeszcze pustkami, rześcicie był oświetlony. U progu pałacu powitał Komendanta kustosz, inż. Skórewicz, przemiły, zacny człowiek.

I tu w Belwederze pełniłem nadal moje obowiązki pierwszego adiutanta przybocznego i sekretarza osobistego przy Józefie Piłsudskim.

Co się tyczy moich czynności jako sekretarza osobistego i przybocznego adiutanta, wyjaśnię przy sposobności skąd pani Helena Paderewska, pisząc o mnie z Paryża do Piłsudskiego, użyła zwrotu *Mademoiselle*, wykorzystanego przez p. Sukiennickiego jako tytuł „Mademoiselle Piłsudskiego” do jego artykułu.

Kiedy wkrótce po przybyciu Paderewskiego do Polski, Komendant rewizytował pp. Paderewskich, zaś ja Mu asystowałem, w pewnej chwili zwróciłem się doń dyskretnie: „Przepraszam, Komendancie, za pół godziny jest wyznaczona konferencja w Belwederze”.

Wtrąciłem się w rozmowę lekką, towarzyską. Na moją uwagę, Komendant śmiejąc się, powiedział: „Oto moja guvernantka już wchodzi w swoją rolę, pamiętam proszę Państwa, że będąc dziećmi mieliśmy w domu *Mademoiselle*, nieznośną starą pannę, wciąż nami dyrygującą, przypomina mi ją mój adiutant”.

Stąd ten żartobliwy epitet *Mademoiselle*, wyjęty z cytowanego przez autora listu pani Paderewskiej do Piłsudskiego, został użyty przez p. Sukiennickiego jako frywolny a niedowcipny tytuł.

*A propos* — parę słów o roli adiutanta i sekretarza osobistego przy osobie Piłsudskiego, od pierwszego dnia po powrocie Jego z Magdeburga.

Belweder był wtedy tylko kwaterą wojskową, rodzina zaś Komendanta, tj. Pani Komendantowa z córeczką Wandzią, mieszkała przy ul. Koszykowej Nr 70 pod opieką przyjaciółki, pani Rektorowej Haliny Sujkowskiej. Moim tedy obowiązkiem było między innymi, pod kierownictwem i za wskazówkami Pani Komendantowej, pamiętać o godzinach dnia, aby w ciągu nawału pracy Komendanta urwać godzinkę na Jego odpoczynek i przejażdżkę końmi na świeżym powietrzu.

„Ziuk z natury swojej bywa nieraz nastawiony na 'nie' — mówiła Pani Komendantowa — lecz należy pamiętać, że godzi się z 'faktem dokonany'”.

Jako sekretarz osobisty regulowałem niektóre godziny audiencji. Kiedyś więc na zapytanie moje: „Komendancie, jest godzina wolna, może by kazać podać konie do przejażdżki?” Komendant odpowiedział kategorycznie, że „nie”, i z rękami założonymi w tył, z lekka przygarbiony, dalej chodził po pokoju ze swymi samotnymi myślami.

Zdecydowałem się więc skorzystać z wyżej wymienionych wskazówek Pani Komendantowej i, gdy nadarzyła się wolna od przyjęć godzina, kazałem podać konie, zdjąłem z wieszadła płaszcz i, podając Mu, uprzejmym, ale bezapelacyjnym tonem wypowiedziałem: „Komendancie, mamy godzinę czasu, powóz jest podany, jedziemy na spacer”. Komendant spojrzął na mnie z miną niby to bardzo niezadowoloną, lecz włożył podany Mu płaszcz i „pogodził się z faktem dokonany”.

Przykład inny: Komendant nigdy nie jadał żadnych jarzyn — jarzyn po prostu nie znosił. Zwróciłem na to uwagę lekarzowi Jego, dr. Pietrzyńskiemu, który o tym wiedział jeszcze z czasów Legionów. Powiedział, że dobrze byłoby, by zamiast jarzyn jadał owoce. Zapytałem więc Komendanta, czy pozwoli sobie podać owoce Komendant oczywiście odpowiedział, że „nie”. Skarżyłem się więc Pani Komendantowej, która dała mi radę: „Panie Czesławie, niech pan obierze jabłko i gruszkę, pokraja na kawałki *mangéables*, połóż na talerz z widelcem i postawi przed Ziukiem”.

Istotnie, pracując przy biurku, Komendant, nie pytając skąd się wzięły owoce, które dyskretnie postawiłem, powoli wszystkie je zjadał.

Podam jeszcze jeden z wielu przykładów konieczności mego wtrącania się, niby *Mademoiselle*, jak żartował Komendant, do Jego osoby.

W wypadkach przyjęć, których bardzo nie lubił, oderwany od pracy, Komendant nieraz bywał roztargniony — a skutki z tego wynikały czasem drażliwe.

I tak kiedyś na przyjęciu w Belwederze Piłsudski stał w tłumie gości, pamiętam, rozmawiając z generałami Szeptyckim i Rozwadowskim, o których było wiadomo, że się wzajemnie nie znosili. W trakcie rozmowy podał papierośnicę gen. Rozwadowskiemu i wziął sobie papierosa do ust. Widząc to, pośpiesznie zwróciłem się do Komendanta: „Pan generał Szeptycki także pali”. Komendant natychmiast wyjął papierosa z ust i żywo przepraszając podał papierośnicę gen. Szeptyckiemu. Niezręczność była wyrównana.

Musiałem także zawsze, przed wyjściem lub wyjazdem, lustrować mundur Komendanta, sprawdzać na nim orderzy itp.

Mówiąc nawiasem, tyle tylko było moich codziennych „wplywów” na Piłsudskiego, nie zaś, jak zdaje się sądzić p. Sukienicki, jakoby narzucał się z wpływami o charakterze politycznym, z przypuszczalnej aluzji w liście pani Heleny Paderewskiej.

W rzeczywistości przecież, znając Piłsudskiego od najdawniejszych lat, wiem dobrze, że nigdy nie ulegał niczym wpływom.

Oczywiście, osoby, którym ufał, a do których miałem szczęście należeć, miały nieraz nań wpływ pośredni. Na przykład gdy, bywało, udzielałem Mu informacji czy wypowiadałem opinię, brał je poważnie pod uwagę, niejednokrotnie ufnie z nich korzystając.



Początki współpracy Piłsudskiego z Paderewskim były dość trudne, gdyż najeżone były wzajemną nieufnością, zupełnie zrozumiałą. Paderewscy, tak w Ameryce jak i w Paryżu, otoczeni nieprzejednanymi wrogami Piłsudskiego, tj. przywódcami Narodowej Demokracji, Dmowskim, braćmi Grabskimi i innymi członkami Komitetu Narodowego, mieli o Piłsudskim pojęcie jak najbardziej ponure; przede wszystkim, że jest rzekomo socjalistą, komunistą i że świadomie naród do zguby prowadzi.

Oboje pp. Paderewscy, jak zaobserwowałem od początku, rozmawiając bardzo uprzejmie z Piłsudskim, patrzyli na Niego jakby z lękiem, zaś pani Paderewska najwyraźniej z niepokojem.

Piłsudski zaś był przekonany, że Paderewski, jako członek Komitetu Narodowego a przyjaciel Dmowskiego, pod wpływem swego mistrza był wrogo do niego usposobiony. Nastawienie też otoczenia obu mężów stanu było sobie wzajemnie zdecydowanie nieufne.

W takiej atmosferze porozumienie się i współpraca Piłsudskiego i Paderewskiego były, zaprawdę, bardzo i bardzo trudne.

Zbliżał się termin Konferencji Pokojowej, na której Paderewski miał reprezentować interesy Odrodzonej Polski.

W Bristolu, gdzie na początku zamieszkiwali pp. Paderewscy, bywałem prawie codziennie w charakterze łącznika. W szybkim tempie zbliżyłem się z całym otoczeniem Paderewskiego, z jego sekretarzem osobistym Strakaczem na czele. Wkrótce już bywałem nawet mile widziany i przez panią Helenę Paderewską, która obdarzała mnie życzliwością a rychło i względnym zaufaniem.

Paderewski zaś, swoim wrażliwym i czułym sercem, po-

trafił odczuć i zrozumieć mój młodzieńczy idealizm, gdy się dowiedział, że jeszcze niedawno temu, w Rosji rozkuto na moich rękach i nogach kajdany.

Oboje współczuli mi ze szczerą życzliwością i sympatią, wypytując nieraz o szczegóły przeżyć moich na katordze.

I oto powoli dojrzał w mojej myśli plan, który już od początku, począł mi się pomyślnie układać. Postanowiłem sobie bowiem mocno, że jestem powołany do wykorzystania zaufania do mnie tych dwojga w błąd wprowadzanych ludzi dobrej woli, aby usunąć przed nimi ponurą chmurę, którą otoczyły wrogie moce postać Piłsudskiego.

Pani Paderewska nieraz zatrzymywała mnie w godzinach popołudniowych na śniadanie. Kiedyś, po śniadaniu zakropionym dobrym winem, gdy Paderewski był w doskonałym humorze, w odpowiedniej, psychologicznej chwili, odezwałem się: „Zazdroszczę p. Strakaczowi, że jedzie z państwem do Paryża”. Paderewski na to żywo: „A więc, niech pan jedzie z nami, właściwie panu się to należy po wszystkich pana ciężkich przejściach. Jeżeli pan chce, poproszę Pana Naczelnika, żeby panu pozwolił jechać z nami”. Tu pani Paderewska życzliwie poparła jego słowa.

O to mi właśnie chodziło. Nie byłem jednak jeszcze pewien jak Komendant na tak lekko wysuniętą propozycję Paderewskiego zareaguje. Lecz Komendant, któremu przedstawiłem mój plan oraz jego motywy, jak i zamierzoną propozycję Paderewskiego, zgodził się chętnie.

Tegoż wieczoru, Paderewski, po konferencji w Belwedrze, nie zapomniał o swojej obietnicy. Piłsudski tedy przydzielił mnie do niego, jako *officier de liaison*. Miałem więc być łącznikiem, posiadając sekretny szyfr, dla komunikowania się obu mężów stanu”.

Taka jest prawda i takie były motywy mojego przydziału do Paderewskiego na Konferencję Pokojową, nie zaś, jak p. Sukiennicki sugeruje, że jakoby przydzieliła mnie adiutantura tylko chyba dla mojej znajomości języka francuskiego. Do Paryża pojechałem z woli Komendanta, na prośbę Paderewskiego, a za moją własną sugestią.

Cytuję dalej p. Sukiennickiego ze str. 79 tegoż artykułu:

„W Paryżu odniósł Świrski sukcesy natury raczej towarzyskiej, natomiast pod względem politycznym wyraźnie nie dorósł do roli...” itd.

Przypomnijmy sobie jak się w istocie rzecz miała w Paryżu.

Tu znowu podaję wyciąg z moich „Szkiców do pamiętnika”.

„Po naszym przybyciu do Paryża Dmowski i członkowie Komitetu Narodowego natychmiast oblegli Paderewskiego... Wiązały obu tych polityków zażyłe stosunki. Nie tylko Paderewskiego lecz i czujną panią Helenę (dzięki wpływowi której znalazł się Paderewski w Komitecie Narodowym już od roku) obejmowała atmosfera władnej indywidualności Dmowskiego. Pani Helena, bezmiernie ambitna dla swego męża, wyczuła wkrótce znamienne podrażnienie Dmowskiego, o którym pewnego razu powiedziała do męża w obecności otoczenia: 'Wydaje mi się, że Dmowski jest zazdrosny o twoje stanowisko premiera'.

Była to pierwsza nutka dysonansu, jak mi się wydało, w stosunkach Paderewskiego z Dmowskim.

Nie próżno endecy w Paryżu nazywali mnie „okiem i uchem Belwederu”. Nie uchybiało mi to wcale; przeciwnie, czułem, że jest moim świętym obowiązkiem uczynić środkami prawdy wszystko możliwe, aby usuwać piętrzone przez endecję przeszkody dla doskonałego porozumienia się tych dwóch tak niezbędnych a największych dziś ludzi w Polsce.

W Paryżu zamieszkaliśmy w hotelu Wagram, na rue de Rivoli, zajmując całe piętro dla kancelarii i dla mieszkańców. Śniadania i obiady jadałem zawsze z Paderewskimi, o ile byli wolni od przyjęć oficjalnych. Traktowali mnie jakby syna, bardzo serdecznie.

Zazwyczaj tak po śniadaniu jak i po obiedzie, Paderewski, który lubił potrawy lekkie i trochę dobrego wina, bywał skłonny do intymniejszych gawęd.

Czułem, że tu się zaczyna moja poważna misja o charakterze już nie towarzyskim, lecz decydującym o atmosferze i nastawieniu Paderewskiego do osoby Józefa Piłsudskiego. Wywiązywały się nieraz, naturalnie, rozmowy na tematy dotyczące i osoby Piłsudskiego i w ogóle jego ideologii i przeszłości.

Ze zdumieniem tedy i z natężoną uwagą słuchał Paderewski rewelacyjnej dlań prawdy z moich opowieści o młodości Piłsudskiego, o jego młodzieńczych marzeniach, o jego ideologii, o latach jego ciężkiej i ofiarnej pracy, o więzieniu, o zesłaniu na Syberię itd. Była to dla Paderewskiego *terra incognita* a jakże niezmiernie ważna i ciekawa.

Dowiedział się też ze zdumieniem, że Piłsudski, aczkolwiek zawsze współczujący ciężkiej doli warstw robotniczych, nigdy nie był marksistą, że socjalizm był dlań środkiem nie zaś głównym celem. Jedynym na razie celem było wyzwolenie ojczyzny spod jarzma zaborców.

Muszę dodać, że pani Helena, która słuchała moich opowieści dorywczo, stale czymś po kobiecemu zaabsorbowana i zajęta, nie bardzo się nimi przejmowała. Podchodziła czasem do męża, głaskała i całowała jego głowę, mówiąc (a widać było, że myśli o czymś innym): 'To ciekawe, to bardzo ciekawe'. Natomiast Paderewski bywał nie tylko przejęty, ale nieraz i wzruszony. Sądzę, że przyczynił się do tego i ten fakt, że z pewnością opowiadałem z przejęciem i natchnieniem. A że prawda i uczciwość moje były niewątpliwe, odczuwał to wiernie, ten Wielki Człowiek, swym czystym i szlachetnym sercem.

Po każdej takiej gawędzie wieczornej, a często nawet i nocnej (Paderewski szczególnie lubił nocne gawędy) — czułem jak powoli rozjaśnia się powietrze wokół osoby Piłsudskiego; jak się budzi sympatia, współczucie i coraz większe zainteresowanie Paderewskiego tym człowiekiem, w którego rękach spoczęły losy Polski. Widziałem jak twarz jego chwilami rozjaśniała się budzącą się ufnością i czułem, że zbliża się on duchem do ideowej osobowości Piłsudskiego, że Piłsudski staje mu się coraz bardziej pojęty i bliski.

Tak, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że prawda zwycięży, że misja moja pomyślnie się realizuje.

W Paryżu, wśród wielu ciekawych osób bliskich pp. Paderewskich, poznałem pannę Marietkę Mickiewiczównę. Była to córka Władysława Mickiewicza, syna naszego wieszczka. Drobna, szczupła, poważna, wybitnie inteligentna a szlachetna — już starsza, ale bez żadnych cech staropanieńskich. Przychodziła do pani Paderewskiej prawie codziennie, aby pomagać w jej pracy dla Białego Krzyża.

Wkrótce się z nią zaprzyjaźniłem. Choć salon p. Władysława Mickiewicza chętnie gościł przywódców Narodowej Demokracji, z Dmowskim na czele, których syn Adama protegował, panna Marietka swoim niezależnym umysłem i sercem zawsze czciła Piłsudskiego i współczuła z Legionami. Znając dobrze Dmowskiego, wyczuwała intuicją i umysłem jego indywidualność i błędne, szkodliwe drogi jego polityki. Nie lubiła go, a przede wszystkim — nie ufała mu, z czym się wcale nie kryła.

Powziąłem do niej zaufanie tak dalece, że któregoś dnia wyjawilem jej bez komentarzy powzięty przeze mnie plan usuwania środkami bezwzględnej prawdy wszystkiego, co stoi na przeszkodzie do porozumienia się Piłsudskiego z Paderewskim, których tak ona jak ja — czciliśmy jednak.

Pewnego razu panna Marietka powiedziała mi z oburzeniem, że cynizm i arogancja Dmowskiego przechodzi już wszelką mia-

rę; że wczoraj Dmowski w domu jej ojca, a w obecności innych osób, wypowiedział takie zdanie o Paderewskim: „Ten paraliż postępowy od fortepianu przerzucił się do rządu państwem. Nie jego to misja”. (Paderewski w tym czasie cierpiał na lumbago). Komentowaliśmy obłudę Dmowskiego, który w oczy Paderewskiemu świadczył przyjaźń. — „Paderewski powinien przecież o tym wiedzieć” — powiedziałem. Na mój pomysł, ażeby panna Marietka powtórzyła słowa Dmowskiego pani Helenie, odpowiedziała niemal z przerażeniem, że to wydaje się jej wprost niemożliwe. Przekonałem ją wreszcie, że dla dobra sprawy powinna to uczynić; ja zaś poczynię pierwsze po temu kroki.

Tegoż dnia po południu w nieobecności Paderewskiego zaangażowałem rozmowę z panią Heleną o Dmowskim i doprowadziłem do chwili, gdy mogłem jej powiedzieć takie oto zdanie: „Naprawdę, jest to już wielki czas ażeby państwo wiedzieli jak dalece obłudny jest Dmowski w stosunku do Prezydenta”.

A gdy zaniepokojona kazała mi mówić wyraźniej, skierowałem ją do panny Marietki, która na to poprzednio już się była zgodziła. Pani Helena kazała poprosić pannę Marietkę.

Można sobie wyobrazić, znając temperament pani Heleny, co się potem działo. Prywatne stosunki poza oficjalnymi — z Dmowskim zostały zerwane, wpływy jego na Paderewskiego i na panią Helenę — zanieistniały, i to już na zawsze.

Wprawdzie Dmowski był przekonany, że przyczyniła się do tego pani Helena, stąd w książce „Niepospolici ludzie” Grzymały-Siedleckiego, o której wspomina p. Sukiennicki na str. 82 — Dmowski na zapytanie Grzymały Siedleckiego „Co należałoby zrobić dla wyrównania jego stosunków z Paderewskim?” odrzekł: „Otruć panią Paderewską”.

Gdy przyjechalśmy na ferie świąteczne, na okres przerwy Konferencji Pokojowej, do Polski, następnego dnia Paderewski przybył do Belwederu.

Przywitanie jego z Piłsudskim odbyło się nadzwyczaj serdecznie, Paderewski witał Komendanta rozpromieniony. Nie byłem obecny podczas ich konferencji, która trwała bardzo długo, ale wiedziałem i czułem, że — ku mojej radości — cechowała ją od początku wzajemna ufność i szczerść.

Gdy po ukończeniu konferencji towarzyszyłem Paderewskiemu, na odchodnym, widocznie podniecony odbył rozmowę z Piłsudskim, nagle się zatrzymał na schodach i kładąc dłoń na mojej ręce wyrzekł z mocą, potrząc przed siebie jakby w natchnieniu: „Panie, opatrność Polsce zesłała tego człowieka”. Pośpiesznie wróciłem do Komendanta, którego zastałem w do-



skonałym nastroju. Objął mnie po ojcowsku ze słowami: „Dziękuję wam dziecko, jestem z was bardzo i bardzo zadowolony. Paderewski jest nie do poznania”.

A ja byłem szczęśliwy z pomyślnych rezultatów powziętej przeze mnie misji w Paryżu”.

Na zakończenie swego artykułu Sukiennicki utyskuje, że: „Świrski żadnej kariery nie zrobił...”

Dziś — na skłonie moich sędziwych lat, kiedy oglądam się wstecz, widzę i uświadamiam sobie z czystym sumieniem, że w rzeczy samej zrobiłem nienajgorszą karierę.

Na ostatku pozwolę sobie wyjaśnić jedną z tajemnic mojego nieco odrębnego pojmowania kariery życiowej.

Gdy dziewięć lat byłem zakuty na rękach i na nogach, skazany na dożywocie, z nastawieniem psychicznym, że już nigdy nie wyjdę na wolność, miałem czas w swej małej celi aby w samotności przewartościować wszystkie wartości życia.

Choć to nie zawsze odmienia człowieka fizycznie, lecz psychikę przemienia na zawsze.

*Czesław ŚWIRSKI*

## LISTY DO REDAKCJI

Johannesburg, paźdz. 1964.

Paryż, dn. 28 września 1964

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z ogłoszonymi w *Zeszytach* 6 relacjami pp. Kowalewskiego i Ponińskiego o sprawach polskich w Rumunii w 1939 r. pragnąłbym przypomnieć pewne momenty związane z opieką nad uchodźcami w tym okresie. Z obu relacji można by dojść do przekonania, iż opieka ta była wykonywana wyłącznie przez Komitet Obywatelski Opieki nad Uchodźcami, powołany do życia przez ambasadę. Nie kwestionuję zasług Komitetu i Ambasady — zwłaszcza niesłuchanie ważną rzeczą było wyjednanie dla uchodźców zasiłków. Nawiasem mówiąc, zasiłki te wynosiły początkowo 100 lei na osobę dziennie jednakowo dla wszystkich, później natomiast, nie wiem z czyjej inicjatywy, zróżniczkowano je, zostawiając normę 100 lei dla inteligencji, a obniżając ją do 80 lei dla pozostałych, co wywołało kwasy i niezadowolenie w tej drugiej grupie. Obydwie relacje pomijają całkowicie działalność Polsko-Amerykańskiego Komitetu Pomocy Uchodźcom, powołanego do życia przez świetlaną pamięć Pawła Supera, dyrektora Polskiej YMCA. Super przyjechał do Rumunii z Ministrem Opieki Społecznej Marianem Kościółkowskim, z którym wyjechał z Warszawy. Gdy minister zagnał się z nim w Rumunii, jadąc z rządem do Słanic, wyraził przypuszczenie, że Super wróci do Stanów Zjednoczonych. Super gwałtownie zaprotestował, oświadczając, iż uważa za swój obowiązek w istniejącej sytuacji zająć się opieką nad uchodźcami. Powiedział: „Byłem w Polsce, kiedy była pogoda, nie będę uciekał, kiedy przyszła burza”. Relację o tej rozmowie miałem w marcu 1940 r. od min. Kościółkowskiego. I oboje Superowie pozostali w Bukareszcie. Super uzyskał fundusze z Ameryki i powołał do życia Polsko-Amerykański Komitet Pomocy, działający w Rumunii i na Węgrzech. Do pracy w komitecie Super powołał przede wszystkim pracowników YMCA, których odszukał w terenie, oraz szereg urzędników i społeczników, których znał z pracy w Polsce. Najliczniej reprezentowani byli urzędnicy Ministerstwa Opieki Społecznej, z którym Super najbliżej współpracował. Wymienię tu śp. Gustawa Zielińskiego, śp. Stefana Jankowskiego, Bolesława Nakoniecznikoffa, Stanisława Paczyńskiego, Kazimierza Świerczewskiego, Tadeusza Grunwalda i niżej podpisanego; z Ministerstwa Rolnictwa — Czesława Bobrowskiego; z Ministerstwa Spraw Zagranicznych — Bohdana Samborskiego. Na Węgrzech o ile wiem działali z ramienia Supera śp. Stefan Hubicki, b. min. Opie-

ki Społ. i śp. Marian Porikiewski. Już w początkach października rozpoczęto organizowanie lokalnych placówek Komitetu we wszystkich skupiskach uchodźców. Placówki te były często wizytowane zarówno przez samego Supera, jak i przez jego najbliższych współpracowników. Poza tym kilkakrotnie były zwoływane zjazdy kierowników placówek dla ustalenia zasad opieki, która obejmowała zarówno dziedzinę materialną (organizacja żywienia, odzież, opieka lekarska), jak kulturalną. Jako kierownik jednej z takich placówek mogę stwierdzić, że dzięki środkom, jakimi mogłem dysponować, miałem możliwość rozwinąć szeroką działalność, nie wyłączając dziedziny wykraczającej poza opiekę — ułatwienia ewakuacji uciekającym z sąsiednich obozów wojskowych. Ta ostatnia działalność była zresztą prowadzona z wiedzą i całkowitą aprobatą Supera. Zarówno firma amerykańska jak i posiadane środki ułatwiły stosunki z lokalnymi władzami rumuńskimi i umożliwiały akcje, której nie miał możliwości prowadzić przedstawiciel Komitetu Obywatelskiego. W końcu stycznia 1940 r. Super na usilne nalegania Rządu Polskiego przeniósł się do Paryża, powierzając kierownictwo Komitetu śp. Aleksemu Wdziękońskiemu, radcy Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ponieważ w lutym 1940 r. opuściłem Rumunię, nie znam dalszych losów akcji zorganizowanej przez Pawła Supera. Uważam za konieczne przypomnienie tej akcji jednego z najszczerzych i najszlachetniejszych przyjaciół Polski, aby nie poszła ona w zapomnienie.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania

M. BIESIEKIERSKI



Szanowny Panie Redaktorze,

Ukazanie się mojej książki pt.: „Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962. Tom pierwszy. Bibliografie” wywołało na łamach „Zeszytów Historycznych” i „Kultury” odgłosy, które zaklasyfikować należy jako nieporozumienie.

Jak z podtytułu mej publikacji wynika, książka nie jest bibliografią prasy polskiej na obczyźnie, lecz *bibliografią bibliografij tej prasy* (podkr. moje — JK). Zawiera ona więc tylko bibliografie *sensu stricto*, przeglądy wydawnictw periodycznych, katalogi prasy, przeglądy literatury prasoznawczej, a także zbiorowe recenzje, jeżeli zawierają one elementy bibliograficzne, a więc dane dotyczące redaktorów, czasu i miejsca publikacji, itd.

W *bibliografii bibliografij* nie ma oczywiście miejsca na monograficzne opracowania *pojedynczego wydawnictwa*, w rodzaju „XXX-lecie „Wiadomości” („...ale tej właśnie publikacji Kowalik z tajemniczych względów nie wymienia...” — M. Danilewicz, „Kultura” nr 5/199, str. 146), ani też na przyczynkarskie artykuły do dziejów poszczególnych periodyków, których brak bierze mi za złe red. Janusz Laskowski. („Zeszyty Historyczne”, nr 6 z r. 1964, str. 234-238).

Materiał tego typu (znajdujący się zresztą w kartotece, i w zbiorach „Polish Emigre Press Archive” w Sunnyvale, Kalifornia) wchodzi w skład następnego tomu pt.: „Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962. Tom drugi. Biografie.”, który jest w opracowaniu, a o czym Panu Redaktorowi swego czasu donosiłem. Tom ten zawierać będzie ponad tysiąc pozycji przyczynków do dziejów pojedynczych periodyków polskich wydanych poza Krajem, jak również biografie czy obituaria

twórców tej prasy. Sama tylko „Kultura” i „Wiadomości” reprezentowane są tam przeszło setką pozycji. Red. Janusz Laskowski znajdzie tam wszystkie przez niego poruszane, a przede mnie rzekomo zapomniane wypadki periodyków I Korpusu PSZ. Tyle jeśli chodzi o wyjaśnienie nieporozumień natury bibliograficznej.

List red. Janusza Laskowskiego zawiera jednak elementy natury osobistej których nie mogę pozostawić bez odpowiedzi.

Pan Janusz Laskowski pisze: „Powodowany najzwyczajniejszą ciekawością zerknąłem pod literę „L”, gdzie znalazłem samego siebie w całym nieznanym mi postaci. Postać tę miał podobno znać niejaki pchr. Połoński, którego ja z kolei nie znam wcale. Zaraz po moim nazwisku figuruje w nawiasie uwaga „jak opowiedział pchr. Połoński”. Czyli, że istnienie moje zawdzięczam jedynie opowiadaniom pchr. Połońskiego. Nieco mnie to dziwi, gdyż autora „Materiałów do historii prasy polskiej na obczyźnie” znam osobiście od roku 1947 i od tegoż roku jestem z nim na „ty”.

W konkluzji listu czytamy następujący osąd: „...z przykrością muszę stwierdzić iż ogłoszone w „Bibliotece Kultury” przez niego „Materiały” są bardzo, ale to bardzo niekompletne...” (podkr. moje —J.K.)

Przytoczone teksty implikują:

- a) że jestem, czy byłem, w zażyłych stosunkach z p. Januszem Laskowskim od r. 1947,
- b) że wiedząc, iż był korespondentem wojennym, staram się z tego tytułu go „okradać”,
- c) że pozycję bibliograficzną autorstwa Janusza Laskowskiego, ceduję na konto nieznanego mu pchr. Połońskiego, wreszcie,
- d) że opracowałem bardzo kiepską książkę, co wygląda tym gorzej, że praca ma charakter dokumentacyjny.

Ponieważ tego rodzaju implikacje rzucają na mnie cień zarówno jako na badacza, jak i na człowieka, i „rzekomego” kolegę, muszę się bronić.

Ad a): Pana Janusza Laskowskiego poznałem w Eppstein/Frankfurt a.M., gdzie organizowaliśmy Polski Klub Literacki w Niemczech, i wydawali efemerydę prasową pt. „Przegląd Literacki”. Widzieliśmy się dwa razy, i wymieniliśmy z nim kilka listów natury redakcyjnej. Zachowałem Go we wdzięcznej pamięci: był dobrym kompanem, i dobrze recytował wiersze współczesnych poetów polskich.

Ad b) i c): Na str. 31 mej książki figuruje następująca pozycja: „LASKOWSKI Janusz: (jak opowiedział pchr. Połoński): Korespondenci Wojenni Armii Krajowej”. Tekst ten przepisałem dosłownie z „Dziennika Żołnierza — APW”, nr 195/550, z r. 1945, który znajduje się w zbiorach Hoover Library w Stanford University, w Kalifornii.

Ad d): Moja książka jest owocem wieloletnich badań. Gdybym był przekonany, że zawiera rażące braki, nie byłbym oddał jej do druku. Winien jestem to zarówno sobie, jak i nauce polskiej na obczyźnie, nie mówiąc już o tym, że wynika to z charakteru badań, jakie uprawiam.

Łączę wyrazy poważania.

Jan KOWALIK

## OSTATNI ROZKAZ MARSZAŁKA ŚMIGŁEGO

Pragnę dodać kilka szczegółów, które by uzupełniły wspomnienia płk. Kowalewskiego, ogłoszone w numerze 6 „Zeszytów Historycznych” pt. „Cykl rumuński”. W rozdziale „Wizyta u Marszałka Śmigłego” (str. 131) płk. K. pisze że towarzyszył płk. Zakrzewskiemu, attaché wojskowemu w Bukareszcie, w jego nagłym wyjeździe do Crajowej, do marszałka Śmigłego. Było to w związku z przybyciem lotnika z oblężonej Warszawy, który via Budapeszt przyjechał do Bukaresztu z meldunkiem od dowódcy oblężonej Warszawy gen. Rómmla dla Naczelnego Wodza, oraz z zapytaniem jak długo Warszawa ma się bronić.

W roku 1951 KULTURA w Nr. 5/43 wydrukowała moje wspomnienia z września 1939 o „Ostatnim Rozkazie Marszałka Śmigłego”.

Po krótkie reasumuję ich treść:

Dnia 22 września 1939, pełniąc dyżur w Poselstwie R.P. w Budapeszcie, odebrałem od płk. Wendy w Rumunii, telefoniczne polecenia dla attaché wojskowego na Węgrzech, przesłania dla „Szefa” zestawienia, jakie oddziały wojskowe i którzy wyżsi dowódcy przeszli na Węgry. Instrukcję tę przekazałem ppłk. Emisarskiemu, który raport taki opracował a ja zostałem wyznaczony przez ministra Orłowskiego, do przewiezienia tego raportu do Rumunii.

Następnego dnia, 23 września gdy czekałem na odjazd na stację kolejową skąd miałem odjechać do Bukaresztu, do poselstwa przyjechał w towarzystwie oficera węgierskiego ppłk. pil. Maciej Iżycki, który poprzedniego dnia wyleciał z Warszawy z zadaniem dotarcia do Naczelnego Wodza. Władze węgierskie internowały załogę samolotu lecz dzięki życzliwości szefa O.II. płk. Ujssassy, pozwoliły płk. Iżyckiemu na odbycie ważnej rozmowy z ministrem Orłowskim.

Ponieważ wyjeżdżałem do Rumunii z raportami dla Marszałka, zostałem wezwany do tej rozmowy i płk. Iżycki powiedział mi, że poprzedniego dnia wyleciał z oblężonej Warszawy z zadaniem dotarcia do Naczelnego Wodza, miał przedstawić sytuację w Warszawie i otrzymać rozkaz jak długo Warszawa ma się jeszcze bronić. Łączność radiowa była utrzymywana jedynie ze stacją attaché wojsk. w Paryżu, toteż gen. Rómml pragnął otrzymać odpowiedź drogą radiową. Płk. Iżycki dał mi skrawek papieru, na którym odnotowano elementy łączności oraz czasy nasłuchu stacji warszawskiej.

Dnia 26 września wieczorem, zgłosiłem się u płk. Zakrzewskiego w ambasadzie bukareszteńskiej, któremu doręczyłem przywieziony raport, oraz dosłownie powtórzyłem zlecenie płk. Iżyckiego. Płk. Zakrzewski powiedział mi, że ze względu na ważność sprawy wyjedzie zaraz samochodem do Crajowej, gdzie był internowany Marszałek Śmigły.

Następnego dnia, 27 września, widziałem ponownie płk. Zakrzewskiego który mi oświadczył, że przed chwilą wrócił z Crajowej gdzie rozmawiał z Marszałkiem Śmigłym któremu doręczył przywiezione przeze mnie zestawienie oraz przedstawił meldunek płk. Iżyckiego. Aby upewnić mnie, że powierzone mi zadanie dotarcia do Marszałka Śmigłego zostało wykonane, pokazał mi rozkaz Naczelnego Wodza, który zostanie przekazany via Paryż do Warszawy.

Na blankiecie „Generalny Inspektor Sił Zbrojnych” z datą 26 września napisana była, własnoręcznym pismem Marszałka, treść następująca:  
„Do Generała dywizji Rómmla,

Dowódcy Obrony Warszawy.

Dziękuję Panu Generałowi oraz wszystkim podległym mu oficerom i żołnierzom za bohaterską obronę Warszawy.

Warszawa winna się bronić tak długo, jak starczy zapasów żywności i amunicji.

Śmigły Rydz, marszałek”.

Czy rozkaz ten został przekazany do Warszawy — nie wiem.

Gen. Rómmel w książce swojej „Za Honor i Ojczyznę” (str. 338) opisuje okoliczności w jakich 22 września ppłk. Izycki został wysłany samolotem na Węgry z zadaniem dotarcia do Naczelnego Wodza. Dodaje on, że w roku 1958 spotkawszy w Warszawie płk. Zakrzewskiego, dostał od niego potwierdzenie moich informacji podanych w „Kulturze”, a mianowicie, że we wrześniu 1939 wyjeżdżał do Crajowej, do Marszałka Śmigłego, celem otrzymania polecenia jak długo Warszawa ma się bronić. Rozkaz taki przekazał do Paryża, celem przesłania drogą radiową do Warszawy.

Ciekawi mnie, gdzie znajduje się ten oryginalny dokument, który był Ostatnim rozkazem Naczelnego Wodza do W.P. w roku 1939. Czy został zdeponowany z innymi dokumentami attachatu w Archiwum PSZ, czy też, jak szereg innych dokumentów i depezy, został zniszczony. Prawie wszyscy świadkowie tych wydarzeń dziś już nie żyją: Marszałek Śmigły, płk. Wenda, płk. Izycki, płk. Zimnal. Rómmel i Zakrzewski wyjechali do Polski. Są osoby które kwestionowały podany przez mnie fakt, że taki rozkaz istniał. W czasie dyskusji radiowej prowadzonej przez p. Terleckiego i ogłoszonej w wyd. „Na Antenie” na temat ostatnich chwil z życia Marszałka Śmigłego, ktoś z obecnych wyraził się, że podobno istniał taki rozkaz, lecz nikt go nie widział oprócz informatora, to znaczy mnie.

Osobiście jestem zadowolony, że wiarygodny świadek płk. Kowalewski, który może nie był poinformowany w szczegółach o wyjeździe płk. Zakrzewskiego do Crajowej, potwierdził chociaż częściowo opisany przeze mnie epizod z września 1939.

*Roman KRÓLIKOWSKI*

## SPIS TREŚCI

<i>Kazimierz Okulicz:</i>	
BIAŁORUSINI, LITWINI I POLACY W POWSTANIU STYCZNIOWYM NA LITWIE HISTORYCZNEJ .....	7
<i>Franciszek Kalinowski:</i>	
LOTNICZA LEGENDA W ŚWIETLE HISTORII	22
<i>Tadeusz Katelbach:</i>	
AKT PIERWSZY DRAMATU (Z dziejów emigracji)	51
<i>Feliks Mantel:</i>	
SZKICE PAMIĘTNIKARSKIE (Fragment) . . . . .	90
<i>Inż. S. Tarwid:</i>	
WSPOMNIENIA KOLEJARZA Z DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ .....	133
<i>Jan Roland:</i>	
PARTYZANTKA NA WILEŃSZCZYŹNIE .....	154
<i>Damian S. Wandycz:</i>	
LIKWIDACJA POLSKO-RUMUŃSKIEJ UMOWY NAFTOWEJ W R. 1939 .....	163

## KSIĄŻKI

<i>Marian Kukiel:</i>	
EDWARD CZAPSKI I ŻMUDŹ W DOBIE POWSTANIA STYCZNIOWEGO .....	187
<i>Piotr Wandycz:</i>	
KARTA Z PRZESZŁOŚCI .....	197
<i>Wacław Soroka (pseud. „Halny”):</i>	
BATALIONY CHŁOPSKIE NA LUBELSZCZYŹNIE .....	201
	239

## POLEMIKI

### NA MARGINESIE ARTYKUŁU Z.S. SIEMASZKI W 6 „ZESZYCIE HISTORYCZNYM”

<i>Uwagi b. pracownika Oddz. Spec. Sztabu Nacz. Wodza ..</i>	207
<i>S. Popkiewicz .....</i>	211
<i>Kpt. Łączn. S. Kisiel .....</i>	215
<i>Witold Babiński — Refleksje rocznicowe .....</i>	217



<i>Czesław Świrski:</i> WYJAŚNIENIA .....	221
--	-----

## LISTY DO REDAKCJI

<i>M. Biesiekierski .....</i>	234
<i>Jan Kowalik .....</i>	235
<i>Roman Królikowski .....</i>	237

---

ACHEVE D'IMPRIMER LE 15 JANVIER 1965 SUR LES PRESSES  
DE L'IMPRIMERIE RICHARD, 24, RUE STEPHENSON, PARIS (18<sup>e</sup>)

Dépôt légal: 1<sup>er</sup> trimestre 1965



Dar Księży Marianów  
Londyn

---

**KSIĄZKI HISTORYCZNE  
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

- Józef Mackiewicz: **Kontra** (7 F)
- Paweł Zaremba: **Historia Stanów Zjednoczonych**  
(18 F.)
- Tadeusz Katebach: **Rok złych wróżb** (8 F)
- Stanisław Kot: **Jerzy Niemirycz** (7 F)
- Paweł Zaremba: **Historia Polski, Tom I** (20 F)
- Józef Czapski: **Na nieludzkiej ziemi** (Wydanie drugie)  
(15 F)
- Bernard Singer: **Od Witosa do Ślawka** (18 F)
- Milovan Djilas: **Rozmowy ze Stalinem** (9 F)
- Jerzy Mond: **6 lat temu...** (Kulisy polskiego  
Października) (10 F)
- Maria Czapska: **Polacy w ZSSR (1939-1942)**  
Antologia (16,50 F)
- Witold Jedlicki: **Klub Krzywego Koła** (10 F)
- Stanisław Mackiewicz: **Polityka Becka** (12 F)

15 F (dol. 3,-; 22/-)